

13

PROZA
POEZJA
ESEJE
KRONIKA

ZAPIS

styczeń 1980

w numerze:

Lech BĄDKOWSKI
Lech DYMARSKI
Kazimierz DZIEWANOWSKI
Wacław IWANIUK
Jan KOTT
Andrzej KORASZEWSKI
Jan POLKOWSKI
Jacek BOCHEŃSKI
Kazimierz ORŁOŚ
Leszek SZARUGA
Łudwik DORN
Tomasz BUREK
Wiktor WOROZYLSKI
Jacek SALIJ OP
Piotr WIERZBICKI
Andrzej DRAWICZ
Jan Józef LIPSKI

A P E L

W OBRONIE MIROSLAWA CHOJECKIEGO

25 marca roku 1980 aresztowany został w Warszawie Mirosław Chojecki. Nie jest to pierwsza represja, jaka spotyka tego tak bardzo ofiarnego organizatora i kierownika Niezależnej Oficyny Wydawniczej. W ciągu ostatnich trzech lat był on niejednokrotnie aresztowany, w roku 1977 więziony był przez dwa miesiące, w 1979 przez tydzień, wiele razy zatrzymywany na 48 godzin. Wytaczano przeciw niemu zarzuty z siędmiu różnych artykułów kodeksu karnego i wszczynano postępowanie prokuratorskie w 16 sprawach.

Ostatnio metodą władz stało się oskarżanie działaczy opozycyjnych nie o ich rzeczywistą działalność, która jako zgodna z konstytucją nie może być karana, lecz o rzekome przestępstwa pospolite. Tą metodą posłużono się również wobec Mirosława Chojeckiego. Nie zarzucono mu, że wydaje nie ocenzone książki i czasopisma, wśród nich "Zapis", ale że dopuścił się jakoby kradzieży powielacza. Ten sam zarzut postawiono uprzednio współpracownikowi Niezależnej Oficyny Wydawniczej, Bogdanowi Grzesiakowi, aresztowanemu w lutym i zwolnionemu w marcu 1980 r.

Trudno bez oburzenia i głębokiej odrazy odnieść się do tych prób walki z wolnym słowem, które byłyby tylko godne pożałowania, gdyby nie łączyły się z uwięzieniem człowieka.

Protestujemy jak najostrzej przeciw aresztowaniu Mirosława Chojeckiego. Poczujemy się do całkowitej z nim solidarności, świadomi, że prawdziwą przyczyną aresztowania są zasługi Mirosława Chojeckiego dla wolności kultury w Polsce.

Apelujemy do wszystkich autorów polskich, a w szczególności do tych blisko stu, którzy tak jak my ogłosili swe prace w "Zapisie" i wydali książki w Niezależnej Oficynie Wydawniczej: dołączcie swój głos w obronie Mirosława Chojeckiego! Ten sam apel kierujemy do pisarzy polskich przebywających poza granicami kraju. Zwracamy się również do wszystkich autorów zagranicznych, w szczególności do drukowanych w "Zapisie"; do Günтера Grassa, do laureata nagrody Nobla, I.B. Singera, do Hansa Magnusa Enzensbergera, do Josifa Brodskiego i innych: poruszcie opinię publiczną, domagajcie się zwolnienia Mirosława Chojeckiego!

Warszawa, 6 kwietnia 1980.

Zespół Redakcyjny ZAPISU :

Stanisław Barańczak

W skład Zespołu Redakcyjnego wchodzi:

Jacek Bocheński

Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Tomasz Burek, Anna Chmielewska, Andrzej Rawicz, Józef Flieger, Ryszard Krynicki, Adam Michnik, Kazimierz Orłoś, Wiktor Woroszyński

Wiktor Woroszyński

Warszawa, B.IV.1980 r.

S P I S T R E Ś C I

Lech Radkowski: Twarzą do przyszłości	3
Lech Dymarski: Staw wskazujący na spożycie ludzkiego mięsa.	17
Kazimierz Dziewanowski: Urbi et orbi	20
Wacław Iwaniuk: Włóczęgę	23
Jan Kott: Miesiąc po trzynastu latach.	25
Andrzej Keraszewski: Uwagi o stanie duszy emigranta.	30
Jan Polkowski: Wierze	33
Jacek Becheński: Mechaniczna pomarańcza.	35
Kazimierz Orłowski: Gałązka bzu	63
" - Meldunek.	65
Leszek Szaruga: Szczerść i prawda	68
Ludwik Doma: Cztery kucyki nad przepastną wyżyną	76
Tomasz Burek: Przeciwności istnienia (dokończenie)	85
Wiktor Woraszyński: Urodziny Jerzego	94
Jacek Salij OP: Jak oddzielić boskie od cesarskiego.	97
Piotr Wierzbicki: Rozmowy z kotkiem.	100

R e c e n z j e

Andrzej Drawicz: Próba "Metropolu".	107
Jan Józef Lipski: List z Danii	111
L.D.: Józek, po coś ty tam chadził?	115

L i s t d o r e d a k c j i

G.W. A jednak dziewczynka z zapłkami.	119
---	-----

K r o n i k a

Trzy lata "Zapisu".	122
Papieska "Więź"	122
S O S - Scientists for Orlov and Shcharansky.	123
TKN w trzecim roku pracy.	123
Rocznica Września w PEN-Clubie.	124
BBC ukarała	125
Pożegnanie Walendowskich.	125
II Tydzień Kultury Chrześcijańskiej we Wrocławiu.	125

NOWA na Targach Książki we Frankfurcie	126
Cenzura na Targach Książki w Warszawie	126
Wokół "Blaszanego heberka"	126
Nowe wydawnictwo literackie	127
Warianty węgierskiego "Zapisu"	128
"Mr. Cogito" wydał Barańczaka	128
Zjazd tłumaczy - bez spotkań z autorami	128
Drugi tom "Czarnej księgi cenzury"	129
Marek Nowakowski i cenzura	129
"Powrót do kraju" Wołoszyńskiego	129
Festiwal filmowy w Gdańsku	130
Z życia dyskusyjnych klubów filmowych	130
Dwadzieścia lat Galerii Lambert	131
Kto nas reprezentuje w UNESCO	131
Kto będzie autorem pomnika Wyspiańskiego	131
Zagudować pole bitwy	132
"Godzina polskiego chrześcijaństwa"	132
Dwa numery "Aneksu"	133
"Res Publica" po raz trzeci	133
Nowy "Puls"	134
Nowe niezależne pismo w Łodzi	134
Polonica w "Kontynencie"	135
Sprostowanie Chojeckiego	135
Dziwne zebranie sprawozdawcze	135
Fundacja im. Andrzeja Struga	135
Stefan Kisielewski pierwszym laureatem	136
Moczarski, Szczypiorski i "Życie Warszawy"	136
Wokół nagrody PEN-Clubu	136
Książki i czasopisma nadesłane	137
Noty o autorach	138

Lech Bądkowski

TWARZA DO PRZYSZŁOŚCI

Z obszernej pracy oddanej nam przez Lecha Bądkowskiego do dyspozycji, a napisanej, jak stwierdza Autor, "głównie z myślą o ludziach młodych i ideowych", publikujemy część drugą. Za zgodą Autora dokonaliśmy w tekście skrótów. Miejsca skróceń oznaczono wielokropkami.

Red.

(...) Naród polski nie może poprzestawać na opozycji wobec istniejącej władzy, na odrzucaniu jej, na tęsknotach do pozbycia się obcej dominacji. Program negatywny, stosunkowo najłatwiejszy do propagowania i do powszechnego przyjęcia, staje się wręcz niebezpieczny i dla całego narodu, i dla jednostkowego obywatela - gdybyśmy na takim programie poprzestawali. Wszystkim nam razem potrzebne, raczej niezbędne, stało się wypracowanie programu pozytywnego: jakie stawiamy sobie cele, jak możemy dążyć do ich realizacji, co pojedynczo każdy z nas może i powinien robić, jak się zachowywać w konkretnych wypadkach i w całym postępowaniu. (...)

W istocie społeczeństwu polskiemu potrzeba dwóch programów. Pierwszy nazwałbym głównym, zasadniczym, a można go określić również jako deklarację celów. Chodzi tu więc o kierunek dążeń, które - przyjmując obecny stan światowych układów politycznych jako stosunkowo stabilny - będą mogły być zrealizowane dopiero po dłuższym czasie i pod warunkiem, że społeczeństwu starczy wytrwałości, oraz że po żądani partnerzy będą skłonni do współdziałania w ich własnym i we wspólnym interesie.

Drugi program byłby natychmiastowy, do wdrażania od zaraz, co zresztą w znacznym stopniu stanowić będzie raczej kontynuację, porządkowanie i poszerzanie działań już podjętych przez najbardziej świadome i czynne jednostki oraz ośrodki istniejące w społeczeństwie. Innymi słowy starałby się on odpowiadać na pytanie: co należy robić teraz? (...)

Program zasadniczy

A. Suwerenność. W wyniku II wojny światowej Polska utraciła suwerenność państwową i tym samym niezależność polityczną na rzecz głównego zwycięzcy i zyskobiercy, Związku Radzieckiego, kontynuatora jednej z trzech potęg zaborczych z drugiej połowy XVIII w., które dokonały rozbiórów i zniszczenia państwa polskiego. Obecne uzależnienie Polski od sąsiedniego mocarstwa nie jest dokładnym powtórzeniem tamtego aktu gwałtu nie tylko dlatego, że wtedy odpowiedzialność i łup brały trzy potęgi, a teraz jedna. Z powodu ogólnych zmian w świecie i rozmiarów zdobyczy - teraz bowiem chodziło o całą Europę Środkową po Łabę i przeszło połowę Bałkanów - Sowiety wolały nie dokonywać aneksji bezpośredniej, jak półtora wieku wstecz, chociaż uznały to za możliwe w odniesieniu do Litwy, Łotwy, Estonii, Mołdawii i fragmentów Finlandii. Wybrały inny sposób, mianowicie ścisłą wasalizację, przekształcenie zajętych w wojnie z Niemcami państw w kraje satelitarne.

Odmierności sposobu ujarzżenia ma dla nas dobre i złe strony. Zachowywanie pozorów państwa suwerennego przynosi poważne korzyści, które należy w pełni wyzyskać. Tak na przykład granice państwowe umożliwiają kolonizację etniczną kraju, jak to się stało i nadal się dzieje na obszarach narodowych niarosyjskich w Zwią-

zku Radzieckim. Forsuje się tam nawet (za granicą również) pojęcie "narodu radzieckiego" w miejsce do niedawna jeszcze występujących "narodów radzieckich". Formuła "naród radziecki" jest oczywiście nonsensem, ale pełni ważną funkcję, mianowicie służy przyspieszonemu wynaradawianiu nie-Rosjan. Szczęśliwie więc nie weszliśmy w skład tego "narodu". Nie musimy się też poddawać tak prymitywnemu indoktrynowaniu przez władzę, jak dzieje się to tam. Mamy nieporównanie szersze kontakty ze światem.

Ale Związek Radziecki nie poprzestaje na uzależnieniu politycznym krajów satelitarnych. Rozszerza dominację na płaszczyznę ustrojową, "ideologiczną", gospodarczą i kulturową, wnika nawet - co przy zamiarach całkowitego podporządkowania wasali jest zupełnie logiczne - w dziedzinę oświaty. Polak (Czech, Słowak, itd.) powinien nie tylko mówić i zewnętrznie zachowywać się jak wzorowy obywatel radziecki, lecz również myśleć i odczuwać jak wzorzec, zatem lepiej, żeby nie wiedział więcej i inaczej niż tamten. Osiągnięcie tego ideału jest z wielu względów bardzo trudne, na szczęście, i zapewne w ogóle niemożliwe, ale władza panująca w Związku Radzieckim nie szczędzi starań i nacisków, aby do niego się zbliżyć; zapewne roi, że z czasem go osiągnie.

Odzyskanie niezależności politycznej jest pierwszym i naczelnym zadaniem programu zasadniczego.

Stawiając je, trzeba zdawać sobie sprawę z realiów współczesnego świata. Pełna suwerenność państwowa stanowi obecnie przywilej niewielu państw. W znakomitej większości wypadków mamy do czynienia z suwerennością warunkowaną, przy czym stopień swobody postępowania w polityce zewnętrznej, a także (choć zazwyczaj w mniejszym stopniu) wewnętrznej waha się w granicach od bliskiego pełnej suwerenności do bliskiego podporządkowania wielkiemu mocarstwu lub zorganizowanej grupie państw. Stopień ten ma jednak doniosłe znaczenie. Tak na przykład Francja, związana sojuszem z państwami zachodniej Europy i ze Stanami Zjednoczonymi, w roku 1966 wystąpiła ze struktury zintegrowanych wojsk Paktu Atlantyckiego i wyprosiła ze swego terytorium najwyższe władze wojskowe tego ugrupowania, a jego bazy przejęła. Wydarzenie to spowodowało wstrząs polityczny oraz komplikacje organizacyjno-militarne dla sojuszu i również poważne koszty, ale mowy nie było o jakichkolwiek represjach wobec Francji, która zresztą pozostała w politycznym przymierzu Zachodu, bo tego wymagają jej najżywniejsze interesy własne. Po drugiej stronie Europy próby częściowej emancypacji spod bezwzględnej hegemonii Związku Radzieckiego wpraw Węgier (1956), potem Czechosłowacji (1968) zostały zdławione najazdem wojsk radzieckich. W r. 1956 Polacy z trudem zdołali powściągnąć wyzwolenicze usiłowania o tyle, że uniknęli zbrojnej interwencji; wtedy zresztą przywódców radzieckich pohamowali przywódcy chińscy, zaniepokojeni radzieckim "socjalimperializmem".

W świecie przeważają prądy integracyjne, skupiające państwa w grupy gospodarcze i polityczne. Te dwie zasady zgrupowań, występujące łącznie, wywierają silny wpływ na inne dziedziny, niekoniecznie jednak muszą unifikować uczestników pod każdym względem. Fakt, że na przykład między krajami Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej praktycznie nie ma granic, czyli że są one łatwo przekraczalne i że możliwe jest osiedlanie się oraz podejmowanie pracy w którymkolwiek z nich, popiera tworzenie się wspólnych wzorców kulturowych i obyczajowych dla całości obszaru Europy Zachodniej i częściowo Południowej, a tym samym powstawanie jakby "ponadnarodu". Ale jednocześnie mnożą się i przybierają na sile prądy krajowej tożsamości (do niedawna uważanej raczej za regionalną), tam właśnie, na Zachodzie, najliczniejsze i najbardziej głośne - żeby przykładowo wymienić tylko Szkotów, Walijszczyków, Flamandów, Bretończyków, Basków, Katalończyków - które bronią się przed kulturową i narodową niwelacją. W sumie nie wchodzi w rachubę, przynajmniej w przewidywalnej przyszłości, wygotowanie w kotle czarownicy różnych narodów w jeden "naród europejski".

Problem współistnienia prądu integracyjnego i prądu tożsamości etnicznej jest więc bardzo złożony, a jego człony składowe znajdują się w ciągłym ruchu, co zresztą oznacza stałą cechę wszystkiego, co żyje. Wydaje się rzeczą najbardziej prawdopodobną, że prądy te, pozornie przeciwstawne i zwalczające się, będą nadal współistniały. (...)

Stawiając więc postulat niezależności politycznej Polski rozumiemy go jako uwolnienie się od wszechogarniającego dyktatu Związku Radzieckiego. Ozwobodzona

Polska nie będzie jednak mogła pozostać w niezależnym od nikogo otoczeniu. Wróćmy do tej sprawy.

B. Ustrój. W rozważaniach na temat przyszłej Polski, wolnej od rosyjsko-sowieckiego władztwa, z reguły mało uwagi poświęca się jej ustrojowi, urządzeniu wewnętrznemu, zasadom, na jakich społeczeństwo miało by się oprzeć i funkcjonować. W pewnej mierze dzieje się tak dlatego, że ludzie omawiający przyszłość żyją przecież pod ciśnieniem teraźniejszości i wiedzą, iż wszystko, co kiedyś chcieli zrobić, zależy przede wszystkim od zmian zewnętrzno-politycznych. Bez uwiezależnienia politycznego Polski od Związku Radzieckiego nie może być mowy o swobodnym wyborze modelu ustrojowego, toteż zajmują się oni przede wszystkim kwestiami politycznymi w węższym znaczeniu, mianowicie światowym układem sił, zmianami w tym układzie, możliwością i prawdopodobieństwem korzystnych dla nas przesunień.

Dział się tak może również dlatego, że z przyczyn zewnętrznych, od nas niezależnych, w ciągu ostatnich paruset lat Polacy myślący kategoriami dobra publicznego także musieli na pierwszym miejscu stawiać odzyskanie lub utrzymanie suwerenności państwowej przed problematyką społeczną i postulowanych reform społecznych używali jako instrumentu politycznego.

Solidaryzm społeczny, głoszony na obszarze zaboru pruskiego, nie był pułapką cynicznie nastawioną na warstwy upośledzone i wyzyskiwane, lecz koniecznością, jeśli naród miał uratować swe istnienie. Zapewne, umacniając pokój społeczny, solidaryzm przynosił korzyści warstwom posiadającym i uprzywilejowanym, ale równocześnie zobowiązywał je do okazywania praktycznej, nie tylko deklaratywnej dbałości o słabszych społecznie i gospodarczo po prostu dlatego, że byli niezbędni w realizacji programu utrzymania substancji narodowej i odbudowy państwa. Dbałość ta obejmowała między innymi i praktyczną pomoc w organizowaniu się "niższych" warstw, podnoszeniu poziomu produkcji oraz zamożności możliwie najszerszych rzesz społeczeństwa, energiczne poparcie dla oświaty, zwłaszcza zawodowej. Wyniki były duże, niekiedy znakomite.

Można jednak wysunąć pogląd, że obecnie mały udział problematyki ustrojowej w rozważaniach o przyszłej Polsce wynika głównie stąd, iż w społeczeństwie nie ma głębokich różnic poglądów co do podstawowych zasad postulowanego ustroju.

Już w latach II Rzeczypospolitej upowszechniło się przeświadczenie o potrzebie reform strukturalnych w kierunku jeśli nie socjalistycznym - chociaż i ten prąd silnie występował - to równościowym, dla zmniejszenia rozpiętości między warstwami, dla umożliwienia bardziej wyrównanego startu życiowego środowiskom upośledzonym. Reformy takie wprowadzano, co prawda na nieostateczną skalę i powoli. Szybka i powszechna radykalizacja nastrojów nastąpiła w czasie II wojny światowej, która niemał wszystkich zrównała w dół i zubożyła, z wyjątkiem części rolników i oczywiście z innych przyczyn - obrotnych kombinatorów. Okupacja spowodowała generalny zwrot w lewo, także w środowiskach tradycyjnie prawicowych, w odniesieniu do kwestii społecznych i gospodarczych.

Wszystko wskazuje na to, że w autentycznym plebiscycie, gdyby można było przeprowadzić go obecnie, znakomita większość społeczeństwa wybrałaby model demokracji parlamentarnej z podziałem władzy na ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Władza wykonawcza musi podlegać władzy ustawodawczej, jako przedstawicielstwu społeczeństwa, powinna jednak posiadać uprawnienia, umożliwiające jej rzeczywiste sprawowanie sprężystych rządów. Być może, system rządów prezydenckich, podobny do obowiązującego w Stanach Zjednoczonych od ich początku i od niedawna we Francji, gdzie prezydenci wybierani są w głosowaniu powszechnym i posiadają szerokie uprawnienia wykonawcze, najlepiej odpowiadałby potrzebom Polski, zwłaszcza w pierwszych dziesięcioleciach jej odzyskanej niezawisłości. Władza sądownicza musi być całkowicie uniezależniona od władzy wykonawczej, nie tylko deklaratywnie, jak to jest obecnie, lecz w rzeczywistości.

Wydaje się, sądząc z obecnych nastrojów, że w wolnych wyborach największą liczbę zwolenników zyskałaby orientacja socjalistyczno-demokratyczna (odpowiednik dawnej Polskiej Partii Socjalistycznej), i to pomimo dewaluacji pojęcia socjalizmu przez doktrynę i praktykę rosyjsko-sowiecką, a po niej orientacja zachowawczo-narodowa (odpowiednik dawnego Stronnictwa Narodowego), chociaż można też miśskować, że

oba te kierunki stałyby się równoważne. Jest także rzeczą całkiem prawdopodobną, że początkowo powstałoby dużo stronnictw, przeważnie drobnych; jako rezultat drugiego nieistnienia zorganizowanego życia politycznego kraju. Tak samo było w pierwszych latach II Rzeczypospolitej, podobnie dzieje się w innych krajach wyswobodzonych spod zasiedziałej dyktatury (Hiszpania, Portugalia). Pewnego rozproszenia i zamieszania uniknąć się nie da, jest to cena uczenia się demokracji, rzecz w tym, aby o nieuchronności zjawiska wiedzieć naprzód i rozumieć je, aby z góry starać się o zmniejszenie jego rozmiarów za pomocą tworzenia niezależnych ośrodków politycznych już dziś, dyskusji między nimi, poznawania się ludzi, prób określenia wspólnego programu w generaliach, bez zamazywania, ale i bez zbędnego podkreślania odmienności poglądów, które będą miały prawo dojść do pełnego głosu oraz obowiązek poddania się wyrokowi wyborców, gdy IV Rzeczpospolita stanie się ustabilizowanym faktem.

Model gospodarczy nowego ustroju stanowi oddzielny i trudny problem. Nie ma dziś w Polsce poważnych sił, które by domagały się reprivatyzacji przemysłu i kluczowych usług (jak handel hurtowy, komunikacja czy służba zdrowia) oraz zwrotu wielkiej własności ziemskiej. Podobny pomysł wydawałby się niepoważny. W powszechnym odczuciu spłaszczenie piramidy ekonomicznej jest słuszne, a wyjątkowy status czerwonej burżuazji i powstającego już czerwonego możnowładztwa (tak zwanych właścicieli Polskiej Ludowej) oraz kombinatorów razi społeczeństwo.

W ruchu niezależnym na temat modelu gospodarczego toczy się dyskusja, jeszcze mniej dostępna zainteresowanej przemianami i zaangażowanej w nie części społeczeństwa niż wolne druki polityczne i literackie. Między innymi wnioskuje się ustanowienie autonomicznej organizacji gospodarki uspołecznionej z własnymi najwyższymi organami, nie podporządkowanej władzy wykonawczej; jest to postulat godny uważnego przestudiowania. (...)

Demokracja nie jest systemem idealnym, obciąża ją wiele słabości. Lotad jednak nie wymyślono lepszego systemu. Pracą i doświadczeniem wielu pokoleń dąży się do ulepszenia demokracji, do podnoszenia stopnia sprawiedliwości społecznej; sprawiedliwość ta jednak zawsze pozostaje i najpewniej pozostanie postulatem idealnym i nie można sobie wyobrazić sytuacji całkowitego i trwałego, zapewnionego raz na zawsze, osiągnięcia jej, bo społeczeństwo nie jest formacją statyczną, lecz ulega przemianom. Teoria bezklasowego społeczeństwa szczęścia jest utopią, dla której wylano wiele krwi i zadano wiele krzywd, bez szans urzeczywistnienia jej.

Dzisiaj można przypuszczać, że władcy rosyjskosowieckiego imperium, główni szermierze bezklasowości, sami już w nią nie wierzą, a hasła idealnej sprawiedliwości społecznej - podobnie jak zaklęć na rzecz współistnienia, rozbrojenia i pokoju - używają dla nieustannej ekspansji swego imperium, dla wprowadzenia światowej pax russosovietica.

Nakreślone tu uwagi w odniesieniu do ustroju IV Rzeczypospolitej są ogólnikowe i obwarowane zastrzeżeniami. Wiele w nich domniemywania na temat nastrojów społeczeństwa polskiego. Uważam, że chwilowo nie może być inaczej. Zarówno zmiany w zarysach propozycji, jak i stopniowe uściślanie ich będzie mogło następować w miarę pogłębiania swobodnej wymiany zdań i wciągania w nią coraz szerszych kręgów obywateli, a istotne rozstrzygnięcia będzie mógł podejmować dopiero sejm suwerennego i demokratycznego państwa.

C. Wolne Narody Europy Środkowej. Po erze rzymskiej najwcześniej zorganizowana została Europa Wschodnia. Dokonało się to w sposób dość osobliwy, za pomocą wszechpienia pierwiastka zwierzchniego Germanów-Skandynawów w plemiona wschodniosłowiańskie, co w rezultacie dało Ruś. Z kolei panowanie Mongołów nad Rusią, ciągnące się kilkaset lat, szerokim strumieniem wprowadziło czynniki etniczne i kulturowe azjatyckie w zwolna rosnące na ogromnych obszarach niżu wschodnioeuropejskiego państwo-gigant. Późniejsza jego ekspansja na Azję jeszcze bardziej zwiększyła infiltrację tych czynników.

Rosja zdołała opanować wieloetniczną Europę Wschodnią wraz z Kaukazem i rozciągnęła imperium aż po Ocean Spokojny. Wkroczyła też na obszar Europy Środkowej podporządkowując sobie w pierw Polskę i Litwę oraz inne kraje nad wschodnimi brzegami Morza Bałtyckiego, a po drugiej wojnie światowej rozciągnęła krajami Środką Europę po

Łabę i Bałkany. Dzisiejsze imperium rosyjskosowieckie, stworzywszy sobie takie instrumenty pomocnicze, jak Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (1949) i wojskowy Układ Warszawski (1955), posiada lub kontroluje o wiele więcej niż połowę Europy.

Na pozostałych obszarach kontynentu europejskiego procesy integracyjne skupiały się wokół rozmaitych ośrodków i kolejno ustępowały pola dezintegracji aż po czasy najnowsze, które przyniosły, jak się wydaje, najpoważniejsze i rękotnącej nadziei wysiłki gospodarczego i politycznego zespolenia Europy na zachód od imperium rosyjskosowieckiego, zapoczątkowane powołaniem Rady Europejskiej (1949). W latach następnych powstały instytucje, które powoli i z oporami tworzą zarys wspólnoty gospodarczej i politycznej (także wojskowej), obejmującej większość Europy wolnej. Postęp na drodze zespolenia odbywa się stosunkowo powoli, napotyka na opory i ulega regresom dlatego, że obowiązuje w nim zasada dobrowolności, a w sprawach największej wagi także jednogłośnie uczestników. Dopiero w najbliższych latach ta ostatnia ma ustąpić miejsca zasadzie większościowej. Niejednokrotnie rządy odwoływały się do swoich społeczeństw o wyrażenie zgody na kolejny krok lub odmówienie jej - w plebiscytach. Ten proces zatem dokonuje się zupełnie inaczej niż w środku i na wschodzie Europy, gdzie o powodzeniu decydowały podboje i zniewolenie.

Po II wojnie światowej narody Europy Środkowej zostały wtrącone w sytuację podległości rosyjskosowieckiej nie tylko przemocą i nie tylko w wyniku własnego rozproszenia, co Wschodowi ułatwiło wyalowaną aneksję, ale także wskutek skrajnie egoistycznej i nie mniej krańcowo krótkowzrocznej polityki Zachodu, który zostawił środek Europy własnemu losowi, wiarożomie opuszczając nawet przyjaciół i (częściowo) sojuszników: Polskę i Czechosłowację. (...)

Narody Europy Środkowej muszą same myśleć o sobie i szukać dróg odzyskania wolności, a następnie znaleźć właściwe dla siebie miejsce w rodzinie narodów europejskich.

Nikt, oczywiście, nie może mieć wątpliwości, że należą one do kręgu kulturowego chrześcijaństwa rzymskiego, wyjąwszy większość narodów bałkańskich. Ta przynależność odczuwana jest powszechnie i odruchowo, także wśród ludzi o stosunkowo małej wiedzy historycznej i świadomości kulturowej, a w obecnych warunkach politycznych często wyraża się przesadnym podziwem dla Zachodu, bezkrytyczną tęsknotą do jego urządzeń i obyczajowości, naiwnym wypatrywaniem pomocy. (...)

Nie możemy wyrzec się związku z Zachodem, jeśli nie godzimy się na utratę tożsamości narodowej i roztopienie w rosyjskosowieckim oceanie, ale musimy strzec cech własnych, odrębnych i umacniać je, rozwijać osobowość narodową Europejczyków osadzonych w środku kontynentu, niejako między Rzymem i Bizancjum.

Narody i państwa Europy Środkowej nie mogą istnieć w pojedynkę, każde sobie, a tym bardziej skłócone między sobą o dawne krzywdy wzajemnie wyrządzone, o granice, o prestiż, o precedencję. Zakładając hipotetycznie, że imperializm rosyjskosowiecki zostanie zmuszony do wycofania się z ich obszaru i przebawiony siły agresywnej, a ekspansjonizm niemiecki skutecznie powstrzymany przez zintegrowaną wspólnotę europejską Zachodu (choćby dlatego jej okrzepnięcie leży także w naszym interesie), Europa Środkowa nareszcie miałaby chwilę stosowną na wzięcie czynnego udziału w kształtowaniu swego losu. Czas nie stoi, korzystne układy mogą nie trwać długo. Przyjmując więc, że taka chwila nastąpi, i to nie w przyszłości zbyt odległej, co narody i państwa Europy Środkowej powinny wtedy zrobić?

Jeśli uczucie szczęścia i zachwyt nad samymi sobą oraz chęć odebrania sąsiadom spornego terytorium nie pozbawią ich rozumu czy wręcz pierwotkowego instynktu samozachowania, stworzą państwo federacyjne, a w ostateczności, gdyby nie potrafiły się na to zdecydować, na razie przynajmniej konfederację państw ze ścisłym sojuszem obronnym i wspólnym dowództwem wojskowym. Przetrwanie narodów, składających się na te państwa, zależy od ich zdolności sfederowania się politycznego, gospodarczego, wojskowego. (...)

Nikt nie może mieć złudzeń, że będzie to zadanie łatwe. Zdjęcie z tych narodów zewnętrznego nacisku, mianowicie hegemonicznej presji Związku Radzieckiego, niewątpliwie wyzwoli przytłumione antagonizmy i żądania rewindykacji terytorialnych. Powstrzymanie wszelkich roszczeń powinno zatem być pierwszą zasadą politycznego działania Wolnych Narodów Europy Środkowej. Wolność wewnętrzna, w tym również

dla wszelkich grup narodowościowych, oraz swoboda komunikowania się obywateli poprzez administracyjne raczej niż ściśle polityczne granice państw a czasem rozkładają napięcia między narodami, jeśli rządy będą postępowały rozważnie, a przeważająca większość opinii publicznej wypowie się za pojednaniem i przyjaznym ułożeniem stosunków w tworzącej się wspólnocie. Już dziś trzeba przygotować taką postawę wpływowych ośrodków opinii publicznej. Oficjalna przyjaźń i nieszczera miłość braterska, wciskane w ujarzmione narody przez rosyjskosowiecką władzę - ale zawsze z przyjaźnią i miłością dla Związku Radzieckiego na najpierwszym miejscu - nie ułatwiają tego zadania, lecz właśnie utrudniają je, chociażby przez samą dewaluację tych pojęć, nawet obrzydzenie ich. (...)

Prawdopodobnie ośrodkiem przyszłej wspólnoty mogłyby być następujące państwa. idąc od północy: Litwa, Polska, Czechosłowacja, Węgry. Mimo sporów, żalów, roszczeń kraje te łączy najwięcej elementów, a przede wszystkim spaja je przynależność do zachodniośrodkowomorskiego kręgu kulturowego, wykształconego na gruncie chrześcijaństwa z dominanta katolicyzmu. Wiążą je także wspólne dzieje i doświadczenia historyczne, jak niegdyś zagrożenie tureckie, dalej zagrożenie niemieckie (z wyjątkiem Węgier), wciąż niewygasłe, oraz trwające zagrożenie rosyjskosowieckie, które zwaśnionym doko surową lekcję solidarności w obliczu niebezpieczeństwa totalnego; oby skuteczną. Wymienione kraje tworzą terytorium zwarte, co bardzo ułatwia wdrożenie procesów integrujących. Możliwe, że należałoby brać pod uwagę akces do wspólnoty Łotwy i Estonii.

W tym zespole państw i narodów Polska przedstawia ponad połowę potencjału ludnościowego, gospodarkę poziomem dorównującą pozostałym, dużą prężność i atrakcyjność kulturową. Okoliczności te mogą stwarzać u partnerów obawy przed hegemonistycznymi zakusami ze strony Polaków, a u Polaków samych - takie właśnie skłonności. Tępeż na Polakach ciąży obowiązek rozwiania tych obaw w sposób jednoznaczny. Stąd tak silny nacisk na zasadę powstrzymania wszelkich pretensji politycznych, zwłaszcza terytorialnych, między uczestnikami wspólnoty. Żadnych zmian granic. Granice powinny same stopniowo się "roztopiać" z korzyścią dla wszystkich, jak to się już stało w Europie Zachodniej. Jedynym wyjątkiem może tu być absurdalna kolonia rosyjska - dosłownie rosyjska, bo należąca do Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i głównie Rosjan zasiedlona - w okręgu Królewieca, w r. 1946 przezwanego Kaliningradem, do którego Rosja nigdy nie miała najmniejszych praw. Obszar ten (15 000 km kw.), historyczna Sambia, z zachowaniem praw zamieszkującej go obecnie ludności do pozostania lub emigracji, powinien przypaść Litwie, jako dziedzictwo po wygasłych pobratymcach bałtyckich.

Utworzenie wspólnoty Wolnych Narodów Europy Środkowej spowoduje wiele trudnych problemów wewnętrznych i również zewnętrznych, które jednak mogą i muszą być przezwyciężone. Spośród wewnętrznych najdrastyczniej rysują się sprawy związane z sąsiadami wspólnoty. Trzeba przynajmniej wstępnie i skrótowo je rozpatrzyć. (...)

Czy to w polskich koncepcjach unijnych (tradycja "jagiellońska"), czy w wizjach wielkiego "Międzymorza", smutnych przed II wojną światową i podczas niej w niektórych środowiskach wychodźstwa w W. Brytanii, nie tylko polskiego, uwzględniano udział Białorusi i Ukrainy. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że trudności montowania wspólnoty z uczestnikami wzrosłyby niepomniernie, jeśli by z góry jej nie przekreślili. Dotyczy to zwłaszcza Ukraińców, którzy w czasach nowożytnych nie wykazywali prawdziwej ochoty do łączenia się z innymi. Tradycje jagiellońskie są martwe i nawiązywanie do nich nie rokuje nadziei, może natomiast rozbudzać podejrzenia na temat ekspansjonizmu polskiego. Musimy pamiętać, że pomimo związku z I Rzeczpospolitą - skończonego 22 lat temu - Ukraińcy należeli i należą do innego kręgu kulturowego.

Nieco inaczej przedstawiałaby się sprawa z Białorusinami; wprowadzie również

ich oblicze kulturowe ukształtowało się pod wpływem chrześcijaństwa wschodniego, a niwelacyjna presja rosyjska oddziaływała na nich nie mniej niż na Ukraińców i może więcej, ale też mocniej zaznaczyły się u nich wpływy zachodnie, ze strony Polski i Litwy. Wymienione wyżej okoliczności oraz ta, że oba te wschodniosłowiańskie narody właściwie nigdy nie posiadały własnej wyrażonej uformowanej państwo-

wości (pomijam bardzo odległą czasowo Rus Kijowską) i nie posiadają jej także teraz, chociażby z ograniczoną suwerennością, jak państwa bloku rosyjskosowieckiego; zobowiązują do bardzo ostrożnego traktowania kwestii ich ewentualnego udziału we Wspólnocie Wolnych Narodów Europy Środkowej. (...) Nie pozostaje nic innego jak czekać, aż w korzystnych warunkach te dwa narody będą w stanie same się wypowiedzieć i określić swe dążenia.

Nie mniej skomplikowany, z innych przyczyn, jest i będzie nasz stosunek do sąsiadów niemieckich. Ich dwa państwa są rzeczywistością, trwającą już prawie trzydzieści lat, a czas, mimo wszystko, pracuje na rzecz pogłębienia i utrwalenia tego podziału. Powstał on w wyniku II wojny światowej i świadomej swych celów polityki radzieckiej; z tej przyczyny można go nazwać przypadkowym lub lepiej losowym. Z drugiej jednak strony odzwierciedla w przybliżeniu odrębność Prus i Prusaków w organizmie niemieckim, starego tworu kolonialnego na ziemiach słowiańskich. Odmienność Prusaków zawsze była odczuwana, i to niechętnie, przez innych Niemców.

W interesie Polski i postulowanej wspólnoty leży raczej istnienie dwu państw niemieckich niż ich zjednoczenie. (...)

Dążenia wewnątrzniemieckie do połączenia obu państw są jednak zrozumiałe i trudno, zwłaszcza nam, kwestionować prawo do nich, jeśli się przyjmie, że jest jeden naród niemiecki. Można zasadnie uważać, że Niemcy w Republice Federalnej - mimo mimo oporów, powodowanych perspektywą poniesienia poważnych kosztów materialnych oraz niechęcią do "Prusaków" - w większości opowiadają się za zjednoczeniem, co zresztą mogłaby ukatwić federalna struktura ich państwa. Co na ten temat naprawdę myślą obywatele "socjalistycznego państwa narodu niemieckiego" (określenie sformułowane w konstytucji NRD z r. 1968), nie wiemy. Możliwe, że w wolnym referendum większość głosowałaby za połączeniem, mając przy tym na uwadze widoki szybkiego podniesienia stopy życiowej. Należałoby tę wolę uszanować. Nie jest jednak wykluczone, że większość wolałaby utrzymanie odrębności lub z różnych przyczyn odrębność ta zostałaby zachowana. Powstałoby wtedy pytanie o wzajemne stosunki między wspólnotą środkowoeuropejską i państwem wschodniemieckim, nie podlegającym już rosyjskosowieckiemu imperium. (...)

Sprawę przyszłości NRD-Prus trzeba zostawić otwartą, a rozstrzygnięcie jej w stosownej chwili oddać decyzji obywateli, pamiętając o prawach narodowych Serbołużyczan. Zostało ich niewiele, ale należy im się większa miara sprawiedliwości za godne podziwu trwanie. (...)

Na zakończenie uwag o stosunkach z sąsiadami kilka zdań na temat naszej postawy wobec Rosjan, chociaż, w narodowym sensie, Rosjanie nie są naszymi sąsiadami. Otóż powinni oni zrozumieć, a przynajmniej przyjąć do wiadomości, że mamy zadawnione i zasadne poczucie wielkich krzywd, jakich doznaliśmy z ich rąk. Ale nie chcemy się tym poczuciem kierować ani w stosunkach jednostkowych, między ludźmi, ani w narodowych, ani w polityce. Rosjanie są wielkim narodem. Dokonali imponujących dzieł i popełnili nikczemne czyny, co zdarza się w historii każdego narodu, naszego nie wyłączając. Dobiłamy się wolności od ich dominacji. To wszystko. Dla nich, a ściślej dla ich przywódców, to bardzo dużo i o wiele za dużo - od paru set lat po dziś dzień. Przyszłość naszych stosunków zależy od tego, czy Rosjanie potrafią powściągnąć hegemonistyczne zakusy wobec nas i wobec innych narodów, zmierzające do podporządkowania i stopniowego wynaradawiania kogo tylko się da. Chcemy wobec Rosjan stosować zasadę dobrej woli; zasada ta jednak wymaga wzajemności. (...)

Wszystko powyższe dotyczy przyszłości, stanowi możliwy program zasadniczy - to znaczy propozycję takiego programu daną pod rozwagę - deklarację celów, które mogą i powinny być dyskutowane, w słowie i wolnym druku, w możliwie najszerszych kręgach społeczeństwa. Kiedy nastąpią niezbędne zmiany i kiedy będziemy mogli przystępować do urzeczywistnienia powziętego programu wprowadzając weń korektury, zależne od nie dających się przewidzieć okoliczności? Nie wiemy. (...)

Historia albo puka do drzwi przed ich otwarciem, albo wchodzi bez pukania; zdarza się i tak, że pukającej zapowiedzi nie słyszymy, zajęci nieustanną krzątaliną i ogłuszeni szumem informacyjnym.

Zawsze istnieje możliwość nagłych dramatycznych zmian w świecie, których przewidzieć nie jesteśmy w stanie. Wstrząsy w Związku Radzieckim, wywołane choćby śmiercią kolejnego wodza i walka o sukcesję? Wojna radziecko-chińska? Kataklyzm

światowy, spowodowany ciśnieniem demograficznym, głodem, przyrodą lub czymkolwiek? Rozpad struktur władzy, wymuszony albo samoczynny? Atak Związku Radzieckiego (i podporządkowanych mu satelitów) na Europę Zachodnią? Powszechna wojna jądrowa? Powstanie nowych prądów społecznych i pojawienie się na arenie dziejowej wielkich postaci o potężnym wpływie na kształtowanie się losów ludzkości?

Nie wiemy. Wiemy natomiast, że wszystko jest możliwe i że na wszystko trzeba być przygotowanym. Społeczeństwo powinno posiadać wewnętrzne, niezależne od narzuconej władzy struktury organizacyjne, zdolne do stawienia czoła wyzwaniu o każdym czasie i we wszystkich okolicznościach. Może za trzydzieści lat, może za rok.

Program natychmiastowy

Wyposażenie społeczeństwa w wyższą świadomość oraz w zdolności i środki samodzielnego działania podjęte musi być zaraz i na każdym miejscu. Pracę tę społeczeństwo będzie wykonywało samo, bez pomocy władz i z reguły wkrw w nim. Wyzyskiwać jednak może wszystko, co w ciągu lat rządów niechciarych zostało wypracowane wielkim trudem narodu (...)

a) Praca organiczna. Mamy duże i dobre tradycje pracy organicznej z czasów zaborczych. Tamte czasy były o wiele gorsze, z powodu uczestnictwa w zaborach trzech mocarstw i zwłaszcza dlatego, że przypadki na okres, kiedy naród nasz dopiero się kształtował w pełnym nowożytnym rozumieniu. Zaborcy jednak, tłumiąc działalność narodową i polityczną, musieli - w ramach panującego w nich ustroju społeczno-gospodarczego - zostawić swobodę działalności ekonomicznej, częściowo także oświatowej, kulturalnej i społecznej; jedynie w zaborze niemieckim starano się ustawowo wyzuc z ziemi, ostatecznie zresztą bez rezultatu, bo na te próby społeczeństwo znalazło również ustawowo dopuszczalne środki zaradcze.

Pod względem możliwości swobodnych poczynań na wyżej wymienionych polach sytuacja obecnie jest trudniejsza, ponieważ totalitarny ustrój oddaje państwu (a nas partii komunistycznej) monopol władzy, a przynajmniej usiłuje rozciągnąć go na wszystkie dziedziny życia. Mimo tego możliwości pracy organicznej istnieją.

Polacy rozwinięli wielką pomysłowość gospodarczą, nie tylko w dziedzinie rolnictwa, rzemiosła, drobnej wytwórczości. Trzeba w dalszym ciągu poszerzać możliwości wytwórcze i zarobkowe jednostek i grup. Nie jest to nawoływaniem do "wejścia na drogę kapitalistycznego rozwoju", bo - abstrahując od prezentowanych tu założeń ideowych, które kapitalistycznymi napewno nie są - ustrój parakomunistyczny, uformowany u nas, uniemożliwia wprowadzić kapitalistyczny wzrost, za to, niestety, zostawia szerokie pole popisu kanoniarstwa i kombinatorstwa.

W warunkach ustroju, który stara się każdego trzymać w garści, przynajmniej ekonomicznie, jest rzeczą dużej wagi, aby jak największa liczba ludzi była jako tako niezależna od władzy, właśnie pod względem zarobkowania. Ma to, oczywiście, znaczenie tylko wtedy, gdy ludzie ci pomysłowość swą i energię uruchamiają nie wyłącznie dla własnej korzyści, lecz z uzyskanych środków łożą na realizację celów ideowych.

Należy pamiętać, że w ustroju totalitarnym, narzuconym i nadzorowanym przez obcą siłę imperialną, praca organiczna w dziedzinie gospodarczej, a częściowo także w dziedzinach oświatowej, społecznej i kulturalnej - w każdym razie w odniesieniu do środków materialnych trzech ostatnich - może służyć także ustrojowi totalitarnemu oraz obcej sile imperialnej. Przekonać się o tym możemy obserwując propagandę, która dyskontuje na rzecz reżimu i wyolbrzymia każde osiągnięcie, zwłaszcza także na przykład czyny społeczne. (...) Umacnianie i bogacenie - materialne i organizacyjne - państwo uzależnionego weryfikuje niejako jego władzę i może powiększać groźbę, że owładnięte chorobą totalizmu społeczeństwo będzie stopniowo traciło swą tożsamość i wyżywało się wyższych ambicji. (...)

Zatem praca organiczna - tak, ale z pełną świadomością celów wolnościowych i demokratycznych, dla korzyści i własnych, i społecznych, zwłaszcza społecznych.

b) Ruch niezależny. Należy tworzyć ruch niezależny - światowy, kulturalny, społeczny, polityczny. (...)

Ruch niezależny jest pojęciem ogólnym, a nie organizacyjnym. Składają się na niego liczne grupy inicjatyw, działania, nacisku, powstające spontanicznie w różnych środowiskach społecznych. Obejmuje on zarówno wielkie, znane i sygnowane nazwiskami wybitnych osobistości przedsięwzięcia, na przykład Komitet Samoobrony Społecznej KOR, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Towarzystwo Kursów Naukowych oraz publikacje wolnych druków periodycznych, na przykład "Zapisu", "Pulsu", "Spotkania", "Opinii", "Drogi", jak też znacznie skromniejsze, lokalne poczynania, wśród których odznaczyła się działalność gdańskich studentów i młodych absolwentów. Z naciskiem podkreślamy, że wielość małych poczyznań czyni je ważnymi łącznie, a w sensie samowychowawczym społeczeństwa - niezastąpionymi. (...)

Obowiązkiem świadomego obywatela na każdym miejscu, jakie zajmuje w społeczeństwie, jest popieranie ruchu niezależnego, co najmniej przez upowszechnianie wiadomości o jego czynnościach i publikacjach oraz ustosunkowywanie się do nich, także krytyczne.

c) Formy działania. Społeczne grupy ruchu niezależnego powstają spontanicznie, z inicjatywy własnej założycieli, bądź też w porozumieniu z ośrodkami już istniejącymi. Opierają się na wzajemnej znajomości i zaufaniu uczestników. Mogą to być grupy przyjacielskie typu towarzyskiego, a w zakładach pracy i na uczelniach - środowiskowe. Należy pamiętać, że zawsze istnieje możliwość policyjnej penetracji, zwłaszcza w grupach środowiskowych. Wprawdzie założeniem ruchu niezależnego jest działanie legalne i jawne, zgodnie z prawami gwarantowanymi konstytucją PRL oraz z Międzynarodowym Paktem Praw Obywatelskich i Politycznych, ratyfikowanym i oficjalnie obowiązującym w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, władza jednak poważnie niepokoi się jego istnieniem i wzrostem, więc stara się go skompromitować i unicestwić. Stąd konieczność pilnego wystrzegania się penetracji i prowokacji.

Lepiej tworzyć więcej grup małych niż mniej dużych. Grupy powinny prowadzić samokształcenie i odbywać dyskusje na wybrane tematy. Samokształcenie może opierać się na wolnych drukach (zazwyczaj trudno dostępnych), na wydawnictwach i gazetach oficjalnych, z porównywaniem ich treści z codziennie obserwowaną praktyką i z doświadczeniem, na literaturze pięknej, która niejednokrotnie przekazuje (świadomie lub mimo woli autora) dużo wiedzy i informacji o rzeczywistości, na nasłuchu rozgłośni zachodnich. (...)

Należy jak najszerszej pomagać w kolportażu wolnych druków. Mają one wciąż - i zapewne długo jeszcze będą miały - zbyt nikłe nakłady i tym samym zbyt wąski obieg. Jeśli ktoś kupi wolną książkę lub czasopismo, powinien pożyczać je wielu osobom za opłatą, choćby minimalną. Tym sposobem gromadzi się fundusze niezbędne do finansowania następnych wydawnictw i ich rozprowadzania, a ponadto, co niezmiernie ważne, uczy się społeczeństwo obowiązku powszechnego kłózenia na te cele. Wolne druki - ogromnie istotny element ruchu niezależnego - muszą się utrzymywać i rozwijać wysiłkiem społeczeństwa polskiego, a bynajmniej nie przekraczać to jego możliwości. Mniejsze teksty należy powielać domowym sposobem choćby prymitywnym, byle wiernie, i podawać dalej.

Poszczególne grupy i całe środowiska powinny tworzyć własną strukturę społeczną, wysuwać na czoło i popierać ludzi wartościowych. Dzięki temu będzie z wolna powstawała autentyczna hierarchia społeczna, pilnie potrzebna alternatywa dla hierarchii narzuconej: partyjnej, administracyjnej, urzędowej, która panoszy się nie tylko w życiu politycznym, lecz także zawodowym, na uczelniach, w zakładach pracy, szkolnictwie, kulturze i sztuce, również w organizacjach, które nazywają się społecznymi. Autorytet hierarchii narzuconej tworzy i umacnia się sztucznie, przez nominacje, odznaczenia, nagrody, propagandę publikatorów, szkołę, celebrowane jubileusze. Wśród ludzi zajmujących znaczące stanowiska na widoku publicznym znajdują się również osoby prawdziwie wybitne i wartościowe, nie one jednak stanowią o istotnym charakterze tej hierarchii.

Społeczeństwo ma prawo i obowiązek dokonywać własnego wyboru.

Zastrzeżenie: nie uprawiać przesadnej propagandy wokół osób, które chce się, i słusznie, popierać, nie lansować ludzi średnich jako od razu wybitnych, natomiast mówić uczciwie i z naciskiem o ich osiągnięciach, zasługach, prawości, oddaniu. Jeśli w jakiejś demonstracji ruchu niezależnego brakuje udział kilkadziesiąt osób, nie głosić, że uczestniczyły tysiące. Przesada dewaluuje rzeczywistą wartość.

W odniesieniu do grup, zwłaszcza środowiskowych, nasuwa się ważna uwaga. Ich uczestnicy, szczególnie zaś przywódcy, powinni być ludźmi o wysokich kwalifikacjach zawodowych i moralnych, o dużej wiedzy, z rzeczywistymi osiągnięciami w pracy. To samo dotyczy studentów, bardzo ważnego oddziały ruchu niezależnego, ich nauki i postawy na uczelniach. Ludzie przypadkowi albo niewłaściwi, jak maźni pracownicy czy kiepscy studenci, demagodzy, awanturnicy, postrzelenci - nie przyczyniają autorytetu ruchowi niezależnemu, lecz właśnie umniejszają go.

Powtarzam z naciskiem: w ruchu niezależnym trzeba wystrzegać się ludzi nieodpowiednich, którzy przyłączają się do niego, bo coś im się w życiu nie udaje, bo mają kompleksy, albo dla tak zwanej draki, po to wreszcie, aby, w swoim mniemaniu, zabłysnąć. Oni i tak odpadną od ruchu, nie wnieśli żadnej korzyści, a powodując szkody, i to przede wszystkim w oczach społeczeństwa. (...)

d) Współdziałanie. Ruch niezależny w Polsce nie ma nadrzędnej - kierowniczej czy konsultatywnej - zwierzchności i w obecnych warunkach zapewne jej mieć nie powinien. Lepsza jest droga nie zinstytucjonalizowanych kontaktów i współpracy. Ten stan daje większą elastyczność struktury i uodparnia ją na represje. (...)

Zycie samo określa najdogodniejsze sposoby komunikowania się i współdziałania. Zasada jest, aby ich nie formalizować i nie zgęszczać, co naraża na policyjną penetrację i szykanę oraz ułatwia prowokację. (...)

c) Wystąpienia zbiorowe. W wypadkach wyjątkowych, o szczególnej doniosłości, mogą być niezbędne wystąpienia zbiorowe. Przykładowo: sytuacja taka powstała na przełomie lat 1975-76 z powodu wprowadzenia przez władzę zmian w konstytucji PRL. Zmiany te wprawdzie nie wносиły nic nowego do rzeczywistości polskiej, miały jednak formalnie i do pewnego stopnia moralnie usankcjonować okrojenie praw obywatelskich, podporządkowanie się społeczeństwa nie chcianej i od początku nieprawej władzy komunistycznej w Polsce, uzależnienie Polski od Związku Radzieckiego. Ta próba zadania "prawnego" gwałtu narodowi wywołała falę sprzeciwów w całym kraju. Protesty osiągnęły częściowy skutek i z najbardziej jaskrawych sformułowań władza uznała za konieczne się wycofać.

Podobna sytuacja, ale na tle gospodarczym, powstała w czerwcu r. 1976, kiedy władza została przez społeczeństwo zmuszona do odwołania drastycznej zmasowanej podwyżki cen artykułów żywnościowych - zadekretowanych z niewiarygodną lekkomyślnością, biorąc pod uwagę doświadczenia z grudnia r. 1970 - i, jeszcze dobitniej, w następnym miesiącu, kiedy pod naporem nieustępliwej opinii publicznej stopniowo rezygnowała z represji wobec uczestników protestów czerwcowych; ostatni odwrót był wynikiem przegranej w konfrontacji politycznej ze społeczeństwem. (...)

Protesty z czerwca 1976 miały charakter żywiołowy, a w co najmniej dwóch miejscach gwałtowny, bo zamierzona obniżka stopy życiowej poruszyła masy i żaden dodatkowy bodziec nie był tu potrzebny. W obywatelskim sensie o wiele wartościowsze były długotrwałe działania przeciw zmianom w konstytucji i przeciw represjom wobec robotników i wobec ich obrońców. (...)

I właśnie z wystąpień przeciw sowietyzującym Polskę zmianom w konstytucji oraz w obronie represjonowanych robotników zrodził się obecny silny - uwzględniając warunki można nawet powiedzieć: masowy - ruch niezależny, powstały w środowiskach inteligentkich, więc najbardziej bezbronnych, podjęty następnie przez studentów i obejmujący pewne kręgi robotników, a ostatnio także chłopów.

Wystąpienia zbiorowe odtąd, jak sądzę, wymagają porozumienia wszystkich środowisk niezależnych, a przynajmniej wzajemnego zrozumienia stanowisk i intencji. (...)

Działalność niezależna nie jest efektywna, nie przynosi łatwych sukcesów, jej wyniki najczęściej są trudno dostrzegalne, musi trwać długo, prawdopodobnie bardzo długo, uczestników naraża na szykany, pomówienia, kłopoty i straty, nie daje im

żadnych materialnych korzyści, daje tylko przeświadczenie o spełnianiu obowiązku obywatela świadomego i poważanie stosunkowo niewielkiej liczby osób. Dość wcześnie do świadomości jej uczestników może się wkradać uczucie bezowocności wysiłku i zmęczenie. Zatem działalność ta wymaga dużego hartu ducha, odporności psychicznej, mocy charakteru.

Jawność i poufność

Należy dążyć do maksymalnego wytykiwania wszystkich możliwości działań zgodnych z prawami zasadniczymi obowiązującymi w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, czyli do działań uprawnionych, legalnych, jawnych. Możliwości takie istnieją i są dostatecznie liczne, chociaż w wielu wypadkach ustawodawstwo szczegółowe, stając w jaskrawej sprzeczności z zasadniczym, ogranicza je. W tych wszystkich wypadkach ustawodawstwo szczegółowe jest w istocie nielegalne, i tak trzeba sprawę jasno stwierdzić. Przykłady: cenzura prewencyjna, niemożność swobodnego organizowania się, przede wszystkim politycznego, zbierania się, manifestowania, monopolizacja prasy i wszystkich publikatorów.

Nie należy narażać się niepotrzebnie, zwłaszcza w kwestiach stosunkowo małej wagi. Co prawda ich jest właśnie najwięcej, one wypełniają życie, prócz tego mogą dawać precedensy do nadużyć w kwestiach wagi dużej i aparat władzy, szczególnie na niższych szczeblach, z takich precedensów chętnie korzysta. Niejednokrotnie więc trzeba żądać ścisłego przestrzegania przepisów, na przykład w postępowaniu policji wobec osób przez nią nachodzonych i molestowanych. Rzecz jednak w tym, aby nie zużywać się na szarpaninę przekorną.

Studenci muszą pamiętać o ewentualnym zagrożeniu studiów. Stąd postulat, aby w ruchu niezależnym występować czynnie ci, którym nie można zarzucić kiepskich wyników w nauce. Dla silnych charakterów usunięcie z uczelni nie będzie katastrofą; praktyka wskazuje, że różnymi sposobami można studia ukończyć później, a twarde doświadczenie wzmacnia odporność, lepiej jednak unikać utrudnień i opóźnień, kiedy tyle pilnych zadań czeka na podjęcie. Swoją drogą opinia publiczna powinna ostro przeciwstawiać się szykanowaniu studentów za ich przekonania obywatelskie. Władza wychodziła ze skóry, żeby ich "upolitycznić"; i upolityczniają się, tyle że bez cudziślowu.

W dyskusjach publicznych powinno zabierać głos jak najwięcej obywateli. Nie chodzi o jawne demonstracje, tylko o wykazanie obecności społeczeństwa czujnego i aktywnego we wszystkim, co go dotyczy. (...)

Poufność zachowywana być musi tylko w wypadkach niezbędnych, jak sporządzanie i rozpowszechnianie wolnych druków, gromadzenie środków materialowych i pieniężnych, przygotowywanie działań o charakterze politycznym względnie za takie przez władze uważanych.

Uwagi końcowe

(...) Według rozpowszechnionego w społeczeństwie poglądu ruch niezależny powinien zawsze występować zgodnie i niemal jednolicie, a przynajmniej (...) jego przedstawiciele nie powinni ujawniać powstających między nimi różnic zdań. (...) Pogląd ten uważam - w istniejących okolicznościach - za zrozumiały, lecz nieskusny.

Rozumjący kategoriami "jednolitefrontowymi" mimo woli ulegają naciskom stereotypu myślenia totalitarnego. W zbiorowości ludzkiej różnice zdań są zjawiskiem naturalnym, zdrowym i potrzebnym. Nie tylko mieszczą się w organizmie demokracji, ale są niezbędne dla jego rozwoju. Wymiana opinii rozkłada napięcia, pomaga rozumieć (co niekoniecznie oznacza: aprobować) stanowisko innych, prowadzi do wypracowania wspólnej płaszczyzny postępowania.

Obywatele sądzą, że walka z wszechobejmującym systemem władzy, potężnie wyposażonym w środki materialne i personel, wymaga maksymalnej koncentracji sił ruchu niezależnego, w istocie ujednoczenia go, i że to właśnie jest nieodzownym warunkiem powodzenia w tej walce. Wszelki próżniak na stanowiska, ich zdaniem, oskabia

walczących.

Po pierwsze, nawet największa, niejako totalna, koncentracja sił niezależnych nie dorównałaby potencjałowi partii-państwa, jeśli stosować miarę materialną i organizacyjną.

Po drugie, uderzenie partii-państwa w strukturalnie zjednoczone siły niezależne mogłoby być dla nich bardzo silnym ciosem, po którym długo przyszkłoby im się dźwigać. Luźna struktura tych sił daje im większą elastyczność i odporność na ciosy i rozprasza kierunki natarcia aparatu przemocy. Na płaszczyźnie wojskowej przypomina to działanie partyzantki, która potrafi uchylać się od ześrodkowanych ataków, w dogodnych warunkach odpiierać je, przechodzić do przeciwnatarcia, wygrywać.

Po trzecie, na siłę spajane, właściwie kłajstrowana "jednolitofrontowość" jest pozorna i ostatecznie przynosi więcej strat niż zysków. Może się rozlecieć z powodu swej sztuczności, i to w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Lepiej nie kłuznąć się rachubami, które mogą okazać się zawodne, zwłaszcza że, jak powiedziałem wyżej, zawodność tkwi już w samym mniemaniu o większej mocy "ujednoliconych" sił braku niezależnego. Także w czasie okupacji niemieckiej istniały stronnictwa polityczne, a nawet odrębne organizacje wojskowe, chociaż Armia Krajowa zdecydowanie stanowiła siłę ogólnonarodową.

Po czwarte, angażując się w ważne sprawy dziś, nie wolno zapominać, że nie mniej ważne sprawy wyłonią się także jutro. Zasady demokracji, a więc również wolność poglądów i wypowiedzi, trzeba wprowadzać już teraz, trzeba się ich uczyć, a nie jest to bynajmniej nauka łatwa. Nie mamy jasnego obrazu przyszłej Polski i nie wiemy, jakie drogi do niej nas doprowadzą, dlatego musimy dzielić się zapatrywaniami, aby obywatel mógł z nich wybierać i urabiać sobie własne zdanie. Z tych świadomych zdań z czasem wyłoni się większościowa, demokratyczna opinia.

Zapamiętajmy jednak co następuje: wszystkie ugrupowania ruchu niezależnego obowiązują sojusz w walce o wolną demokratyczną Polskę. Dyskusja między nimi - tak, ale nie jakowa lub napastliwa polemika; żaźnego wymierzania własnych zasług, żądanych roszczeń do pierwszeństwa lub wyższości. Świadomy sojusz, wzajemna pomoc, rozsępne współdziałanie. (...)

Słowo jeszcze o rekryminacjach. Rozstrzyganie, kto lepszy i kto od kiedy reprezentuje demokratyczne poglądy, pozostawmy historii. Słyszałem zarzuty pod adresem osób, które kiedyś należały do partii komunistycznej i odznaczały się w niej głośną ruchliwością, a później zrewidowały stanowisko i przeszły do obozu demokratycznego i z kolei tutaj zajmują poczesne miejsca. Mówiono, że w latach stalinowskich osoby te wysługiwały się partii ciągnąc stąd korzyści, a potem zmieniły skórkę, bo czemuś im tak wygodniej i znów obiecują sobie pożytki, może większe od tamtych, jeśli nie zaraz, to w przyszłości.

Pamiętajmy wszystko, co działo się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Ale wiemy ponadto, że bardzo podobne, jeśli nie identyczne zarzuty podpowiada się odpowiednimi kanałami z kręgów aparatu partyjnego, aby zdyskredytować niektórych działaczy ruchu niezależnego.

Otóż dyskredytuje przede wszystkim cynizm, zła wola, a nie błąd popełniony w dobrej wierze. Wojna, uzależnienie od Związku Radzieckiego, odstępstwo aliantów zachodnich, gwałtowne przemiany, szalona propaganda, wszystko to narobiło ogromnego zamętu, zwłaszcza w młodych głowach; ale zwichrzenie kompasu zdarzało się też głowom starszym, doświadczeńszym, mądrzejszym. Kraj leżał w ruinie i pierwszą rzeczą była jego odbudowa oraz śanie oddechu zmaltretowanemu społeczeństwu. Niektórzy wierzyli, że najlepsza, nawet jedyna do tego droga wiedzie przez współdziałanie z partią i uczestnictwo w niej - i zapewne cząstkową rację mieli. Innym zależało najbardziej na umocnieniu Polski na ziemiach zachodnich i północnych; dla tego celu gotowi byli sprzymierzyć się choćby z diabłem. Znów inni, młodszy od poprzednich, w możliwość ozdrowienia partii uwierzyli w Październiku - żeby wkrótce gorzko się rozczarować. A jeszcze młodszy ochcieli rozwinąć skrzydła jak nikt przed nimi i w partii szukali startu, bo gdzieś indziej go nie było; nadkłamano im skrzydła.

Nie oskarżajmy za błąd osery, za niezawinioną niewiedzę, za ślepy i zwodliwy entuzjazm. Sądźmy według tego, co, uczciwie rozliczywszy się z własną przeszłością, mówią i robią teraz. Ci zaś, którzy od początku się nie wydlili, niechaj cieszą się w sobie.

Przed Polakami, którzy myślą kategoriami politycznymi, stoi bardzo wiele pracy w licznych dziedzinach, także w życiu codziennym, o których tu w ogóle nie wspomiano. Próba wyliczenia wszystkich dziedzin, potrzeb i możliwości byłaby niepodobna. Sami musimy je dostrzegać.

Na przykład: Polacy dziś już masowo wyjeżdżają za granicę, zwłaszcza do krajów bloku radzieckiego, a także goszczą u siebie setki tysięcy turystów stamtąd przybywających. Otóż wielkiej wagi nabierają zwykłe zetknięcia między prywatnymi ludźmi różnej narodowości, one bowiem tworzą uogólnione wyobrażenia jednych o drugich, co wywiera istotny wpływ na stosunki między narodami.

Powinniśmy dokładać wszelkich starań, aby stosunki te układały się możliwie najlepiej. Poczucie wartości narodowej, oparte na historii i dokonaniach współczesnych, należy do kategorii wewnętrznych cnót obywatelskich; niechaj nie przeradza się w megalomanię narodową. Mamy do niej skłonność, może najbardziej wobec Rosjan, co jest szczególnym absurdem, jeśli się weźmie pod uwagę układ sił.

Szukajmy wzajemnego zrozumienia i przyjaźni z innymi, a także, o ile to możliwe, współdziałania. Na wyższym szczeblu dobry przykład w tym względzie dał Komitet Samoobrony Społecznej KOR nawiązując bezpośrednie kontakty ze środowiskiem czeskiej "Karty 77".

*

Po II wojnie światowej Polska stała się praktycznie państwem jednonarodowym. W granicach jej żyje niewielu Ukraińców i Białorusinów, garstka Litwinów. Ten stan rzeczy ma swoje dobre strony, a właściwie jedną, którą stale (i słusznie) się podkreśla: eliminację konfliktów narodowościowych, które II Rzeczypospolitej nastrożały wiele problemów. Ale ma też strony zdecydowanie ujemne, które uchodzą uwagi opinii publicznej.

W państwie jednonarodowym, zwłaszcza rządzonym przez komunistów, tli się i roznieca nacjonalizm (w ujemnym znaczeniu słowa). Komuniści bynajmniej się temu nie przeciwstawiają, lecz właśnie popierają nacjonalizm, upatrując w nim jeden ze środków wzmocnienia swojej władzy. Państwa komunistyczne, wbrew teorii i jakby na urzędowo oficjalnie głoszonej doktrynie internacjonalizmu proletariackiego, są bardzo nacjonalistyczne, a władza stale podbija bębenka uczuć narodowych - oczywiście z wyłączeniem wszystkiego, co mogłoby dotknąć Wielkiego Brata - spodziewając się, że dzięki temu zyska sobie względy społeczeństwa i przy okazji udrapuje się w szaty jedynego obrońcy ojczyzny przed wszystkimi możliwymi wrogami. (...)

Poza tym (...) hegemon krajów zwasalizowanych strzeże, aby wasale zanadto się nie zaprzyjaźnili między sobą. Wcale sobie tego nie życzy. Z dwojga złego woli mieć o czynienia z wybujałym nacjonalizmem każdego z osobna niż z prawdziwym, "internacjonalistycznym" porozumieniem kilku, bo łatwo mu wygrywać antagonizmy między rywalizującymi i ubiegającymi się o jego względy nacjonalizmami wasali. Gdyby tak zwana Włona Praska udała się Czechom, to znaczy, gdyby zdołali uzyskać stosunkowo dużą miarę niezależności od Związku Radzieckiego, usłyszelibyśmy nagle o złym losie Polaków zaolziańskich, czego dotąd oficjalnie nie sygnalizowano; gdyby polski Październik posunął proces demokratyzacji dalej niż się to, na krótko zresztą, stało, sprawa Szczecina i Wrocławia mogłaby stanąć na wokandzie dnia, ku pożytkowi NRD, oraz prawdopodobnie przypomnianoby rozproszenie naszych Ukraińców po Polsce w końcu lat czterdziestych. Takie zagrywki zawsze leżą w granicach możliwości polityki i propagandy, a w pewnych grupach społecznych rozgrywanych narodów mogą znaleźć chętny odbiór i odzew. Dlatego, powtarzam, tak ważną dla narodów ujarzmiionych jest zasada: żadnych roszczeń terytorialnych, żadnych rekryminacji emocjonalnych, żadnego pozowania na wyższość. (...)

Nie brać ludzi, którzy uważają, że świata nie ominie katastrofa wojny globalnej, wobec czego wszelkie myślenie o nieco dalszej przyszłości i działanie na jej rzecz nie mają sensu. W istocie taki pogląd nie bardzo ma sens. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, czy owa katastrofa nastąpi, czy nie. Jeśli świat jej uniknie, postulowane myślenie i działanie zachowuje pełną ważność. Jeśli zaś wojna globalna wybuchnie, w dalszym ciągu nie wiadomo, jakich obszarów świata dotknie najsilniej, a jakie potraktuje mniej srogo - bo prawdopodobnie żadnego nie ominęłyby w całości

- zatem nie wiadomo też, jakie oblicze przybrałby świat po jej wygaśnięciu.

Na jej wypadek musimy stawiać sobie następujące żądanie: ilu z nas zostanie, ktokolwiek przeżyje, na ocalałych spoczywa obowiązek podjęcia nieustrudzonej pracy nad odnową narodu i umocnieniem jego bytu. Prawdziwą dumą człowieka jest podnoszenie się z klęsk.

Tymczasem nie pozwólmy paraliżować swojej woli katastroficznymi wizjami. (...)

Lech Bądkowski

Jesień 1978

Lech Dymarski

STAN WSKAZUJĄCY NA SPOŻYCIE LUDZKIEGO MIĘSA

Jęrzemu Nowackiemu

TAJNY AGENT POEZJI ODKRYWA KARTY

Śpieszy się, układa je na stole jak leci
Próbuje odczytać z nich przyszłość. Wszystko dotąd
układało się od przypadku do przypadku
Dosyć. Prawda albo śmierć. Wszystko
na jedną kartę.

Przeraża się. Czy nie za dużo mówi ta karta
papieru kredowego. A ta przebitka
taka niewyraźna. Może należało bardziej wprost. Trudno,
karty odkryte, drzwi zastawione
szafą. To go może drogo kosztować
Może trzeba było najpierw
za granicę. Wtedy ci mogą
wiesz gdzie. Za późno. Trzeba mu pomóc
Podobno ma depresję i zamknął
się w sobie. Nie, ma głódówkę i zamknął się
w mieszkaniu. Nie głódówkę, tylko nie ma
pieniędzy. Postawił wszystko na jedną
Na razie opinia publiczna milczy, ale ludzie
i tak wiedzą co trzeba. Te kartki z daleka
niczym podania o zapomogę. Ani rymu, ani rytmu. Kto to czyta. Sam
nie zwojuje.

TAJNY AGENT POEZJI ODKRYŁ SWOJE

Opinia publiczna milczy
Karty położone, kości rzucone. Trzecia od lewej
dama kier. Chodzi za nią blondyn z wąsem
i nadajnikiem. Żeby tylko nie zrobili
jej krzywdy. Naraża siebie i innych
Niedobrze. W przyszłym tygodniu utrata
większej sumy

TAJNY AGENT POEZJI

patrzy w rozłożone karty
Sporo tego, myśli
Rozwożą mleko. Radio na razie milczy

Czy pan zna treść strony czterdziestej i czwartej
Tam jest jednoznacznie. To może bezpośrednio
dotyczyć. Równie dobrze o panu. Albo następna. Wyraźne
akcenty. Gdzie on to jeszcze dał
Czy reagowała już ambasada. Niech pan posłucha:
My pracownicy wielkich zakładów i
tak dalej. Dalej: w imieniu ofiar bestialskiego
najazdu mówimy. Nie, nie chce
mi się wierzyć. Co on mógł wiedzieć
Na razie żadnych informacji. Czy ktoś rozmawiał
z ambasadą. Zapewniam pana, że

armia jest z nami. Nie, tylko na
 wyraźny rozkaz. To ostateczność. Jeszcze jedno:
 dla kogo on właściwie pracował

Słucham

Ty gnoju, Żydzie. Kto mówi
 Klasa robotnicza, porucznik Ziętek
 O co wam chodzi. Wiesz dobrze
 O Polskę, którą zdradziłeś. Nie zdradziłem. Jest u mnie
 W ciebie jest smród. Polska jest
 u nas. Siedzi tu i płacze, sprzedana za dolary. Masz ty sumienie?
 Wszystką powiedziała o tobie. Wszystko. Polska
 pracuje dla nas.

TAJNY AGENT POEZJI UKRYWA

twarz w dłoniach
 co on w niej widział?
 nie miał w czym wybierać?
 co go trzyma? są granice
 poświęceń jej migrena jej głód jej nieregularne krwawienia
 dosyć

pytań nigdy nie dowiemy się prawdy zresztą
 o jaką prawdę wam chodzi? moją czy twoją
 dzisiejszą czy tę z wczoraj a może chodzi mi o jutro
 prawdy przecież jutra nie ma a i to nie musi być

prawda,

żył wspomnieniami jutra
 rażąca niefrasobliwość ale czy mógł wierzyć
 bez błędu błędzić bez wiary

uchylam pytanie

gdy nic nie jest pewne

nawet

blat jego stołu nie jest pewny swoich nóg
 ręka nie jest pewna pióra pióro niepewne jest ręki
 a biblioteki niepewne są stropów
 męskość nie jest pewna swojego

do rzeczy

mężczyzna kobieta nie jest pewna ciemnej ulicy

jaśniej proszę

koszary nie są pewne rozkazów

czołgi niepewne bruku

a bruk niepewny

ideału

słowem zeznania nie są pewne protokołu

wasze myśli nie są pewne

nasze myśli są niepewne sków

nasze słowa nie są pewne czynów

krótko mówiąc wasze działania są niepewne

spróbujmy to wyjaśnić na przykładzie

jemu ukradli czy on ukradł

jemu skłamałi czy on skłamał

jego zabili czy on zabił

nieważne

coś z tą śmiercią miał wspólnego powiem więcej

wszyscy maczamy w niej nasze niepewne palce

i u każdego można coś takiego znaleźć

że się nie rozbiere

wyrstek cukrzyca choroba wieńcowa guz ołów

nic nie przemawia za nami
 wszystko przemawia za nas
 ani to że urodziliśmy się w afekcie
 ani to że jesteśmy jedynymi żywicielami swoich żołądków
 ani ograniczona poznawalność
 ani to że żyjemy w obronie własnej
 krótko mówiąc
 w niepewności
 ani ocenzurowana poczytalność
 tylko stan wskazujący na spożycie ludzkiego mięsa

ci wpływowi ludzie, którzy mieli ją tyle razy
 na ustach trybunach pierwszomajowych dożynkowych
 stadionach w redakcjach dzienników wszędzie
 dmuchali ją (właściwie bez przerwy

była w poważnym stanie,

wyjątkowym rosła w

balon

było kilka głośnych poronień i wiele dyskretnych
 skrobanek wiele istnień uratowało się z poszczególnych
 pokoleń zajmują już poważne stanowiska
 w administracji tajnej policji i poezji) przykuci do siebie

szarpia wątroby

rozrywają serca

zwracają nieświeże żołądki

jacy śmieszni nieporadni obrzygani

zupełnie niepodobni

do orłów Proszę wstać

jeszcze żywi

choć nie władni

lekką i bez krzyku

jak owady upadli Proszę wstać

jeszcze grzęznący

w lepkiej karierze wasza mać

Stać

rozbici

o mur trwania

od pierwszego do pierwszego

od dziesiątego do dziesiątego

od dwudziestego do dwudziestego

od trzydziestego do trzydziestego

od trzydziestego pierwszego do trzydziestego Dostyc

od końca kolejki

kolejki do sklepowej lady Stać Stać Stać

TAJNY AGENT POEZJI ODKRYWA OSTATNIE KARTY

kartę praw człowieka i

swoją kartę chorobową

Tasuje, rzuca przez okno

Teraz postanawia odwrócić kartę historii

Owiera kran gazu ale ciekną kzy

Zamyka oczy z ust płynie ciepła woda

Zamyka usta gaśnie światło

Kazimierz Dziewanowski

URBI ET ORBI

Gdy o północy z piątku na sobotę, z pierwszego na drugiego czerwca, szedłem na piechotę przez całe centrum Warszawy, było to t jak gdyby inne miasto. Ulicami przeciągały kolorowe gromady młodzieży. Przyglądałem się im ze skupieniem, wydawało mi się, że dostrzegam w nich jakby sprzeczność: beztroską wesołość przemieszana z nieoczekiwaną powagą. Ale nie było sprzeczności. To była po prostu cecha tej nocy - i następnej.

Gwar na ulicach, choć już dawno minęła północ. Tłumy w otwartych do półna kawiarniach. Ludzie spacerujący na pozór bez celu, zapatrzeni w miasto, w siebie, w coś jeszcze. Ludzie życzliwie uśmiechający się. Znam dobrze to miasto i te ulice: prędko zamierające po zmroku, puste wieczorami, prędko też wypełniające się nieprzyjazną atmosferą. Któż wychodzi po północy na ulice? Kogóż można na nich spotkać? Zamoczonych, albo tych, którzy dają baczenie. To nie są ulice do nocnych spacerów.

To miasto, które jest miejscem mego urodzenia, dzieciństwa, młodości i wieku dojrzałego, miastem wszystkich mych dobrych i złych przypadków, które widziałem we wszelkich okolicznościach, w jakich można zobaczyć własne miasto - w te dni i te noce było inne, choć może nie całkiem takie, jakie sobie wyobrażałem i jakiego bym pragnął. Było jednak lepsze niż zazwyczaj.

* * *

Nigdy dotąd nie widziałem, aby jeden człowiek, w tak krótkim czasie, dał innym ludziom tak wiele do myślenia. Wszystkim: i tym, którzy byli gotowi wyjść mu naprzeciw i tym, którym on przeciął drogę, choć nie czekali na to i nie byli do tego gotowi. Tym, co są zawsze, o każdej porze i w każdych okolicznościach gotowi uderzyć czołem przed symbolami, ale i tym, co przed nikim nie chcą bić czołem. Także i tym, co spychani w beznadziejność małego, codziennego realizmu pożegnali się z własnym myśleniem i godnością; tym, co wiedzą, że nic nie warto, wszyscy kradną, nikt im nie powie, że w życiu może być coś jeszcze poza pieniędzmi i własnym interesem; tym, którzy nie dadzą się nabrać i już nie takich widzieli; także tym, którzy po prostu nienawidzą.

Zasiał coś, jakby ozimą roślinę. Wiele ziaren nigdy nie wszędzie, nie przetrzyma mrozów, śniegów i roztopów, ale inne z pewnością się zazielenią. Żadne ptaństwo tych wszystkich ziaren nie wydziobie. Ręka zapuszcza korzenie, choć nikt nie wie, jaka gleba jest dla nich najbardziej korzystna. Zapewne najwięcej ich wszędzie na glebie młodej, chłonnej, gotowej do odzewu, dotąd leżącej odłogiem, bo nie ma dla nien zrozumienia, cierpliwości, a chyba i serca.

Trudno zrozumieć czas, w którym żyjemy. Stare światy zawałyły się, nowe są inne, niż je sobie wyobrażano. Lecz oto ze wszystkich stron świata przychodzą dowody, że ludzie nie zadowolili się tym, co ich otacza. Trwa wielkie szukanie wartości, które nadałyby życiu sens. Dlatego wciąż coś nas zdumiewa i zaskakuje. Gdzieś jest to wielki renesans islamu; gdzie indziej ruchy społeczne; czasem gesty rozpaczliwej przerażenia się w rzucanie bomb; jeszcze gdzie indziej rozkwit rozmaitych sekt nieraz wymieniających rozum wyznawców na słowa otuchy duchowego przewodnika, gdzie indziej jest to wzrastający ruch protestu przeciwko zaborczym roszczeniom totalitaryzmu.

Przez wszystkie te ruchy i objawy prowadzące czasem do zupełnego zaprzeczenia swych celów i do pełnej kompromitacji owej pierwotnej wzniosłości, jaka leżała u ich podstaw (pamiętajmy Jonesville!) przebija się - jakże często nieświadomione i instynktowne dążenie do odzyskania lub zdobycia należnych człowiekowi praw. Do tego, aby uszanowano jedność, aby nie traktowano człowieka ani jako narzędzie w rękach możniejszych, ani jako ściółkę dla historii. Jakaż to już dzisiaj długa lista tych wszystkich wysiłków podjętych w ostatnich latach przez tak różne ludy, w tak różnych okolicznościach i w rozmaitych częściach świata! Zawałyły się budowane tyle dziesiątków lat państwa Salazara i Franco, wiatr zdmuchnął greckich pułkowni-

ków, zapadły się monarchie perska i etiopska, odesłano do domu Indirę, zniknął Amin, a dziś tonie okręt Somozy.

Potrzeba na to jeszcze wiele czasu. Nasz świat przesuwa się przez wielki i ciemny obszar międzygalaktyczny, jesteśmy na Wielkim Etapie Przejściowym. Ale nie zostało wcale udowodnione, że ten nasz świat nieodwołalnie zmierza do ery powszechnej opresji jednostki, że podstawowym twórcywie przyszłości musi nieodzownie stać się drut kolczasty, że najwznioślejszymi punktami przyszłego krajobrazu na pewno będą wieże strażnicze.

To wcale udowodnione nie zostało. Myślę, że nasz Gość natchnął bardzo licznych myślą, że tak wcale być nie musi. Sądzę, że to ogromne, zwykle nieświadomione dążenie wielkich mas ludzkich do czegoś lepszego, do życia, w którym byłoby więcej godności, jest ogromną szansą tej siły, na czele której stanął przed nie-wielu miesiącami. I myślą, że fakt, iż to właśnie On stanął na jej czele, szanse te bardzo powiększa.

* * *

Jak wiele formatów ma ten człowiek: polski, słowiański, europejski, światowy - i poza światowy. Jeden wyrasta z drugiego i każdy wspiera się na pozostałych. Kiedy słuchałem - stojąc w rozpalonym sektorze "F-4" na Placu Zwycięstwa w Warszawie - Jego słów wypowiedzianych naszemu miastu i światu, a jeszcze później, gdy słuchałem słów wypowiedzianych obok pieców krematoryjnych Oświęcimia, w pobliżu celi Maksymiliana Kolbego - starałem się pamiętać o tych wszystkich wymiarach, by nie utracić żadnego z zawartych w nich znaczeń. Ale nie zawsze mi się to udawało. Bardzo trudno być Polakiem i myśleć o świecie bez żalu i goryczy. Tak wiele u nas miejsc obolałych, tyle ran powleczonych świeżym naskórkiem, albo i nadal otwartych. A jednak z każdym zdaniem rosła we mnie świadomość, że oto mam przed oczyma zjawisko uniwersalne, ale inne niż te, które widywałem dotąd. Zjawisko uniwersalne, dotyczące setek milionów ludzi, a jednak nie przerażające, nie spychające na boczny tor, nie zakazujące pragnień i mabicy, nie przemieniające nas w przedmiot historii i geopolityki.

Zjawisko, w którym jest dla nas miejsce równorzędne i nikt nie jest gorszy ani słabszy, ani podporządkowany innemu.

Ze słów tych - i wszystkich innych wypowiedzianych podczas wizyty - wyłaniały się pierwsze zarysy, brząsk nowej koncepcji Europy, nieamputowanej, lecz ogarniającej wszystkich Europejczyków, przyjaznej i pogodzonej, a zarazem pełnej siły.

Z tej niewyraźnej poświaty tak dalekiej jeszcze od krystalicznego blasku, z tego przeczucia raczej, któremu trzeba dopiero czasu do skrzepnięcia, wyłaniała się również myśl o większej i pełniejszej roli Polski; o tym, że Polska nie jest i nie musi być peryferią Europy i świata, że może dać światu więcej, niż kiedykolwiek ośmielaliśmy się myśleć. Wielki takt i głęboka mądrość słów wypowiedzianych w Oświęcimiu pozwalały nagle zobaczyć w nowym świetle, czym Polska mogłaby być.

Przeszyła mnie wtedy myśl, że Polska długo, boleśnie i w wielkim trudzie, zarazem jednak z natchnionym uporem, starała się od dawna powiedzieć światu coś bardzo ważnego. Starała się powiedzieć to poprzez swą sztukę, poprzez słowo pisane, przez muzykę, przez teatr, przez film, przez życie, przykład i losy wielu swych dzieci, przez rosnącą rolę, jaką jej synowie odgrywają w tak licznych krajach. Ale wciąż na tej drodze piętrzyło się tyle barier: językowa, historyczna, polityczna, geograficzna. I trzeba było czegoś wielkiego, co przełamałoby te bariery, jak ów Gość mówiący tyloma językami i rozumiały dla milionów, docierający do wszystkich i nie znający granic. Trzeba było nowego Szopena, równie zrozumiałego, ale mówiącego więcej, komponującego wielki koncert wartości duchowych, na jakie świat czeka.

I Polska dała Go światu.

* * *

Jest pora stosowna, aby powiedzieć coś jeszcze. Nie jestem katolikiem, wiara nie jest mi dana. Dlatego w chwilach prób i zwątpień życie układa mi się trudniej, niż tym szczęśliwym, którzy mają w niej wsparcie. Zawsze, gdy myślałem o Europie, a myślę o niej coraz częściej, kościół był tylko jednym z jej elementów. Gdy przebywa-

łem w Rzymie (odczuwam go jako drugie miasto, obok Warszawy), szukałem śladów na via Appia i na rzymskim forum ze wzruszeniem większym, niż w Watykanie. Bardziej pragnąłem wjrzeć rzymskich konsulów, trybunów i senatorów, niż papieża. W Watykanie szukałem Michała Anioła, El Greco, Tycjana, Berniniego; msza gregoriańska zachwycała mnie nie dlatego, że msza, ale że piękna.

Ale oto wjrzałem człowieka z Rzymu i z Krakowa zarazem, który wziął jako swoje powszechne dążenie do wartości głębszych, dążenie do urzeczywistnienia praw człowieka, do wolności indywidualnej, do rzeczy i pojęć najlepszych, które zrodziły się w Grecji, w Rzymie i nigdy nie zagasły w Europie, nawet gdy noc była najciemniejsza, gdy sprzysięgły się przeciw nim wszystkie moce, a zdarzało się, że wśród tych mocy był również i Kościół. I zobaczyłem, że tutaj i w tym momencie następuje połączenie dążeń wielu ludzi, również i tych, co nie są katolikami.

Myszę, że byłem tylko jednym z licznej rzeszy, która przeczuła wielkość tej chwili i tego zjawiska.

Dziennik "Stuttgarter Zeitung" napisał w tych dniach: "Świat musi zmienić pojęcie o papieństwie". Pragnę po prostu powtórzyć owe słowa niemieckiego dziennikarza.

Nie mogę być obojętnym.

Kazimierz Dziwanowski

Wacław Iwaniuk

W I E R Ś Z E

JEZIORO ONTARIO

Patrzę na tę wodę
która wyrasta z dna ziemi,
jest jej dużo
ale czy jest prawdziwa?
Jej mokrą powierzchnię strzepi wiatr;
to są włosy topielców
stałych jej mieszkańców
których wciąż przybywa.
Indianie też tu przychodzą
by odetchnąć czystym powietrzem.
Ich Elizejskie pola
są ciemne i duszne.
To jest wielka woda
ale nie woda czysta.

NA KEEWATIN

Przepłynąłem już wszystkie Mozambiki
teraz mieszkam na ulicy Keewatin w Toronto.
Nic tu nie wróży szczęścia;
ludzie posłuszni losowi są wszędzie ci sami.
Czas wyblakły od nadmiaru lat
choruje na śpiączkę; nic go nie obudzi.
Zawiedzione rzeki wrastają powoli w ziemię
która je wydała; spragnione
modlą się o deszcz jak ja o moją przystań.
Smutno tu na Keewatin, oschłe dni
zapatrzone w siebie
są jak tutejsi sąsiedzi
nadmiernie dyskretni. Na Keewatin
nawet zbawienia Pan Bóg nie daje za darmo
trzeba je najpierw zamówić w tutejszej świątyni
i zapłacić za nie odpowiednią cenę
bo na Keewatin
to tylko się liczy co jest w naszych rękach,
a ci co czekają jak ja
nie liczą się wcale.
Bezsenne noce są ślepe
prawa natury omijają nas
błyskawice na niebie szukają zapalek
czarny płomień nocy nie razi już śrenic

A może to ja jestem czarnym płomieniem nocy
a smutna Keewatin zapatrzona we mnie
pragnie mi tylko ulżyć.

Czyżby każda Bastylia musiała się poddać.

KWIATY NASZE WCIĄŻ PRAGNĄ KRWI

W tym wrzosowisku
które rośnie na moich bezdrożach
wciąż śpiewają dwa ptaki.
Jeden chwali noc
drugi dzień.
Tylko przechodnie
ci z dziennej zmiany
i ci z nocnej
nic o tym nie wiedzą.
Ich sny są inne.
Gdyby oba ptaki spotkały się
nastąpiłaby eksplozja słów
i prawdopodobnie nasze pola pokryłyby się śmiertelnikami
pokryłyby się śmiertelnikami.

Kwiaty nasze wciąż pragną krwi.

Wacław Iwaniuk

Jan Kott

MIESIĄC PO TRZYNASTU LATACH

J. .

Wszyscy mnie pytają, co się zmieniło i jak to jest, kiedy po trzynastu latach wraca się z Ameryki. Nie bardzo umiałem powiedzieć i teraz jeszcze mniej potrafię powiedzieć. Przez pierwsze trzy albo cztery dni byłem jeszcze z zewnątrz, ale potem, aż do końca w środku. Jakbym nie wyjechał albo tylko na rok lub dwa. Tylko przez pierwsze dni byłem turystą ze Stanów. A więc na Okęciu przed kontrolą celną: na konwejerze przejechały trzy albo cztery walizki, potem konwejer stanął, usiadłem i czekałem, aż znowu ruszy; przyjaciele przez oszklone drzwi dawali mi rozpaczliwe znaki, po półgodzinie było już pusto, zobaczyłem, że walizki dawno już przeniesione ręcznie stoją obok nieruchomego konwejeru.

W taksówce z lotniska z radia: "zimnowojenne...". Zapomina się łatwo, zapomniałem, że są takie słowa. Pałac Kultury wydał mi się mały. Nie tylko dlatego, że widziałem większe brzydactwa. Całe miasto zmieniło swoją skalę. W tej nowej Warszawie czułem się obcy. Przez pierwsze dni jak często w snach odnajdywałem niezmiennych przyjaciół - rozmowy zaczynały się jak gdyby przerwane wczoraj - w obcym miejscu. Całe dzielnice wydały mi się jakby wydrążone. Od Łazienkowskiej w dół aż po Czerniakowską bloki, mosty dla przechodniów przerzucane nad pustymi ulicami i niemal ani jednego sklepu. Fasady. W centrum nad Marszałkowską aż do MDM nad domami zagadkowe neony. Jeden z nich: "Żywa Wełna" - śni mi się jeszcze po nocach. I jakieś wielkie, dwupiętrowe ni to salony, ni witryny, puste i oświetlone "Przyjaźnie" czeskie i "Kultury". Pewno już były przedtem, ale zapomniałem. Na placu Dzierżyńskiego wczesnym letnim wieczorem tuż przy przystanku tramwajowym grupki mężczyzn, którzy stoją, podchodzą do siebie, odchodzą, rechotają. Nie wsiadają do tramwajów i autobusów. Czekają. Ale na co czekają? Jak w małych miasteczkach wieczorami, kiedy nie ma gdzie iść i nie ma co robić. Ale nawet tam radość, że słyszę jak ludzie mówią. Obcy język dźwięka jest zawsze tylko szumem. W Polsce wyszedłem z szumu.

Odnalazłem się w Warszawie oswojonej od dziecka od Senatorskiej przez Krakowskie i Nowy Świat do Alei. Pierwszego wieczoru poszedłem zobaczyć dom, gdzie się urodziłem, na Oboźnej, na samym narożniku, na wprost Teatru Polskiego. Z balkonu na piątym piętrze - pierwsze wspomnienie zapamiętane z dzieciństwa - widziałem dym i słyszałem huk mostu wysadzanego na Wisle przez Rosjan, kiedy opuszczali Warszawę. Dom stoi, jak stał. I podwórko jak przedtem. Ale żadnych wzruszeń, choć próbowałem je w sobie wzbudzić na siłę. Mój powrót nie jest do dzieciństwa. Wracam do żywej tkanki przeciętej trzynastą lat temu.

Tego samego wieczoru byłem na Uniwersytecie. Był już pusty. Na polonistyce woźna już wychodziła, ale otworzyła mi salę, w której wykładałem. Usiadłem na swoim krześle. Napisałem na tablicy: "JanKott tu był". Potem starłem. Tuż obok jest marmurowa tablica Jana Zygmunta Jakubowskiego. Nie była to najlepsza polonistyka, zwłaszcza w moich ostatnich latach przed odjazdem. Ale był jeszcze Krzyżanowski i z moich roczników - Żółkiewski i Mayenowa. Ale "prawdziwymi" profesorami to było tych kilku moich dawnych: Czarnowski, Wędkiewicz, Tatarkiewicz. Bardzo mnie zdumiało, kiedy opowiedział mi A., że jakiś młody politruk z Ministerstwa, kiedy przyszedł do niego, zaczął, że niby nie wypadł sroce spod ogona: "Moim profesorem był jeszcze Kott...".

2.

Czytałem raz, że termity odbudowują natychmiast kopiec, który został zniszczony. Kiedy zostanie zniszczony po raz drugi, odbudowują go po raz drugi. I po raz piąty, i po raz ósmy, i po raz dziesiąty. Ale kopiec zniszczony po raz jedenasty, wymiera. Wydawało mi się, często potwierdzali to goście z Kraju, którzy odwiedzali nas w Kamiennym Potoku, że inteligencja polska jako formacja została ostatecznie dobita w 68. Wydaje mi się teraz ten sąd fałszywy. Moje doświadczenia i obserwacje są oczywista, cząstkowe i krótkie. Poza Warszawą byłem tylko we Wrocławiu i w Krakowie. Spotykałem tylko przyjaciół, ich dorosłe dzieci i byłych uczniów. Uczniowie pracują w teatrze albo w wydawnictwach, piszą, redagują albo wykładają. Wróciłem, skąd odszedłem, do "środowiska". Bardzo dziwny polski fenomen, że dzieci "środowiska" zostają w "środowisku". Zawody, profesje i talenty literackie i artystyczne wydają się w Polsce dziedziczne jak tytuły i włości feudalne.

Nie ma podobnego środowiska na świecie. Moje przelotne zejścia z intelektualistami paryskimi i środowiskiem teatralnym w Anglii dawno się urwały. W Ameryce nigdy nie wyszedłem poza krąg uniwersytecki. Powoli i boleśnie musiałem się odzwyczajać od intensywności i gęstości rozmowy. W ciągu tego miesiąca w Kraju wydało mi się, że moi dawni przyjaciele i moi dawni uczniowie ciągle się spotykają, wszyscy ze sobą ciągle rozmawiają, wszyscy o wszystkim się nawzajem przekonują.

Wiem, że to są złudzenia dawno nie widzianego przybysza, którego zaprasza się na gromadne spotkania i rozmowy i dla którego wszystkie drzwi stają otworem. Dla przybysza z Kamiennego Potoku, który w ciągu miesiąca widział stu przyjaciół, sto osób jest miastem, nawet trzema miastami. Ale środowisko ze stu, dwustu czy pięciuset jest tylko kropką.

3.

Drugiego wieczoru, spóźniony na kolację do przyjaciół, trafiłem w sam środek dyskusji. Był tam Adaś i starszy ode mnie o dziesiątek lat dawny pepesowiec, który jak ja przyjechał z Ameryki. Co najmniej trzy i pół pokolenia. Przekrzykiwano się namiętnie trzema nazwiskami: Dmowski, Piłsudski, Daszyński. Nie mogłem się przez chwilę pokapać, o co chodzi. Przetarłem oczy. Co to wraca? W jakim emigracyjnym Londynie czy anachronicznej Warszawie się znalazłem? Przed wojną... Ale przed którą wojną, przed drugą? Nie, przed pierwszą! Wydało mi się, że czas stanął. Wraca tylko historia. W ciągu tych trzynastu lat, kiedy mnie nie było, wróciły inne niż przedtem rozdziały polskiej historii. Ten gwałtowny spór z nazwiskami jak wywoławcze znaki był o wybory i alternatywy roku 1979.

W Krakowie w Starym Teatrze widziałem "Sen o bezgrzesznej". Niedobre przedstawienie. Nawet bardzo niedobre. Ale to nieważne. "Bezgrzeszna" jest o Polsce od martyrologii powstańczej w Grottgerowskich obrazach po Piłsudskiego odbierającego przysięgę od Pierwszej Kadrowej i spór Gajowca z Baryką z "Przedwiośnia". W intermedium prowadzono nas grupami do jednej z małych bocznych sal, gdzie katorzy pokazywali widzom pamiątki rodzinne po ojczach, dziadkach, pradziadkach: orzełek i mapiejkówkę legionową, wyblakłe fotografie ze Szczyplorna, listy z obozów jenieckich, Virtuti i Krzyże Walecznych z wojny z bolszewikami. Widzowie brali je do ręki z nabożeństwem jak relikwie narodowe, jak przeszłość odebraną.

Co się zmieniło? Pogrzeby i msze za zmarłych. Pamiętam pogrzeb Hollanda. Było to za ery chruszczowowskiej, już dobrze po inwazji na Węgry i rozgromieniu "Po prostu".

Holland doprowadzony z więzienia na rewizję do własnego mieszkania, wyskoczył z okna na piątym piętrze. Albo został wyrzucony. Albo wyrzucono już trupa. Powązki obstawione były szpiclami. Ale wokół grobu było nas jednak ze stu. Trochę przedwojennych komunistów, paru było jeszcze członkami KC, a jeden chyba nawet Biura, niedobitki alowców, kilkunastu pisarzy. Kiedy tramwę spuszczano do grobu, pierwszy chyba Leszek Kołakowski zaintonował Międzynarodówkę. "Wyklęty powstań ludna ziemi...". Wtedy po raz ostatni śpiewałem Międzynarodówkę. Leszek zapewne śpie-

wał ją wtedy także po raz ostatni. W Warszawie pogrzeb Henryka Hollanda wydaje się przynależać do epoki bardziej zamierzonej i odległej niż Noc listopadowa.

Nie byłem na pogrzebie Słonimskiego, na którym śpiewano "jeszcze Polska...". Byłem tylko teraz na jego grobie. O dwadzieścia pięć kroków od grobu Zawieyskiego. Qsiedztwo tych dwóch grobów w Laskach można także odczytywać jako znaki czasu.

Wyjechałem na trzy lata przed śmiercią Zawieyskiego. Wróciłem niemal dokładnie w dziesiątą rocznicę. Śmierć Zawieyskiego, podwójnie tragiczna, wydaje mi się także zamknięciem okresu. Pamiętam, jak jeszcze za czasów łódzkiej "Kuźnicy" ścisnął się ze mną i mówił: "bracie marksisto...". Ten dialog skończył się jeszcze przed jego runięciem w dół z lecznicy rządowej. I to nie tylko dlatego, że zabrakło marksistów. W dziesiątą rocznicę tej śmierci na uroczystą mszę żałobną, do kościoła Św. Anny tuż obok odbudowanego Zamku, przyszła "cała Warszawa" jak niegdyś d do teatru na wielkie premiery. Ale w Warszawie końca lat siedemdziesiątych msze żałobne są nie tylko uroczystościami towarzyskimi. Jak w Krakowie przez wiek aż do pierwszej wojny i jak w Warszawie po powstaniu 63, pogrzeby i msze żałobne za duże wielkich Polaków są znowu uroczystościami patriotycznymi. I przychodzi na nie Warszawa, nie tylko "cała Warszawa".

Ten nawrót innego historycznego czasu można dostrzec i w publikacjach literackich. I to chyba nie tylko w esejach i nowej obywatelskiej poezji. "Kompleks polski" Konwickiego jest obyczajową powieścią, która dzieje się w ciągu 24 godzin w ogonku przed sklepem "Jubilera". W tym małym warszawskim "Blissie" jest miłosne spotkanie z Nauzyką w małym pokoiku na zapleczu sklepu i przemiana w świnię w porannej pijatyce jak na wyspie Kirki. Ale w tej szyderczej współczesnej "Odysei" Konwickiego jest również dwukrotne zejście do krainy umarłych. Pierwszym jest opowiadanie o samotnym powstańcu z 63 wydanym Rosjanom przez chłopów na Wileńszczyźnie czy Białorusi. Drugim zejściem do narodowego Hadesu jest opowieść o ostatniej małżeńskiej nocy Kościuszkówny i Traugutta w łódzkim hotelu przed jego powrotem do Warszawy jako Naczelnika Powstania. W tym samym hotelu o ściabę rosyjscy oficerowie piją na umór przed wymarszem do Warszawy, gdzie mają stłumić polski "miatęż". Te dwa opowiadania będą niewątpliwie wielokrotnie przedrukowywane w przyszłości. Może nie tak bardzo odległej w każdej antologii polskiej nowelistyki. Bardziej niż wszystko, co od wielu lat czytałem, wywodzą się one i przynależą mimo innej stylistyki (powściągliwość i okrucieństwo, samoudręka i szyderstwo - są w nich inaczej przemieszane) do polskiej powstańczej klasyki - Orzeszkowej, Konopnickiej, Żeromskiego. Bez tych dwóch opowiadań pozornie niewspółczesnych książka Konwickiego byłaby tylko powieścią o ogonku po złote rano po państwowych cenach.

4.

Zastanawiałem się, co mogą zrozumieć z Polski zagraniczni korespondenci przyjeżdżający na tydzień lub dwa? Z Kopenhagi jeszcze w kwietniu telefonowałem do moich przyjaciół w Warszawie, co chcą, żeby im przywieźć. "Nie ma nic, nie ma mięsa, nie ma jaj, nie ma nawet sera. Miałam imieniny, nie wiedziałam, co podać...". "I co dałaś?" - spytałem. "Bazanty". Marie-Antoinette znała już tę receptę: "Niech jedzą ciastka, kiedy nie ma chleba".

Znajoma, do której telefonowałem z Danii, jest redaktorką w telewizji. Moja siostra pracuje w IRL'u w Krakowie. Na śniadanie dostawałem u niej jajka, ser i szynkę. Łódzka była pełna. Ale aprowizowali ją koledzy i koleżanki przez miesiąc na mój przyjazd. Trzykrotnie na przyjęciach, które urządzali dla mnie przyjaciele, podawano kawior. Ale dwukrotnie był to kawior, który przywozłem z dewizowego sklepu na lotnisku we Wschodnim Berlinie.

Polacy są najbardziej gośćmi ze wszystkich narodów świata, zwłaszcza wobec cudzoziemców. Może tylko Japończycy są jeszcze bardziej szczerzy. Goście i korespondenci zagraniczni zapraszani są na przyjęcia o wiele bardziej wystawne i sute niż w ich własnych krajach. Ale myląca dla zagranicznych gości jest nie tylko zastawa. Zagraniczni korespondenci zapraszani są do domów swoich kolegów po fachu - dziennikarzy, filmowców, polskich delegatów objeżdżających świat na wszelkiego rodzaju zjazdy. Zapraszani są jeszcze bardziej

dzaju zjazdu. Zapraszani są jeszcze chętniej do domów byłych ambasadorów, radców i sekretarzy polskich placówek, których niegdyś w swoich krajach sami zapraszali i w których sami niegdyś bywali. We wszystkich tych domach, na wszystkich przyjęciach słyszą ciągle "oni!". "Oni", którzy nic nie rozumieją, "oni", którzy są półapalfabeci, "oni", którzy się niczego nie nauczyli. Ale kim są ci "oni"? Jak horyzont, który razem z tobą niezmiennie się przesuwa, im bliżej "establiszmentu" wśród gospodarzy i polskich biesiadników tym dalej odsuwają się "oni". Dla zagranicznych dziennikarzy, którzy nie znają mowy tuziemców, "oni" muszą się zapewne wydawać polskim tworem astralnym jak latające talerze.

Przeczytałem niedawno na świeżo "Onych" Witkacego. Bohaterem jest Bałandaszek, esteta, znawca i kolekcjoner nowoczesnego malarstwa od Picassa do wczesnych, chyba rosyjskich, konstruktywistów i abstrakcjonistów. Bałandaszek jest nienasycony erotycznie i metafizycznie i jest oczywiście zwolennikiem Czystej Formy. Kochanką Bałandaszka jest aktorka Spika, jedna z witkacowskich demonic, która gra w nowym teatrze Czystej Formy w metafizycznej farsie dell'arte. "Oni" - są tajnym związkiem przeciwników metafizycznej sztuki, która przeszkadza postępowi i pełnej automatyzacji ludzkości. "Oni" wchodzi do mieszkania Bałandaszka i niszczą całą jego kolekcję. Spika zostaje zaszytletowana w metafizycznej farsie, Bałandaszek bierze na siebie winę i idzie do więzienia. Na scenie zostają sami "oni".

Ta wczesna sztuka Witkacego nie jest dla mnie jasna ani w realiach ani w metafizykach. Być może pewnych kluczy doszukać by się można w przedrewolucyjnym Petersburgu. Ale nie to jest w tej chwili dla mnie ważne. Jak niejednokrotnie u Witkacego są i w "Onych" pewne obserwacje, które jeszcze po półwieczu zadziwiają swoją przenikliwością. Poza biednym Bałandaszkiem i jego nieszczęśliwą demonicą, wszyscy inni w tej sztuce to "oni". "Oni" to pułkownik Abłoputo i miły chłopcaś, Gliwus Kretowiczka, porucznik żandarmerii, Protruda i Halucyna, dwa kobiety, żona prezydenta i żona przywódcy automatystów. "Oni" - to jeszcze Salomon Prangier, finansista i jego ognista żona z węgierskich tingeltanglów, i trzech sekretarzy z arystokracji. Główny "on", sam wielki Tefuan, przywódca automatystów, jest jeszcze niezupełnie rozwiedzionym mężem Spiki. Co więcej, on właśnie pisze dla Spiki metafizyczne i okrutne dell'arte i jest dyrektorem teatru. "Oni" wreszcie to nie tylko "żołnierze policji", ale również Marianna Splendorek, przyrządzająca smakowite grzybki w domu Bałandaszka i służąca Ficia, lat osiemnaście, w białym fartuszk. Obie na służbie policji.

Nie wydaje się ważne, że "oni" są przeciwnikami Czystej Formy. Bywa, że są właśnie jej zwolennikami. Witkacy dostrzegł o wiele ważniejszy proces. Jest już fak w Polsce, że nie zawsze wiadomo, gdzie jesteśmy jeszcze "my", a gdzie się już zaczęli "oni". Zwłaszcza, kiedy Hamlet zostaje dostojnikiem państwowym, a Gliwus Kretowiczka, "porucznik żandarmerii i blondynek dość delikatny" - profesorem historii literatury. Pułkownik Abłoputo już nie pisze sztuk teatralnych, od dawna jest dyrektorem telewizji.

5.

"Czy Ruskie się nie wściekną?" - spytał mnie nagle szofer taksówki, który wiozł mnie z Wrocławia do Krakowa. Było to nazajutrz po odlocie Papieża i miały nas właśnie długie kolumny samochodów MO wracające z Podhaja na swoje leże na Śląsku. Czy Ruskie się nie wściekną? Nie wściekły się.

Zmieniły się w Polsce granice podległości. "List 34" podpisali ludzie, których wiek albo splendor nazwisk zdawał się zabezpieczać od wyzwisk i represji. Ale co najmniej pięciu z jego sygnatariuszy wycofało swoje nazwisko pod presją. Na "List 34" pośpiesznie zmontowaną odpowiedzią był tzw. "List 600". Podpisały go nie tylko dziennikarzyni i pisarczyki, podpisali go również ludzie skądinąd zacnego serca i dostatecznie zdawalioby się ufortyfikowani w swoich rozycjach literackich, aby nie zdrzeć przed próbą szantażu. Ale zdrzeli. Było to nie dalej niż w 1963.

W ozerwcu 79 we wszystkich warszawskich domach, do których zachodziłem, walczy się po stołach komunikaty KOR'u. W Krakowie - nie we wszystkich, we Wrocławiu tyl-

ko w niewielu, i to nie wśród uniwersyteckich "humanistów". Środowisko - bo jakże inaczej nazwać tę szczególną formację polskiej inteligencji? - przechodzi z jednej strony niemal niedostrzegalnie w establiszment albo pół-establiszment, zwłaszcza kiedy, jak wśród moich rówieśników, jest ten były establiszment już na emeryturze, ale również niemal niedostrzegalnie i płynnie w aktywistów KOR'u i KIK'u. Jest to chyba najbardziej znamienna różnica między środowiskami literackimi i uniwersyteckimi w Polsce, a tymi samymi środowiskami w Rosji i u wszystkich innych demoludów. Ruch dysydencki we wszystkich swoich odmianach jest w Polsce w środku. "Aktywiści" i "organiczni" - nie używa się tych terminów, widocznie nie są potrzebne, ale brak mi w tej chwili innych wyznaczników - spotykają się nie tylko na imieninach. Często po prostu przy rodzinnym obiedzie: mąż, żona, rodzice i dzieci, siostra i brat.

Biuletyny KOR'u leżą po stołach. Wzruszyło mnie, że odbijane są na tym samym najtańszym papierze i tą samą techniką jak gazetki okupacyjne. Wtedy były także w każdym warszawskim domu. Ale najbardziej uderzyła mnie ta nowa zwyczajność wydawnictw bez cenzury. Właśnie zwyczajność. Wtedy, dla mnie tak niedawno, "List 34" był czymś niezwykłym, teraz dobre trzy dziesiątki wydawnictw niekoncesjonowanych wydają się czymś zwykłym i powszednim. Jakby były zawsze. Nawet "Ruskie", i tu, i tam, jakby do nich przywykły.

Wszyscy moi znajomi, którzy wracali z Polski w ciągu ostatnich lat, mówili o beznadziejności. Nieznajomy student, którego spotkałem w Krakowie, powiedział: "Tak nas upokarzano, tak nam odbierano wszelką godność, tak nas umurzano w błocie. A teraz tyle radości...". Było to nazajutrz po wizycie Papieża.

Te dziesięć dni, przez które Papież był w Polsce, były długą godziną prawdy. Na oczach całego świata.

Jan Kott

Kamienny Potok, lipiec 1979.

Andrzej Koraszewski

UWAGI O STANIE DUSZY EMIGRANTA

Jutro rano przyjaciel jedzie do Polski. Wiele razy chciałem wysłać do "Zapisu" jakiś tekst. Nikt mnie jednak o to nie prosił. Więc ilekroć mówiko się o tej podróży przyjaciela do Polski, kręciłem się trochę niespokojnie, ale chyba sam nie wiedziałem, o co mi chodzi. Teraz, na pięć minut przed dwunastą, rzuciłem się do maszyny.

Mógłbym wyciągnąć któryś z gotowych tekstów, najwyraźniej jednak zależy mi na tym, żeby napisać coś dla "Zapisu". Dziwaczna fanaberia emigranta. Niby od pokoleń mamy znakomite wzory emigracyjnej egzystencji, a przecież nie można się tego nauczyć. Pojawienie się "Zapisu" wywołuje gwałtowną ochotę udowodnienia swojej obecności tam.

Przez kilka lat głosiłem teorię, że ostatnia fala polskiej emigracji politycznej to emigracja lat 1945-1948. Wydawało mi się, że nasze prawo nazywania się emigracją polityczną jest problematyczne. Ta, być może sztuczna koncepcja wynikała z przekonania o niesłuszności decyzji wyjazdu. Za to, co robiłem przed wyjazdem, nie groziło mi więzienie ani żadne inne represje. Należałem do kawiarnianej opozycji. Dopiero w obozie dla uchodźców uświadomiłem sobie, że zająłem miejsce komuś, kto mógłby tu znaleźć schronienie przed więzieniem i torturami. Równocześnie z nami przyjeżdżali tu uciekinierzy z ówczesnej Grecji. Mojego prawa do azylu nikt nie kwestionował. Ich tak. Rychło przekonałem się, że powinno być odwrotnie. Nie jest to śny emigracja polityczna, ponieważ wyjechaliśmy nie po to, żeby walczyć dalej, ale żeby mieć święty spokój. Większość moich przyjaciół wyjechała z powodu prześladowań rasowych. (Obiecałem sobie jednak nie ruszać dziś tego problemu. Piszę przede wszystkim o sobie). Emigrantami politycznymi są ci, którzy zrobili wszystko, żeby zostać w domu i na skutek tych działań zmuszeni byli opuścić swój kraj. Moja krajowa biografia nie jest biografią politycznego emigranta.

W dużym stopniu w związku z tą teorią pozostają moje próby określenia naszej roli tu na Zachodzie. Od chwili pojawienia się KOR-u uważałem ją za wyłącznie lub prawie wyłącznie służebną. Redaktor "Kultury", kiedy mi przedstawiłem swoje stanowisko w tej sprawie, wzruszył ramionami. Nie pamiętam już, co mi potem powiedział i jakie wyłożył argumenty przeciwko mojej służebności. Nie przekonał mnie wówczas i pozostaliśmy każdy przy swoim. Głosiłem nadal teorię naszej służebności i wedle tej teorii próbowałem układać swoje działania. Niedawno ktoś z Polski roześmiał się na moje wywody i wypowiedział następujące zdanie: Byłoby rzeczą nierozsądną, gdybyśmy rezygnowali z waszych doświadczeń i oczekiwali od was wyłącznie technicznych usług. Nowa sytuacja powinna prowadzić do zniesienia granicy między Krajem i emigracją, a nie do nowej definicji ról po obu jej stronach. Pogląd ten wydał mi się poniekąd słuszny, ale dość trudny jako program.

Adam Michnik podczas swojego pobytu w Sztokholmie powiedział o którymś z moich artykułów ogłoszonych w paryskiej "Kulturze", że był napisany jak gdyby napisano go tam, a nie tu. Nie była to pochwała. Przeciwnie.

Przez kilka lat świadomie nie przyjmowałem do wiadomości faktu, że zmiana mojego położenia geograficznego zmienia moją optykę i że stąd nie można wypowiadać się o sprawach krajowych w taki sposób jakby nadal było się uczestnikiem tantych zachowań zbiorowych. Chociażby dobre wychowanie powinno przypominać o tym, że jestem poza zasięgiem maczugi. Odkrycie tego faktu zawdzięczam nie tyle uwagom Adama Michnika, ile Bułgarom. Bułgarska służba bezpieczeństwa produkuje bułgarskich emi-

grantów politycznych. Obserwując doniesienia o wyczynach bułgarskiej bezpieki uswiadomiłem sobie fakt, że żyję bez strachu. Głównym sterstwem moich politycznych przeciwników jest zdecydowanie bardziej rycerskie. Ograniczają się do bicia tych, którzy mają odwagę sprzeciwiania się im w Kraju, nie wbijają mi jednak w tyłek szpilka parasola z trucizną. Ta rycerskość moich politycznych przeciwników ostatecznie uswiadamia mi rację Adama.

Moi szwedzcy przyjaciele mają czasem kłopoty ze zrozumieniem moich dylematów. Tłumaczę im, że pewne psychiczne patologie należą do naszej normy, zarówno na emigracji, jak i tam w Kraju. Tu i tam próbujemy otrząsnąć się z dziedzictwa, które dyktuje nam chore reakcje. Nasze umysły zbyt długo poddawano działaniu cenzury. Cenzura pozbawiła nas nie tylko informacji, ale, co jest chyba jeszcze ważniejsze, wypaczyła nasz sposób myślenia i rzutowała na charakter naszych wzajemnych stosunków. Długotrwałe istnienie cenzury wywołuje osobliwą podejrzliwość w stosunku do wszelkich wypowiedzi, stwarza fałszywe przekonanie, że umiem poruszać się w gąszczu kłamstw i półprawd, prowadzi do powstania trwałej struktury opartej na różnych mitach o rzeczywistości społecznej. Mam wrażenie, że 90% polskiego społeczeństwa (i to zarówno w Kraju, jak i na emigracji) ma przekonanie, że cenzura oszukuje innych. Owszem, pozbawia nas informacji, ale z łatwością dostrzega się fałsz i dzięki temu można sobie wyrobić stosunkowo poprawny obraz całokształtu. Liczba osób niepewnych, jak wygląda obraz własnego społeczeństwa, wydaje mi się niższa w Polsce niż w Szwecji.

Mamy tu do czynienia z pewną prawidłowością: im mniej rzetelne są przesłanki, na podstawie których formułujemy zdania oceniające o otaczającej nas rzeczywistości, tym silniejsze mamy przekonanie o ich słuszności.

Manipulując świadomością społeczną wprowadza się celowo taką gradację informacji, aby przynajmniej część społeczeństwa była przekonana, że otrzymuje pełną lub prawie pełną informację, a ograniczenia skierowane są właściwie na warstwy niższe. Czytelnicy "Trybuny Ludu" przekonani są, że posiadają znacznie więcej informacji niż czytelnicy "Głosu Wybrzeża", czytelnicy "Polityki" patrzą z politowaniem na czytelników "Trybuny Ludu", ale spotykają się z uśmiechami pokłazania ze strony czytelników Biuletynu Informacyjnego KC. Ta struktura zakłamuje się, ale jej charakter nie ulega zasadniczej zmianie. Struktura pogardy i politowania (oraz frustracji i agresji w drugim kierunku), przebiega od szarych słuchaczy WE, przez czytelników prasy emigracyjnej do czytelników niezależnej prasy krajowej. Spotkania z przybyszami z Kraju pozwalają tu wyróżnić kilka typów reakcji właściwych poszczególnym grupom takim jak:

- 1) czytelnicy "Głosu Wybrzeża", "Trybuny Ludu", "Polityki" itp. traktujący nas z pokłazaniem. Ostatecznie nie byliśmy w Kraju od wielu lat i nie jesteśmy dla nich partnerami do dyskusji,
- 2) niepewni, wykazujący reakcje obronne zarówno w stosunku do oficjalnej prasy krajowej, do prasy emigracyjnej i do niezależnej prasy krajowej. Jest to grupa stosunkowo najliczniejsza, dla której wszelka prasa jest synonimem propagandy, a jedyne źródłem informacji są znajomi,
- 3) czytelnicy prasy emigracyjnej, nastawieni obronnie zarówno w stosunku do prasy emigracyjnej, jak i niezależnej prasy krajowej, szukający tu informacji o tym, co słychać w Kraju,
- 4) uczestnicy opozycji wykazujący nam nasze niedoinformowanie,
- 5) outsiderzy, dla których miejsce w strukturze niedoinformowania nie jest źródłem frustracji i agresji skierowanej na bezpośrednie otoczenie.

Zdecydowana dominacja czterech pierwszych grup oraz fakt, że wywieźliśmy to samo dziedzictwo, przeradza owe spotkania w jakoweś utarczki o dominację.

Nie jest prawdą, że inne społeczeństwa w mniejszym stopniu karmią się mitami niż my. Wolność słowa nie daje gwarancji rzetelnej informacji. Zwiększa szansę swobody wypowiedziania się, utrudnia ukrywanie faktów. W tych warunkach łatwiej szukać własnego obrazu rzeczywistości, ale trzeba go nadal szukać i to mozolnie. Również tu na Zachodzie większość rezygnuje z własnych poszukiwań na rzecz akceptacji takiego lub innego partyjnego katechizmu. Owe katechizmy, czy raczej uproszczone

wizje rzeczywistości, są mniej lub bardziej naiwne, dają jednak podstawę organizacji struktury politycznej tych społeczeństw. Nasza chorobliwa podejrzliwość ma swoje uroki i zalety, niestety utrudnia wzajemne porozumienie. Cenzura prowadzi do destrukcji organizacji świadomości społecznej. Wolność słowa i poczucie bezpieczeństwa staje się czasami powodem jej dekadencji.

Czytając "Zapis", "Puls", "Krytykę", "Głos", "Spotkania", a nawet "Opinię", odnoszę wrażenie, że nasz duchowy ogród znów bucha zielenią tak jak przed czterystu laty. Przez cztery stulecia świadomość społeczna w Polsce podlegała w silniejszym stopniu procesom destrukcyjnym aniżeli integracyjnym. Przez te wieki niemal wszystkie wybitne umysły dzieliły los outsiderów, dysydentów, heretyków. Nie mieliśmy siły stworzenia struktury politycznej bez emigracji wewnętrznej i zewnętrznej.

Wyjeżdżając na emigrację zabrałem swoje dziedzictwo, ową puszkę Pandory naszej umysłowej tradycji ostatnich wieków. Wyjeżdżałem w kolejnej grupie tych z mas, którym odmówiono polskości w imię biologicznej czystości etnicznej. Wyjeżdżałem przekładając emigrację rzeczywistą nad emigrację wewnętrzną. Nie wierzyłem w możliwość pojawienia się "Zapisu".

Tu w Szwecji, jeden z przyjaciół powitał mnie transparentem: Uchodźstwo starozakonne wita ostatniego arianina Rzeczypospolitej. Pomyślałem wówczas, że szczątki rakowskiej szkoły przeniesione do Paryża nie umniejszą zależności od Moskwy ani władzy Hożjusza nad szkołami w Kraju.

Redaktor "Kultury" powiedział do mnie kiedyś, że był i jest Kassandrą. Zapreczyłem, świadom jego wpływu na naszą umysły. Miłosz pisząc "Prywatne obowiązki" napomknął, że mógłby maszynopis swojej książki równie dobrze włożyć do dziupli w drzewie. Wydaje mi się, że to odczucie było nie tylko kwestią frustracji z powodu fizycznego oddalenia od czytelników. Dręczyła go zapewne świadomość różnicy między pośrednim oddziaływaniem a uczestnictwem.

Świta, muszę kończyć te uwagi.

Wiele razy spotykałem się z poglądem, że cenzura ma również swoje pozytywne oddziaływanie - zmusza pisarza do wysiłku i w efekcie przyczynia się do wzbogacenia języka. Poniękać prawda. Wygłaszając jednak taki pogląd zapominamy, że rozwinęta cenzura zajmuje się nie tylko skreśleniami, ale i ograniczaniem liczby potencjalnych odbiorców informacji. Jeszcze bardziej niż sama literatura prześladowane są w Polsce wszelkie próby jej interpretacji. Przekazanie informacji o tym, że owa granica między emigracją i Krajem nigdy nie istniała, że zrozumienie literatury krajowej bez znajomości literatury emigracyjnej jest niemożliwe, trudniejsze jest niż wydanie w państwowym wydawnictwie książki ukazującej przypomocno pozornie łatwego szyfru niemal wszystkie okropności systemu.

Będąc młodszym emigrantom niż Miłosz czy Herling-Grudziński wiem z autopsji, że każda ich książka jest pilnie oczekiwana w Kraju. Myśląc o tych wszystkich zażyłościach tu, w niewielkim szwedzkim miasteczku, przestaję się dziwić własnej ockocie napisania czegoś dla "Zapisu". Zapewne upłynęło jeszcze trochę czasu, zanim będziemy mogli zabierać głos we wspólnej dyskusji bez takich dziwnych prag-

Andrzej Koraszewski

Jan Polkowski

W I E R S Z E

* * *

Odwiedzają mnie czasami:
 pierwszy przychodzi Wat, otulony
 w gruby płaszcz, tam, w niebie, zimno -
 mówi i rozciera schorowane ciało.
 Wchodzi Wierzyński, milkniemy, w jego książęcych
 oczach tli się jeszcze dumna
 rozpacz, wysokie łąki
 Rusi Karpackiej w fioletowych ornatach,
 Stryj, ranny ryś, pył latawców.
 Szabli, krzyczy Lechoń, szabli, pokażę
 tym chamom, długo trzeba go uspokajać i tłumaczyć
 wszystko od początku.
 Później przychodzi Wittlin i ci z głębi
 czasu, wypełnieni niezniszczalną
 wiarą.
 Siedzimy, gadamy, pijemy wódkę,
 nawet śpiewamy trochę.
 No dobrze, mówię, ale mówcie panowie co słychać
 w Polsce?

WSPOMÓŻ NAS, PANIE

Przemówił wtedy we wszystkich językach świata
 (słowa wydawały się wszystkim znajome) jednak tłok i wrzawa
 nie pozwoliły, nie tylko zapamiętać, ale i zrozumieć
 tej historii, którą opowiadał.

Później, każdy przypominał sobie coś innego, jakieś okruchy,
 fragmenty:
 "zwierzęta, które odeszły z ziemi deptając powierzchnię
 mórz", "ludy spożywające krę",
 "kobiety z popiołem w piersiach", "stare jabłonie nad płonącem
 starcem",
 "bóg umywający buty" "licjantom".

Tymczasem ciemność obejmowała niebo
 i ziemię.
 Na opustoszałych stadionach
 wiatr toczył butelki, szamotał się
 z nadpalonymi gazetami.

PRZEDMIOTY MAJĄCE ZWIĄZEK Z PRZESTĘPSTWEM

Jak brzmiak ten werset?

"Spłowiąże konie wchodzą w źródła"?

Czy inaczej, nie "spłowiąże" lecz "wplaw",

nie "konie" i "źródła" lecz "klęczący"

i "warkocz bruku"?

Czy mogą wrócić do mnie te słowa?

Czy może wrócić sens ich życia?

Czy metafory przeżyją

areszt, nie zakamają się

i kiedyś popatrzymy sobie w oczy?

A jeśli po śledztwie

zamiast kilku prostych, zapisanych w pośpiechu słów,

wróci bełkot,

mogący wyrazić już tylko strach

lub gładką ślepotę?

Jak porozumiem się z tobą

jeśli znaczenie zatrzyma się w ucieczce na granicy

krzyku? - jak oni -

zastygli

prostujący swoje nagie twarze

nad Uralem

bramą wciąż oddalającej się, obiecanej

zamieci.

WEJRZYJ

Tyle razy patrzyłem na Ciebie

i nie zauważyłem na Twoich stopach śladów

po uderzeniach, Gładkoskóła Madonno,

Blizno Poniżonych.

* * *

Kiedy całuję twoje oświęcimskie włosy,

kiedy palą moje książki i twoje sukienki,

kiedy ogień jest językiem polskim,

uczę się,

jak powiedzieć po żydowsku:

kocham,

(kocham, gwiazdo).

Jacek Bocheński

MECHANICZNA POMARAŃCZA

I.

Opiszę teraz pewną rzeź, lecz zanim do tego dojdzie, muszę opisać pewne rozumowanie.

A właściwie tak się to ułoży: po opisie rozumowania, które poprzedzi samą historię, nie nastąpi od razu opis rzezi, gdyż najpierw będę musiał opisać pewien film i sytuację w kilku więzieniach. Potem zajmę się tematem głównym, czyli rzezią, a na koniec opiszę jeszcze pewien spiszek, który w rzeczywistości być może wymysłem, chociaż mógł być faktem. Dopiero wtedy, gdy opowiem o spisku, stanie się rzeczą zrozumiałą, dlaczego trzeba było opisać film. Czytelnik sam rozstrzygnie, czy te sprawy mają ze sobą związek i czy należało opisywać je łącznie.

*

Myśl, że nikt nie rodzi się złoczyńcą, a jeśli nim zostaje to nie wskutek wad charakteru, co pod wpływem środowiska i wadliwych stosunków społecznych, jest dziś uznawana szeroko, choć nie wszędzie i nie przez wszystkich. Zazwyczaj odrzuca się ją częściowo, to znaczy w takim zakresie, w jakim trzeba by uznać, że czyjeś konkretne środowisko i panujące w nim stosunki są złe, a wolałoby się uważać je za dobre, ponieważ samemu się je tworzy lub za nie odpowiada. Ideę tę można jednak przyjąć bez oporu, gdy żyje się w niezgodzie ze środowiskiem i jego porządkami albo gdy sprawa dotyczy obcych zbiorowości, wobec których zajmuje się stanowisko złośliwe. Jest to więc idea "słuszna ale nie na moją korzyść". Jest to w ogóle idea przekorna, zaczepna, bardzo poręczna w sporze, walce i rebelii. Nic dziwnego, że z tych i różnych jeszcze innych powodów bywa niemile widziana przez jawnych lub utajniionych konserwatystów.

W rozumowaniu, które chcę opisać, stanowi ona jedynie punkt wyjściowy. Nie chodzi też o to, by orzekać, jak jest w istocie z jej słusnością, lecz by opowiedzieć o jej naturze i losach. Myśl będzie tu niejako bohaterką romansu, choć przy najmniej traktować ją w ten sposób, póki bohaterami nie staną się mordercy. W romansach nie jest ważne, czy A. ma rację, kochając B. Czytelnika interesują przygody A. i B. Opowiem o przygodach pewnej myśli. Aby nikt mi nie zarzucił, iż uchylam się od wyrażenia własnego zdania, wolę zaznaczyć, że mnie osobiście podoba się moja bohaterka, czyli myśl o współwzrostu środowiska i przestępcy, zaprezentowana już w swej postaci pierwotnej.

"Mechaniczną pomarańczę" napisałem w r. 1975, wkrótce po powrocie z Włoch. Stanowi ona część mojej książki pt. "Krwawe specjały włoskie", która od r. 1976 czeka bezskutecznie na druk w "Czytelniku". Publikację "Mechanicznej pomarańczy" rozpoczęła swego czasu "Literatura", ale ukazał się tylko pierwszy odcinek ze skreśleniami cenzury. Na ocenzurowanie następnych odcinków nie zgodziłem się i wobec tego druk przerwano. Obecnie w "Zapisie" ukazuje się całość tego tekstu.

(Przypis autora).

Powiedziałem: w postaci pierwotnej. Szczegół ten ma znaczenie, bo przypomina, że mówimy na razie o początkach procesu. Mówimy o momencie, gdy owa zuchwała, zadziorna i przewrotna myśl jest jeszcze młoda, wrażliwa, zgoła dziecinna, rozgląda się dopiero po świecie, zauważa jego tępe okrucieństwo, ślepa zacieklność tłum wobec każdego winowajcy i dokonuje konstatacji elementarnych: przecież ktoś tam nie dlatego kradnie, że podły, ale że biedny; ktoś inny nie dlatego bije, że bestia, ale że jego właśnie przez całe życie bito i kicia tylko nauczono; ktoś nie dlatego morduje, że bez powodu upodobał sobie krwiożerczość, ale że ludzie okazali się głusi na jakieś rozpaczliwe potrzeby lub trudności tego człowieka, które wykraczały poza dopuszczalną normę, których "normalnego" rozwiązania świat w ogóle nie przewiduje i które w tym stanie rzeczy musiały doprowadzić do desperackiej furii i fatalnego czynu.

Są to olśnienia przejmujące, proste i szlachetne, jakich doznać może dusza młodej idealistki i nonkonformistki, a tak właśnie trzeba nazwać naszą bohaterkę. Olśnienia te wyglądają na odruchy miłosierdzia wobec potępieńców, stanowią jakby zejście do piekła w zamiarach dobroczynnych i humanitarnych. Buntownicza myśl nie chce nikomu szkodzić, nie wkracza z gilotynami, lecz z gałązką oliwną i zachowuje się wręcz po chrześcijańsku. "Kto jest bez grzechu, niech rzuci kamieniem w grzesznika" - oto jak mogłoby w istocie brzmieć jej wezwanie. Wydaje się, że trudno o hasło sprawiedliwsze, a także lepiej ugruntowane w tradycji. Różnica między koncepcją tradycyjną a nową polega na tym, że wedle nowej wersji "grzechy" środowiska odbierają mu nie tylko tytuł moralny do karania "grzesznej" jednostki, ale same sprawiają, iż "grzesznik" w ogóle grzeszy. Nikt mianowicie nie może "zgrzeszyć" bez współudziału otoczenia. Inaczej mówiąc, kto czyni coś złego, działa nie wskutek złej woli, od niego tylko zależnej, lecz wskutek złych warunków, jakie stwarzają mu społeczeństwo.

Cóż wynika z takiego ujęcia sprawy?

Pierwszą reakcją ludzką jest konsternacja. Czasem zresztą kończy się na konsternacji. Publiczność wzrusza ramionami i nikt nie bierze niedowarzonej skandalistki na serio, jak było w starożytnej Grecji. Bo chyba jeszcze sofisci greccy formułowali nieco pokrewne, aczkolwiek nie takie same paradoksy o względności występku i cnoty. Ale poszły one w niepanieć bez praktycznych skutków. Nas nie obchodzą te zamierzchłe czasy. Nie zamierzamy badać przyczyn naszej bohaterki w dawnych epokach, chociaż prawdą jest, że refleksja tego gatunku, o którym mówimy, rodziła się wielokrotnie. W tej chwili interesuje nas tylko gatunek najnowszy, żyjący.

Otóż ilekroć się on pojawia, wzbudza przede wszystkim osłupienie. "Co to właściwie znaczy? - pytają autorytety prawa i moralności. - Czy zbrodniarze są niewinni?". "Ależ są winni - odpowiada czupurna myśl. - Tylko że panowie też". Autorytety nie wierzą własnym uszom. Szybko jednak uświadamiają sobie grozę sytuacji i w pierwszym przypływie oburzenia postanawiają, że tak bezecna idea nie powinna w ogóle istnieć na świecie. Trzeba tę niebezpieczną demoralizatorkę zlikwidować. Odebrać jej głos! Zakazać! Zdusić w zarodku! Ale wyroku śmierci nie da się na niej wykonać, ponieważ wiadomo, że myśl może tylko umrzeć sama, natomiast nie można jej zabić. Zagrożone autorytety uważają to na ogół za drugorzędny szkopuł, z którym jakoś tam sobie poradzą. Z czasem, gdy próba eksterminacji nie skutkuje, lecz dodaje właśnie skrzydeł przekornej myśli, dostrzegają swą pomyłkę i zmieniają front.

"No więc dobrze - mówią. - Możemy porozmawiać. Mniejsza o nasz prestiż. Uznajemy cię za bardzo pożyteczną oponentkę, bez której nie byłoby postępu. Ale chodzi o to, że twoje stanowisko nie zgadza się z prawem". "Oczywiście - replikuje oponentka - bo po pierwsze wasze prawo jest złe i trzeba je zmienić, po drugie zamiast głądzić o prawie, należy usunąć źródło zbrodni". "Posłuchaj nas jednak - perswadują autorytety. - Twoje stanowisko nie zgadza się także z rozsądkiem. Jeśli warunki robią z człowieka zbrodniarza, to dlaczego w tych samych warunkach jeden zostaje zbrodniarzem, drugi nie? Cóż więc decyduje? Warunki czy skłonności zbrodnicze osobnika?" Na ten chytry argument, który ma obalić całe rozumowanie u podstaw, można odpowiedzieć, że przyjmując taką logikę, należałoby też twierdzić, iż na przykład chorób zakaźnych nie wywołują bakterie, tylko skłonności chorobowe osobnika, bo nie wszyscy chorują. "A coż za tępota! - sztydzi buntownicza myśl. - Czy mówią, że niemoralne skłonności, mającane lub większe u różnych ludzi, nie

istnieją? Ale tylko w warunkach, które stwarzacie, mogą się przeradzać w złe czyny. Po prostu warunki nie działają na wszystkich jednakowo". "A od czego zależy różnica? - odgryzają się jeszcze autorytety. - Bo o tę różnicę właśnie chodzi. Jak widać, zależy ona od cech osobnika, a zatem sedno rzeczy wcale się nie zmienia i my jednak mamy słusność".

Obie strony są przekonane, że dowiodły swoich racji.

"Zresztą - powiada myśl, trochę już zaperzona - wychodzę z waszych salonów. Nie mam zamiaru uczestniczyć w tych jałowych dyskusjach. Idę tam, gdzie zwywa mnie powołanie: do ludu".

Nic chyba nie wzbudza większego niepokoju wśród autorytetów niż groźba pokumania się tej krnąbrnej rezonerki z motłochem. I oto widzimy coś osobliwego: ten i ów biegnie za uchodzącą myślą, aby ją zatrzymać. "Ależ, droga polemistko - woła autorytet polityczny - dlaczego nie mielibyśmy dojść do kompromisu?". "Przecież i my - wtrąca się autorytet intelektualny - nie mówiliśmy nigdy, że przestępstwo nie zależy w pewnym stopniu od warunków". "Warunki mogą być okolicznościami łagodzącymi" - dodaje prawnik. "Jakkolwiek jest - konkluduje polityk - byłoby niepowetowaną szkoda, gdyby nasz twórczy dialog został przerwany. Sądzę, że tak znakomitą przeciwniczkę można by z czasem uznać za jeden z autorytetów, powtarzam - za j e d e n z autorytetów, jeśli oczywiście w partnerstwie z nami zechciałaby ona stosować się do zasad demokratycznego pluralizmu".

Alémyśl, która w tym momencie czuje się już mandatariuszką ludu odpowiada, że na takie zasady demokratyczne to ona gwizdże i nie da się skorumpować, po czym z ostentacyjnym hałasem wychodzi.

Odąd zaczyna się pokazywać w klubach robotniczych, chodzi na zebrania i wiece ludowe, szuka najlichszych dzielnic, baraków, slumsów, wieczorem zasiada w obskurnych szynkach z nożownikami: wszystko w nadziei pozyskania zwolenników. Ale wszędzie jest zaledwie gościem, przyjmowanym kwaśno, oglądanym spođe łba, by nie wspomnieć o reprimendach, guzach i szturchańcach, które też czasem obrywa. W odczuciu prostych ludzi jest przemądrzała, zbyt sztuczna i cudaczna. Gorzej nawet: wydaje się niebezpieczna.

Zaden prosty człowiek nie ma wątpliwości, skąd biorą się złe czyny. Jak to skąd? Popełnia je ten, kto nie boi się kary. Nikt nie ma też wątpliwości, czy coś jest złym czynem, czy nie jest. Wszystko na ten temat doskonale wiadomo od początku świata. Inaczej przedstawia się kwestia, kto za co powinien odpowiadać. Otóż warto się zgodzić z jednym: za nasze złe czyny odpowiedzialni jesteśmy nie my, lecz o n i. To jest ta atrakcyjna strona oferty, rzucająca się każdemu w oczy. Rzeczywiście, o n i mają nas w garści, więc jeśli wyrządzamy i m szkodę (a na nic lepszego nie zasługują) sami sobie są winni. Ale co będzie między nami? Jeżeli któryś z nas wyrządzi szkodę któremuś z nas, czy też będzie mógł powiedzieć, że odpowiada ją o n i? Albo może powie, że my? Ładnie byśmy wyglądali, gdyby miał panować taki porządek, że łobuz daje nam wycisk, a my jészoze za to odpowiadamy! W takim wypadku musi jednak odpowiadać sprawca. Chyba, że naszą odpowiedzialność za łobuza, który daje nam wycisk, należy rozumieć w innym sensie: jako nasze prawo do policzenia się z nim po swojemu, we własnym zakresie, b e z n i c h, tak tak żeby poczuł i żeby mu się odechciało. To rozwiązanie byłoby może dobre.

"Tym bardziej - wtrącają nagle dialektycy - że ten z nas, kto działa na naszą szkodę, jest narzędziem i c h, w gruncie rzeczy przestaje być jednym z nas, a staje się jednym z n i c h i jako jeden z n i c h , odpowiada. W istocie zawsze odpowiadają o n i".

Idealistka ma ochotę zarzucić, że taka gra słów nie zmienia faktycznego losu winowajcy i że właściwie w tym ujęciu wszystko zostaje po staremu, jeśli nie obraca się na gorsze. Lecz przypomina sobie, że coś podobnego słyszała już sama od autorytetów, toteż gryzie się pośpiesznie w język i milknie.

Dylemat jest nielada. Co robić? Przybrać wersję ludową? Znaczyłoby to - sprzeniewierzyć się własnej istocie. Nie paktować z ludem? A zatem wyrzec się jedynych naturalnych sojuszników? Sojusznikami mogą być tylko malkontenci, uprśledzeni przez system, bo przecież nie będą nimi zadowoleni przeżuwacze dóbr, którzy żerują na systemie i mają mentalność równą życiu duchowemu krowy. Wcisnąć się do ich zakutych głów?

Uparta myśl próbuje i tej drogi, aczkolwiek bez przekonania. Bywa czasem w domach "porządnych ludzi", urzędników, doktorów, dyrektorów, inżynierów, kupców. Towarzystwa te są bezkrytycznym echem autorytetów. Potrafią tylko powtarzać wpojone komunały. Jedyny pomysł, na jaki się zdobywają, to ten, że jest może pora, aby wreszcie przestano się cackać z kryminalistami, bo złodziejstwo i bandytyzm niesłychanie się rozpanoszyły w ostatnich czasach.

Idealistka najchętniej odłożyłaby na później zagadnienie kary, której dopuszczalność uważa za sprawę niemłą i w ogóle problematyczną. Tymczasem ta sprawa wypływa zawsze jako najpilniejsza. Ludzi mało interesuje pochodzenie czynów niemoralnych. Pytają przede wszystkim, co będzie z karami. Czują, że bałamutna myśl chce je bodaj znieść albo złagodzić, mimo że jedyną możliwą obroną przed zbrodniami jest, oczywiście, surowość. Według intuicji potocznej człowiek popełnia zbrodnię z różnych motywów, ale tylko wtedy, gdy się nie boi, obojętne - Boga czy policjanta. Trzeba go więc postraszyć jakoś gruntowniej i skuteczniej niż Bóg i policjant, którzy nie wiadomo dlaczego zawodzą. Myśl o zbrodni, nie zalecająca postrachu, jest niezrozumiała, najpewniej oszukańcza i wręcz podejrzana.

Ale nie koniec na tym. Jest jeszcze niesprawiedliwa. Obiegowe poczucie sprawiedliwości wymaga równowagi cierpień. Zbrodniarz nie powinien doznawać mniejszego cierpienia, niż sam zadaje. Raczej większego. Prócz ekwiwalentu za krzywdę ofiary należy się od niego nawiązka za złą wolę lub za dawanie demoralizującego przykładu. Mniejsza o zemstę. "Porządne" towarzystwa nie przyznają się do mściwości. Ich zdaniem, jak zdaniem prostaków, naddatek kary jest potrzebny po to, aby się "odechciało" nie tyle delikwentowi, co jego ewentualnym naśladowcom.

Idealistka nie pozostawia suchej nitki na całej tej arytmetyce. Trafia zarazem w punkt szczególnie czuły, bo obnaża nieuczciwość rachunku. "Dobre sobie! - mówi. - Przestępca ma płacić nie za to, co faktycznie zrobił, ale za czyny nie popełnione, w dodatku cudze. Na tym właśnie opiera się wszelka oficjalna sprawiedliwość! Na tym nadużyciu, na tym tchórzliwym oszustwie, które stanowi motywację praw. Czyż narzucenie ich ludzkości nie jest prawdziwszą i większą zbrodnią od wszystkiego, co uchodzi za zbrodnię?"

Rzecz ciekawa: pojąć coś nie coś z tej krytyki zdolne są jedynie autorytety. Podczas gdy idealistka wciąż jeszcze się miota między hipokryzją "porządnych ludzi" i tendencyjną etyką ludu, autorytety nie śpią. To one właśnie, te autorytety, wysłniane i porzucone przez niezależną myśl, zaczynają się same pod nią podszywać. Już się wzięły na sposób, już ją podrabiają, przystosowują, już gdzieś tam przedstawiają jako swoją. Już niby ta sama myśl, a nie ta sama, krąży tu i ówdzie po katedrach uniwersyteckich, po sądach, po ekranach kinowych, a nawet po ministerstwach i wręcz po ambonach. Treść ma właściwie nie zmienioną, tylko temperament inny. Cukierkowa jest jakaś, bez ducha buntu, grzeczna i trochę pretensjonalna jak ulica y adwokat.

A ta prawdziwa? Ta prawdziwa nie wątpi ani przez chwilę, że tamta sfałszowała. Na zjawiała się po to, żeby jej, prawdziwej, nie było żało. Wobec tego musi sama wkroczyć na arenę. Byłe z impetem i ostro! Nie ma już na co czekać. Podejmuje decyzję.

Nie znaczy to wcale, iż pogodzi się z pewną nieuniknioną konsekwencją własnej istoty i tkwiącej tam sprzeczności. Nadal nie rozumie, że nigdy nie zdoła za jednym zamachem uzyskać zgody wszystkich na uniwersalny przewrót, lecz zawsze będzie mogła tylko pobudzać kogoś przeciw komuś. "No więc może nie za jednym zamachem! - powiada. Może po kolei, na raty, byle do skutku!" Wierzy w to jeszcze. Ale chwilowo poświęci się rewolucji na możliwie największą skalę, osiągalnemu "tu i teraz". Ograniczy uniwersalistyczne aspiracje i skorzysta z maksymalnych szans, jakie się doraźnie otwierają, tych mianowicie, które stwarza jej marksizm.

Przeżywa potem wcale piękne czasy pod jego potężnym protektoratem. Ma to wspaniałe wejście na arenę, gdy pojawia się nagle z sierpem i młotem. Występuje w ryzsztunku dialektycznym, co bardzo dogadza jej naturze. Jakby na sto koni wsiadł! Jest w akcji, naciera, ścina przeszkody, idzie przebojem. Może być radykalna, bezwzględna, zażarta, czuje się w swoim żywiole. Znowu napędza gósiej skórki zbaraniałym zjadaczem chleba, nie wyobrażającym sobie nawet, że zasady etyczne tego

świata można zakwestionować. Ale coś, o czym musiała przecież wiedzieć wcześniej, zaczyna jej doskwierać. W jednym szeregu z marksizmem ma zbyt mało miejsca. Marksizm nie pozwala jej na rozmach całkiem swobodny, ponieważ marksizm odróżnia proletariata i burżuazję, wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, a do zagadnienia zbrodni i winy odnosi się selektywnie, w zależności od tego, kto, kiedy i po co dokonuje czynu uważanego "w sensie absolutnym" za zbrodniczy. Niepohamowana idealistka czyni nadzwyczajne wysiłki: raz po raz obciąża na siebie dialektyczny kostium, przełyka ślinę i opowiada się za stronnictwami klasową. Nie wytrzyma długo takiego samoparcia. Pokłada już nadzieję, w czym innym, w innej burzy, błyskającej na horyzoncie. Gdyby ta burza wstrząsnęła światem, idea uniwersalnego przewrotu i powszechnego przewartościowania pojęć zostałaby spełniona. Burzą tą jest anarchizm. Zafascynowana myśl czuje, że woli go od marksizmu.

Tu powinienem koniecznie powiedzieć, gdzie i kiedy toczy się cała historia, bo dalsze losy bohaterki zależą od miejsca akcji. Otóż inne będą te losy, jeśli rzecz dzieje się w jakimś kraju, w którym władzę przejmą marksiści, inne gdzie indziej.

Rządy marksistów rozpoczynają się od krótkiego okresu zawieruchy, kiedy bohaterka ogłasza po raz ostatni kilka radykalnych manifestów. Lecz niebawem gdzieś przepada i nikt o niej nie słyszy. Po latach pojawia się znowu, tak zmieniona, że trudno ją poznać. Zajmuje się skromną działalnością charytatywną, szukając aprobaty u "porządnych ludzi", urzędników, dyrektorów, doktorów i tak dalej. Trzeba dodać, że chodzi o kule. Pewnego dnia dostaje order za dawne zasługi, o czym ukazuje się wzmianka w gazecie. Komunikat akcentuje przede wszystkim, że na uroczystość wręczenia orderu przybył pierwszy zastępca autorytetu politycznego drugiej kategorii. Prawie nikt nie pamięta, jakie były zasługi bohaterki, ale i nikt nie stara się przypominać ich dokładnie. Jej samej na ogół się już potem nie widuje poza Domem Zasłużonego Inwalidy, gdzie mieszka na starość. Z rzadka tylko uczestniczy w mało ważnych posiedzeniach. Powoływana do prezydium, za stoły przykryte czerwonym płótnem i pełne butelek z lemoniadą, siedzi, piękna, sędziwa, oparłszy kule o poręcz krzesła, i w skupieniu bije brawo jak wszyscy.

Historia, którą mam opowiedzieć, nie toczy się jednak w kraju zwycięskiego marksizmu. Dlatego dalsza ewolucja i dzieje bohaterki przybiorą zupełnie inny obrót. Czytelnik wie, że miejscem akcji będą współczesne Włochy, przynajmniej główne wydarzenia tam się rozegrają. Otóż nie tylko we Włoszech, ale wszędzie, gdzie marksiści nie sprawują władzy, bohaterka nasza wcale nie łagodnieje, nie popada w apatię ani w potulną zgodliwość, lecz przeciwnie: staje się coraz gwałtowniejsza, następniejsza, ambitniejsza w roszczeniach, głosi anarchizm totalny i odrzuca wszelkie kompromisy. Znajduje wreszcie wyjście ze sprzeczności, z których tak długo nie umiała się wywikłać. Robi proste odkrycie. Ponieważ musi opowiedzieć się za kimś przeciw komuś, pojmując, że w konstytucji może tylko opowiedzieć się za przestępcami przeciw społeczeństwu. Konstatauje to otwarcie i bez lęku.

Nie przypomina już dawnej myśli o współwinie przestępcy i środowiska. Tamtą swoją treść, spopolitowaną doazwyczajnie we współczesnej kulturze Zachodu, odstępuje autorytetom. Twierdzenie, że przestępca i środowisko są współwinni, nie zadziwi dziś nikogo, co nie znaczy, oczywiście, że wszyscy je akceptują. Aby pozostać siłą przebojową w kulturze Zachodu, myśl nonkonformistyczna musi wysuwać kolejno twierdzenia coraz odważniejsze. Wysuwa je więc, zmieniając stopniowo tezy umiarkowane na skrajne. Mówi: środowisko ponosi większą winę niż przestępca, niektórych przestępstw nie należy karać, właściwie jednak przestępca nie ponosi żadnej winy, całkowitą winę ponosi środowisko, żadnego przestępstwa nie należy karać, przestępstwo, będąc skutkiem złych warunków, daje znać o wadliwości systemu, jest więc pożyteczne, mało tego, przestępstwo podpopiera system, jest więc pożyteczniejsze od wszystkich możliwych działań ludzkich, samo pojęcie przestępstwa jako zła to absurd, wszelkie prawo ograniczające swobodę przestępcy stanowi zbrodnię, wszelkie zapobieganie przestępstwu też jest zbrodnią, przestępcy należy pozwolić, aby rotli, co chce, był, czym chce, tylko w ten sposób ludzie mogą stać się wolni i szczęśliwi.

Głosząc to wszystko, myśl sprawia wrażenie, jakby już nie była myślą, co pasją i afektem. Jest przepokniona emocjami, podświadnie nienawidzi, a również ma sympat

tie. Wcale nie odnosi się jednakowo do każdego przestępstwa i każdego przestępcy. Nie lubi na przykład oszusta, malwersanta, łapownika, aferzysty, nie toleruje zdziercy, nade wszystko nie znosi policjanta nadużywającego władzy, nie cierpi gwałtu opartego na przewadze urzędowej, wyższości ekonomicznej albo przywileju klasowym.

Akceptuje za to włamywacza, rzeźmieszka, gwałciciela, pospolitego bandytę, czci terrorystę i zamachowca, lecz naprawdę kocha tylko sprawcę gwałtów spontanicznych i cokolwiek bezinteresownych, człowieka młodego (to konieczne) kierującego się "naturalnym" instynktem, słowem: typ ^{413/11} "naturalnego brutalą, bez zasad i skrupułów, z duszą dionizyjską, romantyczną, natchnioną, na póły dziecięcą, na póły zbrojecką. Taki jest ideał osobowy tej myśli-emocji, a wybór ideału potwierdza niejako jej żeńską naturę. Okaz, w którym się zakochała, nie przyszedł na świat ani dziś ani wczoraj, czuje się w nim bodaj krew nietscheańska, by nie wspomnieć o innych parantelach. Ale kochająca myśl traktuje go jak objawienie pierwsze, jedyne i z niczym nieporównane. Dalsze jej życie wypełniają głównie umizgi miłości do tego młodzieńca.

Romans tych dwojga można obejrzeć w kinie.

Tak też będzie najlepiej, bo pora wreszcie skończyć przydługą wstępną i opowiedzieć o filmie.

Muszę tylko dodać, że o wszelkich amorphach myśli z fascynującymi brutalami mam bardzo złe zdanie, a w ogóle moja bohaterka od dawna przestała mi się podobać.

II.

Film Kubricka "Mechaniczna pomarańcza" był wyświetlany w Polsce tylko na "Konfrontacjach" i oglądał go mało kto. Nie należałem do tych widzów. Powieści Burgessa, którą Kubrick sfilmował, nie przetłumaczono na język polski, a po angielsku nie czytał jej w Polsce prawie nikt. Jak większość Polaków, nie znałem ani filmu, ani książki, gdy wiosną roku 1974 w Rzymie poszedłem do kina "Farnese" zobaczyć "Mechaniczną pomarańczę" na ekranie, mniej więcej trzy lata po jej premierze.

Kino było "studyjne". Mieściło się na rogu Campo de' Fiori i Via Giubbonari obok taniej garkuchni i baru kawowego, odwiedzanego głównie przez młodzież. Miało dość obskurne wnętrze, złą wentylację i bardzo dobry repertuar. Wybrałem się tam wieczorem, kiedy sprzedawcy jarzyn, ryb oraz tradycyjnych kwiatów okupujący Campo de' Fiori za dnia, zdążyli już sprzątnąć swoje stragany. Na bruku zostały tylko odpadki po warzywach, woda wylana z wiader i brudne papiery. O tej porze miejsce przekupniów zajmował kto inny. Zajeżdżali na rowerach i motocyklach młodzi bywalcy kina "Farnese". Ponadto plac zaludniał się tłumem włóczęgów bez określonego zajęcia, dziewczyn bez określonego towarzystwa, spekulantów bez określonej branży, pośredników bez klienteli, intelektualistów bez wykształcenia, artystów bez profesji, a także młodocianych rewolucjonistów, kolporterów ulotek, bojówkarzy i kontestatorów, gromadzących się w tym miejscu na zbiórki i bojowe narady. Wszyscy ci ludzie z osobna i cały tłum, razem wzięty, mieli z pewnością jakiś cel, i to bardzo stanowczy, chociaż trudno byłoby powiedzieć dokładnie, jaki.

Pośrodku placu stał, oczywiście, na cokole Giordano Bruno, tu właśnie spalony na stosie i po niespełna trzystu latach uhonorowany pomnikiem. Jednak wywrotowcy z Campo de' Fiori schodzili się pod pomnik w okronie innego męczennika. Ten nie nazywał się Giordano Bruno, lecz Achille Lollo, a z cokołu rzucało się w oczy nie historyczne nazwisko renesansowego myśliciela, lecz współczesnego bojownika ze skrajnie lewicowej organizacji "Potere operaio", wypisane kredą na szarym kamieniu. Towarzyszyło mu żądanie, aby niesłusznie więziony Lollo wypuszczony został na wolność. "Lollo libero!" - głosił napis pod pomnikiem. "Lollo libero!" - powtarzały dziesiątki napisów na okolicznych murach. "Lollo libero!" - domagały się plakaty, sporządzone węglem przez grafików amatorów. Nie wiem, czy Lollo rzeczywiście zrobił to, o co był oskarżony. Aresztowano go pod zarzutem, że wylał kanioster benzyny i podpalił mieszkanie pewnego działacza neofaszystowskiej partii MSI.

Faszysta z żoną i córkami ocalał, ale dwaj jego synowie, jeden dorosły, drugi ośmiolatek, spłoneli żywcem.

Na seans do kina przyszedłem z małym opóźnieniem. Gdy przerychałem się w tłoku i ciemności, szukając wolnego krzesła, dobiegała już końca czołówka filmu, grzmiąc Beethoven i widać było twarz, której się nie zapomina. Z ekranu uśmiechał się młody mężczyzna w czarnym kapeluszu. Wyglądał na osobienie siły, perwersji i arogancji. Można by tak powiedzieć, gdyby nie był trochę błaznem. Poza czarnym kapeluszem miał jeszcze przy jednym oku doklejone rzęsy nienaturalnej wielkości. Człowiek ten (grał go świetnie Malcolm McDowell) odezwał się wkrótce przedziwnym żargonem. "Było nas czterech - mówił. - Alex, czyli ja, moi kumple, czyli Pete, Georgie i Dim. Siedzieliśmy w barze i myśleliśmy, co zrobić z wieczorem". Film był dubbingowany. Wymowa włoska jest bardzo jasna i wyraźna, toteż zdumiało mnie, gdy zaczęły się pojawiać dziwne brzmiące słowa, których początkowo nie mogłem zrozumieć ani skojarzyć z kontekstem, choć wydawały mi się jakby znajome. Dopiero po chwili wyróżniłem jedno z nich, szczególnie dobitnie akcentowane, a mianowicie: "choroszo". Urzęsiony błazen mówił po włosku, wtrącając wyrazy rosyjskie, na przykład sam siebie nazywał "malczik". (W przyszłości miałem się dowiedzieć, że Burgess każe bohaterowi swojej książki posługiwać się podobną mieszanką językową angielsko-rosyjską. Ale używając słowa "choroszo" w znaczeniu "dobrze", pisze je "horrorshow", dzięki czemu "dobrze" utożsamia się z pokazem okropieństw i zaczyna znaczyć "potwornie").

Kumple, zebrani w barze, nic nie wymyślili. Wyszli na miasto bez jasnego planu. W pasażu pod wiaduktem spotkali starego żebraka. Był pijany, leżał na betonie i śpiewał. "Nie znoszę pijanych, brudnych dziadów" - wyjaśnił narrator. Znasakrowali tego starca, który w dodatku skrzeczał coś o "prawie i porządku". Ciekawe, że to on właśnie użył takich słów. Poszli dalej.

Zajrzeli do opustoszałego kabaretu lub czegoś w tym rodzaju, ale wpadli na bandę opryszków w panterkach i esesmańskich ozapkach, zajętą akurat gwałceniem jakiejś dziewczyny. Wszczęli bójkę, rozprawili się ze wszystkimi, dziewczyna uciekła. Groził nalot policji, zdążyli jednak ukraść samochód i odjechać. Po drodze wywołała serię wspaniałych katastrof. Kilka wozów i kilku motocyklistów, zepchniętych z szosy, zleciało na kół na szyć, efektownie koziółkując. Było naprawdę "horrorshow". W tym nastroju obmyślili, czym dopełnić uciech wieczoru. "Rozglądaliśmy się jeszcze, do kogo można by wstąpić z niespodziewaną wizytą" - opowiadał Alex.

Wstąpili do pewnego pisarza. Trafiała się willa na uboczu, dość luksusowa, otoczona drzewami, w tym domowym, niemal wiejskim zaciszu samotne małżeństwo: on - ubrany w szlafrok, starszy już, chyba po pięćdziesiątce, siedział przy maszynie i pisał, ona - młoda, w trykocie bordo, czytała książkę. Przybyli nie wstawiali się sika. Zadzwonili. Do drzwi podeszła żona. "Przepraszam - powiedział Alex. - Miałem okropny wypadek. Mój kolega jest ranny, leży na szosie i strasznie krwawi. Trzeba wezwać pogotowie. Czy mogę skorzystać z telefonu?" Zwróciłem uwagę na wybór podstępu. Aby domownicy dali się podejść, Alex musiał utrafić w jakąś ich słabość. Otóż założył z góry, że tą słabością będzie konwencjonalny odruch przyzwyczajenia. Założył słusznie. Żona nie chciała otwprzyć, ale interweniował pisarz: niech jednak wpuści tego człowieka potrzebującego pomocy. Wtargnęło od razu czterech i po chwili pisarz leżał związany na podłodze z kneblem w ustach. Zanim Alex dobrał się do żony, zatańczył na biurku pisarza. Kumple obezwładnili tymczasem żonę. Śpiewając sentymentalną piosenkę o deszczu i miłości, Alex pociął nożyczkami trykot bordo, spuścił spodnie, krzyknął jeszcze do pisarza: "Przyjrzyj się dobrze, braciszku!", po czym zgwałcił żonę.

Pisarz miał plaster na ustach, oczy wypełzały mu z orbit, ale jakoś tak wyglądał, że nie budził podziwu ani sympatii. Trudno powiedzieć, co było przyczyną, coś jednak nadawało tej scenie taki charakter, jakby mieszkańcy willi zasługiwali w gruncie rzeczy na wszystko, co ich spotykało od napastników. Być może, decydowały względy estetyczne. Domatorstwo małżonków tchnęło martwością i banałem, w najlepszym razie minoderią i kiczem, gwałt zaimprovizowany przez nocnych pogromców wydawał się piękny. W czarnych kapeluszach i białych, obcisłych kostiumach, z maskami na twarzach, z przyprawionymi, długimi nosami, nie przypominali bandytów, lecz mirmów. Alex, lunatyczny tancerz na czele tego korowodu, był porywający. Pisarz był

tylko ofermą, niedołącznym trutniem, który jakby żył. Żona z nagimi piersiami, wycierającymi przez otwory wycięte w trykocie, była na swoim miejscu, gdy ulegała Alexowi. I te egzotyczne, niezrozumiałe wyrazy rosyjskie były na miejscu. Spojrzaniem po sali. Widzowie w pół leżeli na krzesłach, rozluźnieni, nonszalanicy, niektórzy porzucali nogi na oparcia krzesła w następnych rzędach, chłopcy obejmowali dziewczęta, dziewczęta całowały chłopców, ktoś klaskał, ktoś się śmiał, i w tym bezładzie, w tej duchocie, pełnej dymu, bo palono także papierosy, cały tłum buzował, pożądał, pragnął czegoś nieokreślonego jak na placu i ochłonał wśród szmarów podziwu piękno gwałtu, skojarzone z podniecającą tajemniczością słów rosyjskich. A słowa były na miejscu, bo tłum nie wątpił, że przecież takich samych słów muszą używać Rosjanie, ci szczęśliwi, żywiołowi ludzie, którzy już dawno zrobili rewolucję, zdruzgotali kapitalistyczne okowy, krepujące osobowość, i są nareszcie wolni jak nikt na świecie.

Tego samego wieczoru, zaraz po wyjściu na dom pisarza, potwierdziło się, że względy estetyczne miały rzeczywiście wielki wpływ na postępowanie Alexa i że wrażliwość estetyczna była istotną cechą jego natury, co wcale nie przeszkadzało skłonnościom agresywnym. Wyszło to na jaw już w barze, gdzie przyjaciele wrócili na krótko, by nieco ochłonać po wyczerpującej eskapadzie. Przypadkiem nadarzyła się sposobność usłyszenia kilku taktów Dziewiątej symfonii Beethovena. Alex był bardzo wzruszony, a gdy jeden z kumpli nie uszanował muzyki, "szef" zirytował się i zdrzebił go laską. W domu puścił sobie potem taśmę z tą symfonią. Słuchał jej długo, popadając w halucynacje i stany ekstatyczne, póki nie zasnął.

Nazajutrz okazało się jeszcze wyraźniej, że postępowaniem Alexa kierują reguły, które muszą się podobać. Prócz zmysłu estetycznego miał on pewną zdolność intuicyjnego osądu ludzi i wartości. Wyrażało się to w działaniu. Odruchy jego natury, nie znającej skrupułów, były zawsze brutalne, ale były też zawsze instynktownymi wymiarami sprawiedliwości w stosunku do jakiegoś świństwa, zgnilizny moralnej, idiotyzmu, kądactwa lub obłudy. W gruncie rzeczy Alex górował jako człowiek nad całym otoczeniem: nad głupawą matką, nad ojcem, też imbecylem, pozławionym wszelkich uczuć, nad kuratorem z poprawczaka, oblesnym homoseksualistą, nad partnerkami przygód miłosnych, przebiegających z szybkością błyskawicy i automatyzmem maszyny, wreszcie nad kumplami, predestynowanymi duchowo raczej do roli policjantów niż pogromców ohydy świata, bezinteresownych, mężnych i natchnionych przez Beethovena. Co więcej, Alex górował moralnie także nad swą główną ofiarą, mianowicie nad kobietą, którą tego dnia zamordował.

A było to tak: kumple zażądali "skoku". "Coś zabawy, szefie - powiedzieli. - Kiedy wreszcie będziemy crast?" (Domyśliłem się, że to znaczy "kraść"). "Jest taka jedna bogata ptaszyna, ma dużo pieniędzy i mieszka sama z kotami. Załatwimy ją dzisiaj". "Po co? - pytał Alex. - Jeżeli czegoś potrzebujecie, samochodu albo babki, możecie to mieć w inny sposób. Po co wam pieniądze?" Alex był miłośnikiem improwizowanych awantur, a nie rabunków umyślnych i zorganizowanych. Kumple wszczęli jednak bunt. Musiał ich poskromić. Zrobił to zresztą pod wpływem spontanicznego impulsu, ot tak po prostu, przechodząc przez mostek nad kanałem, stracił ich zienacka do wody, a potem jednemu rozharatał jeszcze rękę nożem. Pomogło. Uznali wyższość szefa. Do kobiety z kotami wybrali się mimo wszystko, lecz wszedł do niej tylko Alex, kumplom kazał poczekać.

Przy drzwiach próbował użyć tej samej metody, co z pisarzem: opowiedział bajeczkę o rannym koledze. Spotkał się jednak z odmową, kobieta przypomniała sobie wypadek opisany tego dnia w gazecie i zdażyła zadzwonić na policję, zanim Alex dostał się do mieszkania przez okno. Intencje miał niejasne. Właściwie przyszedł się tylko podroczyć. Przede wszystkim zwrócił uwagę na rzeźbę, przedstawiającego obrzytnego phallusa w erekcji. Kobieta krzyknęła, żeby wynosił się natychmiast i nie dotykał rzeźby. Alex nie robił nic złego, rozglądał się po obrazach, opukiwał palcami monstrualne prace i mówił impertynencje. Kobieta chwyciła wreszcie coś ciężkiego, co jej trafiło pod rękę, a przypadkiem był to odlany w brązie biust Beethovena. Wówczas Alex porwał oburącz phallusa-giganta i uderzył nim kobietę. Było rzeczą jasną, iż nie chciał zabić. Działał z innych pobudek, prawdopodobnie kilku naraz: w obronie własnej, w przypływie podniecenia płciowego i zarazem wstrętu do tej właśnie kobiety, a także ze złości na profanację Beethovena.

Na tym skończyły się gwałty Alexa. Nie przewidział dwóch rzeczy: że cios okaże się śmiertelny i że w dodatku kumple wezmą odwet za nauczkę, której im przedtem udzielił w kanale. Gdy wychodził, stali zaczajeni pod bramą. Wyrznęli go bu-telką w twarz i zwiali. Ranionego Alexa zgarnęła bez trudu policja.

Alex miał nieszczęście żyć w bliżej nieokreślonym państwie, gdzie panowała demokracja parlamentarna z właściwym jej zakłamaniem i opaczną sprawiedliwością. Kto był tam naprawdę zbrodniarzem, a kto ofiarą, pokazało się, gdy do akcji przystąpili oficjalni stróże prawa. Ponieważ napađnięta kobieta zmarła, Alex odpowiadał za morderstwo. Już w czasie śledztwa znęcał się nad nim jakiś zwyrodnialec. W ogóle trzeba powiedzieć, że w policji były straszne bydlęta. Jednak nie na ich okrucieństwie polegała największa perfidia systemu. Tortury fizyczne wkrótce ustały. Sąd wymierzył Alexowi karę czternastu lat więzienia. A potem zobaczyliśmy raptem skazańca pozbawionego kapelusza i kostiumu, wciśniętego za to w garnitur i krawat. Słuchał kazań w kaplicy więziennej, czytał Piśmo święte w bibliotece albo rozmawiał z kapelanem. Mało tego. Rząd, ubiegając się o głosy wyborców, wpadł na pomysł dokonania zasadniczej reformy systemu penitencjarnego.

Tu film wkroczył w sferę fantastyki naukowej i politycznej. Naukowej, ponieważ środki, których reformatorzy chcieli użyć, nie zostały jeszcze wynalezione, a politycznej, ponieważ rząd, który by takie środki stosował, nie musiałby się niepokoić o wynik wyborów. Jednak w filmie posłużono się fantastyką nie po to, by przedstawić świat hipotetyczny, lecz dla krytycznego przejawienia rzeczywistości. Nie dałoby się zaostrić obrazu w tak wstrząsający sposób, gdyby film poprzestał na materiale realnym, zaczerpniętym - przypuśćmy - z życia Anglii.

Inicjatorem reformy był minister spraw wewnętrznych. Przestępców nie zamierzano już przetrzymywać w więzieniach, ale powierzać psychiatrom. Ci mieli przekształcać ich osobowość, pozbawiać instynktu agresji oraz wszelkich popędów, które pchały tych ludzi do zbrodni. Wystarczało poddać kryminalistę dwutygodniowej "kuracji". Po odpowiednich zabiegach medycznych osobnik stawał się nieszkodliwy dla otoczenia i mógł wrócić do uczciwego życia na wolności. Minister twierdził, że jest to najhumanitarniejsze rozwiązanie problemu, jakie można sobie wyobrazić. Z niejasnych przyczyn rezerwował jednak więzienia dla przestępców politycznych, a miało ich być zatrzęsienie. Ministrów nie przyszło do słowa, że ze stanowiska rządu korzystniej będzie zacząć od "wyleczenia" wrogów reżimu. Ale mniejsza o to. Nową metodę należało jeszcze na kimś wypróbować. Minister osobiście poszukał kandydata. Wybór padł na Alexa, który już sam coś słyszał o możliwościach wyjścia z kryminału w taki sposób i o niczym innym nie marzył.

Zabiegi były dość proste. Pacjent otrzymywał zastrzyk wywołujący niesłychanie przykre doznania, ale dopiero pod wpływem pewnego dodatkowego bodźca. W przypadku Alexa tym dodatkowym bodźcem był widok przemocy lub seksu. Po zastrzyku zmuszano go do obejrzenia kilku krótkich filmów z odpowiednio dobranymi scenami. Morderstwo bezbronnego, gwałt tuzina dragonów na zemdlonej dziewczynie, jakieś sceny wojenne, palenie miasta, parada esesmanów, przelot bombowców: wszystko to wywołało uczucie nęki, dławienia, wręcz konania. Alex siedział przywiązany do krzesła, z elektrodami na głowie i nie mógł zamknąć oczu, ujętych w specjalne rozwieracze. Miało to pewne znaczenie symboliczne: przeinaczano jak gdyby jego naturalne widzenie i narzucano pożądany sposób patrzenia na świat. Któregoś razu za podkład muzyczny do filmu o bestialstwach hitlerowców posłużyła Dziewiąta symfonia Beethovena, wskutek czego zaszczerpiono mu idiosynkrazję także do tej symfonii. Po pewnym czasie nie potrzebował już zastrzyków. Wyrobiono w nim odruch warunkowy: dostawał strasznych torsji w zetknięciu z każdym przejawem gwałtu. Był uleczony.

Wyniki "kuracji" przedstawił na pokazie publicznym sam minister. Dawna agresywność Alexa zmieniła się w zupełną potulność. Maltretowany przez jakiegoś gburę, nie zdradzał nawet ochoty do obrony. Na żądanie wylizwał but prześladowcy. Nagiej dziewczyny, którą mu podsunęto, nie dotknął. Wszyscy bili brawo. Jeden kapelan miał zastrzeżenia. "A gdzie wolność wyboru?" - protestował. - Ten chłopiec przestał być złoczyńcą, ale stracił też zdolność moralnego wyboru". (Sam Kubrick, objaśniając potem w jednym z wywiadów ideę filmu, nawiązał do myśli kapelana: "Jest rzeczą konieczną, by człowiek mógł wybierać, czy ma być dobry czy zły, nawet jeśli wybieraliby zło. Pozbawienie go tego wyboru równa się zamianie człowieka na coś niższego

od istoty ludzkiej: na mechaniczną pomarańczę"). "To są zbytne finezje, proszę ojca - stwierdził minister. - Chcemy zlikwidować przestępczość i opóźnić więzienia".

Wystarczyło kilku kroków "na wolności", aby sztucznie wywołany u Alexa zanik brutalnych instynktów doprowadził do katastrofy. Najpierw nieładzcy rodzice odciwili synowi dachu nad głową, bo mieli nowego sublokatora. Następnie, gdy wahał się bezdomny po mieście, rozpoznał go dziad spod wiaduktu. Straszna była zemsta tego potwora. Cała zgraja rozwścieczonych, bezzębnych, nieprawdopodobnie plugawych starców opadła Alexa i bykaby go chyba rozzerwała na strzępy, gdyby nie pojawili się policjanci. Ale kimże byli ci długowłosi, uśmiechnięci młodzieńcy w policyjnych mundurach? To dawni kumple Alexa służyli teraz w policji. Ci mu dopiero wzołili! Wywieziony w podmiejskie zarośla, topiony w kadzi z wodą, zbity, złany krwią, mało ducha nie wyzionął. Gdy go wreszcie porzucili, dowlóknął się ostatkiem sił do najbliższego domu. Tu dopędko się, czego jeszcze brakowało: dom był willą pisarza.

Żaden bilans wzajemnych krzywd nie wypadł tak kompromitująco dla byłej ofiary i tak bardzo nie rozgrzeszył pierwotnego winowajcy, jak rozrachunek z pisarzem. Niekzemność tego hipokryty przewyższyła wszystko. Ależ owszem, udzielił pomocy. Kapiel, obiad, proszę bardzo. Celem jednak był po prostu mord. Pisarz należał do opozycji, pozornej, oczywiście, włączonej w "establishment", nie starającej się o zniszczenie porządku społecznego przemocą, lecz tylko współzawodniczącej z rządem w demagogii i cynicznych machinacjach. Gdy zorientował się, kogo ma w rękach, zwiertzył przede wszystkim możliwość uknucia intrygi politycznej, która przekreśliłaby szanse wyborcze rządu. Pokucie Alexa przez policję mogło być nie lada kąskiem dla prasy opozycyjnej. Ale pisarz chciał srebroparować jeszcze lepszy numer. Sprowadził swego protektora politycznego i zaufaną dziennikarkę, wspólnymi siłami wydobyto z Alexa odpowiednie wiadomości, między innymi o uczuleniu na Dżewiątą symfonię, uspiono go jakimś narkotykiem, po czym przewieziono do innego domu i zamknięto na klucz. Tu miał się zdarzyć nieszezęśliwy wypadek, potrzebny opozycjonistom. W sąsiednim pokoju przygotowali płytę z Beethovenem i dobre głośniki. Czekali tylko na przebudzenie Alexa, żeby tę płytę nastawić. Rozpaczliwych krzyków, które się potem rozległy, słuchał pisarz w ukojnym rozamięleniu. Tortura była tak nieznośna, że oszalały Alex wykoczył przez okno.

Nie zginął. Skończyło się długim pobytom w szpitalu. W gruncie rzeczy ten samokójczy skok przerzucił go tylko ze szponów pisarza w łapy ministra. Rząd, przerażony fatalnymi następstwami swego eksperymentu, musiał teraz wszystko odrobić. Jakos tam zrosły się pokamane kości, należało jednak przywrócić Alexowi naturalną osobowość. I z tym uporali się psychiatrzy. W końcu minister przybył osobiście do szpitala, by pozyskać sobie przyjaźń i "współpracę" Alexa w zwalczaniu opozycji. Rozrzekł wzajemną ciepłą posadkę i dobrą pensję. "Rozumiemy się, przyjacielu? Czy mogę panu mówić Alex? Jestem Fryderyk". Alex wyraził zgodę na współpracę i bruderszaft: "Fajnie. Możesz na mnie polegać, Fred". Natychmiast weszli fotografowie i zrobili zdjęcia: minister w serdecznej rozie z Alexem. Nie było wiadomo, czy Alex, ta ofiara stosunków, ten ubezwłasnowolniony przedmiot, odbijany sobie nawzajem przez rząd i opozycję, dał się rzeczywiście pochwycić ministrowi, czy też jego zgoda na współpracę jest sarkazmem, jadowitym błazenstwem człowieka, który odżył dawcą, suwerenną naturę, nie załamk się, lecz chytrze zaczął, a niebawem robi jeżywą godziwą rzecz, jaką zrobić powinien: rzucił się temu plugawemu światu do gardła. Nie było wiadomo, jak będzie, bo film się właśnie kończył.

Ale pod koniec zabrzmiała jeszcze raz Dżewiąta symfonia, Alex ukazał się na moment w kopulacji z kobietą i wszystko to razem wydało się apoteozą męskości, siły, samej radości - iskry bogów, jakby pomiędzy muzyką Beethovena i odżywającą triumfalnie popędem płciowym zachodził mistyczny związek i jakby triumfowała, a raczej miała dopiero zatriumfować wielkość, wzniosłość i oczywista racja gwałtu. Ten sens wypłynął z dźwięków symfonii i zarazem z całego filmu, tym wypełniła się przestrzeń, cały ekran i cała sala, nie można było tego kwestionować ani analizować, ani się nad tym zastanawiać, bo zostało to powiedziane nie do unyśtu, lecz do szpiku kości.

Zerwaliśmy się z miejsca, oszokowani takim dźwiękowo-obrazowym, cudownie ko-

lorowym podbechtaniem naszego instynku i uczucia, przejęci na wskroś naocznością faktu, że gwałt jest przyrodzonym dobrem człowieka, pewnie jedyną szansą życia. Mieliszy w głębi naszych jaźni krwawą jasność, nie myśl, nie pogląd, ale krwawą, gorącą jasność, która mówiła: o, właśnie tak, właśnie tak jest i niech będzie. Zmrużyłem oczy. Chciałem otrząsnąć się ze zbyt rażącej jasności. Ale zaraz wleciał mi pod powieki wir przepięknych, kolorowych widoków, były tam różne obrazy, które zapamiętałem z filmu, Alex tańczący, Alex mordujący phallusem, halucynacje Beethovenowskie, a wszystko jasne aż do bólu. Otworzyłem oczy, I wydało mi się, że krwawa jasność bije z publiczności. Widzowie w chmurach dymu zdejmowali nogi z oparc krzeseł, podnosili się z legowisk, a twarze brodate tu i ówdzie i głowy ogromne we fryzurach "afro" jak w aureolach pały jasnością. Tupot się rozległ, kłopotanie, szuranie, tłum taki świecący ruszył do wyjścia i wylegliśmy wszyscy na Campo de' Fiori. Trwało jeszcze zgromadzenie koło pomnika, tylko ognisko rozpalono tymczasem pod cokołem na rozgrzewkę.

Byłem w tym kinie z włoską dziewczyną. Drobną, wielkooką, żywa jak iskra. Jej zainteresowania: literatura, socjologia, lecz przede wszystkim komunizm. To, że jest komunistką, było pierwszą rzeczą, którą mi o sobie powiedziała, kiedyśmy się poznali, i natychmiast zapytała, czy też jestem komunistą. Potem jeszcze mówiła, jakich pisarzy lubi. Tych, których nie lubi, przeznaczała na rozstrzelanie: paf! paf! paf! Mało kto ocalał: Szekspir, Dostojewski, Sartre. Uchowali się również tacy, jak Oscar Wilde i Baudelaire. "Zoli pozwolimy napisać "J'accuse" i zaraz go zabijemy". Leopardi, Tomasz Mann, Ionesco mieli być rozstrzelani bez pardonu. Oszołomiły mnie te masowe egzekucje. "Zartuję przecież - powiedziała. - Tylko ciebie, amore, będziemy jeszcze musieli zabić". Z nią więc byłem w kinie. Po seansie wstąpiliśmy do baru napić się czegoś. Papierosów zakrakło. Kupiłem od faceta, który miał przemycane i zawsze tam dyżurował z torbą. Pijemy, palimy, ona - porwana filmem, ja też nie mogę ochłonąć, ona - cała prześwietlona jasnością, ja mam jakieś "ale", chcę powiedzieć i nie mówię, boję się, bo ledwie zaczynam, od razu coś boli, coś mi zapiera dech, jakby sztuczny zabieg przemysłowy przekształcono mi osobowość, i nagle uświadamiam sobie, co mi zapiera dech i co boli: dziewczyna. Aha - myślę - sam film nie działa, dopiero w połączeniu z dziewczyną. Więc to tak? Stąd jasność? Za stary jestem po prostu - uznałem - a ona młoda, wszystko polega na strachu, że ktoś jest za stary. Ciekawe, czy z tego samego powodu nie powstał film.

Ni stąd; ni zowąd dziewczyna zapytała:

- Ty właściwie gdzie się urodziłeś?

Drgnąłem.

- We Lwowie.

- Co to takiego? Jakies miasto w Polsce?

- Wtedy należało do Polski.

- Kiedy?

- Wtedy, kiedy się urodziłem.

- Nie rozumiem. A teraz co się z nim stało?

- Należy do Związku Radzieckiego.

Zdziwiła się.

- Nie wiedziałam. To tam się urodziłeś?

- Tak.

- O, jak pięknie! - zawołała nagle. - Jesteś Rosjaninem!

- Nie jestem żadnym Rosjaninem.

- Jesteś Rosjaninem!

- Idiotka!

- Nie - szepnęła.

Roześmiała się, zakolysała, zrobiła półobrót, wyglądało to na rodzaj tańca. Niespodzianie przysunęła się, pochylona jak bokser idący do zwarcia, i zadała mi kilka szybkich pchnięć w tułów.

- Jesteś Rosjaninem! Jesteś Rosjaninem! Jesteś Rosjaninem!

A potem tak jakos spojrzęła, że zrozumiałem sens jej nalegania i przestałem protestować: to było wyznanie miłosne.

III.

Przez całą zimę wybuchały rozruchy we włoskich więzieniach. Zdarzało się to i dawniej, ale należało jakby do zjawisk natury: przychodziło latem, gdy pobyt za murami stawał się nieznosny wskutek upałów. Tym razem wstrząs miał inny charakter i zasięg. Targnął więzienia o niezwyklej porze i z niesłychaną siłą. Nie było chyba tygodnia bez rewolty więźniów to w tym, to w innym mieście. Czasem z nieszuki trwały kilka godzin, czasem kilka dni, w rzymskiej "Rebibbia" ciągnęły się dwa miesiące z górą.

Zaczynało się prawie zawsze w ten sam sposób: po obejrzeniu telewizji albo po spacerze na podwórzu więźniowie oświadczały, że nie wrócą do cel. Szczególnie w niedzielę, po transmisjach z meczów piłkarskich ogarniała ich ta gorączka. Może działało się tak pod wpływem ekscytacji sportem lub świeżym powietrzem, może w niedzielny wieczór natarczywiej niż kiedy indziej przypominały się kobiety, a może po prostu ze względów technicznych była to najdogodniejsza okazja do zorganizowania ruchawki. Bądź co bądź, w tych momentach rozlegały się nagle protesty i rozmaite żądania, na przykład "chcemy piecyków elektrycznych" albo "chcemy reformy kodeksu karnego". Wkrótce chór skandował te hasła. Przede wszystkim jednak część rebeliantów usiłowała wyjść na dach, co się zazwyczaj udawało, bo strażnicy popadałi w panikę.

W ogóle bunty odbywały się głównie na dachach. Wynikało to stąd, że dach mógł stanowić w pewnym stopniu trybunę publiczną. Okrzyki wznoszono z dachu słychać było w całej okolicy, a niekiedy widać było samych więźniów i rozpostarte transparenty. Jeśli okupacja dachu trwała dłużej, z miasta nadchodziła przeważnie jakaś pomoc. Grupy młodych ultralewicowców przybywały z manifestacjami solidarności, zdarzało się, że po linie ukreconej z prześcieradek wjeżdżały na dach puszki konserw, papierosy i owoce.

Ci, którzy zostali w celach, też nie próżnowali. Do ich zadań należało zabarykadowanie terenu po ucieczce strażników, rozpalenie na dziedzińcu potężnego ogniska, ślawowanie, bicie menażkami w kraty, drzwi, okna, powtarzanie tej czynności do upadłego, również nocą, niszczenie wszelkich urządzeń, sprzętów, pościeli, aby nic nie nadawało się do użytku. Znosili więc nadziedziniec materace, rzucali w ogień koce, ławki, stołki, łamali, darli i palili, co się dało. W razie potrzeby rozpoczynał się strajk głosowy. Żaden buntownik nie stawał, oczywiście, do pracy. Ludzie na dachu uzbrajali się w kamienie, cegły i dachówki. Byli skłonni do pertraktacji, ale z wyższymi władzami, nie z kierownictwem więzienia. Żądali, by odwiedziły ich dziennikarze, których sami wskażą. Domagali się pewnych doraźnych ulg, ogólnych reform i gwarancji, że nikt nie zostanie karany za udział w buncie.

Jak zwykle w takich sytuacjach, część więźniarskiego środowiska wolała nie przystępować do rewolty ze strachu, braku przekonania lub apatii. Los tych neutralistów był fatalny. Jeśli nawet lekcja ętyki więziennej nie została im od razu udzielona przez buntowników, mogli się jej spodziewać przy najbliższej sposobności, niezależnie od wyników buntu. Dramaty neutralistów kończyły się czasem samobójstwami. W ogóle bunt nie przynosił nic dobrego jednostkom wahlwym, biernym i słabym. Samorządy rebelianckie nie wprowadzały równości i kraterstwa. Te krótkotrwałe "wolne republiki" były ustrojami opartymi na ściągłej hierarchii. Przewodzili im dyktatorzy albo kliki oligarchów. Silni dysponowali pełnią egzekutywy i jurysdykcji, a także dobytkiem, życiem i ciałem słabszych.

Policjanci nie mieli dostępu do obszarów "wyzwolonych". Przyglądali się biegowi zdarzeń z bezsilną wściekłością, świerzbiały im ręce, a serca zalewała gorzoc, gdyż czuli się osmieszeni, skrzywdzeni i wystawieni do wiatru przez niedołężne władze, które nie pozwalały użyć broni.

Gorące zrozumienie dla tych uczuć policji mieli faszyci. Stan ciągłej rewolucji panujący po więzieniach był według faszystów oczywistym skutkiem pobłażliwości i "pozwalania na wszystko". "Permissivismo" - mówili. Oto gdzie przyczyna buntów". Słowo "permissivismo" oznaczało ogół zasad liberalnych i brak dyscypliny,

czyli opłakaną sytuację państwa, narodu i ojczyzny. "Trzeba przyznać, że w czasach Mussoliniego takie rzeczy nie mogłyby się zdarzyć" - komentowali przygodni dyskutanci u fryzjera, przeglądając gazety. "Kiedy właśnie te awantury w kryminałach to prowokacje faszystowskie" - twierdził fryzjer.

Humanitarni i bardziej oświeceni demokraci zajmowali inne stanowisko. Gdyby starszowieckie kryminały włoskie były chociaż częściowo podobne do niektórych w RFN! "Przeprowadziliśmy wywiad z naczelnikiem więzienia Gustav-Radbruch-Haus we Frankfurcie" - pisał tygodnik "Espresso" w numerze z 7 kwietnia 1974. "Jednospobowe pokoje z oknami bez krat, drzwi drewniane bez rygla i kluczy, posiłki w jadalni (służącej także za salę teatralną), duże oszklone okna z widokiem na pejzaż wiejski, jeśli kto chce, może sobie sam gotować, co sobota wieczorek taneczny z udziałem żon i przyjaciółek... Strażnicy nie są uzbrojeni, brama niemal zawsze otwarta. Całość ogrodzona siatką wysoką na dwa metry. Gdy więźniowie grają w piłkę nożną, a piłka wypadnie na zewnątrz, ktoś wyskakuje za płot, żeby ją przynieść z powrotem". Tygodnik dodawał, że włoską rzeczywistość społeczną różni się od zachodniemieckiej, o czym należy pamiętać. Być może włoska opinia publiczna nie akceptowałaby takich więzień. Ale warto by jej na przykład uświadomić, że więzienia "otwarte" są mniej kosztowne dla państwa, gdyż więźniowie łożą na własne utrzymanie, płacą za wikt, pomieszczenia i tak dalej. "Musimy znaleźć takie rozwiązanie problemu, które zapewniłoby równowagę między wymaganiami humanizacji i bezpieczeństwa publicznego" - konkludował tygodnik.

Jeszcze inaczej reagowali komuniści. Nie wystarczają komfortowe kryminały - twierdzili. Potrzebna jest zmiana ustroju. Więźniowie mają, naturalnie, słuszną rację, gdy upominają się o ludzkie prawa, ale buntury połączone z aktami bandytyzmu i terrorku są szkodliwe, bo leją tylko wodę na młyn faszystów i dostarczają żeru faszystowskiej demagogii. "W krajach socjalistycznych takie rzeczy nie mogłyby się zdarzyć" - powiedział z przekonaniem ślusarz-komunista, zakładając zamek w drzwiach mego mieszkania (wyważonych poprzedniego dnia przez włamywaczy). "Bo w krajach socjalistycznych nie ma bezrobocia, prawda?" - dodał po chwili.

Z entuzjazmem odnosiły się do buntów lewicowe ugrupowania "pozaparlamentarne", radykalniejsze od komunistów. Zdaniem fanatyków ze skrajnej lewicy więźniowie mieli absolutną rację: słuszne były nie tylko ich postulaty, ale przede wszystkim sam sposób walki, jedyny, jaki w warunkach kapitalistycznych należy stosować.

Buntownicy mogli najlepiej przedstawić, czego chcą, na konferencjach prasowych, jeśli oczywiście zdokładali dopiąć swego i doprowadzić do spotkania z dziennikarzami. Efektownie wypadła konferencja lutowa w "Rebibbia", zorganizowana za zgodą ministerstwa sprawiedliwości już pod koniec rewolty, na kilkanaście dni przed wtargnięciem policji i kapitulacją tamtejszej "republiki". "Rebibbia" była więzieniem stołecznym, nowoczesnym, uchodzącym za "modelowe", ale mówcy czuli się mandatarzami wszystkich więźniów w kraju. Przed dziennikarzami wystąpiło ich tylko dziewięciu. Jednak lokalna telewizja transmitowała przebieg konferencji na całe więzienie, wskutek czego każdy, kto był w "Rebibbia", mógł przynajmniej oglądać salę, do której wpuszczono dziewięciu delegatów, i słyszeć, co mówią.

A mówili, że wszczęli bunt, ponieważ od lat czekają bezskutecznie na reformę kodeksu karnego, procedury karnej i regulaminu więziennego. Przygotowanie reform trwa w nieskończoność. Tymczasem wciąż obowiązują stare ustawy z lat faszyzmu.

"Kiedy trzeba było uchwalić podwyżkę cen benzyny - wołał jeden z delegatów - to uchwalili ją od razu. Ale reform, które dotyczą nas, nie uchwalą nigdy". Nie jest prawdą, że wszyscy są równi wobec prawa. (Mówił to delegat Luigi Di Bella, skazany między innymi za włamanie do willi Anity Ekberg). Weźmy najprostszy przykład: obywatel w kłótni z policjantem. Nie zdąży się nawet obejrzeć i już będzie winien obraży tego policjanta. Wygrać potem sprawę? Bardzo trudno. Oskarżający ma z miejsca przewagę, ten, kto się musi bronić, jest zawsze w gorszym położeniu. Obrona nigdy nie dysponuje takimi środkami jak oskarżenie. Ta równość to czysta utopia. "Trzeba w ogóle znieść zasadę: najpierw ja cię oskarżam, a potem ty mi udowodnij, że jesteś niewinny" - skoczył Luigi Di Bella.

Inny mówca poruszył sprawę aresztów prewencyjnych. Areszt ciągnie się nie raz przez rok albo dłużej ("czekam na proces od siedmiu miesięcy, chodzi o narkotyki"), aż w końcu zwalniam człowieka i przepraszają za pomyłkę.

Jeszcze inny uczestnik konferencji skarżył się na kłopoty z zatrudnieniem. Po odbyciu kary nie można dostać pracy. Niech tylko odkryją, że ktoś był w więzieniu, wyrzucają go z każdej roboty. ("Flaczego siedzę? Nie przeczę, popełniałem oszustwa, ale uhrali mnie w napad rabunkowy").

Recytywista Evelino Loi odczytał z kartki ogólną deklarację w sprawie wszystkich więzień we Włoszech. Deklaracja przyznawała, że w samej "Rebibbii" jest czyśto i nie biją. Na prowincji jednak sytuacja bywa okropna. "Bardzo często więźni żyje w haniebnych warunkach higienicznych. Są stosowane kary cielesne" - stwierdził przed mikrofonem Evelino Loi.

W rzeczywistości zdarzyło się coś gorszego. Zaraz po zlikwidowaniu buntu w "Rebibbii" gdzie rebelianci poddali się bez operu na widok trzech tysięcy policjantów, wkraczających do więzienia, wybuchł nowy bunt we Florencji. Otóż podczas opanowania dachu przez buntowników jeden więzień został zastrzelony, ośmiu raniło. Strażnicy, którzy otworzyli ogień, tłumaczyli się potem, że strzelali na postrach w powietrze, a było ciemno. Podawali zresztą różne uzasadnienia: strzelali w obronie własnej, strzelali, bo akcja wyglądała na próbę zbiorowej ucieczki. O drugiej w nocy buntownicy wymogli sprowadzenie dziennikarzy na miejsce wypadków. ("Nie wydamy zwłok, póki dziennikarze ich nie obejrzą".) Rano wyłamali kraty w oknach. W jednym okazało się zakrwawione prześcieradło. "To krew tego niewinnego" - wołali. Policja otoczyła więzienie i przez cały dzień zajmowała się głównie rozpełnianiem lewicowych manifestantów, którzy ściągali tam ze sztandarami, łomami i butelkami z benzyną. Wieczorem buntownicy wrócili do cel. Rewolta we Florencji trwała tylko dobe.

Jednak ruch protestacyjny rozszerzył się zaraz na inne więzienia w imię solidarności z ofiarami masakry florenckiej. W Turynie trzystu więźniów zajęło podwórze i dach. Panował wzorowy porządek, nic nie podpalano, nikogo nie pobito. Zaproszeni dziennikarze powitani zostali oklaskami, gdy w towarzystwie prokuratora weszli na podwórze. Rezolucja, którą im przedstawił na piśmie, zawierała między innymi takie zdanie: "Nasza walka nie jest izolowana, lecz powiązana z walką klasy robotniczej, studentów i najuboższych warstw społecznych, dręczącego kraj".

Tak więc przez cały rok nie ustawały te wrzenia, protesty, głodówki, manifestacyjne wymarsze na dachy, bojowe potrząsania pięściami i rewolucyjne proklamacje więźniów. A było też wiele rozpaczy: polykanie widelców, ataki szału i próby skakania z dachów. Było bicie strażników, piłowanie krat i ucieczki w pojedynkę albo zwartą grupą. W Reggio Calabria zdarzyło się, że pewien morderca i strażnik uciekli zgodnie we dwójkę. W Mediolanie próbowało uciec czterech bandytów. Tych zatrzymali i pobili do krwi rozwścieczeni strażnicy. Pobicie wyszło na jaw dopiero wtedy, gdy rodzina otrzymała do prania zakrwawioną bieliznę. W Palermo po tygodniowej okupacji dachu wizytował więzienie deputowany-komunista, aby sprawdzić, czy rebelia nie skończyła się "pałowaniem" lub innymi represjami, uznał jednak, że, w przeciwieństwie do poprzednich wypadków tym razem nie zaszło nic niewłaściwego". W Brescii buntownicy wywiesili na dachu czerwony sztandar, a także rozpięli prześcieradła, na których wypisane były hasła i żądania, ciągle w tej samej sprawie: znieść faszystowskie kodeksy! nie przetrzymywać w areszcie bez procesu! nie karać za recydywę! rozkładać przeludnione więzienia!

Mimo ataków policji, zajazdów straży pożarnej z motopompami i zwyczajnego zmęczenia, które po pewnym czasie ogarniało buntowników, wiele rewolt kończyło się bodaj połowicznym sukcesem. To prawda, że w ostateczności więźniowie musieli się zawsze poddać, gdy nie znajdowali schronienia przed gazem łzawiącym i sikawkami, a ich drągi, kamienie i cegły nie mogły powstrzymać oddziałów policji, uzbrojonej w hełmy, tarcze i petardy. To prawda, że bunty były chaotyczne, że wybuchały w momentach przypadkowych, bez planu i organizacji, choć narzucała się przecież myśl, iż można by osiągnąć znacznie więcej, gdyby rebelianci z poszczególnych więzień działali w porozumieniu, uzgadniali terminy swych akcji i poddali się inteligentnemu kierownictwu jakiegoś centralnego ośrodka. Pewien zmysł polityczny i rozsądek organizatorski udawało się czasem wnieść do tych walk jedynie lewicowcom, którzy trafiali do więzień najczęściej za bójki z faszystami, poturbowanie policjanta, podpalenie czegoś w czasie demonstracji ulicznej lub inny podobny czyn. Ci ludzie

umieli pisać rezolucje i stawiać warunki. A sukcesy osiągało się nie furją w bitwach z policją, lecz twardą grą w rokowaniach z władzami.

Nowe kodeksy i regulaminy, o które tak uparczywie dopominali się więźniowie, były zresztą od dawna opracowywane przez liczne instytucje i komisje parlamentarne, nie mogły tylko żadną miarą doczekać się wejścia w życie. Sens ich polegać miał na zniesieniu wszystkich obostrzeń i restrykcji "niekoniecznych" i na "poszanowaniu godności ludzkiej" więźnia. Nie miało być więzień przepełnionych, pasiaków, drelichów, numerów zamiast nazwisk, wszędzie za to miały być oddzielne pomieszczenia dla skazanych wyrokiem sądowym i zatrzymanych, dla młodych i "dorosłych", przyzwolone umywalnie, klozety, łazienki, wikt urozmaicony i zdrowy, spacer co najmniej dwugodzinny dla każdego, kto nie pracuje na świeżym powietrzu, i liczne inne udogodnienia. W praktyce wiele takich zmian zostało już wprowadzonych tu i ówdzie pod naciskiem rebeliantów, chociaż parlament ciągle zwlekał z uchwaleniem zasadniczych reform.

Mażo kto zauważył, że jeszcze w styczniu, gdy najpoważniejsze zaburzenia wstrząsały "Rebibbią", a dziesiątki mniej znacznych ruchawek wybuchały po całym kraju, odbył się także mały bunt w Alessandrii, niewielkim, znanym z kapeluszy borsalino mieście Piemontu, i że buntownicy wywalczyli sobie tam u władz kilka drobnych ustępstw. Przestano zamykać cele, więźniowie mogli swobodniej poruszać się po budynku, dostarczono więcej gazet i czasopism, ułatwiono kontakty ze światem zewnętrznym. Metalowa siatka, która dotychczas przegradzała odwiedzających i odwiedzanych w sali "widzeń", została usunięta.

IV.

Cesare Concu miał dziewiętnaście lat, gdy związił starą kobietę i po raz pierwszy dostał się do więzienia. Długo nie posiedział, ale prawie natychmiast po wyjściu na wolność spróbował rabunku i skazano go znowu na rok. W przerwie między odsiadkami zdażył się jednak ożenić. Nie wiadomo, co bykoby się stało, gdyby podczas pobytu męża w więzieniu żona nie zaszła w ciążę, której wprawdzie zdołała się pozbyć, lecz nie zdołała zataić, i gdyby dwudziestoletni Cesare Concu nie dowiedział się o tym wszystkim i nie miał czasu przemyśleć tego dokładnie w swojej celi. Dość, że zjawił się potem u Marii Aneddy całkiem spokojny i nie robił jej wymówek. Małżeństwo wydawało się rozbite. Cesare poprosił tylko, by Maria Anedda spędziła z nim jeden dzień. Pojechali na spacer w okolicy Turynu. W lesie Cesare udusił żonę pończochą. Gdy odczytano mu wyrok skazujący na dwadzieścia cztery lata, powiedział podobno, że może wytrzymać piętnaście. Potem wyjdzie. Był rok 1958.

Mniej więcej w tym samym czasie Domenico Di Bona zabił pracownika stacji benzynowej pod Pizą. Stało się to w niejasnych okolicznościach, a podejrzenie o próbę obrabowania stacji padło zrazu na trzy inne osoby. Ostatecznie jednak wyszło na jaw, że mordercą był Di Bona. Zapadł w tej sprawie identyczny wyrok, co na Cesare Concu. Także Di Bona miał spędzić dwadzieścia cztery lata w więzieniu. Odbywając już karę, Di Bona nie przestawał twierdzić, iż padł ofiarą pomyłki sądowej. Pochłaniała go jedna myśl: gdyby mógł odszukać pewnego kolegę z wojska i nająć dobrego adwokata, to taki adwokat doprowadziłby do rewizji procesu, a zeznanie kolegi z wojska obaliliby dowody, na których oparł się sąd. Ale jak to zrobić, siedząc w kielcu? Toteż Di Bona uciekał z więzienia dwukrotnie, raz nawet zawiązał w kajdankach konwojentem transportującym go do szpitala, a schwytyany po trzech dniach na wzgórzach pod Livorno, tłumaczył się, że celem ucieczki były właśnie te poszukiwania, których ciągle nie mógł podjąć. Tak minęło szesnaście lat. Ale Domenico Di Bona miał ich jeszcze przed sobą osiem, podobnie jak Cesare Concu.

Najpóźniej pojawił się w więzieniu ten trzeci, Everardo Levrero. Był najmłodszy, nikogo nie zamordował i przybył z najłżejszym wyrokiem. Pochodził z Genui. Pewnego razu, tuż przed świętami Bożego Narodzenia napadł na urząd pocztowy, nie w pojedynkę zresztą, ale z bandą, do której wtedy należał. Zap okazał się skromniejszy, niż przewidywali opryskowie. Nazajutrz, w sam wieczór wigilijny, policja

policja przyszła aresztować Levrera. Tej ewentualności nie brał pod uwagę. To jedno zawsze wykluczał. Nie, że mogą przyjść, ale że on da się wziąć i będzie gnął w "pierdłu" jak inni. Z przyjściem liczył się jak najbardziej i na wszelki wypadek miał w pogotowiu coś do połknięcia, żeby od razu umrzeć. Do więzienia się nie nadawał. A jednak odebrali mu broń i truciznę, samobójstwa nie pełnił, na rozprawie dostał dziesięć lat, i mimo całej tej determinacji i tej zasady "wóz albo przewóz", zwyczajnie "usiadł" w kryminale, gdzie siedzieli również Concu i Di Bona.

W roku 1974, dokładnie 9 maja o pół dziesiątej rano, cała ta trójka wtargnęła na lekcję rysunków w swojej szkole więziennej. Dzieła się to w Alessandrii, bo tam odsiadawali wyroki. Tam też przed kilku miesiącami odbyła się pod kierownictwem Concu owa rewolta, dzięki której przestano zamykać cele i usunięto siatkę z sali widzeń. Wtargnęli zatem we trójkę do jednej z klas i zanim ktokolwiek zdał sobie sprawę, co się dzieje, wyciągnęli pistolety, nie wiadomo skąd i w jaki sposób zdobyte, a nauczyciel Vincenzo Rossi przerwał wykład i oniemiał przy pulpicie, nic nie rozumiejąc. Wytłumaczyli mu soczystym językiem, kim jest, i żeby trzymał ręce do góry. Uczniom natomiast powiedzieli, że zaczął się bunt, jakiego jeszcze nie było, mianowicie będzie się brać zakładników. Nauczyciel Rossi jest właśnie pierwszym. Ale muszą mieć więcej zakładników i ludzi do pomocy też, niechże więc ci tutaj - ty! ty! i ty! - podniosą łaskawie kupry z ławek, bo trzeba przelecieć się po klasach i zgarnąć resztę nauczycieli. To jest taki bunt, że jak dobrze pójdzie, każdy więzień który się przyłączy, będzie jutro na wolności.

W pierwszej chwili nikt się nie ruszył, ktoś nawet mruknął, że co mu tam, on rysuje. Zapytali go, czy może coś mówić. Na to on, że owszem, mówił: na wolności będzie i tak łąda dzień, bo swoje odsiedział. Nie obchodzi go żaden bunt.

- Aha, to fajnie - powiedzieli.

Wycelowali w tego faceta pukawkę.

- Ręce do góry i marsz za profesorem!

Zdobyli w ten sposób drugiego zakładnika.

Trzeciego wezwali przez telefon.

- Ambulatorium? Lekarza! Natychmiast lekarza! Profesor Rossi zasłabł.

Lekarz przybiegł. Obezwładnili go i posadzili przy tamtych dwóch. W kilka minut później mieli pod pistoletami komplet nauczycieli. Nikt się już nie mądrzył. Wszystkich panów profesorów wygarnęli gładko z klas jak pisklęta z kurnika. Uważali jednak, że to wciąż mało.

Tymczasem na drugie piętro wybrał się w obchód ^{szkoły} powien strażnik. Na schodach szepnął mu jakiś więzień:

- Panie dozorczo, niech pan tam lepiej nie idzie. Śmierdzi coś.

Dozorca przyjrzał się więźniowi, pomyślał chwilę i zawrócił. Poszedł do kolegów. Koledzy z dołu nic nie słyszeli, żeby w szkole co "śmierdziało". Ale że nastroje po więzieniach były w ogóle burzliwe, dla ostrożności ruszyli na obchód w siedmiu chłopów, z pałkami, które wydawały się dostatecznie potężną bronią. Nie wiedzieli tylko, że ktoś na górze może mieć broń palną. Obskoczono ich, pomachano lufami przed nosem i wzięto jak profesorów.

Kiedy już cała siódemka dozorców była związana, Concu, Di Bona i Levrero uznali, że więcej zakładników nie potrzebują. Obok szkoły mieściła się izba chorych. Stamtąd właśnie nabrali bandaży i prześcieradeł do wiązania jeńców. Tam też zapędzili ich wszystkich i sami się z nimi zamknęli. Krótko mówiąc, w izbie chorych urządzili sobie areszt, kwaterę i twierdzę. Tłok był wielki, bo oprócz trójki buntowników, do których jakos nikt nie przystał dobrowolnie, znalazła się w zamknięciu także grupa więźniów. Wypuścili jednak tego pierwszego, liczącego na zwolnienie w najbliższych dniach, oraz dwóch nauczycieli. Kazali im zawiadomić gliniarzy, co zaszło.

- Niech nie próbują podsłakiwać, bo mamy spluwy, nałapaliśmy łebków, i jakby co, natrzaskamy kupę gości.

Wiadomość była w istocie wyteczna, gdyż w całym więzieniu ogłoszono już alarm, wskutek czego panował wielki zamęt i ogólna bieganina. Wypuszczeni poinformowali tylko, że jeden dozorca, który leży związany, dostał prawdopodobnie ataku serca. Czego chcą ci trzej uzbrojeni? Nie wiadomo. Ale broń mają rzeczywiście.

Rozdzwoniły się telefony w kwesturze i komendzie karabinierów. Co robić? A co proponujecie? Nikt nie proponował. Jest za wcześnie, żeby... Tak, jest za wcześnie. Trzeba czekać na wyjaśnienie sytuacji.

- Ja wyjaśnię - powiedziała Graziella Giarola, opiekunka społeczna, zatrudniona w prokuraturze. - Trzeba z nimi pomówić - powiedziała, stojąc jeszcze w płaszczu, tak jak przyjechała z prokuratury. Było kilka minut po dziesiątej. - Pozwólcie mi tam pójść i wysłuchać ich, nie, nie przez kratę, pozwólcie mi wejść do wnętrza, to jest ważne, żeby rozmawiać z nimi u nich, ja znam tych trzech, na pewno mnie wpuszczą, nic jeszcze nie róbcie, postaram się na nich wpłynąć.

Graziella Giarola była tęgawą kobietą średniego wzrostu, ani brzydką, ani ładną, miała krótkie włosy, okrągłą twarz i trzydzieści trzy lata. Mężczyźni, do których należała decyzja, czy Graziella otrzyma zezwolenie na wejście do izby chorych, urodziwi i postawni Włosi o bujnych czuprynach, uprzedzili ją, że naraża się na wielkie niebezpieczeństwo, bo wszedłszy między więźniów może powiększyć grono zakładników. Graziella odpowiedziała, że bierze to pod uwagę. Mężczyźni wyprostowali się jeszcze bardziej i popatrzyli w niebo. Potem któryś objął Graziellę. Odprowadzili ją do izby chorych.

- Po cholere przysłali cię tutaj? - zapytał Concu.

- Sama przyszłam. Pomyślałam, że powinnam wam pomóc. Rozumiesz, Cesare? Przyszłam, żeby z wami być. Z wami i z tymi, których tu trzymacie.

Concu zbaraniał.

- Dobrze-powiedział. - W takim razie stąd nie wyjdiesz.

- Jak chcesz, Cesare. Przecież wiedziałam, że masz broń i że możesz mnie zatrzymać. A teraz mi powiedz, co cię właściwie ugryzło i po co zrobiłeś to wszystko.

- Po co? Po co to zrobiłem? - Concu zaczął się zbliżać do Grazielli. - Mam ci powiedzieć, po co to zrobiłem? Po nie mogę dłużej! - wykrzyknął nagle. - Od szesnastu lat nie mam kobiety! Muszę mieć kobietę!!!

Concu krzyczał tak, jakby owładnięty był jedynie myślą, że natychmiast może mieć Graziellę. Ale raptem stanął w miejscu, jakby poczuł, że byłby w tym momencie absolutnie niezdolny do posiadania kobiety. Coś takiego musiało mu przecieć przez głowę lub czegoś innego jeszcze się przestraszył, zaległa cisza, słychać było tylko rżenie dozorca, który miał duszności.

- Kiedy się zaczniesz - powiedział Concu do Grazielli - ciebie rozwalimy pierwszą.

Po niepowodzeniu Grazielli następną próbę podjął komendant straży. Nie narażał się jak opiekunka społeczna, ale podszedł osobiście pod kratę w korytarzu rozmówić się na odległość i przynajmniej ustalić, czego chcą buntownicy.

Usłyszał, że chcą wyjść z pułka i kwita. Z nim jednak nie będą na ten temat gadać. Niech przyjedzie prokurator generalny z Turynu. I to szybko! Niech nie marudzi, bo nie mają czasu.

Rozdzwoniły się telefony do Turynu. Przyjechał prokurator generalny.

- Mówcie, że mnie nie ma. Mówcie, że mnie nie ma - powtarzał.

Była to metoda prokuratora: grać na zwłokę, może zmiękną. Uchwycił się tego pomysłu, ponieważ nie miał lepszego. Jest za wcześnie, żeby... Tak, jest za wcześnie.

Przyjechali dwaj prokuratorzy miejscowi z Alessandrii, ponadto kwestor, generał karabinierów i jeszcze ktoś z Turynu. Zamknęli się w gabinecie, obradowali.

Concu pisał manifest. Spośród trójki buntowników on jeden był politykiem, jak mówiono, "czerwonym", entuzjastą skrajnie lewicowej organizacji "Lotta continua".

Di Bona nie miał żadnych poglądów politycznych. Chodził po izbie chorych z pistoletem.

Leverero też nie miał poglądów, ale z usposobienia był człowiekiem ostrym, zwolennikiem wszystkiego, co mocne i zdecydowane, radykałem niejako z natury. Nie lubił półśrodków. Mało co w ogóle lubił, bardzo dobrze znał się na broni, a zaliczano go do "czarnych", bo jeśli z kim sympatyzował, to z faszystami. Kiedyś nawet, gdy miał siedemnaście lat, sam zorganizował bojówkę. Nazywała się "Czarne Brygady Narodowe". Odpowiadał za to, lecz poważnie wpadł dopiero później po napa-

dzie na pocztę. W izbie chorych akurat nie nosił pukawki. Nie starczyło dla wszystkich. Dla Levrera pozostał nóż.

Policja chciała wiedzieć, ile jest pistoletów. Informację w tej sprawie udało się zdobyć prokuratorowi, nie generalnemu z Turynu, o którym wciąż twierdzono, że go nie ma, ale miejscowemu z Alessandrii, który kilkakrotnie chodził pod kratę i proponował siebie w zastępstwie generalnego. Zdołał wreszcie zamienić kilka słów z Graziellą. Pokazała mu na palcach: są dwie sztuki.

O godzinie trzeciej Concu zdecydował się na drobny kompromis. Pomówi z miejscowymi prokuratorami, ale nie przekaże im pisma, które opracował.

Concu był numerem pierwszym w izbie chorych. Do rozmowy przy kracie stanął ze spluwą, wymierzoną w prokuratorów, i z palcem na cynglu. Ubezpieczał go Di Rona, Levrero miał na oku zakładników.

- Chcemy stąd wyjść - powiedział Concu. - Nie zrobimy nikomu nic złego, pozwólcie nam tylko uciec.

- O tym nie ma mowy.

- Jedno z dwojga: albo pozwolicie nam uciec, albo wystrzelamy tych ludzi.

- To byłoby głupie. Jeżeli ich wystrzelacie, nic was już nie uratuje. Szansę ratunku macie tylko wtedy, jeżeli zwolnicie zakładników. Im prędzej to zrobicie, tym lepiej dla was.

- Czy oni nie rozumieją - wtrącił Levrero - że skończył się bajer? Czy nie rozumieją, że mówią z gośćmi, którzy gotowi są wykorzkować?

- Czy doczekamy się prokuratora generalnego? - nastawał Concu.

- Tu nikt nie robi żartów. Jest napisany komunikat, mam go w kieszeni, jest napisane czarno na białym, co musimy mieć i na jakich warunkach, wszystko do rąk własnych prokuratora generalnego, znaczy się albo tak, albo siak, albo on przyjdzie i to przyjmie, albo nie, w każdym razie to jest ostatnie słowo, a potem zaczniemy wykańczać facetów, co pół godziny po jednym. Jasno mówię?

Prokuratorzy popatrzyli po sobie i zgodzili się, że jasne. Przyrzekli sprowadzić tego z Turynu.

Ten z Turynu nazywał się Reviglio Della Venaria. Na wiadomość, jak sprawy stoją, oświadczył, iż tym bardziej nie będzie się śpieszył, skoro buntownicy wiążą jego pojawienie się przy kracie z początkiem odliczania czasu, przewidzianego w ich ultimatum. Spory wybuchły w gabinecie. Ustąpić czy nie ustąpić? Jeden prokurator chciał ustąpić, drugi nie. Rozdzwoniły się telefony do Rzymu. W Rzymie trwały konferencje. W Alessandrii zdecydowano jeszcze raz, że jest za wcześnie, żeby...

Tymczasem Concu przypomniał sobie ważną rzecz: powinni przyjść dziennikarze. Było takich troje w styczniu, jedna kobieta między nimi, interesowali się tamtą pierwszą rewoltą: niech teraz przyjdą ci sami, będzie wiadomo, kto zacz, twarze znane, więc nie podszyją się pod nich agenciacy. Concu zażądał, żeby prokurator generalny stawiał się pod kratą wraz z dziennikarzami.

Wkrótce potem zauważono transparenty zwisające z okien więzienia. Pojawiły się nie tam, gdzie przebywali Concu, Di Rona i Levrero, lecz w zupełnie innym skrzydle, na znak poparcia i solidarności z nimi. "Po dwudziestu latach dość kłamstw" - owieszczwały gniewnie transparenty. "Baju, baju, precz z obietnicami i poronionymi reformami!"

Jakby pod wrażeniem tych haseł wszystko potoczyło się szybciej. Zgłosił się na rozmowę prokurator generalny w towarzystwie trojga dziennikarzy. Concu niespodziewanie odstąpił od pierwotnego zamiaru i wręczył "komunikat" nie prokuratorowi, lecz dziennikarzom. Był to rodzaj deklaracji ideowej, uzasadniającej postępowanie buntowników zgodnie z poglądami Concu. Otóż Concu twierdził od dawna, że w ustroju kapitalistycznym każdy przestępca jest ofiarą nieludzkich praw kapitalizmu, sądy są narzędziami burżuazyjnej polityki, nie ma więźniów, którzy w tych warunkach nie byłiby więźniami politycznymi, i dlatego wszyscy powinni być zwolnieni. "Komunikat", podobny raczej do odezwy lub gwałtownego pamfletu, głosił te same opinie i zawierał jadowite ataki na rząd: nikomu już nie zamydli się oczu gadaniną o reformach, zapowiadano je od niepamiętnych czasów i nie przeprowadzono żadnej po dziś dzień, jedyne, co pozostaje więźniom, to walka zbrojna.

Resztę Concu oznajmił ustnie. Był podniecony i mówił chaotycznie. O godzinie

piątej rano chce mieć pod bramą więzienia dwa samochody. Oczywiście, on i towarzysze nie odjadą bez środków do życia. Powiedzą jeszcze w odpowiedniej chwili, czego potrzebują. Na razie idzie o podstawienie samochodów. Nie! Lepiej niech będzie jeden autokar. I dwaj motocykliści bez broni jako eskorta. Wszystko do dziewiątej rano. To jest ostateczny termin. Jeśli nie dostaną autokaru do dziewiątej, zaczną rozwalać zakładników. I żeby nie było jakichś drańskich numerów i w ogóle przewalanki. To nie z takimi jak oni. Tu są ludzie z refleksem. W razie czego będą rąbać bez pardonu. Concu mówił to, unosząc w górę pistolet, a tak nim potrząsał i tak się gorączkował, aż raptem przez nieuwagę wypalił. Pocisk utkwiał w suficie.

Odeszli dziennikarze i prokurator Reviglio Della Venaria. Tłum, który od rana gromadził się pod więzieniem, kłowiąc wiadomości i zapamiętane dyskutując, urósł bardzo w godzinach popołudniowych. Tłum wiedział wszystko. Słuchał radia i przepowiadał, co będzie. Po rozmowie prokuratora generalnego z bandytami możliwe było zdaniem tłumu jedno wyjście: dadzą im autokar i pozwolą odjechać. Tłum przewidywał, że tak się stanie, i utyskiwał na władze.

W gabinecie powstał inny projekt. Reviglio Della Venaria oparł się perswazjom kolegów i wybrał jedyny sposób działania, jaki pozostaje w sytuacjach bezradnych ludziom sterroryzowanym: jest to działanie przypominające skok przez okno. Robi się rzecz najmniej oczekiwana, ryzykancka, poniekąd szalona, ale robi się błyskawicznie. To, co kazał zrobić Reviglio Della Venaria, było ryzykanckie i szalone, lecz nie zostało zrobione błyskawicznie. Wypadki pokazały, że błyskawicznie zrobione być nie mogło, ponieważ było oczekiwane.

Wypadki zaś tak przebiegały. Gromadę policjantów i strażników, uzbrojonych w karabiny, gaz łzawiący i kamizelki pancerne, spróbowała wdrzeć się zmienacka do izby chorych. Liczono, że akcja potrwa kilkanaście sekund i może nawet obejść się bez wystrzału. W rzeczywistości szturm utknął na pierwszej przeszkodzie. Wyszło na jaw, że buntownicy zatarasowali wejście do izby chorych barykadą z łóżek i materaców. Próba sforsowania drzwi ciałem i kółkami spełzkała na niczym, a strzały, które w zdenerwowaniu natychmiast oddano, ugrzęzły w materacach. Po drugiej stronie rozległ się tymczasem krzyk i też padły strzały. Przez chwilę słychać było rumor, tupot, po czym wszystko ucichło. Policjanci zdołali się wkraść do wnętrza dopiero wtedy, gdy ktoś przyniósł im lepsze narzędzia. Ku ich zdumieniu izba chorych okazała się pusta. Na podłodze leżały dwa ciała: zabity lekarz i nauczyciel geometrii, który dawał jeszcze znaki życia. Buntownicy z resztą zakładników wycofali się wewnętrznym korytarzem do ubikacji. Wpierw jednak spełnili to, przed czym na próżno ostrzegał Concu: mieli refleks i potrafiliby zabijać na czas.

Nie ulegało wątpliwości, że ubikacja jest nowym gniazdem oporu, a za zakretem korytarza, który do niej prowadzi, zaczyna się obszar nienaruszalny i przekroczenie go grozi natychmiastowym wznowieniem rozstrzelania. Policjanci nie ośmielili się wejść za narożnik. Do izby chorych wbiegli sanitariusze, by zabrać rannego nauczyciela. Inni wynieśli zwłoki lekarza. Tłum przed bramą więzienną dopytywał się gwałtownie, kto do kogo strzelał i co właściwie zaszkło. Nikt nie umiał odpowiedzieć na to nic pewnego, a karabinierzy wpadli w złość i zaczęli grozić bronią tłoczącym się sprawozdawcom prasy i radia.

*

To, co stało się nazajutrz, było już tylko odegraniem tej samej historii po raz drugi, jakby na dowód, że w pewnych sytuacjach wypadki muszą się toczyć tak, a nie inaczej, a ludzie muszą postępować według fatalnych reguł. Różnica może być ilościowa: szantażyści mogą przemówić jeszcze ostrzejszym tonem, urzędnicy mogą mieć wyższe stopnie, zabitych może paść więcej, ale zasadniczy bieg rzeczy musi się znów ułożyć zgodnie z pierwowzorem.

Po nieudanej próbie szturmowania noc upłynęła obu stronom na niespokojnym liczeniu godzin. Jedni drugim nie mieli nic do powiedzenia. Rano jednak obie strony zrozumiały, że muszą wrócić do rokowań, choć żadna się nie spodziewa, by druga zamierzała dotrzymać zobowiązań. Jest autokar? Pokażcie! Pokazano trzy autokary do wyboru. Przejechały w taki sposób, że można je było zobaczyć z ubikacji na drugim piętrze.

- Niech będzie Ford "Custom" - powiedział Concu. - Ale zasłońcie tam okna papierem.

Krótko przed siódmą przyszli porozmawiać dwaj miejscowi prokuratorzy.

- Czy byli wczoraj zabić? - spytał się Concu.

Zakomunikowano mu, że zginął lekarz, a nauczyciel geometrii jest ciężko ranny.

Concu pomyślał chwilę.

- To nie nasza wina. Wy też chcecie nas zabić. Wiemy o tym. Może się wam to uda, kiedy zwolnimy zakładników. Ale teraz nie próbujcie! Bo jeśli się znowu co zdarzy, nie będziemy niczemu winni. Teraz musimy odjechać. Razem ze wszystkimi tymi ludźmi. Niech motocykliści jada dziesięć metrów przed autokarem, póki nie zabrąbi klakson. Będzie trąbił trzy razy. Wtedy motocykliści mają się zmyć, zrozumiano?

Prokuratorzy przytaknęli.

- Jeszcze jedno - dodał Concu. - Kiedy będziemy wychodzić, niech przed bramą stoja rodziny zakładników. Żony, dzieci i tak dalej.

Każda strona wiedziała, co myśli przeciwna. Po doświadczeniach poprzedniego wieczoru buntownicy doszli do wniosku, że władze mogą uznać życie nauczycieli i strażników za nie dość cenne. Ale życie kobiet i dzieci? Czy też je poświęca, aby nie wypuścić więźniów? Władze z kolei domyślały się, że buntownicy tak właśnie rozumują i zechcą pewnie pójść do autokaru pod osłoną kobiet i dzieci, a może nawet zabrać część ich ze sobą. Jeszcze wcześniej władze sprowadziły do Alessandrii ekipę strzelców wyborowych. Zamierzano rozmieścić ich w różnych kryjówkach wzdłuż drogi, którą więźniowie mieli przechodzić. Gdy strzelcy zajmowali te stanowiska w okolicznych domach i samym budynku więziennym, Concu, Di Bona i Levrero wiedzieli już, co się dzieje. W tłumie, który też to wiedział, mówiono, że bandyci usłyszeli wiadomość o strzelcach, podaną przez radio. Gdyby jednak radio nie było podało żadnej wiadomości, Concu, Di Bona i Levrero byłiby też podejrzewali władze o przygotowywanie zasadki i usiłowali zabezpieczyć się przed nią tak czy owak.

Trzej osaczeni w ubikacji nie kudzili się, że mogą wymusić usunięcie strzelców, skoro nie mogli sprawdzić, czy usunie się ich faktycznie. Mogli natomiast zabezpieczyć otwarcie ognia. Również oni ujawnili, jak przygotowują się do wyjścia. Będą ubrani w stroje swych jeńców, zasłonią twarze im i sobie, zmieszają się z zakładnikami w taki sposób, że nikt ich nie rozpozna.

Po głębszym namyśle środki te wydały się niedostateczne. Ubezpieczać pochód musiał ktoś nietykalny. Potrzebne było droższe życie. Concu, Di Bona i Levrero ocenili, że dla władz groźniejsze od narażania kobiet i dzieci byłoby narażenie dziennikarzy, bo władze nie boją się płaczących rodzin, ale boją się prasy. Zażądali jeszcze jednego widzenia z dziennikarzami. Nie powiedzieli wprost, że pragnęliby uczynić z nich osłonę pochodu, nalegali tylko na ich obecność w bramie. W końcu wysunęli warunek, by prócz kobiet, dzieci i dziennikarzy towarzyszyli im w przejściu do autokaru dwaj miejscowi prokuratorzy. Tu licytacja wzniosła się najwyżej. Zdaniem trójki, gorączkowo kalkulującej w kłózetach, czyje życie jest ważniejsze dla władz, a czyje mniej ważne, najważniejsze musiało być życie prokuratorów, ponieważ bardziej niż prasy władze mogły się bać tylko swoich zwierzchników.

Zakładnicy słyszeli wszystkie rozmowy, prowadzone w ich obecności, i mieli straszne przeczucia. Wielu usiłowało zaszkodzić się własnym katom, albowiem istotną była także kolejność, w jakiej przeznaczano by ich na rozstrzelanie. Sekundy mogły decydować o uratowaniu życia. Rzecz prosta, każdy pragnął, aby władze zgodziły się na wszelkie warunki, które dyktowali Concu, Di Bona i Levrero. Toteż do żądań tej trójki dołączały się błagania zakładników o uległe spełnienie dyktatorów.

- Uwierzcie tym dzielnym chłopcom - powtarzała Graziella Giarola.

- Na pewno dotrzymają słowa. Jeżeli dacie im spokojnie odjechać, nikomu nie zrobią nic złego.

Reviglio Della Venaria ostrzegł jednak, że nie pozwoli prokuratorom zająć miejsc przy bramie, a za bezpieczeństwo dziennikarzy ani żadnych innych osób, które znajdują się blisko więźniów, nie może odpowiadać.

Zebrała się rada miejska i uchwaliła zakaz demonstracji w Alessandrii.

Trzech obywateli miasta powiadomiło prokuratora generalnego, że gotowi są oddać się dobrowolnie w ręce bandytów, aby zapewnić im bezpieczną ucieczkę. Byli to: burmistrz Alessandrii, radny-komunista i pewien ksiądz. Reviglio Della Venaria nie odpowiedział na ich ofertę.

Podobnie jak buntownicy sięgali coraz wyżej, szukając cenniejszego życia, które mogliby rzucić na szalę, tak i władze sięgały coraz wyżej po sankcje dla swoich przedsięwzięć. Licytacja była więc obustronna, chociaż licytowano różne wartości. Ponadto władze w przeciwieństwie do buntowników nie były jednomyślne.

Najogólniej mówiąc, rada miejska i prokuratorzy z Alessandrii skłaniali się coraz bardziej do ustępstw.

- Wybór jest prosty - argumentował jeden z nich. - Jeżeli nie ustąpimy, możemy mieć kilkanaście trupów. Jeżeli ustąpimy, będziemy mieli tylko o trzech ukrywających się przestępców więcej.

Prokurator generalny z Turynu replikował, że nie chodzi o trzech ukrywających się przestępców, lecz o podstawy normalnej egzystencji społeczeństwa. Władze nie mogą dać tak kompromitującego dowodu bezsilności.

- Władze już go dały! - twierdzili oponenti.

Rzym nie zajmował otwarcie żadnego stanowiska. Burmistrz Alessandrii telefnował kilkakrotnie do ministra sprawiedliwości, ale dyrektor gabinetu odpowiadał mu, że ministra nie ma, nad sprawą obraduje prezydium rządu, a posiedzenie jeszcze trwa. Wobec tego burmistrz połączył się z prezydium rządu i porozmawiał z tamtejszym podsekretarzem. Niczego się nie dowiedział. W pewnej chwili jednak podsekretarz zauważył:

- Ależ, panie burmistrzu, zdaje się, że chce pan ustąpić przed bandytami.

Burmistrz wysłał telegram do premiera. Odpowiedź nie nadeszła.

Reviglio Della Venaria nie mówił wyraźnie, że otrzymał jakieś instrukcje z Rzymu, ale sugerował to i powoływał się uparcie na autorytet państwa. Chociaż autokar z zasłoniętymi szybami stał pod więzieniem, gotowy do odjazdu, Reviglio Della Venaria sprawiał wrażenie, jakby miał inny, tajny plan i jakby dochodził do wniosku, że wkrótce może być za późno, żeby...

Tajny plan mieli także Concu, Di Bona i Levrero. Zamierzali uprowadzić zakładników łącznie z prokuratorami, radnym-komunistą i księdzem, wyruszyć autokarem w kierunku Genui, zatrzymać się po przybyciu niewielu kilometrów, zażądać dwustu milionów lirów i helikoptera, następnie rozstać się z zakładnikami, odlecieć i wylądować w bardzo trudno dostępnych górach na Sardynii. Concu znał tamte okolice, bo z Sardynii pochodził.

Obie strony zwlekały z realizacją przygotowanych planów, nie mając odwagi zaryzykować. Concu raz jeszcze zagroził, że zacznie rozstrzeliwać ludzi. Tym, liczniejszy niż poprzedniego dnia, spodziewał się, że bandyci wyjdą łaďa moment do podstawionego autokaru. Czas upływał i nikt nie wychodził.

Minęła godzina piąta.

Wtedy właśnie usłyszano detonacje i wystrzały. To Reviglio Della Venaria zaczął zaatakować ubikację. Na placu, w oknach i na balkonach, skąd widzowie obserwowali więzienie, sądono, że bandyci rozpoczęli egzekucje. Dopiero później, gdy pokazały się dymy, rozpoznano w nich gazy łzawiące.

Wszystkie domysły były słuszne. Rzeczywiście, oddział szturmowy pod dowództwem generała karabinierów rzucił na początek petardę z gazem łzawiącym, przed którą Concu zdążył jeszcze zatrzaskać drzwi. Petarda eksplodowała w korytarzu. Ale wejście do ubikacji nie było tak umocnione jak do izby chorych i karabinierzy łaťwo je wyważyli. Walka rozegrała się w tłoku i chaosie, na niewielkiej przestrzeni między umywalniami i parą klozetów. Trwała mniej więcej trzy minuty. W ciągu tych trzech minut wszyscy zrobili to, na co ich było stać.

Ogień otworzył Di Bona. Otworzył go jednak na oślep. Nie mierzył do wybranych osób według kolejności poprzednio zaplanowanej, lecz puścił serię z pistoletu w ten łať ubikacji, który przypadkowo miał przed sobą. Zabił dwóch dozorców. Nie mógł wiedzieć, czy ich zabił, ponieważ nie starczyło mu czasu, aby to sprawdzić. Musiał skierować lufę w stronę wejścia i ostrzelać karabinierów, czym powstrzymał nieco impet natarcia.

Tymczasem Concu dopadł Grazielli, chwycił ją za łokieć i zaczął wleć w głębi

ubikacji. Jeszcze w nocy Concu, Di Bona i Levbrero umówili się między sobą, do kogo z nich należy który zakładnik i komu będzie służył za osobistą osłonę. Zgodnie z tą umową Graziella należała do Concu. Otóż w momencie, gdy karabinierzy wyważyli drzwi, Concu jakby zapomniał o funkcjach wynikających z jego stanowiska w grupie, być może nawet nie zdawał sobie sprawy, że inicjatywę obrony przejął Di Bona, który stawia opór karabinierom, pamiętał tylko, że Graziella miała jego, Concu, zasłonić przed pociskami. Rzucił się więc na nią i usiłował wciągnąć do klozetu nie po to prawdopodobnie, by ją tam zamordować, jak sądzili świadkowie zacieklej szarpaniny tych dwojga, lecz po to, by trzymając ją kurczowo przed sobą, mieć szansę ratunku. Nie wiadomo, czy Di Bona źle zrozumiał intencje Concu, czy też właśnie zrozumiał dobrze i dlatego strzelił, czy może działał bez zastanowienia. Dość, że wtedy, gdy Concu szamotał się z Graziellą, Di Bona podszedł z boku i zabił Graziellę strzałem w skroń.

Concu zareagował na to w sposób jeszcze mniej oczekiwany. Jak dowódca na polu bitwy, wymierzający karę za zdradę, wznosił pistolet, którego dotąd ani razu nie użył, i wycelował prosto w Di Bonę. Z niejasnych przyczyn pistolet nie wypalił. Przez sekundę Concu stał nieruchomo z palcem na cynglu, osłupiały i przerażony. Nikt się nie dowie, co nim naprawdę kierowało i dlaczego właściwie w tych okolicznościach próbował przede wszystkim zgładzić przyjaciele. Faktem jest, że była to ostatnia próba, jaką Concu podjął, gdyż po sekundzie owego nieruchomego stania padł trafiony pociskiem któregoś z karabinierów. Di Bona bronił się dalej.

Levrero zdążył tymczasem wcisnąć się w stłoczoną masę zakładników żywych, martwych, oszalałych lub rannych. Także on otrzymał już postrzał, lecz dość lekki. Zakładnicy byli kserpowani, częściowo powiązani w trójki, albowiem tuż przed szturmem zaczęto ich właśnie przygotowywać w ten sposób do wymarszu. Na widok ранnego kata, podpełzającego z nożem, mogli się tylko bardziej skurczyć i przywrzeć do ziemi. Levrero jednak nie przycołgał się, aby ich pozakłować. Nie szukał już w ogóle ofiar, lecz zbawcy, a przycołgał się w istocie do swojego "osobistego" zakładnika, starszego sierżanta straży więziennej, błagał go o litość i wstawiennictwo u władz. Sierżant był w szoku i nie rozumiał zaklinań człowieka, od którego spodziewał się tylko śmierci. Levrero miał ciągle nóż w ręku. Chował go na ostatni moment, gdy będzie musiał odebrać sobie życie.

Wśród powszechnego zamętu, strzelaniny i krzyku spod umywalni podniósł się nauczyciel śpiewu. Sam nie wiedział, co właściwie zrobił i jak mu się to udało, wstał po prostu i pobiegł ślizgając się na posadzce oblanej krwią. Nikt go nie zatrzymał, być może nikt nawet nie zauważył tej ucieczki, żaden zabłąkany pocisk nie drasnął nauczyciela śpiewu, który w kłębach gazu kławiącego, na wpół oslepiły, biegł przez korytarz i wołał:

- Nie strzelać! Nie strzelać! Jestem Demanueli.

Zaraz potem karabinierzy wtargnęli ławą do ubikacji. Zobaczywszy ich tyłu naprzeciw siebie, Di Bona zrozumiał coś, co Levbrero przewidział jakby nieco wcześniej: że czas, który pozostał, wystarczy jedynie na samobójstwo. Di Bona się nie zawahał. Sprawiała to zapewne ta sama furia, z jaką działał od początku, mordując zakładników. Mówili o mordowaniu wszyscy, ale robił to za każdym razem Di Bona. Z jego ręki padli poprzedniego dnia lekarz i wykładowca geometrii. On serią z pistoletu zmasakrował w ubikacji bezbronną kupę ludzką. Furia nie opuściła go także w rozstrzygającej chwili, i to furia w stosunku do samego siebie.

Levrero, zawsze konsekwentny, zdecydowany na każdą ostateczność, nie tylko zmienił postanowienie, lecz uczynił to na czas. Odrzucił nóż, pomazał sobie twarz krwią, znieruchomiał na podłodze i udawał zabitego. Di Bona zapewne pomyślał, że nie żyją obaj: Concu i Levrero. W rzeczywistości Concu leżał nieprzytomny i dopiero konał, a Levrero pozorował śmierć, aby ocaleć. Maniak Di Bona popełnił samobójstwo, jak automat, zgodnie z programem.

Rzeź była połowiczna. Nie wszyscy zginęli.

Zginęło jednak dość ludzi, żeby natychmiast po zakończeniu rzezi, gdy zaczęto wynosić martwych i rannych, można było pomyśleć o winie urzędnika państwowego, który swą decyzją skazał na rzeź. Zarazem uratowało się dość wielu, by można było twierdzić, że jednak szturm się opłacił, a "konieczna cena" wyniosła mniej, niż mogła. W opinii tych, którzy tak twierdzili, szturm opłacił się zresztą nie dlate-

go, że ocalała większość zakładników, lecz dlatego, że nie opłacił się szantaż. Jeśli coś ocalało, to przede wszystkim zbawienny mit o zdolności demokratycznego społeczeństwa do odparcia szantażu. W istocie decyzja urzędnika państwowego, która doprowadziła do rzezi i ocalała mit, nie została podjęta w sposób demokratyczny, ale najzupełniej arbitralny. Spór publiczny o tę decyzję, o winę i cenę miał dopiero wkrótce rozgorzeć.

Na razie wyły syreny karetek. Liczono ofiary. Krewni dowiadywali się, kto zginął, kto przeżył. Rozegrały się sceny zwykłe w takich wypadkach: krzyki, spazmy i wybuchy hysterii. A byli tam różni ludzie: mąż Grazielli, córka nauczyciela śpiewu i matka Di Bony. Ponieważ wynieść z więzienia musiano wszystkich rannych, a także wyczerpanych, zemdlonych i tych, którzy doznali szoku, mogło się to wydać nie ustającym transportem trupów. Od razu pojawiła się też charakterystyczna potrzeba wyolbrzymiania. Rozmiary rzezi, winy i bestialstwa urosły w wyobrażeniu różnych stron, aczkolwiek niejednakowo. Opowiadano, że bandyci wyrzucili wszystkich nauczycieli. Ale inna wersja głosiła, że nie oni zabijali. Nauczyciele mieli poginać od kul karabinierów. Ocalał jeden bandyta! Po co karabinierzy zrobili ten obłąkany szturm, kiedy wiadomo było, że już pierwszy się nie udał? Swoim wymordowali swoich! Jeszcze przed nocą prokurator Reviglio Della Venaria złożył oświadczenie! Szturm przypuszczono dopiero wtedy, gdy z ubikacji doleciał odgłos wystrzałów i powstała obawa, że więźniowie rozstrzelują zakładników.

W rzeczywistości więźniowie nie użyli broni przed szturmem.

Prokurator wspominał, że Graziella miała gardło podcięte nożem i została zgwałcona.

Nie było to prawdą.

Prawdziwa była suma zabitych. Łącznie w obu szturmach zginęło sześć osób: lekarz, dwaj dozorczy, zastrzeleni w ubikacji, Graziella Giarola, Concú i Di Bona, który sam się pozabawił życia. Rany ciężkie i lżejsze odniosło więcej osób, wśród nich nauczyciel geometrii (niebawem zmarł w szpitalu), nauczyciel rysunków, kilku karabinierów, pewien więzień-zakładnik oraz Everardo Levrero.

Stwierdzono zawał serca u jednego dozorczy, u pozostałych zakładników szok.

V.

V.

Sprawa "Mechanicznej pomarańczy" wypłynęła nazajutrz, gdy minister sprawiedliwości udzielając prasie wywiadu w związku z masakrą w Alessandrii, oznajmił o pewnym przygotowywanym od dawna spisku, któremu sami spiskowcy mieli nadać kryptonim "Mechaniczna pomarańcza". Minister zastrzegł się od razu, że spisek nie miał nic wspólnego z akcją trzech więźniów w Alessandrii. Rzeczywiście, nie było żadnych dowodów, żeby ci trzej działali w łączności z organizatorami jakiegoś spisku. Jedyny ocalały buntownik, Levrero, zeznał potem w szpitalu, że o "Mechanicznej pomarańczy" nigdy nie słyszał.

Można by się zgodzić z zapewnieniami ministra i rannego więźnia, że tak właśnie było, i również w niniejszym opisie nie wciskać do jednego worka dwóch spraw bez widocznego związku, gdyby istniał jakiś inny worek, w którym "Mechaniczna pomarańcza" (spisek) dałaby się umieścić z większą słusnością. Sęk w tym, że "Mechanicznej pomarańczy" (spisku) nie łączy żaden oczywisty związek z niczym, nawet z "Mechaniczną pomarańczą" (filmem). Ani przed wywiadem ministra, ani po wywiadzie spiskowcy nie dali o sobie znać konkretnymi czynami. "Mechaniczna pomarańcza" pozostała tylko informacją i pojęciem. Ścisłej mówiąc, pozostała ideą pewnego nie zrealizowanego zamachu. Ponieważ idea ta objawiła się publicznie w tym samym czasie, co rzeczywisty zamach w Alessandrii, zatem w umysłach ludzkich zrosła się z owym jedynym realnym faktem i tak zrosnięta przeszła do historii.

Informacja, którą podał minister sprawiedliwości, zastępując niejako ministra spraw wewnętrznych, pochodziła od konfidentów. Z różnych "zakładów karnych" w kraju napływać miały poufne wiadomości o istnieniu tajnego porozumienia między grupkami więźniów z tych "różnych zakładów", lecz kierowanego "także z zewnątrz".

Nie wiadomo, czy porozumienie było pomyślane jako trwała organizacja. Wiadomo, że postawiło sobie doraźny cel: skupić rozproszone siły buntowników i przeprowadzić akcję terrorystyczną co najmniej w dwudziestu siedmiu więzieniach jednocześnie. Oprócz tych działań spiskowcy "z zewnątrz" powinni byli w miarę możliwości dokonać napadów na transporty więźniów, będące gdziekolwiek w drodze, i uwolnić wszystkich przewożonych. Operację zamierzano odbyć w terminie między 10 a 13 maja. (Concu, Di Bona i Levrero wzięli zakładników o dzień wcześniej, ale to wyprzedzenie mogło być celowe). Cały plan nazywał się "Mechaniczna pomarańcza", podobnie jak sama organizacja, nie jest więc rzeczą wykluczoną, że organizacja powstała po to, by wykonać tylko to jedno zadanie.

Pomysł spiskowców nie był niczym niezwykłym. Musiał on wcześniej czy później narzucić się każdemu, kto umiał wysnuć wnioski z nieskuteczności dotychczasowych bezładnych rewolt we włoskich więzieniach. Co prawda, i ta skoordynowana próba gwałtu spaliła na panewce, a raczej nie wykroczyła poza fazę przygotowań, ale spiskowcy byli, jak widać, nieostrożni i dali się przedwcześnie zdekonspirować. Gdy minister (socjalista Zagari) ogłaszał szczegóły spisku, robił to nie bez cienia satysfakcji, że władze, krytykowane przez prawicę za bezsilność, przez lewicę za wsteczność i niechęć do reform, mogą się bądź co bądź czymś wykazać: potrafiły nie dopuścić do wybuchu "Mechanicznej pomarańczy", a rozumieją niezbędność reform i nie przestaną ich wcielać w życie mimo ogromnych trudności. Minister mówił więc pośrednio o sprawności władz: spisek został wykryty, dwadzieścia siedem więzień objęto czujną kontrolą, udaremniono już właśnie rozruchy w Perugii i Spoleto, ponadto władze nie spuszczaają z oka ewentualnych prowodyrów, szczególnie podejrzanych przenoszą do innych miast, wszędzie trwa stan pogotowia, odbywają się rewizje cel więziennych i zostały wydane zarządzenia specjalne na wypadek, gdyby "Mechaniczna pomarańcza" mimo tych wszystkich zabezpieczeń próbowała jeszcze przejść do ataku. Więźniowie ograniczyli się tu i ówdzie do protestów przeciwko nekaniu ich rewizjami i zaostrzoną kontrolą. Minister uprzedził zresztą protesty, mówiąc, że nadzór jest rzeczywiście dokuczliwy i nawet nie całkiem skuteczny. Można by go uniknąć, ale trzeba by dysponować nowoczesnymi środkami technicznymi. Tym potrzebniejsze są reformy. Broń na przykład mogłyby wykrywać detektory automatyczne, którymi więzienia z braku funduszy nie rozporządzają.

Słowem, projekt powszechnej rewolucji przestępców, mającej rozsądzić cały system karny bez czekania na problematyczne reformy, załamał się póki co dzięki zdradzie donosicieli. Pozostanie tajemnicą, czy pacyfikacja Alessandrii wywarła jakiś wpływ na niepowodzenie spisku. Co się tyczy donosicielstwa, faktem jest, że wkrótce po rzezi pewien więzień, trzymany uprzednio jako zakładnik, usiłował popełnić samobójstwo. Desperat ten, będąc zakładnikiem, robił notatki z izby chorych, które przemycał przez kratę. Ale zapisywał raczej swoje refleksje. Znalazła się wśród nich taka uwaga o trzech terrorystach: "Gdy myślę, jak by ich określić, spostrzegam, że społeczeństwo nauczyło mnie nazywać ich tylko zbrodniarzami, wykołajkami. A ja widzę inną nazwę, znacznie odpowiedniejszą: rewolucjoniści walczący o wolność".

To olśnienie, w istocie już banalne, nie zasługiwałoby na wzmiankę, gdyby nie świadczyło, w jak szerokim zakresie zdołała się upowszechnić idea, że przestępcy są ludźmi sprawiedliwymi, i gdyby nie nawiedziło człowieka w tak wyjątkowych okolicznościach, łatwo więc wyobrazić sobie pewien apokaliptyczny patos "Mechanicznej pomarańczy" (dnia sądnego) i zrozumieć, dlaczego Concu, Di Bona i Levrero mogli się wydać pierwszymi archaniołami tego dnia, rozpoczynającymi w Alessandrii krwawe sądy nad "społeczeństwem". "Mechaniczna pomarańcza" musiała nadejść, ponieważ miała powody. To było oczywiste. I najprawdopodobniej stawała się faktem, mniejsza o to, czy w ścisłym związku organizacyjnym ze spiskiem i dokładnie według planu.

Mniejsza też o dyskusje, domysły i oskarżenia, a raczej preteksty do oskarżeń, których "Mechaniczna pomarańcza" dostarczyła wielu stronom dzięki pomyślnemu przypadkowi, że wprawdzie nadeszła, lecz chwilowo musiała się cofnąć, że jak gdyby pokazała tylko mgliście twarz i natychmiast ją zakryła. Jeszcze więc był czas na zajęcie się powszednimi interesami, na rozrywki, manipulacje i spory. Zaraz też

postawiono pytanie, czyją to właściwie twarz pokazała "Mechaniczna pomarańcza", czy w Alessandrii, czy naprawdę ją pokazała, czy może ktoś ją podrobił i czy może komus zależy na jej ukryciu, a jeśli tak, to po co.

Faszyści mieli prostą koncepcję: pokazała się twarz komunizmu, a umożliwił to "permissywiizm", uprawiany w więzieniach i ministerstwie "towarzysza Zagarięgo". Oczywiście, "permissywiizm" zależy na tuszowaniu sprawy. "Mechaniczna pomarańcza" to Alessandria, Concu to "Lotta continua", słownictwo rewolucyjne to wiadoma ideologia. Czego jeszcze trzeba?

Ale również gazeta Włoskiej Partii Komunistycznej, "Unità", wyraziła przypuszczenie, że "Mechaniczna pomarańcza" to Alessandria, chociaż tak zwany dysydencki dziennik komunistyczny "Manifesto", był zdania, że "Mechaniczna pomarańcza" nie istnieje, i rozprawił się ostro z ministrem-socjalistą za lansowanie śmiesznych bajek w interesie chadecji. Ogólnie biorąc, radykalna lewica głoszą, iż wcale nie wiadomo, czy Concu to "Lotta continua", świetnie natomiast wiadomo, co to takiego Levrero: faszysta skazany już kiedyś sądownie za montowanie "Czarnych Brygad Narodowych". Faszystą mógł być też Di Bona. "Unità" nawet przypomniała, że pracownik stacji benzynowej, zabity przez Di Bonę siedemnaście lat wcześniej, był członkiem partii komunistycznej. Organizatorzy gwałtu, zamachów i mordów są między faszystami i tam trzeba ich szukać. A może to komuś niewygodne? Ciekawe - pytała "Unità" - dlaczego Levrero nie przesłuchano od razu po ujęciu, lecz pozwolono, żeby oprzytomniał, zamiast przycisnąć go w chwili, kiedy byłby się do wszystkiego przyznał.

Radykalna lewica uważała za dziwactwo tezę "obiektywnych", do których należał sam minister. Według "obiektywnych" "Mechaniczna pomarańcza" (spisek) dała się z trudem określić pod względem politycznym, a jeśli już koniecznie trzeba ją było tak określać, wyglądała na mieszaninę skrajności ultralewicowych i ultraprawicowych, ponieważ przedstawiciele obu tych sił "pozaparlamentarnych" inspirowali spisek. Podobnie mieszany obraz wystąpił, co prawda, w Alessandrii, jednak Alessandria miała być niezależna od "Mechanicznej pomarańczy", gdyż inspirował ją tylko prąd kryminalny, nowomodna technika terronu, ale nie ideologia terronu. Było to po prostu zastosowanie środków, którymi posługuje się współczesny przestępca. Zbrodniarz bierze zakładników i szantażuje dla własnych celów, nie w interesie rewolucji.

Dobrze - odpowiadali jednogłośnie wszyscy krytycy "obiektywnych". - Ale skąd się wzięła broń w Alessandrii?

Levrero twierdził, że nie wie. Broń mieli Concu i Di Bona. Nie powiedzieli mu, jak ją zdobyli.

Policja tłumaczyła, że broń mogła się przedostać do więzienia tylko w jeden sposób: ktoś ją przyniósł i podał w sali widzeń, gdzie po styczniowym kuncie zdjęto siatkę i przestano rewidować odwiedzających. Więźniów też nikt nie kontrolował. Można było przemycić wszystko.

Policja jest naszpikowana faszystowskimi wtyczkami, a mówi o siatce w sali widzeń, bo chce zapobiec reformom - uważali zgodnie lewicowcy. "Pozaparlamentarni" z Alessandrii, "Manifesto", "Lotta continua" i "Avanguardia operaia", wydali Oświadczenie, w którym kategorięcznie twierdzili, że "desperacka akcja trzech" była "izolowana", nie miała żadnego związku z "ruchem walki o reformy" ani z buntem więźniów, "popartym przez większość i pozytywnie przeprowadzonym w styczniu tego roku". Do pewnego stopnia było to zgodne z twierdzeniem ministra. "Pozaparlamentarni" upierali się jednak, że "Mechaniczna pomarańcza" została wymyślona w celach prowokacyjnych, a naprawdę nie istnieje. Najostrzej i ze szczególną jadowitością gromili natomiast winowajców rzezi, czyli władze państwowe. Partia komunistyczna była wstrzemięźliwsza. Wskazywała palcem na faszystów, lecz do innych oskarżeń przykładała się z umiarem.

Dlatego może najwyraziściej pamiętam namiętny artykuł z "Manifesto" o "rzeźnikach Alessandrii". Porównano tam buntowników z władzami. To prawda, że trzech zrozpaczeni więźniowie zemścili się nie tylko na swoich dozorcach, lecz i na przypadkowych, niewinnych ludziach. Ale kim są prokuratorzy, generałowie, politycy i panowie z rządu, którzy skazali hurtem na śmierć więźniów i zakładników, winnych i niewinnych? Oto sprawcy jatek! Ci rzeźnicy o cynicznej etyce hitlerowców rządzą krajem w sposób niczym nie ograniczony, rozstrzyga ich zimna, okrutna decyzja, autorytet państwa jest ważniejszy niż ludzkie życie.

Pisano jeszcze o pociągach, którzy nie widzą związku między przestępczością i jej społecznymi korzeniami, dla których przestępczość jest fatalną patologią natury, a każdy przestępca katem z samego przekonania, nigdy ofiarą.

*

Mniejsza więc o dyskusje i oskarżenia.

W połowie maja zrobiło się nagle ciepło. Nosikiem koszulkę z krótkimi rękawami. Byłem w Rzymie, na jednej z tych kamiennych ulic, bezdrzewnych, pustawych. Miało się pod wieczór, mieszczkańskie rodziny jadły już w domach kolację. Sklepy zamykano tego roku wcześniej dla zaoszczędzenia elektryczności, tylko niektóre zostawały otwarte do późna. W moim sąsiedztwie czynny był sklep papierniczy, gdzie sprzedawano także gazety i czasopisma. Rodzaj dużego kiosku.

Wracałem do domu ociągając się, przystanąłem jeszcze przed sklepem, aby spojrzeć na ostatnie wydania dzienników. Nie trzeba było wchodzić do środka, cała kolekcja gazet, szeroko rozpiętych, wisiała na zewnątrz jak stado gotowych do lotu ptaków z rozpostartymi skrzydłami. A były ptaki wszelkich gatunków, drapieżniki krwawe, krogulce, sępy, żywiące się padliną, papugi kolorowe w pretensjach i i potulny drób domowy, który nigdzie nie polecie. Aż dziwne, jak się przyzwyczaiłem do tej mnogości okazów tak niebezpiecznych i całkiem nie znanych w Europie wschodniej. Na każde takie stworzenie, gdyby się cudem coś podobnego wylęgło w chłodnym klimacie północy, odbyłyby się natychmiast polowania. Ruszyłyby nagonki, pościgi, sfory psów myśliwskich tropiłyby to po lasach, póki by nie dopadły takiego omdlałego ptaka i nie zagryzły w ciemnej gęstwinie. A tutaj żywe wszystkie te gatunki wisiały, ni to siedziały rządkiem na żerdce, mogłem gapić się w ich rozdziawione dzioby, gmerać temu pod skrzydłami, macać nadstawione brzuchy i zaglądać, gdzie chciałem. Co więcej zaś, uważałem ten nieprawdopodobny ekshibicjonizm i swoje codzienne obcowanie z nim za rzecz zupełnie zwyczajną, bez której nie można się obejść, zwłaszcza gdy zdarzy się jakaś masakra w więzieniu albo "Mechaniczna pomarańcza".

Z drugiej strony myślałem sobie, że już mniejsza o dyskusje i o to, co tam jeszcze który z tych okazów nakracze lub jak się będzie zacierziewiał. Stałem więc pod sklepem i wodziłem tylko okiem po tytułach, zwracając uwagę na wiadomości, nie na opinie, i upewniając się, czy przypadkiem jakaś gazeta nie odkryła dodatkowych faktów, których nie znam, a powinienem uwzględnić w opisie "Mechanicznej pomarańczy". Nie było już mowy, żeby kupować to wszystko i czytać, zbyt wielkie stosy gazet piętrzyły mi się ostatnio w domu. Na szczęście te gatunki włoskie tym się również odznaczały, że jeśli się im trafił jakiś ciekawy fakt, to go wystawiały od razu na pokaz w tytule grubym i jaskrawym lub innym anonsie, tak samo dobitnym, nie omotując nic po zakamarkach w szare puchy i pokątne pajęczyny. Szybko więc szła mi lektura i nawet dowiedziałem się wtedy (bardzo dobrze pamiętam, bo nieoczekiwany wypadek, który spotkał mnie wkrótce potem, zaostriżył także wspomnienie o wszystkich szczegółach towarzyszących) otóż dowiedziałem się, że w spisie lokalnych działaczy "Mechanicznej pomarańczy", sporządzonym przez konfidentów z Alessandrii już na wiele dni przed rzezią, pierwsze trzy miejsca zajmowali Concu, Di Bona i Levvero. Przez kilkanaście sekund zastanawiałem się, czy to nie znaczy, że jednak Alessandria była częścią "Mechanicznej pomarańczy", i czy może wejść do sklepu, żeby tę gazetę kupić. Ale zaraz potem wpadł mi w oko spór o to, jak powinny postąpić władze, skoro miały donos na tych trzech podejrzanych, czy nie powinny były przenieść ich do innego więzienia, czy też w ogóle należało lekceważyć donosy o "Mechanicznej pomarańczy", której w istocie nie ma.

Nie wszedłem do sklepu. Nagle poczułem się ni w pięć, ni w dziewięć, razem ze wszystkimi swoimi zainteresowaniami i samą swoją obecnością wśród tych dzienników wolnych jak ptaki, i przypomniałem sobie niemieckie słowo "vogelfrei", a także mały wykład, który mi kiedyś na temat tego słowa zrobiono, że znaczy ono rzeczywiście "wolny jak ptak", lecz zarazem "ten, z którym wolno się obejść jak z ptakiem", na przykład zastrzelić. Moja myśl zesza gdzieś w bok, słowa nie powiązane w różnych językach tkaczyły mi się do głowy, skojarzeniowa wieża Babel po-

wstała tam na moment: vogelfrei, wolny ptak, wolny strzelec, choroszo, horrorshow, i tak dalej. Cóż mi do tego stadka? - myślałem - a jemu do mnie? Cóż mi jego rozmaitość, swobodne ekshibicje, jasne samookreślenia i prywczne sądy? Wiedziałem, że nie są to prawa powszechne ani wieczne, pewnego dnia skończą się one i tutaj, tak mi się nawet zdawało, że już niedługo. A które z tych stworzonek wie, co znaczy "vogelfrei"? No, może któreś tam wie, ale nie zanadto. Zupełnie zrezygnowałem z wejścia do sklepu. Zamyśliłem się nad ciemnościami wieży Babel, nad mętlikiem słów, zmieniających znaczenie i przekształcających się we własne przeciwieństwo, nad dziwnymi korytarzami, którymi sam przez całe życie chodzę w tej wieży, i nad losem różnych bytów, noszących nazwy-odwracanki z tych słów porobione. Tu wyobraziłem sobie wielki dzień przemienienia, gdy się słowa poobracają na lewą stronę i tylko pierze poleci z gazetowego ptactwa, nawet furkotu wielkiego nie będzie, raczej tak jakos nie wiadomo kiedy umilkną skwiry, gwizdy, klaskania, skrzekoty i może jedno kwakanie się utrzyma.

Ale czy "Mechaniczna pomarańcza" - myślałem dalej - też jest nazwą-odwracanką? "Mechaniczna pomarańcza" (spisek) i "Mechaniczna pomarańcza" (film) są jedną rzeczą czy dwiema? Jeśli dwiema, to mogłyby się różnie nazywać. Lecz z jakiegoś powodu nazywają się jednakowo. A może nie ma to głębszego znaczenia? Ostatecznie tajne spiski nie używają kryptonimów, by pokazać, czym naprawdę są, ale by się ukryć pod pierwszą lepszą fałszywą nazwą. Czy na kryptonim spisku nadawano się byle co: marka odkurzacza, symbol matematyczny albo tytuł każdego filmu? Jeśli tak, to czy zamiast "Mechanicznej pomarańczy" mogła być "Viridiana"? Też właściwie rzecz o huncie i gwałcie. ("Viridiana" nie muszę streszczać, bo "Viridiana" była w Polsce dostępna bez trudności i ludzie ją znają). Jednak wybór padł na "Mechaniczną pomarańczę", nie "Viridianę". Czy spisek chciał się wydać filmem, ale tylko tym, nie innym? Czy dlatego, że najpierw film chciał się wydać spiskiem? Czy obie strony działały tak dwuznacznie i tak pozowały na siebie wzajemnie, bo sądziły, że postawią się w lepszym świetle? Film czuł się już za słaby bez spisku, spisek jeszcze za słaby bez filmu? Czy więc uznając humanitarną myśl o współwinie przestępcy i środowiska, trzeba opowiedzieć się za terrorem i rzezią, a przygotowując terror i rzeź, trzeba się powołać na humanitarną myśl? A ta "Mechaniczna pomarańcza", którą ja napiszę, czym będzie? Filmem? Spiskiem? Ona też weźmie udział w odwracance? A ja sam, stojąc ni w pięć, ni w dziewięć na pustawej ulicy rzymskiej przed gazetami z nieswojego świata, na co się powołam i za czym opowiem?

Można by sądzić, że moje rozmyślenia, że moje rozmyślenia pod sklepem trwały bardzo długo. W istocie był to proces intensywny, lecz krótki. Od chwili, gdy się zatrzymałem, by przejrzeć gazety, upłynęły pewnie dwie, co najwyżej trzy minuty. Myśl moja, szczególnie pod koniec, przypominała samolot, który dostał się w korkociąg i opada, wirując wokół własnej osi. Byłem jak ogłuszony tym spiralnym lotem, mógł się on skończyć jedynie roztrzaskaniem o ziemię. Czuję, że to nastąpi, i że dlatego nie zareagowałem, gdy tuż koło mnie rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a nawet nie zdziwiłem się szczególnie, gdy odczułem gwałtowne uderzenie w plecy. Orzeźwił mnie jednak ból, uprzytomniłem sobie, że musiało coś zajść, coś fizycznego, trafił mnie jakiś cios, chyba jakaś wilgoć oblała mi plecy. Odwróciłem się, spostrzegłem na jezdni samochód, przejeżdżający bardzo wolno, i zrozumiałem, że zaszła rzecz nie spotykana we Włoszech: ktoś z tego samochodu rzucał we mnie butelkami.

W samochodzie siedzieli czterej młodzi ludzie w ciemnych żakietach, jeden wychylał się z wozu i trzymał jeszcze rękę w pół uniesioną po rzucie, wszyscy patrzyli w moją stronę, najwidoczniej czekali, żebym pokazał się wreszcie od przodu. Wyrzucając butelki, nie mogli wiedzieć, jak wyglądam ani kim jestem: burżujem, proletariuszem, faszystą, komunistą, cudzoziemcem, Włochem, człowiekiem starym czy młodym. Tylko intuicja mogła im podpowiedzieć, że zasłużyłem czymś na ukaranie. Teraz więc, kiedy stałem już odwrócony przodem, byli ciekawi, kogo ukarali i czy kara wymierzona została słusnie. Ocenili chyba, że tak, mój wygląd potwierdził jakąś moją winę, chociaż musiał ich również rozśmieszyć, bo wydalili z siebie ni to rechot, ni to kwik, głos nieokreślony, ale pełen satysfakcji, po czym samochód szybko odjechał.

Butelka nie zawierała płynu łatwopalnego, w pobliżu nie było lokalnej żadnej organizacji politycznej ani posterunku policji, był tylko sklep z gazetami i ja przed nim. Taką sytuację zobaczyli. Muszę dodać, że wzrost mam średni, tuszę przeciętną, sylwetka moja nie wyróżnia się niczym szczególnym, nie jestem na przykład łysy albo brodaty, byłem również ubrany tego wieczoru w sposób całkowicie szablonowy: koszula, spodnie, kolor bez wyrazu. A może rozdrażniła ich właśnie ta zwyczajność? Może mój stosunek do prasy? Może uznali to bierne stanie naprzeciw tylu gazet o różnych kierunkach za symbol gnuśnej tolerancji, za aprobatę praw, porządku i marazmu, wskutek czego wydałem się im najgorszą zakazaną społecznością, nieznosnym zawalidrogą, przeszkadzającym jakiemś takiemu kierunkowi, o którym wiedzieli z całą pewnością, że jest najlepszy i powinien być jedyny. Toteż zetknawszy się z owym nienawistnym objawem równowagi i zastoju, jaki reprezentowałem, musieli dać upust porywom natury, kategorycznym racjom instynktu, a przede wszystkim prawu agresji. Mieli w samochodzie butelki z sokiem brzoskwiniowym, nie zdążyli go nawet dopić, rzucili we mnie te butelki razem z zawartością. Pierwsza chybiła i roztrzaskała się o bruk, następna trafiła w mój grzbiet, chociaż powinna była może trafić w głowę.

Widziałem ich jeszcze, gdy ksęcili w najbliższą przecznicę z gwałtownym piskiem opon. Raptem pojąłem kim są: przypomnieli mi rajd samochodowy z filmu "Mechaniczna pomarańcza". Byli grupą pogromców, powołanych do wymierzania sprawiedliwości, jak Alex i towarzysze, wyruszeni zapewne z kolejną ekspedycją karną na miasto. Ja spełniłem tylko rolę niesympatycznego dziada, z którym rozprawili się na początek, przygodnie i niedbale. Czekają ich prawdopodobnie tej nocy poważniejsze zadania, poważniejsi winowajcy i surowsze egzekucje.

Jacek Bocheński

Kazimierz Orłowski

GAŁĄZKA BZU

Przechodząc obok drucianej siatki, za którą tęga kobieta podlewała grządki, chłopiec ukamał gałązkę bzu. Był maj. Na naszej ulicy - wzdłuż parkanów, płotów i murów - kwitły liliowe, białe i niebieskie bzy. Zapach kwiatów w upalne dni unosił się nakoło zmieszany z zapachem rozgrzanego asfaltu. Teraz, wieczorem, z zapachem mokrej ziemi, kiedy podlewano ogródki.

Chłopiec ukamał gałązkę i wręczył dziewczynie, którą obejmował drugą ręką. Dziewczyna przytuliła kiść bzu do twarzy i westchnęła. Nad ulicą przeleciało stado gołębi.

- Ej, chuliganie! - usłyszeli młodzi. - Twój bez, że łamiesz gałęzie?

- Nie odzywaj się - szepnęła dziewczyna, ale chłopak nie był z tych, którzy odchodzą potulnie. Odwrócił się. Zza drucianej siatki wyglądała tęga kobieta. Gumowy wąż, którym podlewała grządki truskawek, syczał rzucony na ścieżkę.

- Przepraszam - powiedział. - Mogę zapłacić. Ile gałązka kosztuje?

- Ty mnie nie bierz pod włos, chuliganie! Zamie, a potem wtyka pieniądze! Trzeba było wpieryw zapytać.

Chłopiec wyłuskał z kieszeni dzinsów pięć złotych. Z pięciozłotówką w dłoni zbliżył się do płotu. Dziewczyna z gałązką ukaranego bzu została w miejscu, do którego doszli.

- Nie chcę nic za darmo - oświadczył.

Być może widok dziewczyny - smakłej, z liliowym bzem w opalonych dłoniach - lub bezczelny, jak pomyślała, wzrok chłopaka i drwina w jego słowach, zirytowały tęga kobietę jeszcze bardziej.

- Won, gówniarzu! - krzyknęła. - Zabieraj swoje pieniądze! - Wytrącona pięciozłotówka upadła z brzękiem na chodnik.

Chłopiec schylił się, żeby podnieść. - Tylko nie gówniarzu, tylko nie gówniarzu! - powiedział prostując się.

- Nie dyskutuj z nią Romek. Chodź! - odezwała się dziewczyna. Ale chłopiec nie był z tych, którzy odchodzą potulnie. - Tylko nie gówniarzu! - powtórzył.

- Idź, idź, idź - mówiła coraz głośniej kobieta. - Zabieraj swoją dziwkę i won stąd! Żeby was moje oczy nie oglądały więcej, gówniarze!

Po drugiej stronie ulicy ktoś przystanął.

- Dzwka - powiedział chłopiec błędąc, jakby stracił nieco opalenizny na twarzy - to sama jesteś.

Kobieta odwróciła się. Podbiegła do leżącego na ścieżce węża. Przez chwilę, kiedy stała schylona, widział jej grube uda i łydki z nabrzmiałymi guzami żyłaków i wielki zad opięty kusą pomarańczową spódnicą. Potem w górę wystrzeliła fontanna wody. Kobieta odwróciła się i skierowała strumień na chłopaka. Poczuł zimne uderzenia strumienia po twarzy i na piersiach. Zachłysnął się wodą.

- Won, chuliganie! - krzyczała właścicielka bzu.

Po raz drugi miedziana pięciozłotówka upadła na chodnik. Tym razem nie podniósł jej. Dziewczyna widziała, jak chłopiec kładzie rękę na skupie, do którego przybito siatkę, i wspina się wsuwając czubki butów w druciane kwadraty. Kobieta oblewała go wodą przez cały czas. Białe bryzgi leciały na chodnik, na krzak bzu obok. Na drucianej siatce, jak małe sopelki, zostawały krople. Chłopak skoczył na grządke po drugiej stronie siatki. Podparł się rękami, zerwał i podbiegł do kobiety. Chwilę szarpali się wrywając sobie gumowego węża.

- Gówniarzu! - krzyczała. - Chuliganie! - W chwili kiedy odebrał jej węża,

zaczęła wołać: - Na pomoc, ratunku!

Zlany wodą, w koszuli, która lepiała się do ciała, stojąc na dygocących nogach, chłopak bezlitośnie oblewał tęą właścicielkę bzu. Systematycznie, od głowy do grubych nóg, na których znać było ciemne guzy zylaków. Zaskaniając się, tracąc oddech i krztusząc, kobieta cofała się nie przestając wzywać pomocy.

Dziewczyna podbiegła do siatki. Chwyciła za mokre druty i zawołała: - Romek, opamiętaj się, Romek!

Tęą kobieta znikła w głębi ogrodu, wśród kwitnących drzewek, krzewów agrestu i czarnej porzeczki. Strumień wody parsknął w ciszy, jaka teraz zapadła. Chłopak mokrym rękawem koszuli starł z twarzy krople. Ciekły ze zmoczonych włosów.

- Jęcza! - powiedział. - Potwór!

- Chodź! - prosiła dziewczyna. - Zostaw!

Stał, niezdecydowany, oblewając krzaki agrestu i długą grzędę truskawek pod nogami. Bawił się strumieniem wody. Patrzył w stronę, gdzie znikła kobieta. -

- Niech wróci. Inaczej pomyśli, że się boję.

Tęą kobieta wróciła po kilku minutach. Za nią, dopinając pas, za którym sterczała wetknięta biała pałka, i poprawiając służbową czapkę, szedł milicjant. Być może chłopak i dziewczyna za drucianą siatką znali tego milicjanta z widzenia: w naszej podmiejskiej dzielnicy twarzy jest mniej - łatwiej zapamiętać. Lub on znał jego z ulicy i pamiętał dziewczynę, za którą oglądali się mężczyźni: smukłą, o długich opalonych palcach. Teraz te palce zaciskała na drucianej siatce. W rękach chłopca syczał strumień wody. Upuszczona gałązka bzu leżała przy nogach dziewczyny.

- Proszę, panie Adamczyk - mówiła zdyszana kobieta - niech pan spojrzy: tam leży bez. Zwróciłam uwagę, a on przelazł płot i oblał mnie, kobuz! Ty chuliganie! - wrzasnęła grożąc chłopcu pięścią. - Dędzie: miał za swoje!

- Co tu robisz? - syczał milicjant podchodząc do chłopaka wzdłuż grzędy truskawek. - Co to za wybryki?

- Panie władzo, zaczęła mnie wyzywać pierwsza. Chciałem płacić za bez.

- Niech pan spojrzy, jaka mała gałązka! - zawołała dziewczyna zza płotu. Podniosła bez z ziemi.

- Ciebie nie pytam - oświadczył milicjant i stając przed chłopcem rozkazał:

- Rzuć węża i pokaż dowód. Raz dwa!

Chłopak był wyższy - aptrył na milicjanta z góry. Znów zawahał się. Uniósł rękę, żeby zetrzeć krople z czoła, a wtedy mężczyzna chwycił za metalową końcówkę.

- Chwileczkę - powiedział chłopak - sam odłożę.

- Kładź, gówniarzu! Kładziesz, czy nie?

Ale on nie należał do tych, którzy ustępują. Dziewczyna widziała, jak przez chwilę szarpali się usiłując - jeden drugiemu - wyrwać węża z rąk. Chłopak był silniejszy: wyszarpnął końcówkę i skierował strumień na milicjanta. Mężczyzna zatoczył się pchnięty silnie. Woda zmyła służbową czapkę. Dziewczyna widziała, jak stał odwrócony (i strumień rozpryskujący się i bębniący po plecach). Wyciągnął wetkniętą za pas pałkę. Później, nie zważając na wodę, ruszył przez truskawki. Bił na oślep. Chłopak coś krzyknął. Ciosy pałki w bryzgach wody. Znowu szarpali się deptając po grządkach. Zataczali się między krzewami agrestu. W syku strumienia. Dziewczyna zaciskała palce na drutach. Słyszała uderzenia pałki o mokre ciało: przypominały głośne klaśnięcia. Może widziała pręgi na plecach chłopaka (przeświecały przez białą koszulę?). Krew na wargach. To wtedy, broniąc się, zaczął wywijać wężem. Guma grzmotnęła o plecy mężczyzny. Metalowa końcówka wytraciła pałkę. Przeleciała łukiem nad grządkami. Mężczyzna skulił się. Głowę objął rękami. Chłopak bił z rozmachem. Krzyczeli obaj. Znowu grzmotnęło: raz, drugi. Tęą kobieta uciekała z krzykiem. Zlany wodą milicjant, bez pałki (leżała przykryta liśćmi truskawek), bez czapki - potykając się biegnąc za nią. Dopiero wtedy chłopak ustąpił: rzucił węża, chwielejąc się podszedł do płotu.

- Romek, Romek! - mówiła szlochając dziewczyna. A on oparł się o drucianą siatkę, na której błyszczały małe krople i stał w milczeniu ciężko dysząc. Na rozciętej wardze nabrzmiewała powoli grudka krwi.

Zabrali go z ulicy, dwie przecznice dalej. Zza rogu wypadł radiowóz i z

* * *

W pół roku później został skazany na pięć lat więzienia, za to, "że przy pomocy węża gumowego z metalową końcówką pobił funkcjonariusza milicji obywatelskiej pełniącego służbę oraz obywatelkę (tu wymieniono nazwisko właścicielki bzu) wdzierając się bezprawnie na teren posesji przy ulicy Lipowej dziewięć w ten sposób dopuszczając się przestępstw określonych w artykułach dwieście trzydzieści cztery, sto pięćdziesiąt sześć i sto siedemdziesiąt jeden Kodeksu Karnego".

Nie znaleziono okoliczności łagodzących i nie dano wiary oskarżonemu, który twierdził, że to on został pobity przez poszkodowanego, a następnie w siedzibie komendy (na dowód czego pokazywał ubytki w uzębieniu, blizny na głowie i lekko sepleniał). W czasie rozprawy zachowywał się arogancko, przerywał świadkom - funkcjonariuszom MO, groził tęgiej kobiecie oraz kwestionował bezstronność sądu.

Wyrok uprawomocnił się. Roman N., lat dziewiętnaście, uczeń, kawaler, poprzednio nie karany, obywatel polski - przebywa obecnie w zakładzie karnym.

1979

MELDUNEK

Emeryt kolejowy Dziedziejko Jan cieszył się na tutejszym terenie mieszkanielną opinią człowieka niepijącego, niepalącego i całkowicie oddanego pracy społeczno-politycznej. Członek partii, ORMO, a także szeregu innych organizacji społecznych (jak PZW, TPR, LOK, OSP), zawsze występował w pierwszych szeregach walki ideologicznej. W samym tylko miesiącu marcu wspomniany Dziedziejko Jan uczestniczył w następujących akcjach społecznych: dekorowanie świetlicy miejscowego DK z okazji międzynarodowego Dnia Kobiet, "Akcja porządek" na dworcach PKP i PKS - udział w patrolach; jako społeczny inspektor ruchu drogowego przeprowadzał kontrole pojazdów na ulicach naszego miasta oraz - w ramach przygotowań do obchodów międzynarodowego święta ludzi pracy - malował hasła na ogrodzeniu betonowym oddzielającym tereny warsztatów PKP od torów. Nadmieniam, że hasła te o treści: "Ojczyźnie naszej - serca, myśli i czyny", "Lepiej pracować znaczy lepiej żyć", "Dobro człowieka najwyższym celem" - jasno odzwierciedlały program partii oraz dodatnio oddziaływały na świadomość obywatelską mas. Ponieważ litery były wielkości jeden metr na osiemdziesiąt centymetrów - wymalowanie nawet jednego słowa wymagało od Dziedziejki dużego nakładu sił i środków. Zaznaczam, że wykonania haseł podjęło koło emerytów PKP przy oddziale tamtejszego ZBOWiD na wniosek zgłoszony przez wyżej wymienionego.

W świetle powyższych faktów oraz dobrej oceny dotychczasowej postawy emeryta Dziedziejki tym większe zdziwienie budzić musi jego czyn, który mógł doprowadzić do nieobliczalnych wprost następstw. W dniu ósmym maja br. Dziedziejko zgłosił się do sklepu spożywczego WSS przy ulicy Armii Czerwonej dwanaście i zażądał od ekspedientki ob. Cecylii Wnuk sprzedaży dziesięciu skrzynek piwa butelkowego, pełnego, produkcji Zakładów Gorzelniczych w Grudziądzu. Na pytanie ekspedientki o powód tak

poważnego zakupu oświadczył, że zamierza rozdać piwo pracownikom pobliskiej cementowni Będziny-II, którzy, jak wiadomo, korzystają ze sklepu w godzinach pracy. Bliższych wyjaśnień nie udzielił, zażądał jedynie, aby wyżej wymieniona Cecylia Wnuk nie przyjmowała pieniędzy za piwo i cały transport rozdała za darmo.

Na skutki powyższej transakcji nie trzeba było długo czekać. W przerwie śniadaniowej (Dziedziejko nabył piwo około ósmej trzydzieści) do sklepu zaczęli napływać pracownicy cementowni. Według relacji Wnuk - Dziedziejko, z baretkami oznaczonych na klapie kolejarskiej marynarki, w służbowej czapce, stanął w lewym narożniku pomieszczenia i czekał na rozwój wydarzeń. Pierwsi dwaj pracownicy cementowni, którym sklepowa wręczyła butelki i nie przyjęła należności, zażądali następnych, a kiedy je otrzymali (każdy po pięć) szybko sklep opuścili. Po upływie około pięciu minut (w tym czasie Dziedziejko nabył paczkę dropsów) pojawiło się trzech następnych pracowników cementowni. Oni również wypili po butelce piwa, głośno wyrażając zadowolenie, zażądali kilku butelek na wynos, a następnie sklep opuścili. Od tego momentu (czyli od godziny dziewiątej zero zero) sklep ob. Wnuk zaczął być tłumnie nawiedzany przez pracowników wspomnianej cementowni. Ob. sklepowa po prostu nie nadążała z wydawaniem butelek, aż w końcu tłum zgęstniał do tego stopnia, że ci, którzy otrzymali piwo - nie mogli wyjść, a ci, którzy chcieli dostać - nie mogli wejść. Wszczął się tumult, krzyk, rozpychanie łokciami i tak dalej. Przez okno Cecylia Wnuk widziała biegnących od strony zakładu dalszych pracowników. Wówczas podobno krzyknęła: "Ludzie, co was opętało?", ale jej głos był przysłowiowym głosem wołającego na puszczy. Wkrótce wyleciała wystawa szyba, wyłamano drzwi oraz rozbito szafę chłodniczą. W powszechnym zamieszaniu i tumultie emeryt Dziedziejko Jan, jako niewielki wzrostem obywatel, został przyduszony do ściany i nastąpiło pęknięcie dwóch łebów. Obywatelka Cecylia Wnuk słyszała, jak pod wpływem szoku wywołanego bólem, powtarzał bez związku: "światłana przyszłość", "jutrzienka swobody", "społeczeństwo jutra". Z powodu ogromnej liczby przybyłych pracowników cementowni, Cecylia Wnuk straciła z oczu ob. Dziedziejkę, który - jak się później okazało upadł na podłogę i tam, jako jedyny obywatel nie biorący udziału w walce o piwo, został niemalże rozdeptany.

Podczas wstępnego przesłuchania, już po powrocie ze szpitala, ob. Dziedziejko wyjaśnił, że wykupując dziesięć skrzynek piwa pełnego jasnego oraz wydając polecenie rozdania pracownikom cementowni za darmo - chciał nacalnie przekonać się, jak będzie wyglądał ustrój przyszłości, kiedy to każdy otrzyma wszystko, czegokolwiek zapragnie, bez żadnych ograniczeń i bez konieczności posługiwania się obiegowymi środkami płatniczymi, które staną się zwyczajnym przeżytkiem. To mętne tłumaczenie spotkało się z należytą odprawą ze strony porucznika Cholewy, który słusznie, moim zdaniem, zarzucił Dziedziejce świadome działanie w kierunku zniszczenia mienia społecznego oraz dezorganizacji pracy sklepu spożywczego przy ulicy Armii Czerwonej dwanaście (pod płaszczykiem niejasnych bliżej celów), jednakże major Gołaszewski, który przyłączył się w końcowej fazie do przesłuchania podejrzanego, sprawę zbagatelizował, nazwał Dziedziejkę czubkiem i odesłał do domu. O powyższych faktach składam meldunek kierując się swoim obywatelskim obowiązkiem, uważam bowiem, że z emerytą Dziedziejki wykonał się ukryty wróg. Postawa majora Gołaszewskiego wydaje mi się niesłuszna, a także wyprana z pryncypialnej troski o mienie społeczne. Bo kto w końcu odpowiada za zdemolowanie przez pracowników cementowni Będziny-II sklepu przy ulicy Armii Czerwonej dwanaście? Wspomniana Cecylia Wnuk? Pracownicy cementowni, których tożsamości nie udało się ustalić, ponieważ natychmiast po zajściu zbiegli? Sprawę trzeba postawić jasno: zdaniem wielu, którzy nie pozwolą sobie sypać w oczy piaskiem, winę za spowodowanie opisanych zakłóceń ponosi jeden konkretny człowiek. Jest nim emeryt kolejowy Dziedziejko Jan. Wyżej wymieniony, pod pozorem zaspokojenia potrzeb ludzi świata pracy oraz stworzenia im warunków, które być może zaistnieją za tysiąc, a może i dwa tysiące lat, podburzył nieudowodnione elementy w kierunku rozbicia szafy chłodniczej "Moskwa", wyłamania drzwi, wyłucia szyby, przewrócenia półek (z szerokim asortymentem towarów) oraz połamania barierek w drzwiach do magazynu na zapleczu. To podstępne działanie winno spotkać się z należytą odprawą, aby ludzie podobnego pokroju nie mogli bezkarnie zerować na naiwności i małym wyrobieniu mas.

W tej sytuacji proszę Obywatela Ministra o wnikliwe zbadanie okoliczności sprawy oraz wnoszę o przykładowe ukaranie emeryta Dziedziejki, jako jednostki wybitnie szkodliwej i niebezpiecznej.

Etatowy informator Grzymalak.

Kazimierz Orłós

1976

Leszek Szaruga

SZCZEROŚĆ I PRAWDA

"Oczekiwano Drugiego Przyjścia i zanosząc modły do nieba palono Żydów i heretyków, palono Żydów i heretyków i zanosząc modły do nieba oczekiwano Drugiego Przyjścia. Ten, którego oczekiwano, przyszedł, gdy dogorywały już resztki nadziei. Schyliwszy się nad popiołami po świeżo spalonych, napisał w nich palcem po dwakroć - smutny i zamyślony - jedno słowo, po czym rozkrzyżował szeroko ramiona jakby Go powtórnie przybito do Drzewa. Legendy milczą, jakie to było słowo".

G. Herling-Grudziński "Drugie Przyjście"

1.

Powiedzmy na początek tak oto: forma to ujmowanie zjawisk życia w system wartości kultury. Dzięki niej właśnie to, co przypadkowe i jednostkowe, zyskuje status symbolu. Ona też porządkuje chaos, w którym jesteśmy zanurzeni.

Dopowiedzmy dalej: system wartości kultury to zespół kategorii naszej świadomości kształtowany przez tradycję, stanowiący otulinę, ochronną otoczkę naszej egzystencji. I jeszcze dalej - centralną kategorią naszej świadomości jest osoba ludzka będąca zarazem wartością najwyższą i nieredukowalną.

Powiedziawszy to wszystko zannotujmy uwagę Herlinga o "Dzienniku" Samuela Pepysa: "jego szczerłość przed prywatnym lustrem była tak samo odruchowo naturalna, jak odruchowo sztuczne i minoderyjne jest mizdrzenie się autorów "autobiografii spowiedniczych" przed publicznym konfesjonalem; pisał swój dziennik po to, by móc choć raz dziennie przy zasuniętych szczelnie kotarach zdjąć z twarzy maskę światowej nieszczerłości, a nie po to, by pokiełtować publiczność nałożoną dla odmiany na twarz maską szczerłości". I dalej: "Człowiek, który tylko obserwuje samego siebie, może być ścisły, a nawet odkrywczy; człowiek, który próbuje również analizować własne przeżycia, uczucia i myśli, musi sięk rzeczy wprowadzać do nich czysto subiektywne, samoobronne poprawki i ani się spostrzega, jak to, co wydawało mu się jedynie wyjaśnieniem pewnego procesu, staje się wielopiętrą narosłą wybiegów, niedomówień i przemilczeń, w której trudno odróżnić prawdę od komentarza o niej".

Przedmiotem niniejszego szkicu będzie współzależność dwóch pojęć - prawdy i szczerłości - w piarstwie Herlinga-Grudzińskiego. Jest to bowiem piarstwo, które stanowi w moim przekonaniu jeden z najcenniejszych literackich, a więc kulturowych, dokumentów naszej epoki. Dotyczy to wszystkich uprawianych przez niego rodzajów: prozy, eseistyki i publicystyki (tu przede wszystkim "Dziennik pisany nocą" - już sam tytuł igrający dwuznacznościami i zacieraający granicę między jawą a

snem obiecuje interesujące możliwości interpretacyjne). W każdym z nich, oczywiście, świadectwo mające wymierzyć, by posłużyć się znaną formułą Conrada, sprawiedliwość widzialnemu światu, przybiera kształt odmienny. Wszakże - i to jest tu ważne - każda z tych wypowiedzi kształtowana jest formą, nie jest tylko przypadkową notatką, artykułem powodowanym jedynie doraźną potrzebą, użytecznym w danej tylko chwili.

I tu jeszcze jeden cytat. Omawiając powieść Conrada "W oczach Zachodu" wychwytuje Herling szczelinę, która rozsądza formę utworu czyniąc z niego podporządkowaną aktualnej użyteczności i fałszującą świadomość autora "małą antologię Dostojewskiego dla ubogich":

"Taka jest linia tej skazy: Conrad miał do powiedzenia, czy raczej do powtórzenia w historii Razumowa dwie lub trzy ze swoich niewzruszonych prawd uniwersalnych, lecz zamiast użyć w niej Rosji jako tła, potraktował ją jako główny temat. "Tłumacz" (wyjaśniający Zachodowi "zagadkę Rosji" - L.S.) wziął w nim górę nad pisarzem i skazał na niełaskę aktualności historycznej książkę, która mogłaby być dziełem sztuki, gdyby nie chciała być przede wszystkim podręcznikiem psychologii Rosji dla zachodniego audytorium. Innymi słowy, to co jest w tej powieści głębokie i nieprzemijające, rozgrywa się w oczach Conrada i na ogół niepostrzeżenie dla oczu Zachodu: to, co powierzchowne i przemijające, przyciąga od czasu do czasu oczy Zachodu, ale za bardzo zależy od polskiego atawizmu i zmu przepuszczonego przez angielski filtr, a za mało od bezpośredniego doświadczenia pisarskiego, by potrafiło przykuć do siebie naprawdę wzrok Conrada". (Podkr. - L.S.)

2.

Przytoczona uwaga Herlinga jest niezwykle istotna dla zrozumienia istoty jego pisarstwa, pisarstwa w dużej swej części poświęconego sprawom Rosji. Wyzbywanie się zależności "od polskiego atawizmu" (w zupełnie inny sposób, niż to się dzieje w twórczości Gombrowicza) w stosunku do Rosji jest sprawą niezwykle dla polskiej kultury ważną.

Rosja bowiem od lat niemal dwustu jest swoistym kompleksem polskiej kultury, kompleksem z jednej strony znaczącym jej swoistość, z drugiej jednak skazującym ją na sui generis zaściankowość. Z tej sytuacji są dwa wyjścia. Jednym z nich jest radykalne cięcie pozwalające "sprawę Rosji" (a to jest właściwa nazwa "sprawy polskiej") usunąć z pola widzenia; drugim - wyniesienie "sprawy Rosji" do rzędu zagadnień uniwersalnych. "W oczach Zachodu" Conrada to książka, która takie właśnie ambicje posiadała i która ich, za sprawą spętania świadomości "polskim atawizmem", wypełnić nie mogła.

Wydaje się, iż właśnie twórczość Herlinga jest w naszej literaturze pierwszą udaną próbą tego rodzaju. Przy czym okazało się, iż pierwsze z proponowanych wyjść możliwe jest najpełniej wówczas, gdy zrealizowane zostanie drugie. "Sprawa Rosji" od początku - od "Innego świata" - staje się tu problemem uniwersalnym, zjawiskiem tej samej wagi, co np. problem faszyzmu niemieckiego. Sprawy Rosji przestały być w twórczości Herlinga zagadnieniem regionalnych stosunków między poszczególnymi państwami i narodami. Zagry przestały być również wewnętrznym problemem Związku Radzieckiego. Stało się tak dlatego, iż "problem Rosji" stał się w tej twórczości problemem osoby ludzkiej, jej godności i samoświadomości, stał się zatem problemem kulturowym.

A jest to problem niesłychanej wagi. W niecałe lat dziesięć po zakończeniu wojny i niedługo po zakończeniu Procesu Norymberskiego, w którym oskarżeni sądzeni byli między innymi za powołanie do życia obozów koncentracyjnych, odnajdujemy na łamach "Les Temps Modernes" następującą uwagę Sartre'a: "I ja uważam obozy sowieckie za niedopuszczalne; niedopuszczalny jest jednak dla mnie także użytek, jaki robi z nich codziennie prasa burżuazyjna". Owo sartrowskie "tak, ale..." wskazuje na rozmiar zniszczeń poczynionych w kulturze europejskiej przez rozchwianie jej systemu wartości, naruszenie jej spójności.

Owo naruszenie jej spójności dokonane zostało przez uruchomienie wielkich maszyn ideologicznych, przez podcięcie korzeni tradycji naszej humanistyki. Parada

totalitaryzmów, jaką stał się wiek dwudziesty - parada fascynująca tłumy, narzuca im swą wolę, paraliżująca świadomość intelektualistów - zagłuszała biciem w werble Historycznych Konieczności i Ostatecznych Rozwiązań delikatny rytm kultury: monotonny bełkot frazesów stłumił harmonię poetyckiego śpiewu, w której zawiera się tajemnica tożsamości świata i osoby ludzkiej. Efektem tego stał się zatamowany, rozbity obraz świata, którego jedność ocalić można jedynie przez rekonstrukcję formy. Jak bowiem zauważa Leśmian; "pozostał świat, a w tym świecie - rytm tajemny, pieśń do pracy nad sobą, pieśń twórcza z piersi boga w pierś ludzką przelana". I dalej; "kto ją skyszy, i kto ją w duchu powtórzy, ten istotę boga w sobie jako w dziele jego pośmiertnym odbudować i odrodzić zdoła, gdyż ów, co ludziom pieśń do pracy dalszej na wolny i nieprzymuszony użytek przekazał, jest tak samo jak ona powtrzalny i powrotny..."

Otóż podstawowym warunkiem odrodzenia humanistyki jest bezwzględność prawdy - ujawnianie jej bez wwracania uwagi na to, jaki użytek robić z tego może jakakolwiek prasa. Tylko w ten sposób możliwe jest odzyskanie ludzkiej tożsamości zagubionej w chaosie fałszów, niedomówień i przemilczeń. To proste - aż się ciśnie na usta odpowiedź Sartre'owi - najłatwiejszym sposobem zlikwidowania "użytku", jaki robi z łagrów burżuazyjna prasa, jest, zlikwidowanie obozów. Póki one są - a są przecież - póty stanowiąc muszą, a wraz z nimi i system, który je stworzył, problem uniwersalny. Tak samo, jak uniwersalny jest problem ludzkiej godności.

3.

Centralnym, progowym doświadczeniem autora (ale i bohatera) "Innego świata" staje się lektura "Zapisków z martwego domu" Dostojewskiego. Jest to doświadczenie fundamentalne dlatego przede wszystkim, iż pozwala w chaosie życia odnaleźć zasadę porządkującą, punkt wsparcia w sytuacji beznadziejnej: "Jest zawsze miejsce na nadzieję - powiada rozmówcy autor - gdy życie okazuje się czymś tak beznadziejnym, że staje się nagle naszą wyłączną własnością".

I oto następuje odkrycie, iż prawo do ostatecznej decyzji jest jedyną możliwością wyłamania się spod żelaznego terroru "innego świata", a więc manifestacją ludzkiej niezawisłości. W szkicu poświęconym procesowi Eychmanna powiada Herling: "Gdy nikąd nie widać pomocy i ratunku, gdy otaczający świat jest obojętny i głuchy, krucha roślina nadziei wyrasta na nawozie beznadziejności. Do wyrwania jej zdolni są nieliczni, jak nieliczni zdolni są do katu samobójstwa".

W obliczu ostateczności człowiek skłonny jest raczej zrezygnować z siebie, niż szukać ratunku w prawie do decydowania o własnym losie. Ale oto okazuje się, że taka decyzja stanowi nie tylko kres życia. Jest czymś o wiele istotniejszym: jest manifestacją niezawisłości ludzkiej osoby, obroną wartości najwyższej, niemal już zniaczonej w trybach wielkich machin masowych ideologii. Na tym polega sens samopalenia Jana Palacha w styczniu 1969 roku na Placu Wacława w Pradze: głęboki sens skrajnej postaci sprzeciwu, budzącego ludzką, społeczną świadomość.

Jedną z fundamentalnych formuł marksizmu jest przejęte od Arystotelesa zdanie mówiące, iż człowiek jest istotą społeczną. Jednak zdanie to samo w sobie interpretować można dwojako: po pierwsze w ten sposób, iż natura człowieka jest społeczna, po drugie - iż natura człowieczeństwa jest ludzka. Pierwsza interpretacja, najczęściej stosowana, oznacza zniesienie prawa człowieka do samostanowienia. Druga czyni osobę ludzką centralną wartością społeczną. Pierwsza ustanawia anarchizm myśli mającej u swych podstaw historyzm; druga pozwala człowiekowi odnaleźć swoją tożsamość w ponadczasowym porządku kultury.

W obliczu beznadziejności życia jego sens wyznaczany jest przez człowieka bądź w ztracie własnej osobowości, a zatem w utraceniu tożsamości, bądź w jej obronie, afirmacji, przybierającej niekiedy skrajną formę samobójstwa, zawsze jednak nieposkuszeństwa wobec nieludzkich praw. To wyłamywanie się z uniformizującego systemu masowych ideologii jest zarazem manifestacją kultury, jest opamowywaniem przez formę żywiołu natury, życia.

"Kultura jest bowiem bezpieczna - pisze Hannah Arendt - jedynie w otoczeniu ludzi, którzy potrafią kochać świat dla niego samego. Którzy wiedzą, że bez piękna ludzkich wytworów, rzeczy należących do świata przedmiotowego, rzeczy, które

nazywamy dziełami sztuki, bez promienistego blasku, w którym niezniszczalność manifestuje się światu i w świecie, całe ludzkie życie byłoby czerze, śnie, co wielkie, nie mogłoby przetrwać".

Tak więc sztuka jest jednym z tych działań, w których człowiek manifestuje swą osobowość opanowując formą zjawiska swego życia. I tutaj życie "staje się nagłe naszą wyłączną własnością". W ten sposób progowe doświadczenie autora - bohatera "Innego świata" prowadzi go z rzeczywistości łągrów w świat "opowieści historycznej" - "Drugiego Przyjścia".

4.

Człowiek zanurzony w przypadkowy czas historyczny, wyznaczany datami narodzin i śmierci, odnajduje się w mitycznej przestrzeni kultury, która określa kształt jego świadomości. uczestniczy więc jednocześnie w dwóch wymiarach rzeczywistości. W literaturze pierwszy z nich tworzy sferę opisu, relacji; drugi - sferę kreacji, wyobraźni. Szczerłość relacji jest fundamentem prawdy uniwersalnej, uogólniającej przypadkowe doświadczenia czasu historycznego. Prawda bowiem ogarnia zawsze całość świata, jest lustrem ludzkiej świadomości będąc jak lustro niepodzielne - w każdym jego odłamku odbijać się musi całość świata. Dopiero z tej perspektywy "promienistego blasku, w którym niezniszczalność manifestuje się światu" świadectwo staje się wymiarem sprawiedliwości.

Utrata tej perspektywy prowadzi - jak w analizowanej przez Herlinga powieści Conrada - do złączenia jasności obrazu. Dzieje się tak dlatego, iż szczerłość opisu nie zawsze oznacza wyzwolenie się z emocji (tu: od "polskiego atawizmu" wobec Rosji).

We wstępie do tomu "Drugie Przyjście" powiada Herling: "W pewien sposób ta książka jest owocem nie tylko lektur, lecz mojej wędrówki po świecie". Otóż wydaje się, że zdanie to można uznać za motto całej twórczości autora "Innego świata". Od pierwszych zatem słów jego pisarstwa zanurzeni jesteśmy w micie - jest nim mit podróży. Ale też jest to mit swoiście przetworzony. Punktem wyjścia staje się antyutopijny "inny świat", utopia zrealizowana, spotworniała, wykorzeniona z tradycji ludzkiej kultury.

Jak Odyseusz i Itaki, wyrusza bohater Herlinga z małej wyspy zagubionej w ogromie opisanego przez Solżenicyna "Archipelagu Gulag". Czy uda mu się do niej nie wrócić? Czy uda się uratować świat przed ssącą siłą tej "czarnej dziury" ludzkiej świadomości, w której wewnątrz kruszone są wszelkie struktury, miażdżone formy kultury ludzkiej? Oto - jak się zdaje - podstawowe pytania, które stawia pisarstwo Herlinga.

Jedną z wartości naszej kultury jest nakaz, by "kochać świat dla niego samego". Lecz tutaj znajdujemy się w świecie wykorzenionym z tradycji, karmionym miłością własną i nienawiścią. Owa zatruta miłość posiada - jak to udowodnił w analizie wspomnianej powieści Conrad Herling - silną moc przyciągającą, lecz jednocześnie staje się ośrodkiem cyklonu burzącego harmonię kultury, staje się centrum nieludzkiej cywilizacji. Trucizna nienawiści wsącza się niepostrzeżenie w świat miłości. Oto też sens szczerego zakłamania poetyki "W oczach Zachodu", zakłamania powodującego sprzeniewierzenie się prawdom uniwersalnym. Tak oto już w tej książce, w szczerym opisie Rosji wyłamującym się z rygorów formy widoczne jest zarządzenie nienawiścią, której przyczyną jest uwikłanie się w język "innego świata" rosyjskiej rewolucji. Język antykomunistycznych wypowiedzi skażony zostaje przez język antykomunistycznej ideologii. I oto odnajdujemy sens uwagi poczynionej w "Dzienniku" Gombrowicza, który zauważa, iż nie chodzi o to, by inteligencja polska była komunistyczna czy antykomunistyczna - chodzi o to, by była. A to oznacza jedno: musi odnaleźć się w formie, w przestrzeni kultury ludzkiej.

5.

Zaczyna się więc podróż ucieczką ze świata, w którym pycha ludzka chciała widzieć zrealizowanie odwiecznych marzeń o Arkadii, a w którym nastąpiła zagłada

świata wartości. Pisząc o nadziejach intelektualistów związanych w latach trzydziestych naszego wieku z alternatywą, jaką dla świata stanowiło wprowadzenie w życie komunistycznej doktryny, zauważa Kostler: "Uświadomiony proletariat miał być marksistowskim ekwiwalentem Szlachetnego Dzikusa Rousseau, Nadczłowieka Nietzschego oraz - Blut und Bodenmensch - hitlerowskiego "Człowieka Krwi i Ziemi". Uświadomiony klasowo proletariat był dla inteligencji komunistycznej czymś w rodzaju kolektywnego "nad - ja". I tu właśnie zrealizowana utopia okazała się godną realizacją świata wykreowanego przez Huxleya w "Nowym wspaniałym świecie", przez Orwella w "Folwarku zwierzęcym", przez Kafkę w "Procesie". Oto Arkadia na opak.

Zważmy niezwykłość tego doświadczenia: Wiek Złoty, Arkadia, Raj utracony - wszystkie te krainy wiecznej szczęśliwości i sprawiedliwości, harmonijnego ładu i miłości były pierwotnie w naszej kulturze umieszczane w przeszłości, były elementem wewnętrznego języka zbiorowej pamięci. Wraz z "Utopią" Morusa, "Państwem Słońca" Campanelli, "Podróżami Guliwera" Swifta czy utopijną krainą Rousseau przeniesione zostały w sferę wyobraźni istniejącą jednocześnie obok doświadczanej rzeczywistości jako wyspa, do której docierają jedynie wybrani - taką też jest "Wyspa Robinsona Crusoe" Defoe'go. Jest to wyspa, której istnienie wydaje się realne w teraźniejszości, lecz o której wiadomości nie dają się sprawdzić. Wreszcie mit arkadyjski staje się światłem mającym wyprowadzić ludzkość z ciemnego i mrocznego "teraz" w "świełlaną przyszłość" by posłużyć się ironicznym tytułem antyutopii Zinowiewa.

To przemieszczanie Arkadii w czasie i przestrzeni wiąże się w dużej mierze z narastającą presją historyzmu. Historyzm ów też ulega swoistym metamorfozom: od przekonania, iż działania ludzkie wyznaczają sens dziejów, po wiarę, iż bezosobowa Historia określa sens życia człowieka, który winien bezwzględnie podporządkować się jej koniecznościom ("Wolność to uświadomiona konieczność"), jej żelaznym prawom, posiadającym własną, niezależną od człowieka logikę.

Ale ów mit arkadyjski dawno już postawiono w stan podejrzania. Ten nurt w literaturze europejskiej będzie się rozrastał wiódąc ku dziełom Huxleya, Orwella, Kafki czy Dery'ego, ku wersji negatywnej - "czarnej" utopii, której spełnienie odnajdujemy w wielu masowych, uniformizujących ideologii współczesnych, a jej skrajne odmiany w rzeczywistości obozów koncentracyjnych i łagrów.

W literaturze polskiej ów obraz "zwyczajnej Apokalipsy" utrwalony został w obozowych opowiadaniach Borowskiego oraz w "Innym świecie" Herlinga. Niewykluczone, iż spełnienie konwersji mitu arkadyjskiego stało się jedną z przyczyn zagubienia tożsamości kultury europejskiej: system wartości począł rozpadać się w gruzy, głos świata przemienił się w bełkot, królestwo bytu okazało się ciemną jamą Nicności. Żywioł anarchii, który opanował sztukę drugiej połowy naszego stulecia, zdawał się przeczyć formie, a jednocześnie tradycja kulturowa zdawać się począła niefunkcjonalnym, zbędnym balastem, ornamentem.

Ale nie: okazuje się nagle, iż nie wszystko jeszcze zostało utracone. Jest jeszcze szczelina, przez którą wymknąć się można z totalitarnej przestrzeni "innego świata". Oto - powiada Herling komentując "Świełlaną przyszłość" Zinowiewa - "samobójstwo jest skrajną i jedyną formą afirmacji osobowości w świecie bez hamulców". Samobójstwo - droga, którą przeszli dwaj zagubieni w chaosie piewcy Nowego Świata: Majakowski i niewiele lat później... Borowski. Samowolna śmierć: to właśnie pęknięcie w nieprzeniknionym murze beznadziei jest szansą ocalenia osoby ludzkiej. Paradoksalna konkluzja samoświadomości naszej kultury: oto śmierć określa sens życia, jej zaś perspektywa - znaczenia słów, którymi się posługujemy.

6.

Ale też konsekwencją tego stanu rzeczy nie jest wcale odrzucenie mitu arkadyjskiego. Następuje jednak kolejne jego przemieszczenie. Rozpoczętą raz podróż trzeba kontynuować, życie jest podróżą. Ku czemu? Mit nakazuje odpowiedzieć: ku Arkadii. Doświadczenie mówi: ku śmierci.

Przypomnijmy słowa łagrowej katorżniczki wypowiedziane po lekturze "Zapisów z martwego domu" Dostojewskiego: "Umarliśmy już dawno, a tylko nie chcemy się do tego przyznać. Niech pan pomyśli: tracę nadzieję, gdy odżywa we mnie pragnienie

życia; odzyskuję ją na nowo, gdy odczuwam w sobie pragnienie śmierci".

Te słowa warto zestawić z rozważaniami na temat snu w opowiadaniu "Pietà dell'Isola": "Sen wyłobrywa z bezładnej miazgi życia to, co esencjonalne. Może dlatego w trakcie swego trwania, nawet choćby na zegarze naszej egzystencji odmierzają je tylko nieliczne minuty, daje tak obfite poczucie ciągłości, zwartości, logicznego powiązania sekwencji, jasności i precyzji - czyli cech, których pozbawiony jest świat oscylujący na krawędzi bezsensu, porównywany przez poetę do opowieści idioty pełnej jazgotu i furii. Ale by pozostała na zawsze nieujawniona tajemnica największego zbliżenia życia do śmierci, by nikt nie mógł się chełpić nawet w obliczu końca lub groźby końca, że dane mu było ogarnąć wzrokiem własne życie z tamtego brzegu, z krainy snu odbija się pod próg dnia jak z niewoli u zazdrośnego o swe sekrety wroga - z wyrwanym językiem. Nikomu nie udało się opowiedzieć dokładnie swego snu".

Tak więc ku śmierci wiodzie nas język snu będący następstwem symbolicznych, skupiających w sobie ekstrakt naszych przeżyć obrazów. Lecz język snu jest językiem ponadindywidualnym, jest zbiorowym językiem ludzkości wywiezionym ze zbiorowej pamięci rodzaju. Cóż to zatem znaczy? Otóż oznacza to, że wiążąc we śnie własne życie widzimy je jako jedną z wersji czy może wariacji istnienia osoby ludzkiej. Mityczne pośrednictwo symbolicznego języka snu zbliża nas do kresu naszej życiowej podróży - Arkadia jest w nas, odbija się w każdym poszczególnym tytule jak w odłamku stłuczonego zwierciadła. Jest - niewyraźna, żyjemy "z wyrwanym językiem", w chaosie przypadków, niezdolni do jej opisu, ale też z poczuciem sensu życia, które dane nam było ujrzeć z perspektywy śmierci. Tyle tylko, iż sens ten pozostaje niewyraźny. Pograżeni w świecie "oscylującym na krawędzi bezsensu", chcąc ów świat jednak opisać, musimy posługiwać się analogiami, "gdyż w analogiach my, dzieci zakłakane w lesie, szukamy poczucia ciągłości i sensu istnienia, jak znaków naciętych na korze drzew rękami naszych poprzedników". W ten sposób w nieokończoność zbliżamy się do nieosiągalnego celu.

Pomazanie owej wiedzy w wielkim dialogu kultury, w dialogu, w którym współbrzmia głosy Homera, Dantego, Szekspira, Goethego i Mandelsztama - to właśnie jest opanowywanie formą żywiołu historycznego trwania: poprzez historię, ale i ponad nią, poza, w czasie magicznym, w świecie, gdzie nie słowa, lecz obrazy w nich pochwycone tworzą znaczenia naszych wypowiedzi. W tym właśnie dialogu toczonym tu i teraz, a zarazem zawsze i wszędzie, budowana jest ludzka wspólnota, wspólnota ludzkiego doświadczenia i ludzkiego losu.

W swym piśmarstwie Herling-Grudziński zdaje się być w pełni świadomy tej sytuacji. Widać to zwłaszcza w publicystyce i eseistyce, ale również i w prozie tak pięknie "szukającej poczucia ciągłości i sensu istnienia" w kunsztownych analogiach. Tworzy się tu przedziwny wielogłos: zderza Herling głosy Dostojewskiego i Conrada, Kafki i Camusa, tworzy komentarze do komentarzy, oddaje - jak w szkicu "Izaak Babel" - głos innym, pozostając niejako w cieniu, jakby nie chcąc dodatkowymi uwagami macić podsłuchanego dialogu. Przedziwny to w naszej literaturze witraż ułożony z obrazów wyjmowanych z twórczości innych. Ale też pisarz tworzy tu z głosów innych twórców - twórców stanowiących własność naszej kultury - utwór własny, zawsze ukazujący, jak w omawianej analizie powieści Conrada, nowe, ważne aspekty ich wypowiedzi.

Komentarz i interpretacja to główny żywioł twórczości Herlinga.

7.

Tak też jest i w oryginalnych opowiadaniach autora "Skrzydeł oktarza". I tutaj - jak w publicystyce ujętej nieprzypadkowo w formułę "dziennika pisanego nocą" - mamy do czynienia z relacją i komentarzem odautorskim, zawsze bardzo osobistym. Nakładają się na siebie relacje z różnych źródeł i epok wiązane w sekwencje precyzyjnych i jasnych analogii. Ta technika łączy w sobie sferę snu i jawy, rzeczywistości przeżywanej i mitycznej. Kondensacja owych relacji jest tak silna, iż przenosi nas w przestrzeń magiczną, nie poddającą się rozbiorowi, redukcji. Chcąc mówić najpełniej o tej prozie można ją tylko w całości przytoczyć - w analizie bo-

wiem zawsze trzeba oddzielić, odkleić świat przedstawiony od sposobu, w jaki zaprezentowany zostaje on naszemu oglądowi. A jest to świat poetycko niejednoznaczny, zderzający konkret z symbolem i w tym spięciu próbujący podchwycić wciąż wymykającą się tajemnicę, zagadkę bytu.

Cztery dotychczas opublikowane opowiadania Herlinga-Grudzińskiego - "Wieża", "Pietà dell'Isola", "Most" oraz "Drugie Przyjście" - to utwory, dla których trudno znaleźć w naszej literaturze jakiegoś analogie (może Schulz?). Przywołuje się w nich stare przekazy, legendy, opowieści niesione tradycją ustną, źródła historyczne, informacje prasowe, a nawet, jak w "Moście", opowiadanie pochłania tekst innego pisarza - Kafki. Dzięki tym zabiegom klimat tej prozy zbliżony jest do atmosfery twórczości Borgesa: postępujemy w labiryncie słów, który okazuje się zanurzonym w przeszłość labiryntem luster jak we śnie wynoszącym na powierzchnię jawy zatrzymane w zbiorowej pamięci obrazy ułożone w sekwencje analogii. Jest to nieustanna i nieskończona podróż w czasie i przestrzeni, podróż, w której świadomość ludzka niepostrzeżenie przekracza granice oddzielające mit i przeżycie indywidualne.

Prawda uniwersalna, uogólniająca doświadczenia jednostek i ufundowana na szczerości relacji okazuje się oto niewyraźna, niepochwytana. Prawda istnieje w dialogu, jest, jak w powieściach Dostojewskiego, formą - tym, co scala ów dialog. Jest więc tworzona przez wciąż rozrastającą się sieć napięć łączących głosy poszczególnych uczestników rozmowy. Nie może zatem być wypowiedziana przez jednostkę.

Bohaterowie Herlinga - jak bohaterowie Kafki, Camusa, Comrada - podróżują, samotni, w labiryncie wszechświata: jest to kosmos kultury, wspólnota, w której spotykają się wszyscy w Wiecznym Teraz. Strukturę tego kosmosu znakomicie pochwycił Camus powiadając w swym eseju "Nadzieja i absurd w twórczości Franza Kafki": "Do pewnego stopnia Kafka jest tym, który mówi, chociaż to my jesteśmy tymi, których opowiada". W sennym języku symboli, w mitycznej przestrzeni kultury przytaczane w opowiadaniach Herlinga cytaty (rzeczywiste lub wymyślone, to nie ma znaczenia) pełnią funkcję podwójną. Twórca posługujący się językiem innych twórców albo ich sobie wyśnił, albo został przez nich wyśniony. Oczywiście - wkraczamy tu w rejony, w których zostaje poddana próbie niewzruszoność naszego obrazu świata. Wszelako nie jest to zjawisko w kulturze ludzkiej nowe. "W 'Prawdziwej księdze południowego kwiatu' chińskiego mędrca Czuang Cy - przypomina niemiecki eseista Walter Hilsbecher - znajduje się przypowieść o śnie motyla, w której Czuang-Czu czuje się we śnie motylem, a po przebudzeniu zastanawia się, czy to Czuang-Czu śnił, że jest motylem - czy też motyl śni, że jest Czuang-Czu".

Ten typ wyobraźni określa atmosferę twórczości literackiej Herlinga zdążającej konsekwentnie do przewartościowania naszych pojęć o świecie. Swą podróż w labiryncie świata rozpoczął od nieludzkiej rzeczywistości zrealizowanej Arkadii, by po uwolnieniu się z tej realnej nierealności podjąć wędrówkę ku istocie mitu. Bo problem świata stał się dla niego problemem mitu. To jest właśnie powodem, dla którego w swym pisarstwie przekracza granice między tym, co realne i nierealne. Wie jednak, iż można je przekraczać jedynie w samotności i że powraca się w rzeczywistość "z wyrwanym językiem". I choć wie, co chce osiągnąć, potrafi to opowiedzieć jedynie w formie paraboli.

Być może najważniejszym zakończeniem tego szkicu, najpełniej oddającym sens poszukiwań Herlinga, będzie przytoczenie opisanych w "Drugim Przyjściu" ostatnich chwil życia Urbana IV: "Zasnął nad rozdziałem o Ukrzyżowaniu. Ocknąwszy się podniósł z trudem bezwładną rękę i palcem dotknął wersetu: "Poem Jezus, świadom, że wszystko już się wykonało, by wypełniło się Pismo, rzekł: - Pragnę -". Nerwowo, jak kościaną laseczką, stuknął w słowo "Pragnę", aż zakonnik odgałł jego myśl i podał mu wodę. Ale wargi, zamiast przylgnąć do brzegu naczynia, powtórzyły dwukrotnie "Pragnę", a ręka na karcie Księgi zacisnęła się w pięść, jakby się bała wypuścić i zgubić to jedyne słowo znów - jak przed rokiem - wyniesione ze snu".

Lecz ten cytat nie starczy, trzeba się cofnąć do snu, snu zresztą wywiedzionego z rzeczywistości. W rzeczywistości skazano na pręgierz i spalono heretyka. We śnie papież, widząc jego rękę, "krzyknął by okazało miłosierdzie nieszczęsnemu. Nikt nie dosłyszał jego krzyku. Nikt z wyjątkiem skazańca: nie było teraz w jego oczach strachu, a bezkrwiste wargi wyszeptaly z trudem jedno słowo. Urban

przebudziwszy się, powtórzył je dwukrotnie na głos i zdawało mu się, że w ten sposób wyniósł w zaciśniętej pięści grudkę ziemi z tamtego brzegu ciemności".

Leszek Szaruga

Marzec 1979

Ludwik Dorn

CZTERY KUCYKI NAD PRZEPASTNĄ WYŻYNĄ

I.

Literatura (czy tylko literatura?) powinna nade wszystko świadczyć prawdzie, opowiadać się za wartościami, przemawiać – ściszym wprawdzie – głosem Settembriego, a rozbrzmiewać on powinien (wbrew tym, którzy chcieliby go przytłumić) jako "głos wolny wolność ubezpieczający". To już znamy.

Literatura (czy tylko literatura?) powinna nade wszystko być krytyczna; jej obowiązkiem – nie dać się zwieść pozorowi, hasła, choćby najszczytniejsze, przenić, zbadać, czy nie są skrywającymi złowrogą rzeczywistość sloganami; jej zadaniem – zdemistyfikować wszystko, co zmistyfikowane. To też już znamy.

Katalog obywatelskich powinności literatury można by zwęzić lub rozszerzyć. Nie jest on nowy; podobne postulaty nieraz już wysuwane wobec dzieł i ich twórców, ci zaś uznawali ich zasadność i często samookreślali się za pomocą tak skonstruowanego kanonu. Niegdysiejsze zaproszenia do tego, by "serca krzepić", bądź "sercem gryźć", opisują podobną sytuację wyboru, sformułowaną tylko w archaicznym już dziś języku. Uspółcześniemy, wybór ten byłby może taki: "Obok, w szafce, leży czysty papier (...). Można tę biel bezbronną – rozważa bohater "Małej Apokalipsy", od lat nie piszący literat – zbrukać złą krwią, wściekłym jadem, cuchnącą flegmą – a nikt tego nie lubi, nawet sam autor. Można na tę biel bezmyślną wysączyć słodycz sztucznej zgody, ambrozię fałszywej otuchy, okliwy syrop pochlebstwa – a to wszyscy lubią, nawet sam autor."

Czy ta alternatywa wyczerpująco i w sposób zupełny opisuje przestrzeń wyborów literackich, egzystencjalnych, moralnych? Czy nie gubi ona pytania o prawdę lub – jak określają to w wypisach szkolnych literaturoznawcy – o "poznawczą funkcję literatury"?

II.

Deklaracja postawy antytotalitarnej, wybór wartości przeciw przemocy może – i powinien – dawać pewność stojących za nim racji moralnych i obywatelskich; może – ale nie powinien – gwarantować niewzruszoność racji intelektualnych; inwektywy z politycznego wokabularza nie zawsze trafnie opisują społeczną rzeczywistość. Zawierzenie im – nie jako hasłom politycznym, lecz jako narzędziom poznania – grozi popadnięciem w umysłowy błogostan, w którym intelekt zaspokaja swoje potrzeby antytotalitarnym schematem.

Na ten stan umysłu, na – nazwijmy to tak – "antytotalitarną poczciwość" składa się przede wszystkim przeświadczenie o dominującej, więcej, wyłącznej roli przemocy w totalitarnej organizacji życia społecznego. Ma to być przemoc dokładnie umiejscowiona i scharakteryzowana: jej podmiotem jest władza (partia, państwo, reżim), narzędziami – pałka, kajdanki, ołówek cenzora, a obszary jej władania są wydzielone – to areszt śledczy, sąd, obóz koncentracyjny. Najpełniejszym ucieleśnieniem totalitarnej idei ma być totalna przemoc; wprawdzie jej regulacji poddane całe życie społeczne, ale spełnia się ona, esencjonalizuje poza obszarem zagrożonej przez nią codzienności. Choć k a ż d y przechodzień może być donosicielem,

role agenta policji i "szarego człowieka" pozostają rozdzielone.

Ta nieprzystawalność ról, kontrastowe spięcie wyłączonych obszarów życia ma już własną tradycję chwytów literackich. Przypomnijmy tęsknotę uwikłanego w mechanizmy zorganizowanej represji bohatera "Roku 1984" za bezmyślnym, ale i beztroskim życiem proletów, obraz dzieci przypatrujących się z karuzeli pożarowi getta, czy wiersz:

"Nie długo po wojnie 1914-1918 powstały w Europie pierwsze państwa faszystowskie
W tych państwach
słońce wschodziło i zachodziło o normalnej porze opromieniając
dachy domostw i wzgórz zieloną spadziastą W oborach
łagodnie ryczało bydlę Matki o świcie
budziły dzieci całując je w czoło (...)
Albowiem nie było znaków na niebie komet żałobnych
wody w krew zmienionej krzaków płonących albowiem
życie biegło zwyczajnie (...)
A jednak były to
państwa faszystowskie"

(W. Woroszyński, Państwa faszystowskie).

Przywołano tu pisarzy bardziej przewrotnych niż prostodusznych. Antytolitarna poczciwość nie jest bowiem bezpośrednim skutkiem (czy funkcją) wyboru obywatelskiego; przyczyny jej tkwią raczej w kulturze, w powszechnie podzielanych ideach naszego czasu, dla których fenomeny dwudziestowiecznej przemocy są ciągle niewytłumaczalną zagadką. O ileż mniej groźna, gdy ochrzci się ją słowem "totalitaryzm". No cóż: mogę cię nazwać... lwem jesteś tylko.

III.

"Główna trudność w rozumieniu naszych codziennych zjawisk polega nie na tym, aby ujawnić jakieś sensacyjne fakty, zebrać statystyczne dane lub znaleźć dostęp do starannie ukrywanych tajemnic życia państwowego, lecz na tym, by znaleźć sposób widzenia tego, co widoczne i nieukrywane, tzn. sposób rozumienia codzienności. Z tego punktu widzenia nie gra roli dziesięć czy pięćdziesiąt milionów ludzi, którzy podlegali represjom, ani nawet to, czy w ogóle były represje. Jeśli teraz na przykład uznano by, że w Ibańsku w ogóle nie było niesprawiedliwie skazanych, istota ibańskiego społeczeństwa od tego się nie zmieni. (...) Obozów mogłoby nie być. Mogły się i nie powtórzyć. Choć jest to zjawisko charakterystyczne dla istoty ibańskiego życia, ale nie jedyne i nawet nie główne".

"Przepastne Wyżyny", z których pochodzi ten cytat, są właśnie książką, w której usiłuje się znaleźć i przedstawić rozumienie ibańskiej (totalitarnej, radzieckiej, komunistycznej) codzienności. Jest to dzieło, które trudno zaszerzować: nie powieść, nie traktat naukowy, nie esej, nie poemat. Z pozoru nic w tym dziwnego; przecież ambicją ponad połowy czynnych pisarzy jest, by nie sposób było zakwalifikować ich twórczości według poprawnych, krytycznoliterackich kryteriów. Zinowiew jest w tym wysiłku o tyle interesujący, że jako uzasadnienie przywołuje nie kryzys formy literackiej (co byłoby banalne), lecz niemożność "poprawnie-literackiego" opisu i analizy interesującego go przedmiotu. "Życie Ibańczyków - pisze jest ubogie w zadrzenia i przeżycia duchowe. (...) Z przeżyć duchowych zezwala się Ibańczykom tylko radować się z osiągnięć, dziękować za troskę i zachwycać się mądrością kierownictwa. Tak więc środki, jakimi rozporządza zwykła literatura piękna, nie nadają się do opisywania życia ibańskiego. Sam fakt istnienia wielkiej literatury pięknej dowodzi, że w samej rzeczywistości jest coś takiego, co może być przedmiotem jej uwagi. (...) Straszne jest nie tyle to, że nie pozwalają pisać, ile że nie ma o czym pisać. O czym pisać? O związkowym czy partyjnym zebraniu? O wystawianiu w kolejce? O kłopotach mieszkaniowych czy dodatkach do pensji?"

"Przepastne Wyżyny" są w dużej części zapisem rozmów: powiedział Pacykarz, odpowiedział Gąsienka, nadmienił Oszczerca, zastanowił się Schizofrenik... "Życie myślącego inteligenta ibańskiego to przede wszystkim rozmowa. A rozmowa - to nieusystematyzowany i bezowocny spór". Zinowiew usiłuje spór ten uporządkować, ustalić jego reguły i zakres. Najczęściej stworzone przez niego postaci dyskutują przy kiosku z piwem na Placu Nauczyciela - to ibańskie forum, agora, miejsce platońskiego dialogu.

IV.

"Przepastne Wyżyny" przypominają "Państwo" nie tylko ze względów formalnych. Jednym z ich istotniejszych wątków jest rozważanie społeczeństwa i ustroju ibańskiego jako przypadku realizacji społeczeństwa i państwa pod pewnymi względami doskonałego. Być może dlatego zastosowano przejrzyste (ale jednak) pseudonimy: dyskutuje się o Ibańsku, Gospodarzu i Knurze, a nie o Związku Radzieckim, Stalinie i Chruszczowie; dyskutują zaś nie Niezwiastny i Siniawski, lecz Pacykarz i Dwulicowiec. "Przepastne Wyżyny" nie są tylko analizą społeczeństwa radzieckiego; to raczej traktat o społecznych mechanizmach zrzeszania się ludzi, dzięki któremu można opisać społeczeństwo radzieckie (ibańskie) jako naturalny wynik ich działania, nie zaś państwo stanu wyjątkowego.

W takim ujęciu komunizm (totalitaryzm, stalinizm, izm) przestaje być, tak w sferze idei, jak realizacji, wielką anomalią, niepojętym regresem, gwałtem zadany naturze ludzkiej i społecznym prawom. Staje się "normalnym" ustrojem, zdolnym do organizowania "normalnego" życia społecznego.

"Prawa socjalne" - wywodzi Schizofrenik, jedna z postaci "Przepastnych Wyżyn" - są takie same wszędzie, gdzie istnieje dostatecznie duże skupienie indywidualności społecznych, pozwalające mówić o społeczeństwie. Prawa te są proste i w pewnym sensie powszechnie znane. (...) Przykłady takich praw socjalnych to: mniej dać, więcej wziąć; mniej ryzyka, więcej korzyści; mniej odpowiedzialności, więcej zaszczytów...". Zdaniem Zinowiewa, prawa te regulują społeczne stosunki i związki między ludźmi, ale nie zawsze bywa tak, że są to regulatory jedyne. Zdarza się, że prawo, moralność, religia, ideologie działają "antysocjalnie", ograniczają działanie "praw socjalnych": w tym sensie "postęp społeczny był - według Schizofrenika - zawsze postępem antysocjalności", procesem zawężania zakresu, w którym "prawa socjalne" uznawane są za naturalny i usprawiedliwiony sposób postępowania. Wartości i kultura, prawo i tradycja wyznaczają granicę między społeczeństwami "ludzkimi" i społeczeństwami "socjalnymi". Sądzono, że nie może istnieć społeczność bez wartości i poza kulturą. Może - twierdzi Zinowiew. Bowiem ta sama sfera, której podstawowym zadaniem i funkcją jest ograniczanie "praw socjalnych", może zostać przez nie wchłonięta i działać w ich interesie. "Przepastne Wyżyny" uzasadniają teoretyczną możliwość istnienia takiej społeczności i opisują empiryczny przypadek teoretycznie możliwego zdarzenia: społeczeństwa ibańskiego, w którym instytucje społeczne i państwowe dostosowały się do zasad rządzących sferą "socjalności", prawo, moralność, religia, kultura i historia "w dotychczasowym sensie tego słowa" - zgodnie z prorocत्वami klasyków "izmu" - zanikły i zostały zsocjalizowane.

System ten - twierdzi Zinowiew - odpowiada przytłaczającej większości narodu. Jest bezpieczny: działanie praw socjalnych upraszcza do maksimum skomplikowanie kultury, życia społecznego, zachowań politycznych.

Nie należy sądzić, że zinowiewowska analiza społeczeństwa ibańskiego i tryumfujących w nim praw socjalnych wprowadza tylnymi drzwiami do rozważań nad społeczeństwem zarzuconą dawno koncepcję darwinizmu społecznego i starszą od niej formułę "homo homini lupus". Zinowiew przeformułowała ją na "człowiek człowiekowi towarzyszem-wilkim", ale podkreśla jednocześnie, że w społeczeństwie radzieckim (ibańskim) funkcjonująca zgodnie z prawami socjalnymi "podstawowa komórka społeczna (instytut, fabryka) stosuje wprawdzie przemoc wobec jednostki, ale także ją chroni. Jeśli jednostka oderwie się od niej, traci wszystko.

V.

W socjologiczno-politologicznych rozważaniach o totalitaryzmie (od H. Arendt po Brzezińskiego i Friedrichsa) przywykło się zakładać, że celem i warunkiem trwania sutrojów totalitarnych jest zniszczenie i upaństwowienie "spontanicznych" więzi społecznych, pozbawienie jednostek oparcia w ich grupach społecznych, doprowadzenie do sytuacji, w której samotne i bezradne, staną twarzą w twarz z wszechmocnym państwem. Niekiedy wyrażano pogląd, że każdy despotyzm dąży do przetworzenia zorganizowanego wewnętrznie społeczeństwa w bezwolną i bezmyślną masę, totalitarna differentia specifica zaś są to nowe narzędzia (masowa partia, masowy terror, masowa propaganda). Tak czy inaczej, punktem wyjścia do analiz jest zakorzenione w zachodnioeuropejskiej tradycji liberalnej przeciwstawienie społeczeństwa państwa, "naturalnej" więzi społecznej wrogiemu jej aparatowi biurokratycznemu. W ustrojach totalitarnych partyjne państwo "zjada" społeczną substancję, więzi społeczne degenerują się i rakowacieją. To często spotykana metafora: totalitaryzm wszczepia rakowatą tkankę w zdrowe ciało społeczeństwa; jego uminiejszenie można przyrównać do ciężkiej choroby społecznego organizmu, do przechodzenia od stanu zapalnego w stan gnilny.

Zinowiew odrzuca tę perspektywę poznawczą i tradycję myślenia o społeczeństwie wraz z przypisanymi do niej pojęciami. Totalitaryzm nie niszczy społeczeństwa i nie upaństwowia więzi społecznych - likwiduje tylko ich zakorzenienie w kulturze. Klasyczne wizje dopuszczały jedynie istnienie totalitarnego państwa, partii, przemocy. "Przepastne Wyżyny" opowiadają nam o totalitarnym społeczeństwie. W społeczeństwie "zsocjalizowanym" traci sens wprowadzone przez Friedrichsa pojęcie "totalitarnej atomizacji". Rzecz zabawna, że w tym ujęciu owiane mgiełką humanizmu słowo "socjalizm" zyskuje wreszcie jakie takie odniesienie do rzeczywistości.

Łatwiej teraz zrozumieć istotę problemu: jakie elementy rzeczywistości ibañskiej uczynić przedmiotem zainteresowania literatury; o czym pisać? "o zebraniach związkowych, o dodatkach do pensji?". W społeczeństwie ibañskim niknie zakładane a priori rozróżnienie między partyjno-państwową "fikoją" i społeczną "rzeczywistością", między - posługując się formułą Stanisława Barańczaka - "fasadą i tyłami". Tylko z zewnętrznego wobec Ibańska punktu widzenia wydaje się niemożliwe, by kolejki przed sklepami i partyjne zebrania, łapówki za mieszkanie i biurowe intrygi, fabryczne stołówki i bankiety na Kremlu całkowicie i bez reszty wypełniały przestrzeń społecznej rzeczywistości. A jednak, dowodzi Zinowiew, ta fasada nie ma tyłów i na tym zasadza się istota "naszych jasnych, odświętnych dni powszednich".

"Z naukowego punktu widzenia - rozmyślał Dwulicowiec - społeczeństwo ibañskie jest tylko ogromnym pod względem rozmiarów i ilości, ale prymitywnym pod względem organizacji systemem dążącym do całkowitej jednorodności i stabilizującym się na najniższym poziomie parametrów dodatnich i ujemnych. A ponieważ rozróżnienie parametrów dodatnich i ujemnych zależy od rozporządzeń góry, tedy społeczeństwo ibañskie na tej samej podstawie jest społecznym systemem o najwyższym poziomie organizacji". Wniosek Dwulicowca jest słuszny, choć nie zasila idei i przeświadczeń składających się na syndrom antytotalitarnej poczciwości. Nic też z niego, w sensie praktycznym, nie wynika. Nie do wszystkich jednak prawd należy stosować kryteria pragmatyczne.

VI.

Ibańsk to nie tylko społeczeństwo radzieckie. Ibańsk może przytrafić się każdej społeczności. Zinowiewa nie interesuje jednak geneza ibanizmu. "W ZSRR - powiedział w wywiadzie dla L'Express - ustroj nie został narzucony z zewnątrz. Powstał w sposób immanentny. Mówię zatem o rzeczywistym człowieku radzieckim, o tym,

który urodził się w tym stroju i który się w nim odradza". Skoro ustrój powstał w sposób immanentny, to można zrezygnować z badań nad jego genezą i przeszłością na rzecz synchronicznych badań jego mechanizmów i reprodukcji. Dlatego też Zimowiew unicestwia historyczny wymiar trwania społeczeństwa Ibańskiego: przeszłością zajmować się nie warto, pogląd, że w przyszłości potomkowie dokopią się prawdy, jest "optymistyczna, koszmarna komedia".

"Historia Ibańska - twierdzi Oszczerca - składa się ze zdarzeń, które o mało co się nie wydarzyły, ale w ostatniej chwili nie zaszły; oczekiwano ich, ale nie nastąpiły; nie oczekiwano, ale mimo to się wydarzyły; wydarzyły się, ale nie tak, jak powinny, nie tam, gdzie powinny, i nie wtedy, kiedy powinny". Nic w tym dziwnego: całkowita jednorodność społeczeństwa i stabilizacja mechanizmów reprodukcji systemowej likwiduje czas poszczególnego trwania, bądź przekształca go w chaos zdarzeń, które "mogły zająć, ale nie zaszły".

Z tego punktu widzenia zdarzeniem tego rodzaju są same "Przepastne Wyżyny". "Książka ta - czytamy w krótkim wstępie - składa się z urywków rękopisu znalezionego przypadkiem tj. bez wiedzy naczelstwa, na odkrytym niedawno i szybko zarzuconym wysypisku śmieci. (...) Ibańsk jest przez nikogo nie zamieszkałym, zaludnionym punktem, którego w rzeczywistości nie ma. W każdym razie, jeśli gdzieś jest możliwy, to nie u nas w Ibańsku (...).

Ibańsk, 1974 r."

W Ibańsku, którego nie ma, miejsce platońskiego dialogu jest na śmietniku. Jak się pisze o Ibańsku tam, gdzie jest on możliwy?

VII.

Dochodzi ósma rano. "Jak codziennie o tej porze pędziła przez miasto w asyście karettek milicyjnych pancerna chłodnia z artykułami żywnościowymi dla ministrów i sekretarzy partyjnych". O ósmej u bohatera-narratora "Małej Apokalipsy" zjawia się dwaj znajomi z porzucenia środowiska literackiego i opozycji i w imieniu "całej tej społeczności, która próbuje walczyć, niewidzialnego biura politycznego ostatnich, którzy cierpią na bezsenność w tym uspiętym kraju" oznajmia mu, że po starannym przeanalizowaniu wszystkich kandydatur wyszło na niego: o ósmej wieczorem ma się spalić pod Pałacem Kultury w chwili zakończenia zjazdu partii.

Bo jest i zjazd. Gdy Hubert i Rysio Szmidt przedstawiają bohaterowi swoją propozycję-wyrok, na obramowanym czerwonymi flagami "poprzetykanymi gdzieś i gdzieś, jakby wstydliwie, białoczerwonymi sztandarami" lotnisku dwaj sekretarze (ten radecki - "partii-królowny" i ten nasz "partii-służki") będą trzymać się za ręce i długo całować w usta, dopóki orkiestra nie odegra do końca polskiego hymnu - Międzynarodówki. Potem odbędzie się zjazd, w czasie którego trzech dygnitarze nie wytrzymają nerwowo i rozbiórą się, a który zakończy się mianowaniem Polski na pierwszego kandydata do Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Na ekranach telewizorów ukaże się plansza z dwoma całującymi się czerwonymi gołębiami (jeden z nich ma jednak biały ogonek), a piastowski orzeł otoczony zostanie herbowymi snopkami zboża.

Jest jeszcze codziennosc:

"Z Pałacu Kultury, jak zwykle rano, kiedy wzrasta temperatura, odrywa się zmurszały blok kamiennej okładziny i leci z hukiem w dół po kamiennych żłebach budowli".

"Cegły nie potrzebujesz? Dobrej, stalinowskiej? (...) Hutę Warszawa rozbie-
rają. Można tanio kupić".

"... kucharka rozplakała się, zaczęła zdejmować fartuch i czepiec służbowy, chcąc porzucić pracę. Kasjerka wyjęła kasę i z kasą w objęciach pobiegła uspokajać kucharkę. Na ulicy zagrziała orkiestra przedszkolaków".

"... rzuciłem okiem na ścianę, lecz i tam znalazłem tylko dobrze znane od wielu lat napisy antypaństwowe, których państwo nie miało już siły ścierać i zamy-
lować".

"W ostatnich latach wyrobiła się taka praktyka, że filmy polskie, których reżim wstydził się z jakichś powodów przed Moskwą, że takie filmy były puszczone cichcem pod parawanem obrazu radzieckiego. Szły one w ten sposób w wielu kinach przy dużej frekwencji, a reżyserzy oczczeni przez reżim, zagranicę oraz miejscową opozycję, ubiegali się o taką formę rozpowszechniania".

"W obie strony przewalały się świąteczne tłumy (...) gnały niczym podczas nerwowego grzybobrania. Węszyły po kramach, zaglądały w zaplecza stoisk, formowały raptowne kolejki i w jednej chwili likwidowały je bezpowrotnie. Te tłumy szukały żeru, okazji kupna czegoś nieodzownego do życia, szczęśliwego trafu we frajerstwie chytrego państwa".

Ulice ohwieszone są transparentami z triumfalnym hasłem: "Zbudowaliśmy socjalizm"; nad rozpadającym się miastem wznosi się Pałac Kultury, kiedyś "pomnik pychy, statua niewolności, kamienny tort przestrogi", teraz "zżarty przez grzyb i pleśnię, stary szaleł zapomniany na środkowoeuropejskim rozdrożu".

Odnotujemy jeszcze jedno: rzeczywistość przedstawiona "Małej Apokalipsie" nie ma stałych dat. Jej czas jest rozmyty tak, jak rozmazane są nieczytelne daty na wydaniach gazet codziennych. Nie wiadomo, w jakim wieku jest Polska Ludowa, jak długo budowaliśmy socjalizm, ile lat dzieli nas od wojny. Nie wiadomo nawet, czy 22 lipca świętujemy po raz 33, 35, 40... Nie wiadomo nawet, czy jest lipiec: w rynsztokach leży śnieg, ale to niczego nie dowodzi. Rozmyślono także klimaty.

Ludzie poruszają się w rozwodnionym czasie, pozbawieni stałego punktu, o który by można zahaczyć życie, dzięki któremu można by je uporządkować i ocenić. Niektórych ratuje płotka, że gdzieś, może w Bezpiecie, wisi importowany kalendarz, że istnieje ktoś, kto wie.

VIII.

Jaki jest status rzeczywistości opisanej w "Małej Apokalipsie"? Czy to Polska dzisiejsza? Polska przewidywanego jutra? Obraz Polski w "czarnej utopii", w niewiadomym "roku 1984"? A może to Polska na granicy czasu, w chwili, gdy staje się Ibańskiem?

Zauważmy, że większość elementów życia codziennego i oficjalnego, z których zbudowany jest świat "Małej Apokalipsy", egzystuje we współczesnej polskiej rzeczywistości. Zdarza się, że wałęsają się domy, rozkierują się dygnitarze, wyłącza się światło i gaz na całe dni, a od pewnego czasu dwuzłotówka zadziwiająco przypomina kopiejkę. Ciągłe jeszcze zjawiska te traktowane są jako akcydensy, a nie atrybuty i cechy konstytutywne polskiej rzeczywistości. W porównaniu ze światem książki Konwickiego bytują one w sposób załączkowy, utajony; raczej przeegzystują niż istnieją. Pozwala to domyślać się, że opisana w "Małej Apokalipsie" Polska czasu niewiadomego, jest jedną z możliwości kryjących się w czasie współczesnym, przeczuć światła, który już dziś możemy wybrać lub odrzucić.

Warto się zastanowić, jakie są warunki istnienia takiej Polski-Ibańska, jaka jest specyfika "polskiej drogi do socjalizmu". Warunkiem pierwszym jest rozmycie wartości, zatracenie punktów orientacyjnych przesądających o możliwości jakiegokolwiek wyboru. "Amoralność" - stwierdza w pewnej chwili narrator - używa nomenklatury moralnej, buduje swoje pozytywne systemy, nagradza świętością i strąca do piekieł. Zło włączyło się w nasze kody etyczne i stało się dobrem".

Rezygnacja z kryteriów moralnych, "włączenie zła w kody etyczne" nie dokonuje się nagle, dzięki dającej się umiejscowić w czasie eksplozji amoralności czy nihilizmu. To raczej długi i powolny proces przystosowawczy zacieraający linię podziału między narzuconą i "amoralną" władzą a zniewolonym i kultywującym własne wartości narodem. Niektórzy - jak jedna z postaci książki, znany reżyser filmowy - sądzą, że proces ten doprowadził do wytworzenia się szczególnego, sadomasochistycznego związku gnębionych i gnębiących: Polskę zgwałcono, a ona w gwałcie doszukała się dwuznacznych rozkoszy.

Powieść Konwickiego jest także sprawozdaniem z lęków, fobii i zrużdzień elit intelektualnych w sytuacji, gdy stają się one bezużyteczne. Skoro rzeczy-

wistość społeczna odrzuca wartości, jak obcy przeszczep, skoro między społecznością a kulturą (być może nie kulturą "w ogóle", ale tą produkowaną przez grupy uważane za kulturotwórcze) wznosić się zaczyna bariera immunologiczna, to intelektualisci mogą dać sobie spokój: jest po herbacie. Dlatego nie należy traktować wspomnianego reżysera zbyt poważnie. Prawdopodobnie, mówiąc o sadomasochistycznej satysfakcji, popełnia częsty u intelektualistów błąd: projekcję uczuć i doznań własnych na cały naród.

Wzajemne uzależnienie ma inny charakter. Określić je można jako obustronną, pasożytniczą symbiozę państwa ze społeczeństwem: "Milcząca większość śpi w letargu. Urządziła się jakoś, wynalazła ciepłe zakątki, obrosła w kokony względnego dobrobytu. Ta wielka epidemia łapówek uratowała system. Bakcyszysze i kubany shumani-zowały nieludzki ostrój (...). Płyniemy po bezkresnym oceanie usankcjonowanego złodziejstwa. Nasz okręt nigdy nie rozbije się o przybrzeżne skały, bo nigdy już nie ujrzemy brzegu".

Zatarcie porządku czasowego i rozmydlenie wartości oznacza, że ze świadomości indywidualnej i społecznej wyrugowano historię pojmowaną i odczuwaną nie jako czyste trwanie, jako sterylny proces społecznego działania się i następstwa zdarzeń, lecz jako gwarantkę wartości, dostarczycielkę chwalebnych wzorów postępowania: "Świat się wyrównał. Nie ma złych i dobrych. Jest wielki nieszczęsny tłum deptający sobie po nogach. Wyszły, wsiąkły w piasek zapomnienia źródła ożywcze niegdyśiejszej moralności".

W świecie "Małej Apokalipsy" przeszłość przestała być "dziś, tylko cokolwiek dalej"; pojawia się raczej przez kontrast lub umykając naporowi współczesności bezrefleksyjne wspomnienie. Likwidacja historii ma charakter totalny, sięga dziedzin, które - zdawałoby się - z natury pozbawione są historycznego wymiaru: rzeczy, ciała, seksu. Bohater widzi dziewczynę i: "...uświadomiłem sobie ze zdziwieniem, że jest ona także samica, ale samica jakby innego gatunku, mnie nie dotycząca. (...) dla mnie była obcą, jak obce było całe jej plemię...". Równie obcy są bohaterowi przechodnie: z ich wnętrzości wyparto historię Polski - znaczyła ją już historia PRL, a między tymi dwoma czasami nie ma łączności. "Do fizjonomii ich progenitury bezlitosne geny przeniosły paskudztwo fachu rodziców, liszaje ohydny moralnej, karbunkuły sprzedajności (...), Nikt już w pieśniach nie opiewa urody Polek, nikt nigdzie nie podziwiał szlachetnej rycerskości Polaków".

Ale historia, rugowana tak bezwzględnie, wypierana nawet z obszarów, które nigdy nie były jej domeną, tam właśnie, a nie w świadomości znajduje swoje ostatnie schronienie. Objawia się nagle w rzeczach, w twarzy; w nieświadomym swego historycznego zakorzenienia dialogu miłosnym. Oto garnitur "pamiętający lata siedemdziesiąte", pokój przypominający te "podczas niemieckiej okupacji", dziewczyna o włosach "azorstkich jak korona snopka". Oto rozmowa kochanków Rosjanki i Polaka:

" - Pan jest cynik. Boże, dlaczego ja pana musiałam kochać. Gdytym wiedziałam... (...)

- Poczulaś się między nami zagubiona i szukałaś bratniej duszy. Kacapskiej, dzikiej, sumaszedszej duszy.

- Za co pan nas tak nie lubi?

- Ja wszystkich nie lubię. Albo, jeśli chcę, wszystkich lubię. (...)

A ciebie, Nadziejo, po prostu kocham...

- Ty jesteś jednak polski pan. Białopolak".

Jakby się to już gdzieś słyszało, czytało... tylko nieco inne, z odwróconymi rolami. Może tak:

"Joanna: Precz.

W. Książę: Ty się boisz. -

- A czego ty się lękasz? W blaskach ty polska dusza (...)

Joanna: Ty bankrot.

Chcesz naigrawać się - pójdź przez.

Ze serca, z duszy drwiesz.

W. Książę: Ty lalka -

ty cud, - ty świętość polska ukradziona. (...)"

IX.

Narrator "Małej Apokalipsy" ma się spalić. Znamienne, że powieść nie precyzuje, przeciw czemu ta ofiara ma być protestem, do czego wezwaniem. Sens tego aktu bohater i inne postaci określają funkcjonalnie: nam potrzebna wzniosła, majestatyczna śmierć, ktoś musi dzikim krzykiem przerwać letarg, i t.p. Znajomí radzą po przyjacielsku bohaterowi: "Oszczędzaj słowa. Te najlepsze zachowaj na wieczór. Musisz tam krzyżeć z całych sił. Samymi złotymi myślami". Nie wiadomo tylko, co ma krzyżeć. Pozostałe bohaterowi dwanaście godzin życia wypełnione jest wędrówką w poszukiwaniu sensu, który można by przypisać samooferze (ważne, że chodzi o subiektywnie nadawany sens, nie zaś racje uzasadniające celowość bądź konieczność tego osobliwego działania). Zauważmy: tematem powieści jest bardziej poszukiwanie niż konfrontacja, jedyne bowiem dwa podmioty, które podejmują świadome działania - władza i opozycja - myślą kategoriami racji, a nie sensu; na dodatek nie są to racje, które można by uznać za swoje.

Wstydliwą legitymizację władzy przedstawiają skryci za jej jarawanem "konstruktywni opozycjoniści": docent-filozof-cenzor Edzio i pułkownik policji politycznej - Żorż. "Ocean kajna ze wschodu - stwierdza pierwszy - zalał nas od Bugu po Łabę. I trzeba przeżyć ten kataklizm. Uratować się biologicznie. Ocalić własną duszę. To nasze szczęście, że Rosjanie runęli na tę ziemię przeżarci trądem komunizmu". A drugi dopowiada i przegryzuje: "Ubiegliśmy ciemiejąc. Przechytrzyliśmy go. Jesteśmy wolni dzięki temu, że sami sobie narzuciliśmy niewolę". Przywołane w ten sposób wartości narodowe sankcjonować mają zgodę i współuczestnictwo w narodowym zniewoleniu. Narratorowi dane będzie ujrzeć konsenkwencje tego rozumowania: podium ze Szczerbcem w bankietowej sali KC, gdzie czcić się będzie dzień mianowania Polski pierwszym kandydatem do ZSRR.

Opozycja nie przywołuje wartości narodowych. Jeśli są one wśród niej obecne, to w formie szczątkowej, unieczynnionej, sparaliżowanej tak, jak sparaliżowany jest stary akowiec w jednej z opozycyjnych kwater. A przedstawicielka młodego pokolenia kontestatorów mówi do bohatera z wyrzutem: "Pan jest trochę szowinistą. (...) My już nie. Wstydzimy się nawet odrobinę waszych zaściankowych kompleksów, uraz urazów, urajen. (...) Nas interesuje człowiek. Gdzie by nie był i w jakim czasie by nie żył. Pojedynczy, bezradny, samotny". Ekspulsja historii i wartości narodowych ze świadomości nie musi być wymuszona. Bywa dobrowolna.

Dlatego, być może, w rozmowie z przywódcą opozycji, Cabanem, narrator stwierdza: "Was stworzył ten reżim. Jesteście wydzieliną tego systemu, żebrem z ciała tej tyranii. Wy jesteście z "Biesów" Dostojewskiego, a nie z opowiadań Żeromskiego czy Struga. (...). Rządzicie podobni do dawnych konspiratorów. Podświadomość społeczna pamięta te archetypy. One są własnością ogólnej pamięci. One tylko będą skuteczne".

Łatwiej teraz zrozumieć, jaki sens i intencje zechce bohater "Małej Apokalipsy" przypisać samopaleniu; jeśli się dokona, będzie rodzajem psychoterapeutycznego zabiegu przywracającego narodowe archetypy społecznej świadomości; za sprawić, by "imponderabilia moralno-ideowe, które decydowały o losie tego narodu", odzyskały motoryczną siłę, zaczęły decydować już dziś. Samobójcza i publiczna śmierć jest próbą ustanowienia stałego punktu w bezczasowym i bezhistorycznym trwaniu; nadaje jej sens nadzieja, że Polska powróci do swojej historii, z której została wykorzeniona (sama się wykorzeniła?) i - odwrotnie - że wymiar historii zostanie na nowo wbudowany w życie narodu.

Jest w "Małej Apokalipsie" scena, która pozwala żywić taką nadzieję. Oto motorniczy stojącego tramwaju nagle oznajmia:

" - Powiedziałem, że nie pojedę, to nie pojedę (...). Po prostu mi się odechciało i już. Idę do domu. (...)

- Błagamy, bądź pan Polakiem.

- Polakiem, pierwszym kandydatem? - spytał tramwajarz.

Zrobiło się raptemcicho. Ktoś zakaszłał, ktoś inny odchrząknął. Jakies dziecko zaczęło płakać.

- Och, kurdebalans - westchnął motorniczy - Ja mam miękkie serce. (...).

Wsiadajcie, Polacy".

Karykatura narodowej solidarności? Owszem. Ale czy ten na pół świadomy odruch solidarności jest na zawsze skazany na karykaturalną formę? Pamiętajmy także, że w Ibańsku i on nie byłby możliwy.

X.

Co jest możliwe w Ibańsku? I czy jest jakieś wyjście z ibañskiej sytuacji?

"Całe życie żyję takim uczuciem, powiedział Gaduła, że zaraz rozlegnie się komenda: "Do szeregu zbiórka", a ja wybiegnę, stanę w szeregu i pomaszuję tam, gdzie każą. Ja to rozumiem powiedział Osózerca, całe życie żyję z takim uczuciem, że zaraz usłyszę walenie w drzwi, powiedzą mi: "Pan pójdzie z nami" i ja pójdę tam, gdzie mnie zaprowadzą. (...). A ja, powiedział Pacykarz, ja żyję z takim uczuciem, że mnie od dawna mówią i mówią: "Paszok won".

"Zaczynam iść powoli ku tej platformie wieńczącej niewysokie schody. (...) Ludzie, dodajcie sił każdemu na świecie, kto o tej porze idzie ze mną na całopalenie. Ludzie, dodajcie sił. Ludzie..."

Przy porównaniu tych cytatów daje się zauważyć pewna różnica w poszukiwaniu dróg wyjścia. Jeszcze jeden to dowód, że nie tylko literatura, ale i komparatystyka służyć może serc pokrzepieniu.

Ludwik Dorn

Tomasz Burek

PRZECIWIENSTWA ISTNIENIA

PISARSKI ŚWIAT JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO

(dokończenie)

8. Sacrum zbeszczeszczone

Na Boże Narodzenie 1957 "Przegląd Kulturalny" przyniósł w swym podwójnym numerze świątecznym esej Jerzego Andrzejewskiego: "O nadziei". Gdyby nie notatka informująca o czasie powstania owego eseju (grudzień 1943), można by się było łatwo omylić i dopatrzeć się w wypowiedzi pisarza kolejnej – po "Ciemności kryją ziemię" – reakcji na ideologiczne i moralne trzęsienie ziemi spowodowane tzw. raportem Nikity Chruszczowa. W istocie jednak, jak dowodziła podana data, esej "O nadziei" nie stanowił intelektualnego komentarza pisanego na marginesach Chruszczowskiej, niesamowitością i horrorem tchnącej "podróży do kresu nocy", ani nie był wyostreniem i dopowiedzeniem parabolicznych szyfrów zawartych w artystycznej strukturze "Ciemności kryją ziemię". Jeśli mimo to mógł być odbierany w pryzmacie aktualności i traktowany jako summa zawodów i rozczarowań współczesnego pokolenia: summa ateologiczna i ostateczne zamknięcie wieku ideologii, potwierdzało to tylko jego trafność diagnostyczną i sankcjonowało większość kasandrycznych ostrzeżeń i wniosków wysnutych z wojennego i okupacyjnego doświadczenia.

Pisak więc Andrzejewski na progu przedostatniego roku wojny: "Nie ma żadnych podstaw, aby wierzyć w człowieka powojennego. Za to wiele przemawia za tym, aby myśleć o nim z kamieniem na sercu". Kiedy czytelnicy "Przeglądu Kulturalnego" omawiali te i podobne zdania przy świątecznych i noworocznych stołach, mijak właśnie rok od zdławienia i doticia wolnościowego powstania węgierskiego przez zbrojne ramię państwa urzeczywistnionej utopii. W kraju – mijako kilka tygodni od zamknięcia "Po prostu" i brutalnego rozpedzenia demonstrujących w obronie swojego pisma studentów warszawskich. W czterdzieści lat po rewolucji, która miała zmienić na lepsze świat, spełniając tym samym program i testament pewnej "prometejskiej" filozofii, zostawało w naszym słowniku już niewiele pojęć, jakim można było dać wiarę i używać bez dystansującego cudzysłowu. Esei Andrzejewskiego przychodził rzeczywiście w samą porę. Dokonana w nim radykalna demitologizacja mitu przyszłości i zarazem detronizacja idei postępu doskonale współbrzmiała z aktualnymi nastrojami społecznymi u schyłku 1957; były to nastroje, zwłaszcza w środowiskach inteligentkich i młodzieżowych, coraz silniejszego rozczarowania, sceptycyzmu, niewiary i obojętności w stosunku do obumierającego dziedzictwa "wielkich idei".

W żargonie marksizmu instytucjonalnego, w żargonie odzyskujących krok za krokiem wpływy ortodoksów partyjnych – zjawisko powyższe określano terminem zamętu ideologicznego; łączono je z oddziaływaniem na młodzież oraz środowiska twórcze – literatury egzystencjalistycznej. Twardogłowa propaganda, anachroniczna bądź też zwyczajnie obłudna, ignorowała lub prymitywizowała historycznie obiektywne przyczyny i podstawy współczesnego "nihilizmu" i "pesymizmu", doszukując się źródeł zwątpienia i rozpacz w obcych modach i powracając do bajki o żelaznym wilku dywersji; znacznie mniej uwagi natomiast starała się poświęcać zagadnieniom realnego świata i prawdziwie potwornym "kwiatom zła" wyrosłym na tutejszej glebie. Po-

deptanie ludzkiej i narodowej godności milionów obywateli w krajach należących do obozu wschodniego; unicestwienie wolności politycznych i zerwanie więzi społecznych; ekonomizacja nawet dalekich od ekonomiki dziedzin życia; pragmatyzacja i desubstancjalizacja wartości kultury; uczynienie z człowieka funkcji systemu i własności państwa; traktowanie istnień poszczególnych jak egzemplarzy zamiennych i statystycznie wymiernych, odciętych raz na zawsze od transcendencji, wyzuty z jaźni i z odpowiedzialności za sens i kierunek własnego przeznaczenia; coraz dotkliwsze w każdym pokoleniu następnym poczucie duchowej pustki i nieistotności życia; coraz powszechniejsza świadomość niemocy, frustracji i klęski moralnej. Oto, z pewnością nie wszystkie, czynniki i przejawy choroby trawiącej tkankę systemu, który nie mógł być dłużej mylony z dziewiętnastowiecznym socjalizmem marzeń i nadziei. Było ciemne południe wieku dwudziestego. W porównaniu z tym, co się przydarzyło optymistycznej wizji postępu, a co nosiło wszelkie znamiona nieodwracalnie tragicznej katastrofy, propagandowa żonglerka sformułowanymi sto lat wcześniej prorocztwami o wszechstronnym rozkwicie osobowości, talentów i możliwości człowieka w sprawiedliwym i zasobnym ustroju socjalistycznym, zakrawała na żart więcej niż pomury. Równała się, przeważnie, przy tym, sztytem grubymi nićmi kłamstwu politycznemu. Rzadko - dziecięcej naiwności.

Zatem powtórzmy raz jeszcze: naszkicowany dużo wcześniej esej Andrzejewskiego okazywał się, po latach, jak najbardziej na czasie. Opisywał bowiem - z perspektywy wojennych przemyśleń i przewartościowań - upadek i pohańbienie najdroższej wartości humanistycznego idealizmu, o proveniencji zarówno romantyczno-utopijnej, jak oświeceniowo-scjentystycznej; opisywał i ukazywał granicę wiary w możliwość doskonalenia się człowieka i w nieograniczony, moralny i kulturalny, rozwój ludzkości. W sytuacji reprodukcji, jak gdyby nigdy nic, słów i symbolów nadużytych jako parawany totalnego gwałtu, okradzionych z ich właściwych znaczeń, sponiewieranych i cynicznie przefarbowanych, w takiej sytuacji esej "O nadziei" odgrywał tę samą rolę, co poprzednio wspomniany monolog wewnętrzny majora Stasieczkiego w opowiadaniu "Podróż". Mianowicie - dezawuował wzówienia. W zamian głosił poszanowanie dla tragicznego gatunku prawdy. Ta prawda o condition humaine nie była łatwa do przyjęcia. Zokreślając jej stoicką wymowę mogą trzy następujące cytaty:

Pierwszy: "Od półtora wieku Europa żyje przeszłością. Żyje nadzieją.

Ale gdy śledzi się kręte ścieżki, którymi wśród gąszczów torują sobie drogę myśli ludzkie, gdy widać się, jak wiele wzniosłych słów nim dobiegnie do mety zmienia się w nienawiść i terror, wówczas trudno jest się obronić przed niechęcią do wszelkiego idealizmu".

Drugi cytat. "Wiara w ludzkosć i lepszą przyszłość rozsypuje się wśród ruin i zgłiszcz, którymi dymią wieki. (...) ludzkosć była i pozostała jedną wielką raną, której nigdy i nic prócz końca nie zdoła zasklepić".

I wreszcie trzeci. "Chwila z dnia Stworzenia, oddziela jąca światło od ciemności, nie powtarza się w dziejach ludzkości. Ciemność jest we wszystkich ludziach".

Tekst Andrzejewskiego mierzył polemicznie w złudzenia postępu i fetysze skłamanej nadziei. Barwił się aktualnością chwili.

Za omawianym esejem stała wszakże szersza, historyczna i historiozoficzna perspektywa, stała pewna tradycja problemowa, stały doświadczenia intelektualne i pisarskie całej generacji. Kiedy ta generacja, zwana przez swoich wyrazicieli "tragicznym pokoleniem" (od tytułu książki Mariana Ruth-Buczkowskiego), zaś przez późniejszych badaczy "pokoleniem 1910" (ze względu na ten właśnie lub zbliżony rok urodzenia większości wybitnych jej reprezentantów), zaczynała manifestować swą duchową wspólnotę i swą coraz bardziej wazącą obecność w życiu literackim drugiej dekady międzywojennej, świat wchodził w nową, gwałtownie zaostrzoną fazę ogólnego kryzysu.

W 1931 r. ogłoszona została w języku niemieckim praca filozoficzna, zajmująca się próbą rozświetlenia i krytyką szeregu centralnych problemów, przed jakimi stanęła ówczesna ludzkość. Mowa o książce Karla Jaspersa "Die geistige Situation der Zeit" - "Duchowa sytuacja epoki". Miała ona wkrótce, m. j. n. dzięki przek-

ładowi angielskiemu ("Man in the Modern Age"), zdobyć sławę jednego z najczęściej cytowanych dokumentów myśli współczesnej. Jej autor, niespełna pięćdziesięcioletni myśliciel, wysuwający na czoło w swoich dotychczasowych dociekaniach refleksję nad wartością i sensem ludzkiej egzystencji, rozstrząsał tu powody kryzysu i degenerowania się tradycyjnych form kultury duchowej, i zastanawiał się nad destruktynym charakterem w pełni technicyzowanej, masowej cywilizacji nowoczesnej.

Stwierdzał przede wszystkim, że sytuację człowieka, w erze gigantycznych aparatów wytwórczych i dominowania masy nad jednostką, charakteryzuje zatracone trwałej orientacji aksjologicznej i panika związana z poczuciem braku oparcia w rzeczywistości; ta ostatnia bowiem wydaje się całościowo problematyczna i wręcz nierealna, widmowo płynąca strugą rzeczy i pozorów, nieskończenie ruchliwa i zmienna, ale w istocie pusta. Rozpaczliwie pusta. Jakby na przestrzał wydrążona. Wszystkich, a nie tylko nadwrażliwych poetów zamieszkujących wieże z kości słoniowej, dręczy więc teraz baudelaire'owska nuda i świadomość nicości. Światopogląd nihilizmu stał się praktykowanym światopoglądem mas. Rozbite sferę nadprzyrodzonej, sakralnej, wyrugowanie transcendencji z pola doświadczeń kultury, despiarytualizacja świata, wszystko to pociągnęło za sobą, szybciej niż ktokolwiek oczekiwał, degradację i ogłocenie człowieka z poczucia własnego znaczenia. Bilet wstępu do nowego wieku okazał się przepustką do ziemi jałowej.

Barczo podobnym tonem brzmiały wywody młodego, zaledwie dwudziestopięcioletniego Kazimierza Wyki w artykule "Perspektywy młodości", opublikowanym w 1933 r. przez kwartalnik "Verbum". Artykuł, raczej esej, Wyki należał do najbardziej pamiętnych i ważkich deklaracji myślowych ostatniego w dwudziestolecie międzywojennym pokolenia literackiego. Wyki opisywał także ów świat bez czci i wiary, zaprzeczający duchowym wartościom i zgniatający wszystko, co chciałoby się ochronić i kultywować - lojalność, zaufanie do drugiego, wierność sobie. I zadawał pytanie, które nieraz powróci w tym pokoleniu, pierwszym pokoleniu czasów pogardy: "czy jest prawdziwy, czy jest zmorą tylko ten świat burzący najpierwsze ideały człowieka?"

Do katalogu niepokojów i udręk o znamionach uniwersalnych autor "Perspektyw młodości" dopisywał jeszcze jedną, nieco inaczej oznakowaną sprawę. Sprawę polską. Otóż zabierał głos poniekąd w imieniu młodej inteligencji, wychowanej i wykształconej w odrodzonym państwie, i pokazywał, jak na oczach tej dojrzewającej i wkraczającej z wolna w życie, nowej formacji odbywało się sprowadzanie romantycznych mitów niepodległościowych na złą i oporną ziemię, jak dokonywała się w dniu poprzednim ojczyzny - obniżka, a potem "wielka likwidacja ideałów". Cały ten proces, w szeregu konsekwencjach psychologicznych i uchwytnych skutkach moralnych (Wyki wymienia niektóre: bezideowość, oportunizm, relatywistyczny stosunek do prawdy), posiadał też swoisty wymiar religijny. Równał się pogwałceniu sacrum, oznaczał wstrząsającą często utratę wyobrażenia o świętości Polski, a wraz z tym pogłębienie ogólnego poczucia desakralizacji, systematycznego degradowania i zanikania w świecie wspólnot ludzkich tego, co godne czci i nienaruszalne.

"Perspektywy młodości" - "Drogi nieuniknione" - "Podróże do piekieł". Nic dobitniej nie zaświadcza o stanie umysłów przedwojennego pokolenia niż z podobnych ogniw tytułowych złożony szereg ewolucyjny. Na końcowe ognia w tym szeregu wzejmnie zającebiających się wypowiedzi publicystycznych, literackich, - przyjdzie poczekać. Trud męskiego wieku i "dwa ocalone wyrazy" - wypowiedź "Ozależnienie", Dopowiedzeniem i epilogiem referowanej tu katastrofy ducha będzie "Zniewolony umysł".

Wracamy do Andrzejewskiego. Debiutujący "Drogami nieuniknionymi" pisarz już w pierwszym opowiadaniu wymienionego zbioru zajął się tematem nie pozbawionym głębi i symbolicznego rezonansu. Tematem święta, święta bezradnego. Święta, które prawdziwym świętem stać się nie może. W opowiadaniu tym - mamy na myśli "Kontakty" - symbolizmem nacechowany i zgoła nieprzypadkowy jest czas akcji. Rozgrywa się ono w świąteczny dzień bożonarodzeniowy. Ścisłe: pod sam koniec drugiego dnia, właściwie już nocą, u kresu pory świąt, gdy w egzystencję zawieszoną w półśnie bohatera zaraz ma wtargnąć powszedniość i potoczają się zwyczajne, ciężkie, trudne

do przeżycia dni kolejnego tygodnia.

Prawdę powiedziawszy, dla bohatera, któremu towarzyszymy w jego poplątanym, ale wyczuwalnie obsesyjnym monologu, czas inny niż rytmy i tryby codzienności, wyjątkowy, mający być objawieniem niezwykłości, "hierofanią", wcale nie zaistniał; a raczej Bóg wie kiedy przeminął i nic nie spełnił; przeminął i nic po sobie nie pozostawił prócz uczucia zawodu i czczości. Święta Bożego Narodzenia upłynęły Gielbárdowi na marudnym, jakoś tęsknym i przecież próżnym czekaniu. Czekaniu na Święto. Czekaniu na wyzwalające, wzniósłe przeżycie, na dreszcz odrodzenia duchowego. Było inaczej. Zamiast wielkiej radości – przygnębienie i rozżalenie. Zamiast doznania sakralnej jedności ze światem i bliskości z bliskimi (żoną i synem) – wrażenie pogłębiającego się rozdźwięku, osamotnienia i obcości. Ten brak zespolenia, ten chłód i nieprzytulność własnego domu, te przytłaczające, rozpierzchke myśli o wszystkim i niczym, te przyziemne troski, ta płaskość i monotonia, ten nigdzie nie prowadzący, niepojęty przymus istnienia, ten bezsens, cała ta niewygoda i bycie, wszystko to razem, naturalnie, było niezmiernie odległe i wprost przeciwnie do tego, co zdolne jest wywołać w człowieku uczucie świętości. Owe nagromadzone w opowiadaniu "znaki" mówiły o doświadczeniu negatywnym bohatera. Mówiły o utracie przezeń duchowego centrum, o miłości nieobecnej, o dezintegracji rodziny, o nieautentyzmie, o klęsce w planie ostatecznym. Były językiem rozbicia. Fragmenty, drobiny, atomy, pokruszone cząstki i przypadki życia, niczym niezliczone pyłki kurzu, wirujące bez celu i potrzeby, oddzieliły duszę Gielbarda, współczesnego Kałdego, od mistycznej Jedni i Pełni Bytu. Sfera profanum pochłonęła sferę sacrum, widzialne zdominowało niewidzialne, doczesność przytłoczyła boskość potęgą swoich tysięcznych drobiazków i praktycznych interesów.

Tematem utraconego Boga i znieważonej sakralności odpowiada właśnie temat święta niemożliwego, zdegradowanego, przeinaczanego, wreszcie sparodiowanego. Zjawisko to ma miejsce nie od przypadku do przypadku, lecz stale i w całej twórczości Andrzejewskiego. Należy do repertuaru organizujących ją, nader konsekwentnie, prawideł, "chwytów" i zasad, tych zasad, których żądają od pisarza krytycy bez zasad.

Przypomnijmy misterium Wielkiego Tygodnia, wprowadzone przez pisarza jako symboliczny (kontra)punkt odniesienia i jednocześnie jako rama czasowa zdarzeń zrelacjonowanych w "Wielkim Tygodniu". Przypomnijmy "Święto Winkelrida". Następnie: święto zwycięstwa, które zarazem jest dniem zagłady w "Popiele i diamencie", święto wesela, do którego nie dojdzie w "Miazdze". Przypomnijmy nowe święto zlaicyzowanej kultury – celebrowany wernisaż "świętego potwora" Ortiza i inne podobnie zastępcze i w samej swej istocie zdegradowane, a więc niezupełnie poważne "rytuały" – w parodystycznie roześmianym "Idzie skacząc po górach". Nie zapominajmy o tematach (właśnie tematach, nie zaś powierzchniowych pretekstach tematycznych) Świętej Inkwizycji w "Ciemności kryją ziemię" oraz krucjaty do Ziemi Świętej w "Bramach rajów". I tak dalej. (Z pewnego względu np. opowiadanie "Już prawie nic" mogłoby nosić tytuł: "Już po święcie").

Konkludując. Wydaje się, jakby Andrzejewski powracał nieustannie do tematu "świętości" i podejmował się przedstawienia "święta" jedynie po to, by móc pokazać negatywną wizję sacrum, to znaczy działające na zewnątrz i wewnątrz człowieka procesy i siły, które uczucie świętości profanują, rozszczyplają, udaremniają i, w końcu, przeżycie świata jako święta oalkowicie niweczą.

9. Kształty rozdarcia.

Obrazując krytyczny punkt, w jakim znalazł się człowiek współczesny – człowiek bez osłony sacrum, bez odrzuconego Boga, po którym wszelki ślad na ziemi zagaśniał – Andrzejewski zmuszony był postępować niejako wbrew najpierwotniejszemu właściwościom i predyspozycjom własnego talentu. Te bowiem kierowały wyobraźnię pisarza ku temu, co duchowo wzniósłe, świetne, hieratyczne, pełne najwyższej powagi. Retoryka patosu i wysoki ton emocjonalny, skłaniający niektórych obserwatorów do

mówienia o "posagowości" i nawet "kapłańskim namaszczeniu" jako przyrodzonych cechach pisarskiej postawy autora "Ładu serca", ściierały się wszakże, od pierwszej niemal chwili, z tendencją przeciwną. Wypadnie ją nazwać zmysłem realizmu i weryzmu. To znaczy przywiązaniem do prawdy dającej się zweryfikować w kategoriach ludzkiego doświadczenia, niechby i drastycznego. A taką postać drastyczną, z punktu widzenia ukształtowanych schematów intelektualnych i moralnych, postać bezkształtną, pozbawioną nadrzędnej formuły i sankcji, miała cała rzeczywistość, z jaką od młodości aż po późne lata przyszło obcować pisarzowi. Była to rzeczywistość obniżonego stylu życiowego i duchowego, a w ślad za tym i artystycznego; rzeczywistość, na którą składało się nieskończenie więcej krachów, katastrof, bankructw, wszelkiego rodzaju załamania (od gospodarczych po ideowe) i druzgocących upadków, niż, krótkotrwałych i z reguły niedołączonych, uniesień. Przeto nie dziwnego, że wysoki styl przeżywania i ekspresji literackiej przestawał cieszyć się wzięciem. Patos wielkości tracił na znaczeniu, wypierany przez świadomość powszechnej nędzy. Głębia świata zdawała się fikcją erudytów, wymysłem pięknoduchów, kłamstwem snobów. Tylko dna były realne. Znał je z codziennego doświadczenia każdy.

Ktoś jak Andrzejewski, kto pisząc chciał być wierny sobie - sobie i swoim tajemnym tęsknotom i predylekcjom - a zarazem usiłował nie tracić kontaktu z rzeczywistością jako materia obowiązków pisarskiego, znajdował się w trudnym położeniu. Groziło mu rozdarcie i porażka. Jego poważny, skupiony na wielkich problemach egzystencji, dramatycznie napięty styl i stan ducha, mógłby łatwo przerodzić się w bizantyjskie napuszenie, gdyby nie był inspirowany znajomością realnych konfliktów i zamurzony w gęstym ruchu rzeczy i sytuacji. Z drugiej zaś strony, przymusowa rezygnacja i kapitulacja z podmiotowych ideałów na rzecz przedmiotowości skończyć by się mogła celine'owskim naturalizmem desperackim, mściwym, zajadłym, dochodzącym poprzez furie i wyolbrzymienie cechy negatywnych rzeczywistości do przeciwludzkiego koszmaru. O te obydwa ekstremy - abstrakcyjnego, werbalnego idealizmu z jednej strony, somatycznego i hiperbolicznego naturalizmu z drugiej - ocierał się Andrzejewski nieraz w swej pisarskiej młodości. Trafnie to niebezpieczeństwo w y m i n i ę c i a c z ł o w i e k a zasygnalizowała i nazwała s. Teresa Landy w omówieniu "Ładu serca" (Verbum' 1938 nr 3), formułując twierdzenie o dwóch przeciwstawnych tendencjach w pisarstwie Andrzejewskiego: o "realizmie niedoczłowieczonym" i o "idealizmie odczłowieczonym". W "Drogach nieuniknionych" przewagę częściej uzyskiwał pierwszy spośród wymienionych stylów interpretowania i artystycznego wyrażania rzeczywistości. "Ład serca" powstał pod znakiem wyrażonej niezgody stylu drugiego ("wysokiego", tragiczująco-symbolicznego) z pierwszym ("niskim", degradującym, fizjologiczno-naturalistycznym). Pierwsza powieść Andrzejewskiego, chociaż zrazu powszechnie chwalona i obsypana nagrodami za odwagę idealizmu, szybko w gruncie rzeczy poczęła szeleścić papierem. Bowiem nie w rozgraniczeniu stylów, lecz na odwrót, w punkcie przecięcia stylu niskiego z wysokim kryła się szansa i siła talentu Andrzejewskiego. Złączone razem, dają one jego dziełu styl nowy, trzeci, bogaty, przemyślny, wewnętrznie antyteczny, opalizujący, tragicznoironiczny: właściwy styl dla wymierzenia całkowitej sprawiedliwości rozdarciemu humanizmowi i diabelskiej komedii naszych czasów.

Ó w s t y l n o w y - najcharakterystyczniejszy i najlepszy styl twórczy Andrzejewskiego, towarzyszący nieodłącznie jego utworom dojrzałym i późnym, jak "Prometeusz", jak "Teraz na ciebie zagłada" i "Już prawie nic" - zapowiedziany został stosunkowo wcześnie, bo w kilku groteskowych opowiadaniach okupacyjnych i w tragifarsie politycznej "Święto Winkelrida". Zmieszany z sarkastycznym, chwila-mi makabrycznym, grozą podszytym, czarnym, wisielczym humorem, styl tragikomedio- wy służył tam nie tyle podkreśleniu dziwności okupacyjnego świata, który przecież był z natury dziwny i opaczny, ile właśnie, na odwrót, styl ten przywracał naturalne, ludzkie proporcje i wymiary postawom i sprawom zdeformowanym przez heroiczne legendotwórstwo i patetyczne konwencje przeżywania. W "Święcie Winkelrida" taki spreparowany, niebotycznie wyolbrzymiony, a służący celom odgórnej manipulacji emocjonalno-politycznej, obraz bohatera został zderzony z jak najbardziej przyzwołą, wręcz nawet trywialną prawdą "oddoloną" o nim, wywołując efekt śmiesznej niewyobraźliwości i groteskowej rywalizacji przeciwstawnych wyobrażeń i

stylów (rubasznego i podniosłego, nieuczzonego i przeinaczonego) - efekt w pełnym tego słowa znaczeniu heroicomiczny.

Ale w powojennych utworach pisarza obydwie te główne inklinacje stylistyczne i zarazem tendencje estetyczne jego twórczości - drwiąca i tragizująca - rozchodzą się i biegną przez dłuższy czas osobnymi torami. Osobno nieudana próba satyryzowania konfliktów współczesnych w "Wojnie skutecznej". Osobno współczesna powieść tragiczna - "Popiół i diament" oraz "Ciemności kryją ziemię". Chociaż - warto przypomnieć - policzek wymierzony trupowi Mistrza przez jego Ucznia w tym ostatnim utworze łączył w sobie znowu dwie prawdy przeciwległe: tragiczną i komiczną, i aż dwa wewnętrzne gesty: patetyczny i szyderczy. Już zresztą wcześniej - parę lat "Złoty lis" zamigotał możliwościami wieloznaczności. I tak też się złożyło, że wraz z opowiadaniem tytułowym, napisanym jesienią 1954, znalazły się pod jedrą okładką w "Złotym lisie" - zebrane tu i opublikowane po raz pierwszy w edycji książkowej - groteskowe opowiadania okupacyjne ("Kukułka", "Paszportowa żona", "Przebudzenie lwa"). Mimo to, na przekomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Andrzejewski zaskoczył wyraźnie wszystkich skalą stylistycznych przeobrażeń, giętkością i rozpiętością możliwości warsztatowych: od prozy stężonego liryzmu i dostojnej nuty w "Bramach raju" po kalejdoskopową panoramę prześmiewczych form narracyjnych w "Idzie skacząc po górach". Czy jednak "Bramy raj" były tylko tragiczne? A "Skaczący po górach" tylko figlarny i komiczny? Otóż nie.

W "Bramach raj", tym poemacie prozą, właściwie zaś antypoemacie, częściowo sublimującym, lecz jednocześnie nicującym - jak Penelopa swą tkaninę - złą poezję perwersyjnego, opętanego, nieszcześliwego świata, sens całości nie jest z góry przesądzony. Żłuda piękna estetycznego ma tutaj bowiem swój cień i ma zadająca jej kłam, choć bezpośrednio nie ujawnioną, przeciwwagę. Styl (i w tym stylu zawarty sens) utworu Andrzejewskiego urzeczywistnia się w przerotnej grze tekstu z kontekstem; w opozycji między wystawnie sztuczną konstrukcją literacką a (zakładaną przez autora) kreścią nieufną, hiperkrytyczną, destrukcyjną świadomością współczesnego odbiorcy; w przeciwstawności między podniosłym, uroczyście, poetycko stylizowanym i zmetaforyzowanym kształtem narracji a "rozwiązką" i "płaską" wymową opowiedzianej historii; w tym wszystkim kryje się rozdzierająca i r o n i a "Bram raj". Odwrotnie w "Skaczącym po górach", gdzie spoza parodii sztuki i kultury współczesnej wyłania się obraz jej duchowej t r a g e d i i.

Jeszcze inaczej w "Miazdze".

Tragikomedia nie dającej się przedstawić, wzdrygającej się przed realistycznym opisem jak diabeł przed święconą wodą, wykrętnej i zawstydzonej samą sobą, perrelowskiej rzeczywistości polskiej w którymś tam roku jej półfikcyjnego istnienia - jest to rzeczywistość moja i twoja, wspólna i niczyja - wyraża się w "Miazdze" ironią formy powieściowej. Analogicznie bowiem jak Folska, o której opowiada, powieść nie jest w stanie rozwinąć wszystkich swoich możliwości, nie jest w stanie uformować przejrzyście, prawdomównie i wszechstronnie swojego przedmiotu, w miarę więc, jak poznaje swe własne ograniczenia i dowiaduje się o swojej nieprzekraczalnej fikcyjności, unieważnia krok po kroku samą siebie, przekreśla się w oczach czytelnika, wymazuje to, co napisane, demaskuje to, co wymyślone, podważa i podaje w wątpliwość moralne racje swojego zwichniętego i artystycznie niedokształconego bytu. Z ironiczną determinacją zatrzymuje się w fazie przed-powieściowości.

Zamiast powieści - hipoteza powieści ("Miazga"). Zamiast wolności wyboru - tragikomedia schizofrenii ("Apelacja"). W takiej formie i w takim temacie zbiegają się w pisarstwie Andrzejewskiego i tłumaczą nawzajem dwa procesy równoważne: kryzys słowa (literatury) i rozpad rzeczywistości.

III. PUBLICZNOŚĆ

10. Nie wszystko dla publiczności.

W przedstawionej pokrótce historii stylu Jerzego Andrzejewskiego zabrakło

ważnego elementu dynamiki literackiej: publiczności. Jak się bowiem zdaje, istnieje pewna uchwytana współzależność między zmieniającym się w czasie obliczem stylowym tego pisarstwa a przemiennością bądź nietożsamością odbiorcy, do którego kolejne utwory, wraz ze swymi przesłaniami i specjalnymi układami walorów, bywały adresowane. Odbiorca bywał różny, jak różne, w każdym sensie: politycznym, społecznym, psychologicznym, ideologicznym, bywały "podepoki" współczesnej epoki, owe porozdzielane ostrymi cesurami kataklizmów - "epizody" i "etapy". Kim innym był czytelnik z roku 1938, z roku 1945, z roku 1949 czy 1950, z roku 1956, sprzed roku 1968 i po roku 1968. Ulegała zmianom jego twarz i jego charakter społeczny, zmieniały się sytuacje i style odbioru, inne były "przymusy" lektury, inne konteksty, a więc zarazem inne sposoby czytania. Dlatego też współzależności między pisarzem a publicznością literacką nie mogły być ani proste, ani tym bardziej jednostronne. To nie tylko pisarz "szukał sposobu jak wywołać w czytelniku pożądany emocjonalny oddźwięk" (że zacytuję znany szkic Miłozsa: "Alfa czyli moralista"). Ze swej strony także publiczność uczyła naginać się do propozycji pisarza, choć początkowo mogły one wydawać się jej, w tym czy innym przypadku, zbyt radykalne, zaskakujące, nieoczekiwane lub trudne do przyjęcia. Jeśli zatem występowały tu współzależności, to obustronne.

Zastanawiając się nad osobliwościami warsztatu i techniki pisarskiej Andrzejewskiego, krytycy (Sądauer, Pędziński, Kijowski, Fkoński, Walas) zebrali sporo przydatnych lub przynajmniej ciekawych spostrzeżeń. Długie i jakby nie zakończone ustawianie wysokości głosu; próbowanie wciąż nowych i różnych tonów, różnych gatunków mowy i niepodobnych stylów; znaczna łatwość wcielania się w przeciwstawne role pisarskie, umiejętność przedstawiania warsztatu z jednej poetyki na drugą, z werystycznej na wizjonerską, z tragicznej na groteskową, z moralistycznej na realistyczną; w związku z tym, jednak, proza bez własnego modelunku i rozpoznawalnego stylu, proza na krótki dystans; stąd też charakterystyczna konstrukcja "przeskokuwa" w obrębie najgłośniejszych nawet utworów epickich (jak "Wielki Tydzień" czy "Popiół i diament"), innymi słowy, nerwowe dokładanie scen, wątków, postaci, a nie wyczerpywanie i cierpliwe rozwijanie do końca wszystkich możliwości podjętego tematu; całkiem więc realne niebezpieczeństwo zadrowolenia się ułomkami i fragmentami; dzieło życia jako suma niezrealizowanych pomysłów, świetnych obietnic i ponieszczonych zamiarów; jeszcze jedna literacka symfonia niedokończona... Ale czym wytłumażyć wszystkie te cechy, jeśli są rzeczywiście prawdziwe?

Naturalnie, kusząca wydaje się hipoteza poznawcza, która nakazuje całe to wielostylowe migotanie dzieła wiązać stosunkiem zależności, być może nawet wynikania, nie z psychologią i mentalną postawą zatrzaśniętego w swym wnętrzu autora, ale z naturą historyczną publiczności literackiej. Ściśle: z socjologią i psychosocjologią publiczności w Polsce w ciągu kilku dziesięcioleci ostatnich. Dzieło Andrzejewskiego przedstawiałoby się wówczas jako twór prowizoryczny i otwarty, bo nacełowany na dialog z czytelnikiem; który to czytelnik okazywał się być, pod tą szerokością geograficzną i we wzmiankowanym czasie, istotą z najrozmaitszych powodów nieokreśloną i plazmowatą, bezwyrazową, kulturalnie niepewną, wygłodniałą i wszystkożerną, to dla odmiany czującą swą niższość i stawiającą opór, zakompleksioną, nieobliczalną, barbarzyńsko prymitywną, młodą i świeżą, naiwną i przecież cudem wyposażoną w polski nadrozum historyczny, jednym słowem, złożoną z wykluczających się sprzeczności. Nie dającym się niczym zniechęcić nieustającym szukaniem czytelnika, zmaganiem się z owym czytelnikiem, wznawianą z każdym następnym utworem walka Jakuba z aniołem o wydarcie formy i oblicza z nocy i miazgi polskiej - stawałoby się w takim ujęciu pisarstwo Andrzejewskiego. Pisarstwo chyba nieprzypadkowo zdolne do użytkowania i obejmowania w sobie wszystkich stylów mowy potocznej po wysokie style retoryczne i kunsztowne.

Nie idąc tak daleko, by uważać dzieło pisarskie Andrzejewskiego za twór zbitrowej istoty, wielokształtnej, kapryśnej i nieuchwytnej, jaką jest zazwyczaj publiczność - spróbujemy pokazać wycinek problemu: względne mianowicie i ograniczone oddziaływanie publiczności literackiej na niektóre role pełnione przez pisarza. Jak wiadomo, pełnić jakąś rolę to wypełniać, lepiej lub gorzej, pewną normę. A tę normę określają w literaturze bardzo rozmaite grupy czytelnicze.

Tak na przykład typem czytelnika, do którego zwracała się i o porozumienie

z którym zabiegała wczesna, przedwojenna twórczość autora "Drog nieuniknionych" i "Ładu serca", był prawdopodobnie ktoś, kto w takich właśnie, sugestywnie wymodelowanych, tytułach odnajdywał skrót i ślad własnej udręki, intymne współbrzmienie z własnym niepokojem i własną nadzieją. Był to przypuszczalnie ów czytelnik z kształtującej się warstwy młodointeligenckiej, która z trudem szukała swego konkretnego miejsca na ziemi i która gubiła się w labiryncie kryzysowych lat trzydziestych, obciążona podwójnie ciężarem trosk obywatelskich i trwóg eschatologicznych; czytelnik ten oczekiwał od bliskiej sobie, rówieśniczej literatury najpierw świadectwa o przeżywanych zawiłościach społecznego dojrzewania, a następnie dyskusji o racjach życia. Andrzejewski zdawał się zaspokajać obie te potrzeby: ukazywał z monotematyczną siłą krańcowe zabłąkania i bezdroża egzystencji, ale przynosił jednocześnie zarys humanistycznej orientacji światopoglądowej i apelował o odbudowę hierarchii wartości moralnych. Zjednywał adresata tym przede wszystkim, że łączył w symboliczną całość dwa biegunowo przeciwne typy ludzkie: z jednej strony typ wykończony, lumpa, niedoszłego inteligenta, który stępczył się na dno i poznał, czym jest życiowe fiasko (Mojk, Morawiec); z drugiej zaś typ ascetycznego idealisty i uduchowionego społecznika, który wbrew wszelkim niepowodzeniom i fatalnym pułapkom życia nie wyrzekł się orientacji wewnętrznej skierowanej ku najwyższym wartościom (ksiądz Siecheń). Odpowiadając na zamówienie czytelnicze i wypełniając zarówno normę literackiego świadectwa o współczesnym życiu (w "Drogach nieuniknionych"), jak i normę message'u (w "Ładzie serca") Andrzejewski obwołany został zgodnie, przez czytelników i krytyków, pisarzem pokolenia.

Z tym wszystkim debiut jego przypadek już na okres, kiedy nie istniała i nawet nie była możliwa jasność pojęć co do roli pisarza w społeczeństwie; najsprzeczniejsze wyobrażenia w istocie przeszkadzały sobie i nawzajem się zaciemniały. Stąd gwałtowne wahania stylu młodego Andrzejewskiego, skrajności poetyki, terminowanie pod znakami artystycznymi odległych szkół. Społeczne i liryczne natchnienia Żeromskiego, wizyjność Bernanosa, drastyczny naturalizm Celine'a, wyszukany intelektualizm Nałkowskiej, kunszt narracji wieloznacznej i kodeksa etyczny Conrada, atmosfera Dostojewskiego - spotykały się w książkach debiutanta i nie bardzo dziwiły się sobie... Niosąc nie tylko obraz autora, rozchwiany na wszystkie strony, lecz także obraz czytelnika o podobnie nieostrych, mgławicowych konturach; czytelnika, który nie miał w każdym razie jednolitego poglądu i pewności, jakie winny być zadania pisarza. Czy powinien rozdrapywać rany? Czy poszukiwać Boga? Czy filozofować o bycie i nicości? Czy dbać wyłącznie o elegancję wyrazu?

Można zrozumieć ulgę pisarza, kiedy pewnego dnia dowiedział się, że jego posłannictwem jest służyć Sprawie Partii. Po raz pierwszy i jedyny ma wtedy do czynienia ze zintegrowaną, wyraziście określoną w swym społecznym charakterze publicznością literacką. Nie musi się publiczności domyślać, nie musi jej szukać i po omacku wałęszyć z nią i o nią. Nominalnie jego publicznością jest cały naród; w praktyce natomiast całą tę publiczność stanowi garstka funkcjonariuszy zarządzających narodem. I, rzecz jasna, nie do opinii publicznej, która w szczytkowej nawet postaci już nie istnieje, ale do elity władzy i górnej warstwy "ideologicznie wtajemniczonych" adresuje pisarz swoje wypowiedzi z okresu zauroczenia stalinizmem. Ogólnikowe, deklamacyjne, popisowe, wyrzute z treści wypowiedzi, zwane, jak na ironię, "publicystyką" i "felietonami politycznymi". Ich retoryka pozostała po dzień dzisiejszy najwierniejszym portretem - nie, nie pisarza oczywiście. Pozostała najwierniejszym odbiciem i portretem tamtej publiczności, publiczności z nieprawdziwego zdarzenia.

Kreowany w latach wojny na pisarza-moralistę, po jej zakończeniu i dojściu komunistów do władzy na pisarza-poputozika, po zjeździe szczecińskim literatów na pisarza-kapłana nowego obrządku literackiego, niedługo potem na pisarza-chorążego odwilży, wreszcie po perturbacjach październikowych i późniejszych na pisarza-odstępcę, na pisarza-antywzór, autor "Skaczącego po górach" potrafił za każdym razem schodzić z podwyższenia sceny i umykać sztuczному oświeceniowi; potrafił wyślizgiwać się wrogom i wielbicielom; umiał nie potwierdzać wyobrażeń o sobie. Ileż razy uwalniał się od krępujących, narzuconych ról pisarskich i zdierał przyrośnięte do własnej twarzy papierowe maski. Nie zawsze dopasowywał się do horyzontu czytel-

niczych oczekiwań. O wiele częściej horyzont ten przekraczał, burzył, zmieniał i w rezultacie - poszerzał. Przelamywał stereotypy i nawyki lektury, zmuszał, aby go czytać od nowa i za każdym razem inaczej. Przesuwał akcenty, odnawiał i odwracał znaczenie swego dzieła. W "Prometeuszu" młodość, tylekroć przedtem uwielbioną, przedstawiał w antypatycznej postaci skuchałczego, chwiejnego, zdradliwego Hermesa. Jeśli w "Bramach raju" nie ufał fikcjom idealnym, to przeciwnie w "Teraz na ciebie zagłada": głosił tutaj potrzebę życiową wzniosłej sublimacji, mitu religijnego i epickiego, poezji, marzenia. Podobnych przykładów odmieniania znaczeń znalazłoby się więcej. W ostateczności pozostawała stylizacja, trawestacja, pastisz i parodia: niezawodna tarcza chroniąca przed osobowością współczesnego czytelnika. I znak porozumienia rzadki i potrzebny.

Tomasz Burek

Wiktor Woroszyński

URODZINY JERZEGO

Trzydzieści lat temu, jak niejedną raz przedtem i potem, zaczynałem właśnie nowe życie: zwolniłem się z pracy w pewnym ważnym biurze (w którym cała udreka polegała na tym, że ani ja, ani moi zwierzchnicy nie wiedzieli, co właściwie miałbym tam do roboty) i wyjechałem z żoną do Szczecina. Tu, na zielonym przedmieściu nad jeziorem, mieszkało już kilku moich starszych kolegów; niektórych znałem przedtem i oni właśnie zachęcili mnie do tej przeprowadzki, innych poznałem dopiero teraz. Do jednego zostałem wprowadzony akurat w dniu jego urodzin: kończył czterdzieści lat, wydał mi się więc człowiekiem sędziwym (ja miałem dwadzieścia dwa). A potem - czas ruszył naprzód i posuwał się, niekiedy ociężale, niekiedy zaś mknąc gwałtownymi skokami, i mój przyjaciel stawał się coraz młodszy, aby dziś, kiedy to piszę, a on kończy właśnie lat siedemdziesiąt, wydawał mi się bardziej oddalonym od wieku podezszego niż ja sam i wielu moich kalendarzowych rówieśników.

Mówię - niektórzy już to może odgadli - o Jerzym Andrzejewskim. Wielu krytyków, zajmując się tym pisarzem, posługiwało się kategorią m ł o d o ś c i; być może, sięgną do niej i ci, którzy gruntownymi esejami zechcą uczcić jego siedemdziesięciolecie; krytykom chodzi jednak o zafascynowanie młodością, zapatrzenie w młodość, młodość jako temat i obsesję jego twórczości. Nie jestem krytykiem i chyba nie całkiem to samo mam na myśli, co oni; interesuje mnie literatura, ale jeszcze bardziej - człowiek, który żyje w swojej literaturze i poza jej obrębem; i kiedy myślę o Jerzym Andrzejewskim, myślę o kimś, dla kogo młodość stała się przygodą literacką i życiową, stała się s p o s o b e m n a ż y c i e.

Kiedy zaprzyjaźnił się ze mną i z moim pokoleniem, było trochę tak, jakby chciał się w nas wcielić; patrzeć na świat naszymi oczyma, w naszej skórce, z naszym zapachem i naiwnością przeżywać to, co nam przypadło w udziale (albo cośmy wybrali). Chyba mu się to udało, ale przyгода była karkołomna i zapłacił za nią wysoką cenę. Kiedy zaś dobiegła końca, napisał "Ciemności kryją ziemię" - i w dalekich ciemnościach, półmrokach i blaskach, w zaludniających je fanatykach i kacerzach, w gorliwcach podpalających stos i płonących na stosie rozpoznaliśmy jego i siebie.

Wcześniej nieco przeżył być inną, trochę starszą od naszej młodość - i już wtedy w Szczecinie, za pierwszą wizytą, spojrzęły na mnie z fotografii na jego biurku, jak do dziś spoglądają w Warszawie podczas każdych odwiedzin, jasne oczy Krzysztofa Kamila.

Później przeżywał kolejne młodości - a pomiędzy nimi tę, której reprezentantem był barczysty, agresywny zdobywca świata, dziesięć lat remy samotnie umarły wśród cudzoziemskiej nocy - oraz ledwie wykluwającą się z dziecięctwa, usynowioną młodość kogoś, kto mógłby być synem tamtego...

I za każdą nową młodością - nową falą istnienia - nieuniknienie oddalał się od naszej - a nasza młodość tymczasem oddalała się od nas - i pozostawaliśmy w tyle za jego odnawianiem się i odradzaniem, i gubiliśmy własne tropy - aż któregoś dnia, nie bez ulgi, odnaleźliśmy się wszyscy (poza tymi, których bezpowrotnie zabrakło) w nowej przestrzeni życia, która już nie była młodością.

Dla Jerzego Andrzejewskiego - księgą tej nowej przestrzeni życia stało się "Z dnia na dzień", co tydzień (a czasem z większymi przerwami) ogłaszane w felietonie "Literatury".

Często spotykam się z niezrozumieniem tej księgi, przede wszystkim ze strony tych, którzy sądzą, że felieton - to popis nieustającego dowcipu, wysilenie konceptu tematycznego i stylistycznego, cyrkowa parada point. W tygodnikach naszych roi się od felietonów skonstruowanych wedle tej recepty - i od lat nudzą mnie one śmiertelnie. Ale ich zwolenników nudzi Andrzejewski - zbyt zwyczajny, zbyt codzienny, dzielący się wrażeniami z lektur, koncertów i widowisk telewizyj-

nych, notujący fenomeny pogody, niektóre rozmowy z ludźmi i opinie o nich, a także ogólniejsze myśli o kondycji ludzkiej, o charakterach, o sztuce, o czasie, niekiedy sny, własne i opowiedziane przez domowników, zwierający się też z pomysłów i zamiarów literackich. A więc wydaje im się, że to za mało, nie tylko nie rozbrzmiewają im w uszach "Cztery pory roku" Vivaldiego, kiedy pisarz notuje, że słuchał ich w zachwyceniu, ale brak im słuchu i na całą resztę, nie są zdolni do współuczestnictwa w tej egzystencji, do której fragmentów zostają dopuszczeni, wolą być zabawiani i olśniewani, wolą być publicznością, a nie świadkami i rozmówcami. Niektórzy twierdzą także: to pycha - demonstrować własne mijające dni, ich powszednią zawartość, te lektury właśnie, tę telewizję, te potoczne obserwacje i myśli nie przewrotne, jakby było się kimś nadzwyczajnym, lepszym lub ważniejszym od innych. Ale jest akurat na odwrot: wszystkim, tylko nie pycha jest to poczucie minimalnego dystansu pomiędzy ludźmi, pomiędzy intelektualistą a jego rozmówcą, wrażliwością własną i innych, gotowością odbioru tego, z czym się stykamy, ze strony własnej i innych.

Autor "Z dnia na dzień" bynajmniej się nie wywyższa, lecz w sposób bardzo prostoliniwny ufa, że jego ciekawość świata, a przede wszystkim kultury, a w jej obrębie - kultury umasowionej przez środki przekazu, nie jest obca innym, że jego doświadczenie jest im dostępne, nie dzieli go ostra granica od ich doświadczenia, że kiedy zwierza się bez jakiegokolwiek poży: "Ostatecznie, przy lekturach, które się liczą, prawie zawsze szukam siebie samego, może nie wprost, dosłownie, lecz poprzez porównanie" - to dotyczy również i czytelników, którzy w jego dzienniku literackim szukać powinni nie olśnienia, nie oszołomienia, nie ucieczki od siebie, lecz tak samo jak on - linii własnej egzystencji, znaku własnego przeżycia, powrotu do siebie. I znajdują, nie tylko wtedy, kiedy pisarz toczy swobodną rozmowę o tym, co podobnie jak oni oglądał wczoraj na małym ekranie, albo co czytał ostatnio, a co oni niekoniecznie czytali, chętnie jednak dowiedzą się, co jest w tej książce, albo o tym, kto go odwiedził i co mu zastanawiającego powiedział - nie tylko wtedy zatem, ale również wówczas, kiedy porzuca sferę wydarzeń i doznań w nieuchwytnym, niepewnym, tyleż osobistym, co ogólnym, tam gdzie każde słowo może się wydawać niewystarczające lub nadmierne, i realność wynika z przeczucia, domysłu, intuicji, nie zaś ze złapanego za rękę faktu, nie przestając wszakże być realnością, kiedy na przykład Jerzy Andrzejewski pisze:

"Wydaje się, iż długa zażyłość usypia czujność, która u początków przyjaźni lub miłości zaostre naszą spostrzegawczość. Opuszcza nas niepokój, jaki draży nas zawsze, gdy zdajemy sobie sprawę, iż człowiek, do którego pragnęlibyśmy się zbliżyć, jest nam w istocie nieznany i trudny do odgadnięcia. I nie zdając sobie z tego sprawy, wpadamy w zdradziecką pułapkę. Lecz też i jak żyć ze świadomością, iż wszelkie intymne zbliżenie nie odsuwa, oddala, a cierpliwa miara czasu nie musi odprowadzić do kresu poznania? Jak istnieć z taką bezradnością? Czy można czuć wciąż i zawsze? Szukać aż do końca? Być może musi się pomiędzy ludźmi dziać właśnie tak, jak się dzieje, ponieważ spośród wszystkich pragnień dążenie do harmonii oraz porozumienia wydaje się pragnieniem najbliższym powszechności..."

Pytania, na które brak odpowiedzi, migotliwe i fragmentaryczne prawdy życia wewnętrznego, rozterek i zadumań pisarza - to również realność, którą odsłania on czytelnikom nie na zasadzie wyodrębnienia jakościowego, lecz współistnienia w czasie, miejscu i sytuacji z namacalniejszą realnością zalewającego mieszkanie śniegu z dachu, łamania w kościołach, odwiedzin przyjaciela, czarującej twarzy młodej aktorki.

A co w ogóle jest dzisiaj sztuka, co jest literatura? Wbrew pozorom i częstym domniemaniom, nie żonglowanie konceptem, nie kokieteryjna gra, nie sprawność (jak staniała, jak o nią katwo!), lecz życie w słowie, męka pomieszczenia w nim swojego "z dnia na dzień" - nie! swojego z dnia na dzień bez cudzyłowu, tego z dnia na dzień, w którym jest przecież wszystko, i trwanie, i przemijanie, i ból, i zachwyty, i przyziemność, i wzmiosłość, i szarzyzna powszedniości, i święto, i bezbrzeżny lęk, i nadzieja, i niemożność całkowitego otwarcia się, wypowiedzi kompletnej, i heroiczny wysiłek zerwania przyrodzonych pęt, "dążenie do harmonii oraz porozumienia"...

Jerzy Andrzejewski nie jest jedynym autorem, który w dzienniku literackim

podjął taki wysiłek, przyznał się do takiego dążenia. Ale jest chyba jednym z niewielu, który uczynił to z taką (czyżby znowu młodzieńczą?) determinacją, z taką hojnością, więcej - rozrzutnością, nie troszcząc się o rezerwy "na czarną godzinę", wykładając wszystkie karty, nawet kartę całej pozostałej twórczości, pomysłów powieściowych, fabuł, urojonych i skonstruowanych postaci. Te niezrealizowane w odrębnym i samodzielnym kształcie powieści wpisane zostały w dziennik, początkowo - jakby równoległe do prac nad nimi, jako namysł nad ich ujęciem czy towarzyszący im komentarz, ale dziennik pożarł powieści; i istniejąc intensywnie w nim - nie potrafiły już zaistnieć inaczej; może to wielka strata, a może właśnie szansa, może najważniejszy w tych latach, najautentyczniejszy dla literatury, czyniący ją najbardziej żywą, sposób istnienia?

Z jedną z tych nienapisanych powieści - pt. "Sto lat temu i teraz" - mam i ja coś wspólnego. Któregoś dnia Jerzy wynotował z mojego "Życia Sergiusza Jesienina" historię, opowiedzianą niegdyś przez Stefana Żeremskiego Gorkiemu, a przez tego uznaną za figurę losu Jesieninowskiego: o wiejskim chłopcu, który zakładał w kamiennym labiryncie Krakowa i nie mogąc się zeń wydostać, zrozpaczony i stęskniony za szczerym polem, w środku miasta rzucił się z mostu do Wisły. Poruszony tą anegdotą, Jerzy osnuł na niej powieść o chłopcu z nadbużańskiej bodaj wioski, imieniem Sokrat, i jego przygodach w Warszawie przed stu laty, i ciągnął ją dosyć długo, aż któregoś dnia urwał, nie doprowadzając do tragicznego finału, który przecież był obecny w każdym zdaniu tej powieści, od samego początku. Czy bardzo źle się stało, że ta książka nie została napisana o s o b n o, zamknięta w sobie, odgraniczona od reszty, lecz istnieje jako wątek, w dodatku nie ukończony, nie dopowiedziany, tej rzeczywistości bez granic, którą autor nazywa swoim dziennikiem literackim? "Literatura czysta" została tu poświęcona na rzecz - czego właściwie? Hybrydy, formy skażonej, niższej, lekceważąco pomijanej przez podręczniki teorii literatury? Czy - czegoś większego od literatury: istnienia twórcy, któremu granice i sztywne formy nie są już potrzebne, ba, zawadzają, w jego nieustannym łączeniu się ze wszystkim, co istnieje, w jego życiu dla siebie i życiu dla wszystkiego?

A czy inaczej stanie się z opowieścią, o której rozmyślał Andrzejewski od paru miesięcy wpisuje do dziennika - historią (wymagowaną) ostatniej podróży sędziwego Odyseusza? Czy powstanie ta osobna powieść pod gotowym już tytułem: "Nikt" (z odpowiedzi Odyseusza, gdy go Polifem pyta o imię) - a jeżeli nie, jeżeli i tym razem jedyną utrwaloną postacią pisarskiego zamierzenia będzie to z niego, co wrośnie w tkaninę "Z dnia na dzień", czy ubolewać nad takim trwonieniem się artysty w amorficznym dzienniku, czy też pojąć, że tak być musi, że t o j e s t t a k ż e f o r m ą - mniejsza o to, literatury czy życia?

Niezbyt dawno temu, w jednym z odcinków "Z dnia na dzień" autor zastanawiał się nad zmiennością swoich upodobań literackich: "czy oznacza to, że wciąż jestes z y w y?" - i w tym samym odcinku, innego dnia, opisywał kontuzjonowanego młodego zawodnika, który "musiał zejść z boiska i siedząc na ławce rezerwowych z pochyloną głową, twarz zasłaniając obu bardzo ciężkimi dłońmi - płakał. Serce się ścisnęło na widok nieszczęścia tego chłopca. Poczuję się bardzo stary, lecz trochę młody jeszcze też". I jeszcze innego dnia, również w tym samym odcinku, w związku z odwiedzinami dwudziestolatka, "promiennego i niecierpliwego", w drodze autostopem z Gdyni do Lublina na mecz Wisła-Arka: "Mój Boże, mój Boże... Żeby we mnie choć jedno wzniesienie podobnej siły żyło! Żeby tak pragnał b y ć!".

Kochany, kapryśny, ale zawsze sprzymierzony z młodością Jerzy, nawet nie wiesz, jak bardzo pragniesz być (choć czasami - to też w Tobie dostrzegam - pragniesz n i e b y ć i mściwie unicestwiasz sam siebie), jak bardzo, jak intensywnie j e s t e ś !

Bądź jeszcze długo - i pozostaj młody, jak dzisiaj.

Wiktor Woroszyński

Czerwiec 1979

Jacek Salij OP

JAK ODDZIELIĆ BOSKIE OD CESARSKIEGO?

Dopiero dzisiaj (24 września 79) przeczytałem artykuł prof. Kołakowskiego, napisany z okazji wyboru Jana Pawła II (Kultura 1978 nr 12). Zastanawiając się nad tym, dlaczego artykuł ten wzbudził we mnie głęboką akceptację, a zarazem głęboki sprzeciw, doszedłem do wniosku, że nie rozróżniono tam dokładnie sfery tego, co boskie, od tego, co cesarskie - i właśnie możliwość odczytania go z dwóch różnych perspektyw czyni go tak amhiwalentnym. Z perspektywy tego, co cesarskie, jest to artykuł głęboko - jak sądzę - słuszny, natomiast z perspektywy tego, co boskie, nie może nie budzić najżywszych oporów.

Zasadnicza teza Kołakowskiego jest następująca. Jest wspólnym błędem integrystów i progresistów katolickich, że dopatrują się głównego błędu komunizmu w jego ateizmie, gdy tym, co naprawdę jest groźne w tym systemie, jest jego totalitaryzm. Zdanie to ma wszystkie cechy tezy zdroworozsądkowej, gdy zdanie przeciwne - reprezentowane przez pogodzonych przypadkowo integrystów i progresistów - ma wszystkie cechy tezy doktrynerskiej. Bo i rzeczywiście: "Kościół nie cierpi prześladowań ani ograniczeń w demokratycznych ustrojach rządzonych przez ateistów lub ludzi religijnie obojętnych. Z drugiej strony, jeśli dopuścimy fantazyjne przypuszczenie, że któregoś dnia narada partii komunistycznych ogłosi, że właśnie istnienie Boga zostało naukowo udowodnione, przy czym, zbyteczne dodawać, Bóg wyraża swoją nieomylną wolę ustami Biura Politycznego, łatwo przewidzieć, że ani opresywny i antykulturalny charakter komunizmu, ani sytuacja religii i Kościoła na opanowanych przez nich obszarach nie uległyby przez to żadnej zmianie" (s. 8).

Otóż w wywodzie powyższym wysoce niejednoznaczny termin ateizm został ujednoznaczony w taki sposób, że odcięto możliwość rozumienia go w innych - możliwych przecież i rzeczywiście używanych - znaczeniach. Mianowicie ateizm, w ujęciu wspomnianego artykułu, to pogląd, że Boga nie ma; teizm zaś byłby czymś przeciwnym, poglądem, że Bóg jest. I rzeczywiście, z punktu widzenia praktyki życiowej wydaje się raczej sprawą nieistotną, czy prawa ludzkie łamane są przez ludzi wierzących w Boga czy niewierzących; czymś istotnym wydaje się to, że prawa ludzkie są po prostu łamane.

Nie negując poprawności i przydatności powyższej definicji ateizmu, pozwolę sobie zauważyć, że ateizm można określić inaczej. Teizm i ateizm można określać nie tylko w zależności od odpowiedzi na pytanie, czy Bóg istnieje (które to zresztą pytanie ma w rozumieniu niektórych pytających tę samą strukturę, co pytanie o istnienie cywilizacji pozaziemskich, a wówczas w ogóle nie jest to pytanie o Boga). Jeśli wierzę w Boga jako w Tego, który nieustannie obdarza wszechświat istnieniem i jest źródłem wszelkiego dobra, jeśli wierzę w Niego jako we Wszechobecnego, "w którym żyjemy, poruszamy się i jesteśmy" (Dz 17,28) - teizm i ateizm mogą określać zupełnie inaczej, w zależności od realnego stosunku do Tego, o którym wierzę, że istnieje nieskończenie prawdziwiej niż ja sam. Ateizm oznacza wówczas mniej więcej tę postawę, którą dawniej - już u starożytnych Hebrajczyków i tradycyjnie w chrześcijaństwie - nazywano bezbożnictwem: uznanie (niekoniecznie deklarowane) za wartość najwyższą i przedmiot kultu czegoś, co na to nie zasługuje, i w konsekwencji niszczenie duchowych i moralnych wymiarów świata, w którym żyjemy, posługiwanie się kłamstwem, przemocą i tp. W tym sensie bezbożnikiem może być człowiek deklarujący swoją wiarę w Boga czy nawet motywujący wiarą swoje bezbożne postępowanie ("Męda was zabijać, w mniemaniu, że oddają cześć Bogu" - Jan 16,2), bogobojnym zaś może okazać się człowiek, który nie zna Go jeszcze z imienia.

Ujęcie ateizmu, jakie znajduję w artykule prof. Kołakowskiego, nie jest - wbrew pozorom - ujęciem neutralnym. Wynika bowiem z niego pośrednio, jakby było czymś w gruncie rzeczy mało ważnym, czy ludzie wierzą w Boga, czy nie; istotne byłoby tylko to, żeby postępowano uczciwie i żeby struktury społeczne były oparte na prawdzie i słuszności... Gdyby więc nie ograniczyć tego ujęcia do ściśle określonej płaszczyzny, o czym za chwilę, kryłoby się za nim założenie, że Boga de facto nie ma. Albowiem jeśli Bóg istnieje rzeczywiście, wiara lub niewiara w Niego nie jest i nie może być czymś mało istotnym. Jeśli zaś niekiedy świadomość wiary w Boga jest wypaczona (wierzący bezbożnicy) lub mało wyraźna (niewierzący, którzy postępują zgodnie z wszczepionym w nas przez Boga prawem natury), wynika stąd tylko tyle, że należy ją prostować lub wyrażniać, nie wynika zaś, żeby wiara lub niewiara były wyborami czysto ideologicznymi, mającymi się nijak do naszych postaw życiowych. Takie bowiem konsekwencje wypływają - jak mi się wydaje - w sposób oczywisty z mojej wiary, że Bóg istnieje rzeczywiście, a nie tylko w moich poglądach i że jest On pierwszym źródłem dobra, jakie czynimy (zło zaś jest - jak wierzę - skutkiem naszego, i nie tylko naszego, odejścia od Boga).

Przedstawione tu przez mnie ujęcie ateizmu (bezbożnictwa) też nie jest - rzecz jasna - ujęciem neutralnym, jest ono sformułowane z pozycji wiary w Boga. Nie chcę (przynajmniej w tej wypowiedzi) nikogo przekonywać o słuszności tego ujęcia. Stwierdzam jedynie, że w tej materii nie ma ujęć neutralnych. Sam deklaruję szacunek dla tego poglądu na temat ateizmu, który oparty jest na założeniu o nieistnieniu Boga. Nie jest to deklaracja gołosłowna. Wystarczającą gwarancją jej rzetelności wydaje się zasygnalizowana wyżej wielowarstwowość wiary i wynikający z niej brak koniecznego związku między wiarą a jej ujawnianiem się; toteż nie sądzę, żeby współczesne chrześcijaństwo mogło ulec pokusie rasizmu teologicznego i zaczęło dzielić ludzi na dobrych i na złych, według klucza: wierzący - niewierzący. Złożywszy powyższą deklarację, spodziewam się zarazem, że również mojemu pogładowi zostanie przyznane prawo obywatelstwa wśród poglądów zasługujących na szacunek.

Zdaję sobie sprawę, jak niepopularny jest mój pogląd na temat ateizmu, jak opatrzeć go etykietą obskurantyzmu i nietolerancji. Zresztą głównie z tego powodu zdecydowałem się poświęcić cały dzień na sformułowanie niniejszej wypowiedzi. Oto staję wobec konkretnego faktu: Mój niewierzący znajomy czuje się zagrożony usłyszonym w kościele poglądem, że odejście od Boga rodzi w człowieku moralną dezorientację; twierdzi, że chrześcijanie nie mają prawa tak mówić, gdyż jest to swoiste piętnowanie ludzi niewierzących. Zdaniem mojego znajomego, możemy co najwyżej powiedzieć, że jeśli katolik nie postępuje według zasad swojej wiary, oddala się w ten sposób od Boga i ulega moralnej dezorientacji.

Staram się życzliwie wniknąć w powyższy tok rozumowania i stwierdzam, że mój teocentryzm - jeśli zapomnę o tak elementarnych zasadach ewangelicznych, jak "nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni", albo że wszyscy przecież jesteśmy grzesznikami - rzeczywiście może rodzić faryzejskie poczucie, że jest się lepszym od innych, a stąd już krótka droga do nietolerancji. Ale postawa mojego znajomego jest już teraz skażona nietolerancją: przecież w gruncie rzeczy zakazuje mi on wierzyć, że Bóg stworzył wszystkich ludzi, również niewierzących; pozwala mi wierzyć jedynie w to, że Bóg stworzył ludzi wierzących. Krótko mówiąc, wspomniany znajomy zakazuje mi wierzyć w Boga realnego, pozwala mi jedynie mieć pogląd, że Bóg istnieje. Jeśli nie posłucham jego rozkazu, zasłużę sobie na epitet obskuranta i nietoleranta. Jestem więc obskurantem, bo staram się naprawdę wierzyć w Boga.

Mimowolnie rodzi się w człowieku posępne pytanie: Czy demon nietolerancji już nigdy nie opuści Europy? Czy inkwizycji naprawdę nie udało się zastąpić czym innym niż zasadą "cuius regio, eius religio", zasadą, która całkiem otwarcie była wprowadzana w życie przy pomocy licznych represji, kary śmierci nie wyłączając? Czy z kolei tej zasady nie da się zastąpić czym innym, tylko moralnym przymusem indyferentyzmu w zakresie problemów ostatecznych?

Wyjaśnwszy, w jakiej interpretacji teza prof. Kołakowskiego bardzo by mi się nie podobała, spróbuję pokazać, w jakiej z kolei interpretacji teza ta - i złączona z nią definicja ateizmu - bardzo mi odpowiada. Mianowicie wydaje mi się słuszną w sferze tego, co cesarskie. W moim rozumieniu, sfera tego, co cesarskie,

to sfera prawa i w ogóle tego wszystkiego, co jest w stosunkach człowieka z człowiekiem i w stosunkach osoby ludzkiej ze społeczeństwem zewnętrznym. Rządzi się ona - powinna się rządzić - zasadą moralną, a więc poszanowaniem ludzkiej godności, prawdy, sprawiedliwości i t.p. Zarazem musi się ona zatrzymać przed sanktuarium ludzkiego sumienia. Tam żaden cesarz nie ma wstępu. W obliczu prawa, wierzący i niewierzący, wierzący tak i wierzący inaczej, muszą mieć te same uprawnienia i obowiązki. Cesarz bowiem (nie tylko ten, który rządzi, ale również jego opozycjonista, który obmyśla ład bardziej sprawiedliwy, również moloch modnej opinii, dysponujący środkami przymusu psychologicznego, np. szyderstwem) nie ma żadnych uprawnień do rozstrzygnięcia o mojej dobrej czy złej woli, o prawdzie czy nieprawdzie moich poglądów i t.p. To są sprawy mojego sumienia, a tam cesarzowi wara. Dla cesarza mój teizm czy mój ateizm powinien być dokładnie tym, co sądzi na ten temat prof. Koźlakowski: moim poglądem, że Bóg istnieje albo że nie istnieje.

Ale czyżby moje sumienie było tak dalece moją sprawą prywatną, że żaden człowiek nie ma tam wstępu? Otóż nie. Do bram tego sanktuarium pukają rozmaici prorocy - a jeśli nie naruszają ogólnie przyjętych zasad współżycia, mają prawo czynić to wszyscy, również prorocy fałszywi - i niektórych z nich rzeczywiście wpuszczam do swojego sanktuarium. Prorocy mają oczywiście inne uprawnienia niż cesarz: mogą mi wypomnieć, że marnuję życie (cesarz może mnie jedynie ukarać za przestępstwo), że moje sanktuarium jest sprofanowane i t.p.; mogą mówić o Bogu, że jest Korzeniem wszelkiego dobra i że straszną rzeczą jest stracić łączność z tym Korzeniem, mogą mi serwować jakąś ideologię ateistyczną i t.p.

Otóż zakazywać prorokom tej ich działalności - jeśli powtarzam, jest ona zgodna z powszechnie przyjętymi zasadami współżycia - jest jawnym wtrącaniem się cesarza w sferę tego, co boskie. I nie jest rzeczą ważną, czy cesarz jest przedstawicielem władzy, czy może jego pracą jest kształtowanie opinii publicznej, czy też wyraża on poglądy całkiem prywatne. Ważne jest to, że próbuje stosować przemoc na terenie, gdzie przemocy nie można używać nigdy.

Jeśli więc moja wiara - a więc coś, co płynie z samej głębi mojego sumienia - odpowiada mi, że totalitaryzm dlatego jest totalitaryzmem, bo jest bezbożny, mam nadzieję, że przynajmniej niektórzy spośród tych, którzy się z moim poglądem nie zgadzają, nie wezmą mnie z tego powodu za głupca ani za inkwizytora, który urodził się parę wieków za późno.

Bardzo przepraszam prof. Koźlakowskiego, że pogląd ten wypowiedziałem właśnie w związku z jego artykułem. Jestem jak najdalej od podejrzenia go o tendencje, które tutaj krytykuje. Wydawało mi się jednak, że jego artykuł może - zapewne wbrew zamierzeniom Autora - utrwalac tę formę mieszania się cesarskiego do tego, co boskie, która dzisiaj nieestety jest dość popularna.

Jacek Salij OP

Piotr Wierzbicki

ROZMOWY Z KOTKIEM

Kocie i ludzkie ruchy

Nasz kotek jest - odkąd mieszka u nas, a nie w piwnicy, a więc prawie od urodzenia - zwierzęciem pokojowym: wygrzewa się i wyleguje całymi dniami, je i pi-je ze apodeczków, jak poluje, to na nas i w dodatku na niby. Ale my wiemy, że tak być nie powinno: że przyjdzie czas, kiedy naszego kotka będziemy musieli, gdyby na to wyraził ochotę, wypuścić, że przyjdzie taki okres, iż on od swoich poduszek i spodeczków będzie wolał wolność choćby na śniegu, na deszczu i o głodzie. I już postanowiliśmy: jak nasz kotek będzie chciał nas opuścić na kilka dni albo nawet na dłużej, to my mu na to pozwolimy, choćby miał już do nas nie wrócić albo wręcz zginać gdzieś pod kołami samochodu lub w jakiejś zatrzaśniętej za nim pustej piwnicy. Otworzymy drzwi, zamknjemy i będziemy czekać, aż wróci.

Ale my wiemy jeszcze coś więcej: że nasz kotek, tak zupełnie pokojowy, może sobie potem na wolności nie poradzić, że nie znając świata poza naszym mieszkaniem, może się okazać od innych kotów gorszy. A ponieważ czulibyśmy się za to osobiście odpowiedzialni, postanowiliśmy temu zapobiec. Więc w jakieś lipcowe popołudnie wsadziliśmy naszego kotka do torby i poszliśmy z nim na spacer. Szliśmy ścieżką przez pola i łąki, podczas gdy on, siedząc w torbie, rozglądał się nokoło, po czym znalazłszy miejsce w wysokiej trawie obok kępy drzew, usiedliśmy i postawiliśmy torbę na ziemi.

Przez pierwszych kilkanaście minut kotek chodził tylko po nas lub siedział między nami. Potem zaczął buszować w trawie w promieniu dwóch metrów od nas. Po półgodzinie był już w stanie, przywołany, oddalić się od miejsca postoju nawet o pięć metrów. Po godzinie kotek zniknął w zaroślach i trzeba go tam było długo szukać. Nadchodził wieczór. Pora była wracać.

Ale wtedy właśnie przypomnieliśmy sobie, że przecież o czymś zapomnieliśmy: drzewo. Cóż wart jest kot, który nie umie chodzić po drzewie. Poszedłem z kotkiem w zarośla i wsadziłem go w rozwidlenia gałęzi młodej olchy. Kotek przez kilka sekund namyślał się, po czym zaczął wchodzić w górę i zatrzymał się na następnym rozwidleniu. A więc sukces. - Kotek, kotek! - zawołał na niego, bo pora już wyraźnie skłaniała do powrotu. Kotek poruszył się niespokojnie raz i drugi, wyciągnął w dół łapę, cofnął i wtedy stwierdziliśmy, że nasz kotek się boi. - Kotek, kotek! - zaczęliśmy mu dodawać otuchy. I zamarliśmy: kotek, wykonawszy jeszcze kilka ruchów niezdecydowanych, zaczął wchodzić w górę jeszcze wyżej, by zatrzymać się na następnym rozwidleniu. - Kotek, kotek! - nasze coraz bardziej hałaśliwe nawoływania spowodowały, że kotek wykonał odważną próbę zejścia, poślizgnął się, zawisnął na przednich łapkach, wgramolił się jakoś i poszedł następny kawałek w górę. Zrobiło się ciemno. Nasze nawoływania zamieniły się wręcz w żebranie. A czym dłużej trwały, tym bardziej kotek bał się zejść, tym wyżej wchodził.

Trzy pierwsze rozmowy zdjęte zostały przez cenzurę w "Literaturze", dwie następne w "Tygodniku Powszechnym", ostatnia napisana została specjalnie dla "Zapisu". (Przypis autora).

Co się stało? Przecież unikanie trudnych zejść przez ucieczkę coraz wyżej, jednych tarapatów po to, aby wpaść w drugie, lawirowanie, by nie spojrzeć prawdzie w oczy, uciekanie z wykrętu w wykręt - to escha nie kocia, lecz ludzka, swojska. Jak tak dalej pójdzie... Ale nasz kotek, usadowiony na czubku drzewa, mówił już do nas właśnie: o swoim sukcesie.

Gdy zdjęliśmy kotka z gałęzi, była już noc.

Kotek i pani

Nasz kotek, który czytuje gazety (jego ulubieni autorzy: Mysiołek, Liszeczka, Sempulik, Łęziński oraz Łoś) i którego najbardziej interesuje problematyka ekonomiczna, przyniósł mi "Politykę" z artykułem Jerzego Urbana pt. "SzeF" i zapytał mnie, czy zgadzam się z opinią tego autora, iż dyrektorzy polskich przedsiębiorstw wykazują pozorne i powierzchowne upolitycznienie.

"Żeby szef potężnego nawet przedsiębiorstwa podjął program produkcyjny zgodny z celami i interesami społecznymi, trzeba wpieryw przemówić doń językiem gry gospodarczej, nowymi wskaźnikami, miernikami, dyrektywami. Jest to świadectwo pewnego wyobcowania sfery produkcji od dążeń i potrzeb ludzi, dla których przemysł działa. A także pewnej pozorności i powierzchowności upolitycznienia menadżerów".

- Kotku - zirytowałem się - czyżbyś nie wiedział, że od tego, kto jest upolityczniony powierzchownie, a kto dogłębnie, to nie jestem ja? Nie mógłbyś z tą sprawą na przykład do...

Kotek jednak, którego nie interesują sprawy personalne, przerwał mi i poprosił, żebym mu w takim razie wyjaśnił, co to są te "wskaźniki", "mierniki", "dyrektywy", których niedobrzy dyrektorzy tak się wbrew interesom społecznym trzymają.

- Szkoda, kotku - odpowiedziałem - że nie jestem specjalistą od ekonomii, na przykład redaktorem Liszeczka, on by ci to wszystko lepiej wytłumaczył. Ja ci mogę powiedzieć tylko to, co czytywałem na ten temat w gazetach, na przykład w "Polityce". Otóż "wskaźniki", "mierniki" i "dyrektywy", to są kryteria, według których przedsiębiorstwa i ich dyrekcje oceniane są i rozliczane przez jednostki nadrzędne. Może być tak, że zakład wypada tym lepiej, im jego produkty są lżejsze. Może być tak, że aby zyskać względy jednostki nadrzędnej, trzeba produkować produkty drogie. Może być tak, że aby zyskać względy jednostki nadrzędnej, trzeba produkować produkty tanie.

Kotek, który jest bardzo inteligentny i już wie, że ludzie mają czasem na myśli co innego, niż mówią, upewnił się:

- Mówisz tak oczywiście tylko przykładowo, nagradzanie dyrektora za to, że produkuje rzeczy drogie i ciężkie, może się zdarzyć te-o-re-tycz-nie (dobrze wymówiłem?), ale przecież nie w praktyce...

- Niestety, kotku, może się zdarzyć również w praktyce. Patrz, tu w tej samej "Polityce", obok artykułu Jerzego Urbana, jest rozmowa z projektantką mody, panią Barbarą Hoff. A z tej rozmowy możesz się dowiedzieć, że od projektantów oraz producentów wymaga się, aby dawali odzież z jak najdroższych tkanin.

Kotek wybałuszył na mnie ślepią, a ja pojrzałem na niego ze współczuciem:

- Musisz więc, kotku, jeszcze się dużo, dużo uczyć. Nie wiedziałeś, że wskaźniki mogą być takie. A jak widzisz, mogą.

Kotek spojrział na mnie z podziwem i zapytał, czy mógłbym mu wobec tego wytłumaczyć, o co, ostatecznie, Jerzy Urban ma pretensje do dyrektorów.

- Oj jaśnię ci to - zgodziłem się na przykładzie. Jak będziesz większy, pójdziesz być może do szkoły, i tam zdarzyć ci się może, że pani od polskiego będzie ci stawiała tym lepsze stopnie, im dłuższe będą twoje wypracowania (niezależnie od ich poziomu). Otóż ten autor uważa, że ty wtedy powinienes machnąć ręką (przepraszam: ogonem) na panią i pisać wypracowania wszystko jedno długie czy krótkie, byle dobre. Rozumiesz?

- Ale ja wtedy dostanę dwójkę.

- Dostaniesz, ale jak widzisz, Jerzy Urban jest wobec ciebie bardzo wymagający. On chce, żebyś ty był bohaterem.

- A to dlaczego on nie jest tak samo wymagający wobec pani? Przecież mógłby raczej skrytykować panią, że miewa takie dziwne wymagania. Dlaczego, powiedz mi, Jerzy Urban nie skrytykuje raczej pani?

- Nie wiem, kotku, to już pytanie nie dla mnie, lecz dla niego - odpowiedziałem. - A teraz, żeby zmienić temat, mam dla ciebie propozycję. W związku z sesją naukową poświęconą Profesorowi, który był bardzo zapracowany i nie miał czasu na prowadzenie badań, ogłoszono konkurs na znalezienie choćby jednej publikacji naukowej tego humanisty. Czy nie wzięłbyś udziału w poszukiwaniach?

Kotek wyskoczył przez nie domknięte okno i zniknął w krzakach otaczających dom.

Kotek poznaje zagadnienia życia i śmierci

W tygodniku "ITD" fotoreportaż Anny Musiałówny pod tytułem "Najgorszy środek antykoncepcyjny". Najwspanialszy fotoreportaż, jaki się ukazał w Polsce w czasie ostatnich kilku, a być może kilkunastu, a być może nawet kilkadziesiąt lat. Pierwsze zdjęcie przedstawia scenę w gabinecie zabiegowym: na stole operacyjnym kobieta, a właściwie uniesione w górę rozchylone w literę V kolana kobiety, z lewej strony pielęgniarka, z tyłu lekarz, już czymś bardzo zajęty, na podłodze buty, na wieszaku jakaś część garderoby. Obok twarz tego samego lekarza już po zabiegu, a właściwie nie twarz, tylko sam smutek tej twarzy, tępe niewidzące spojrzenie skierowane w dół i w bok. Dalej pacjentka przykryta czymś na łóżku, pielęgniarka coś do niej zagaduje, lekarz coś wypisuje przy stole, w miednicy zakrwawiona szmata i coś ciemnego w środku. U dołu szczytce chirurgiczne a obok mała figurka o kształtach tak dobrze znanych, jeszcze bez palców u rąk, ale już z głową, szyją, tułowiem, górnymi i dolnymi kończynami, rozłożona krzyżem, zmasakrowana.

Mogę patrzeć na te zdjęcia tylko przez chwilę, więc zamykam pismo. Ale potem znowu chcę się upewnić, jak to wygląda, zaglądam jeszcze raz, zamykam, znowu zerkan, niemal chyłkiem, ukradkiem. Szelest kartek zwabia mojego kotka. Jest już obok mnie na tapczanie.

- Pokaż.

Przez chwilę wydaje mi się, że powinienem to ukryć przed kotkiem za wszelką cenę, ale potem przypominam sobie, co sam myślę o tych, którzy ukrywają jakieś wiadomości przede mną, i podejmuję decyzję.

- Proszę, chcesz, to patrz.

Otwieram jeszcze raz pismo, wstaję z tapczanu, idę na chwilę do kuchni, wracam. Kotek patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

- O czym są te fotografie?

- O śmierci, kotku.

- Śmierci?

- O śmierci, nie mówiła ci nic na ten temat mama w piwnicy?

- A, przypominam sobie, jak ktoś bije kijem albo kopie, prawda? Trzeba uciekać.

- Tak, kotku, bicie, a w szczególności kopanie, teraz w modzie, ale tu idzie o trochę co innego.

- Właśnie widzę, ten pan nikogo nie bije, on jest dobry.

- Jakby ci to, kotku, wytłumaczyć. Zwierzęta, takie kotki, myszy, psy, walczą ze sobą, a nawet zabijają się czasem. W walce giną zwierzęta bardzo stare, w sile wieku i bardzo młode. Każde, które się urodziło, może zostać zabite. Człowiekowi już to, kotku, nie wystarcza. Człowiek nauczył się likwidować również to, co się jeszcze nie urodziło.

- Na złość?

- Nie na złość, kotku, tylko po to, by rozwiązać nabrzmiały konflikt interpersonalny, zapewnić porozumienie partnerskie, przeciąć splątany węzeł, zapobiec kłopotom mieszkaniowym i bytowym, scementować związek, nie dopuścić do awantury, skończyć pracę doktorską, uniknąć życiowego kraciaka, nie łamać życia sobie i innym, uniezależnić się od złego człowieka, nie narażać uczucia na zbyt ciężką próbę, podkreślić poczucie odpowiedzialności.

- Moja mama nie podkreśliła w stosunku do mnie poczucia odpowiedzialności?

- Tak, kotku, dlatego też warunki, w których się wychowywałeś w piwnicy, okazały się niewystarczające i gdyby nie my...

Zamknąłem pismo z fotoreportażem, a kotek, który coś właśnie usłyszał, zniechęcony na chwilę, po czym zeskokczył z tapczanu i rozpoczął swoje kolejne nieskuteczne polowania na muchę.

Kotek pojmuje zasadę koniecznej ostrożności

Nasz kotek, piwniczny z urodzenia, czarno-biały, pod względem wyglądu zewnętrznego i interesowny, jeśli idzie o postawę otyczno-moralną, literaturą piękną się raczej nie interesuje, ale jest za to dość pilnym czytelnikiem społeczno-kulturalnych tygodników. Zainteresowany z początku jedynie gazetą w stanie zwinięcia w kulkę, rozciągnął z wolna uwagę najpierw na papier gazetowy w stanie rozwinięcia przedkulkowego, w końcu zaś zaczęła go wciągać również gazeta jako taka, z jej treścią oraz formą. Stąd wzięło się kilka felietonów o naszym kotku, wydrukowanych przed paru laty, jeszcze w "Literaturze". Wywołały one poważne zastrzeżenia jednego z członków kolegium tego tygodnika, zastrzeżenia, powiedzmy sobie od razu, uzasadnione. Nasz kotek posiada bowiem pewną przykrą wadę. Czytując wydrukowane w owych tygodnikach eseje, felietony oraz szkice literackie, odnosi się do nich bez należytego im ciepła i w dodatku zadaje podchwytliwe pytania, mające na celu podważenie niektórych zawartych tam cennych sformułowań. Staram się reagować na przejawy tej postawy ostro, ukazywać za każdym razem kotkowi drugą stronę medalu, jak dobre intencje piszących, ich trudne niejednokrotnie dzieciństwo, kotek jednak jest twardy, bezwzględny i w efekcie w owych felietonach zdających sprawę z moich rozmów z kotkiem na temat wspólnych lektur głos kotka rozbrzmiewał zazwyczaj silniej, bardziej przekonywająco niż mój. Toteż gdy wczoraj wieczorem kotek przyniósł mi w zębach płachtę "Argumentów" z wydrukowanym tam wielkim artykułem Zenona Skuzy o środowiskach literackich, pierwszą rzeczą, jaką pomyślałem, było tym razem trzymać kotka krótko, żeby ten przynajmniej felieton nie zmienił się w brutalną napaść.

- Czytałeś? - spytał kotek.

- Czytałem - odpowiedziałem. - To bardzo poważny tekst.

- To jest tekst głupi - stwierdził bezczelnie kotek. - A dlaczego głupi?

Dlatego, że go nie rozumiem.

- Kochany kotku - zaśmiałem się serdecznie, klepiąc zwierzaka po futerku - musisz się przyzwyczaić, że niektóre teksty przekraczają zdolności percepcyjne twego intelektu i zapewne w tym właśnie przypadku...

- Głupi, głupi, bo sam zawsze mówiłeś, że jak w tekście nie ma przykładów, ale tylko koncepcje...

- A u Skuzy nie ma przykładów?

- Ani jednego, a skąd ja mam wiedzieć, co to są środowiska literackie, jak on w ogóle pisze bez nazwisk?

- Pokaż - powiedziałem. Sięgnąłem ręką po gazetę i przejrzałem artykuł jeszcze raz.

- Mylisz się, kotku, są nazwiska, o proszę: Mickiewicz, Słowacki, Żeromski, Dąbrowska.

- Głupi, głupi - upierał się kotek coraz bezczelniej - bo on podaje przykłady z historii, a tekst jest o środowiskach literackich teraźniejszych.

- O teraźniejszych, mówisz - zasepiłem się i zrów sięgnąłem po gazetę - a przykłady, mówisz, z historii...

- Właśnie. W książeczce o kotkach powinny być obrazki czyje? Powiedz.

- No, kotków.

- A jakby ktoś umieścił tam same obrazki piesków, to by było głupie, prawda? Masz swojego Pana Skuzę.

- Przyznaję - powiedziałem po zastanowieniu - ten artykuł posiada niedocięgnięcia. Ale to jeszcze, kotku, wcale nie upoważnia nas do lekkomyślnych uogólnień. Pan Skuza mógł tak czynić na przykład przez ostrożność.

- Ostrożność... Jak trzeba się rozglądać, czy nie łączy się Reks - głośno zaczął rozważać sens usłyszanego słowa kotek.

- Prościej, kotku: jak w artykule o Panu Mroźku daliśmy tylko przykłady z Pana Prusa a w artykule o Panu Żeromskim same przykłady z Pana Staffa, to wtedy nikt się do nas, no wiesz, nie...

- Nie przyczepi? - podchwycił domyślnie kotek. - To zupełnie tak samo - dodał po chwili - jak ty mnie pytasz, co wyjadałem z półmiska, a ja ci odpowiadam, kogo dziś spotkałem w piwnicy?

- Mniej więcej, kotku.

- To artykuł Pana Skuzy wcale nie jest głupi!

- I ja tak sądzę, kotku - podsumowałem tę rozmowę, zadowolony, że tym razem udało mi się być w niej górą, po czym zrobiłem kulkę z płachty "Argumentów", rzuciłem na podłogę, a kotek chwycił ją zębami i złodziejskim truchtem, z łebkiem lekko pochylonym do dołu, zaniósł ją w najciemniejszy kąt pokoju.

Kotek wzbogaca słownictwo

Trudności w lekturze, jakie odczuwa niekiedy nasz kotek, wynikają nie z niedostatków intelektu, lecz z braków w słownictwie. Nasz kotek nie rozumie niektórych polskich wyrazów. Na szczęście dla siebie posiada ów zwierzak aż dwie cechy, które przyczyniają się do ograniczenia ujemnych skutków tego braku. Po pierwsze wyrobił w sobie nawyk zadawania - w związku ze wszystkim, czego nie pojmuje dokładnie - pytań, podchwytliwych nawet niekiedy. Po drugie zwykł niektóre wyrazy zasłyszane a nie zrozumiane do końca powtarzać sobie w kółko półgłosem, niby to zgłębiając ich treść, niby ćwicząc prawidłową ich wymowę, a niemal z reguły nie-miłosiernie je przekręcając.

Gdy więc w jakies piętnaście minut po podaniu kotkowi porannej porcji wędzonej makreli zastałem go na parapecie wpatrzonemu w muchę tłukącą się o szybę w górnej partii okna i powtarzającego od niechcienia "barterski", "bratterski", "batterski", wiedziałem od razu, że będę miał z kotkiem rozmowę, i nie czekając na jego inicjatywę, rozpocząłem sam:

- Braterski, kotku.

- Barterski, oj, powiedz, co to jest?

- B r a t e r s k i - powtórzyłem dobitnie.

- Bra... ar... bar... - kotek zgubił się kompletnie.

- B r a t e r s k i - powtórzyłem dobitnie jeszcze raz - to znaczy... - Zastanawiałem się przez chwilę, jak by wymienić wyraz najbliższy pod względem znaczenia. - Powiedzmy, b e z i n t e r e s o w n y .

Wymówiłem to słowo i pożałowałem. Tu Czytelnikowi należy się parę słów wyjaśnienia. Interesowność to jest pojęcie w życiu duchowym naszego kotka wprost

kluczowe. Kto nie widział naszego kotka, jak ociera się o moją nogę na sekundę przed wyjęciem sobotka z lodówki i jak po pięciu minutach, nazarty, wybiega z kuchni obojętnym truchcikiem abnegata, w ogóle mnie nie zauważając, bez najmniejszego przejawu wdzięczności czy nawet zwykłego zadowolenia, ten zrozumie, co ja zrobiłem o interesowność bezmyślnie zatracając. Dotknąłem rany w naszych stosunkach z kotkiem najboleśniejszej i zarazem przedmiotu nieporozumień między nami a zwierzakiem największych. Nasz kotek, krótko mówiąc, dobrze wie, co to znaczy "bezinteresowny", ale wie po swojemu:

- Bezinteresowny to znaczy, jak ja zjem rybkę płótkę i nie mam w tym żadnego specjalnego interesu?

Machnąłem ręką w geście zniechęcenia, po czym podbiegłem do kotka, chwyciłem go za skórę na karku, podniosłem do góry i zacząłem potrząsać ze złością:

- Kiedy ty, durniu, zrozumiesz, że zjawisk, które występują w społeczności ludzkiej, nie można sprowadzać do ordynarnego, uprawianego przez ciebie i twoich krewnych zajadania!

Puściłem kotka, a on ze smutkiem przyznał mi rację:

- Wiem nawet może lepiej od ciebie. Czasem leci tylko ślinka, a na talerzyku nic nie ma.

- Tak, kotku - zgodziłem się, pamiętając, że nasz kotek, zanim trafił do nas, głodował parę tygodni w piwnicy - ale widzisz, bezinteresowność polega na czymś innym: jak ty komuś udzielisz pomocy, nie zważając na interes.

- A jak pomogłem tantemu panu zjeść parówkę, to ty na mnie krzychałeś! - ze złością napadł na mnie kotek.

Zrozumiałem, że muszę się czym prędzej z niefortunnej bezinteresowności wycofać, i przypomniałem sobie drugi synonim:

- Spontaniczny.

Kotek zrobił pytającą minę.

- Braterski - przypomniałem kotkowi urwany wątek rozmowy - to jest coś jak spontaniczny.

- Spontaniczny - powtórzył kotek prawidłowo.

- Spontaniczny - potwierdziłem - czyli kotku, jak robi ^{my} coś z serca, nie czekając, aż nas poproszą.

- Ja też temu panu zjadłem parówkę, nie czekając, aż on poprosi - zawołał z nutą przechwałki w głosie kotek.

Opadły mi ręce.

- Ciemny, ciemny - zajęczałem - czy ty w ogóle nie rozumiesz, co to znaczy "brat"?

Kotek spoglądał na mnie tępym wzrokiem.

- Naprawdę nie rozumiesz? - dopytywałem się.

Kotek milczał.

I wtedy walnąłem się pięścią w czoło. Uświadomiłem sobie, że nasz kotek z pojęciem brata nigdy, jak żyje, nie mógł mieć do czynienia. Jego bracia zginęli w piwnicy. Koty, z którymi się zadaje na podwórku, też braci nie posiadają. Nasze dziecko jest jedynakiem. Jedynakami są również koledzy naszego dziecka na podwórku. Czasy się zmieniają, a język wraz z nimi. Przymiotnik "braterski" pojawia się coraz częściej. Rzeczownik "brat" coraz rzadziej.

Kotek żąda druku

Kotek zaczął się we mnie wpatrywać strasznym wzrokiem i już myślałem, że zaraz wskoczy mi na kolana, ale on pozostał na wprost mnie na podłodze i zadał pytanie, którego od dawna oczekiwałem.

- Czy mi to wreszcie pokażesz?

- Co? - wybełkotałem bez przekonania, bo domyśliłem się, że kotek ma na my-

śli moje teksty o nim.

- No, te nasze rozmówki.

- Zostały, kotku, zdjęte przez cenzurę.

- Dlaczego? - spytał ponuro kotek.

- Bo panowie z cenzury uważają, że jesteś groźny dla ustroju.

- Dla stroju? - upewnił się kotek.

- Dla u s t r o j u - poprawiłem kotka. - Możesz podważyć podstawy naszego ustroju, podkopać jego fundamenty.

- A, ustrój, jak ktoś się u s t r o i - zawołał kotek dumny, że sobie przypomni.

- Ciemny, ciemny - lamentowałem niemal - nie wiesz nic, nie rozumiesz, nie znasz nawet słowa "ustrój".

- No to jak ja mogę - zapytał bezczelnie kotek - być groźny dla ustroju, skoro nawet nie wiem, co to słowo znaczy?

Zatkało mnie. Zacząłem się intensywnie zastanawiać nad faktycznym powodem, dla którego nasz kotek uzyskał opinię wroga ludu, i raptem wpadłem na pewien pomysł.

- Być może, kotku, tu idzie nie tyle o twoje poglądy, ile o twój wygląd. Dla tych panów byłoby lepiej, żebyś miał takie szerokie bary, głowę kwadratową i niskie czoło ze zmarszczką jak towarzysz Tępuła z KC. O! - sięgnąłem po pierwszą stronę "Życia Warszawy" ze zdjęciem towarzysza Tępuły - gdybyś, kotku, tak wyglądał, panowie z cenzury byłiby o nas spokojniejsi.

- Co zrobisz z rozmówkami? - zapytał chłodno kotek.

- Dam do "Zapisu".

Kotek odwrócił się, wskoczył na parapet i ułożył się zwinięty z łbem opartym na czubku ogona.

- Nie cieszysz się - zdumiałem się - że nas wreszcie wydrukują?

Kotek ostentacyjnie ziewnął.

- Kotku, kotku, co to ma znaczyć? - stanąłem nad nim wyprowadzony z równowagi.

- Gówno - powiedział kotek.

- Jakie gówno?

- Nie wydrukują, bo jestem za reakcyjny

- R e a k c y j n y - chciałeś powiedzieć.

- ...reakcyjny, a ty zawsze mówisz, że "Zapis" jest postępowy.

- P o s t ę p o w y. A poza tym przesadzasz. Antytotalitarny, owszem, ale żeby zaraz reakcyjny?

- Reakcyjny, reakcyjny, zobaczysz, że nie wydrukują. Poza tym prawicowy i narodowy.

- Prawicowy, mówisz, i narodowy - stropiłem się, ale zaraz opanowałem się na powrót - to nic, ważne tylko, czy masz odpowiednio życzliwy stosunek do gnid - i utkwiałem w kotku wzrok pełen wyczekującego napięcia.

- Gnid?

- Takich robaczek, które potem gryzą, wiesz...

Szybko pożałowałem swoich słów. Kotek dał susa na podłogę, skoczył na fortepian, stracił stojący tam wazon z kwiatami, wpadł na stół, zrobił kilka okrążeń pokoju, po czym siadł przede mną na parapecie, wściekle drapiąc swe zapchlone łacie futro na brzuchu.

- Przepraszam, zapomniałem, że to temat dla ciebie nieprzyjemny, bardzo przepraszam.

Kotek powoli się uspokoił i ułożył się z powrotem na parapecie.

- Nie wydrukują - mruknął sennie.

- Wydrukują - odpowiedziałem najłagodniej, jak potrafiłem - z polemiką obok, żeby czytelnicy od razu wiedzieli, że nie mamy racji i że redakcja ma od nas poglądy bardziej postępowe, ale wydrukują. A może nawet, kotku, odważą się nas dać bez polemiki? Kto wie...

Kotek, zwinięty w obwarzanek, już spał.

R E C E N Z J E

Andrzej Drawicz

PRÓBA "METROPOLU"

Almanachy literackie już kilkakrotnie za naszej pamięci odegrały w Związku rolę ważną: forpoczt przemian, zwiastunów osłabienia nacisku na literaturze. Była to forma poręczna, prędką w działaniu; starczyło krótkiego prześwietu, słabego przebłysku lepszej koniunktury - i już grupka ludzi zbierała trochę tekstów i pchała je w lukę, w szczelinę, w osłabienie czujności dzierzymordów, tworząc fakt dokonany. Potem zwykle błysk gasł, zacisk tężał, forpocztę dostawały się pod zmasowany ogień odwetowy, zwiastuny okazywały się nie zwiastować nic albo mało, i przez wiele następnych lat ortodoksi mieli co przywoływać na świadectwo ideologicznych błędów. Tak było w roku 1956 z almanachem "Litieraturnaja Moskwa". Podobnie w roku 1961 z almanachem "Tarusskije Stranicy", który wydawcy z samoobronną przemyślnością a trochę z głupia frant ofiarowali nawet Dwudziestemu Drugiemu Zjazdowi KPZR, ale zjazd, chociaż antystalinowski, nie dał się nabrać, podarunek z oburzeniem odrzucił, część nakładu zatrzymano i skandal nie dał na siebie czekać. Inaczej z almanachem "Dzień Poezji", który w tymże ważnym roku 1956 był cennym, choć niesmiałym gestem oswobodzającym; tu dojrzano - mądrzej - korzyść w przechwyceniu, w instytucjonalizacji i powtarzalności inicjatywy - ale już z urzędowym stemplem i kontrolą, i tak trwa do dziś, z roku na rok, nie bez rzeczy ciekawych i świeżych, ale w małych dawkach, obmurowanych oficjalną przeciętnością.

Teraz pojawił się nowy, już w kronice "Zapisu" sygnalizowany "Metropol". Ten jednak nie sięgnął druku, nie oszukał czujności strażników prawomyślności. Zmaterializował się natomiast wydawniczo za granicą, w michigańskim wydawnictwie "Ardis", jako potężny tom, opublikowany techniką fototypiczną - i w tej postaci trafił już do Warszawy. Czytelnikom, którzy poprzednich o "Metropolu" wiadomości nie czytali, wypada donieść, że almanach przygotowała piątka autorów-redaktorów. Nazwiska trzech z nich: Wasyla Aksionowa, Andrzeja Bitowa i Fazila Iskandera są dostatecznie znane. Dwaj pozostali to: Wiktor Jerofiejew (nie należy mylić z Wien-edyktem, autorem świetnej prozy alkoholicznej "Moskwa-Pietuszki") literaturoznawca, badacz m.in. rosyjskiej filozofii religijnej przełomu stulecia; oraz Eugeniusz Popow, rocznik 1946, prozaik i dramaturg, o którym nic ponadto bliższego nie wiadomo. "Metropol", którego nazwę zaleca nam się w przedmowie rozumieć jako "stożeczny szkałas nad najlepszym na świecie metrem" - wypełnia solidną porcja prozy i poezji; skromniejsza znacznie - eseistyki i refleksji społeczno-estetycznej; jeden dramat; fragment nowej powieści Johna Updike'a w tekstach obujęzycznych (odczytujemy w tym każdy akt koleżeńskiego poparcia i anglosasko-rosyjskiej przyjaźni i wzajemnej pomocy) oraz parę rysunków.

Redaktorzy wybrali, jak można sądzić z doniesień, taktykę i nam dobrze znaną; brania swych praw i prerogatyw obywatelskich i zawodowych najzupełniej serio i zachowywania się, jakby było sprawą oczywistą, że swobody proklamowane mają być faktycznie przestrzegane. Ogłosili więc zawczasu, że almanach przygotowują, zapowiedzieli jego wernisaż w moskiewskiej kawiarni, zanieśli egzemplarz do Związku Pisarzy. Władza odczekała do ostatniej chwili, po czym zaproszeni na wernisaż goście zastali drzwi zamknięte, bo właśnie tego dnia w kawiarni musiało się odbyć sprzętanie, remont, czy remanent, wszystko jedno co, a redaktorów i niektórych autorów zaczęto wzywać do instancji związkowej na rozmowy. Formy nacisku okazały się różnicowane; jednych zostawiono zupełnie w spokoju, innym persadowano, jeszcze innym groźono. Zaczęli się jednak, jednak, znaczący stopień solidarności, w związku z czym

wypróbowana taktyka (ją również znamy) rozchwieiania spójności takich grup przekupstwem, obietnicami czy szantażem i poszczucia ich członków na siebie nawzajem, najwidoczniej nie dała spodziewanych efektów. Jerofiejewa i Popowa chciano usunąć ze Związku Pisarzy, ale postawa pozostałej trójki redaktorów skłoniła władze do półśrodka; ponieważ przyjęcie obu nie zostało jeszcze, przed całym incydentem, ostatecznie zatwierdzone, więc sprawę zamrożono i obaj ani całkiem są w Związku, ani całkiem nie są – taktyczny unik, torkost' tamtejszych doktorów Faulów, obliczona pewnie na zmęczenie i przetrzymanie. Dano też "Metropol", według reguł wypracowanych pewnej liczbie pisarzy, po czym ich zebrano i – ale o tym jeszcze przy końcu.

Najpierw zaś: skąd się "Metropol" wziął? Każdy, kto trochę wie o realnej sytuacji literackiej sąsiadów i ma nieuprzedzony sąd, zgodzi się z jej charakterystyką, daną we wstępie do almanachu, gdzie mowa – w słowach zrozumiale wyważonych – o "chronicznej chorobie, którą można określić albo jako "brak sympatii dla inności" albo po prostu jako "lęk przed literaturą". I dalej: "Zastrachana inercja, istniejąca w czasopiśmie i wydawnictwach, prowadzi do hipertrrofii odpowiedzialności za "kawałek" literacki – nie tylko nie taki jak trzeba, ale po prostu inny niż wczoraj. Ta powszechna "odpowiedzialność" wywołuje stan skostniałego, cichego załęknięcia i tendencję do wciśnięcia literackiego kawałka w sztywne ramki. Literatura, która się w nich nie mieści, skazana jest czasami na wieloletnią tułaczkę i bezdomność. Tylko ślepy nie widzi, że literatury takiej jest z każdym rokiem więcej i że formuje już ona całą solidną warstwę ojczyznoego piśmiennictwa (Nasz almanach składa się przede wszystkim z rękopisów, dobrze znanych redakcyjom)".

Zatem: "Metropol" skupił teksty, które bądź nie znalazły, bądź, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie znalazły by dla siebie miejsca w obiegu oficjalnym. Pozwala to więc dostrzec w nim młodszego brata "Zapisu", w naszym inicjacyjnym kształcie, kiedy byliśmy również wyborem tekstów, odrzuconych przez cenzurę. Czy ta analogia sięgnie dalej, i czy "Metropol" stanie się początkiem wydawnictwa periodycznego? Tego na razie nie wiemy. Poza podobieństwami rzucają się zresztą w oczy zrozumiałe różnice, wynikające z odmienności sytuacyjnych i założeń taktycznych. Wiemy wszyscy o ruchu samizdatowym, jaki już przed laty uruchomił w Związku obieg wielu, w tym i literackich, tekstów. Wsparty jest on przez tzw. "tamizdat", tj. przedruki tekstów krajowych za granicą, skąd nieformalnymi drogami przedostają się one z powrotem do kraju – oraz publikacje pisarzy – emigrantów. Tworzy to cyrkulację ożywioną, z udziałem np. tak wybitnych nazwisk krajowych, jak Włodzimierz Wojnowicz, autor świetnego "Czonkina", jak Georgij Władimow, którego "Wierny Ruszan" jest jedną z najważniejszych książek, jaką ostatnio po rosyjsku napisano; jak Lew Kopielew, Włodzimierz Kornikow, Lidia Czukowska. Pisarze ci zdecydowanie wyszli już z literatury oficjalnej. Inaczej – autorzy "Metropolu". Nie mają oni zamiaru palić mostów. Ich inicjatywa jest wyraźnie próbą poszerzenia pola manewru w ramach legalności; sprawdzenia, czy granic możliwości nie da się, metodą faktu dokonanego, przesunąć. Nie jest to bynajmniej czysta utopia. Rosnący ostatnio coraz bardziej ciężar gatunkowy rosyjskiej literatury emigracyjnej uruchomił pewne procesy wyraźnie korzystne dla ambitniejszych i mniej konformistycznych autorów krajowych. Literatura krajowa jest w tej chwili tak naocznie zdominowana przez mierność, opancerzoną ideową prawowiernością, upadek rzemiosła tak przytłaczający, że – mimo iż w Związku Pisarzy rządzą z reguły również pisarze mierni – zdecydowano się jawnie na stworzenie czegoś w rodzaju półrezerwatu dla niektórych pisarzy z prawdziwego zdarzenia, by mogli oni bodaj stanowiąc alibi dla zagranicy. Trójka znanych redaktorów "Metropolu" też tu bodaj należy; zwłaszcza Aksionow poczyna sobie ostatnio z dużą pewnością siebie. Nic dziwnego, że pozwalają sobie na uniarkowaną frondę. To samo dotyczy zapewne dość solidnie wpisanych w establishment radziecki autorów almanachu: Achmadulinej, Wysokiego i Wozniesińskiego. Nie wykluczam też wcale, że uczestnicy "Metropolu" mogli być animowani chęcią poświadczenia, że emigracja nie ma monopolu na rząd dusz, i że – jeszcze Rosja nie zginęła. Trzeba bo też mieć na uwadze, że stosunki między emigracją a krajem są w sferze dobrej literatury dosyć psychologicznie napięte; pisarze rosyjscy z diaspory mają przy ocenie kraju częste ciągotki maksymalistyczne, co krajowców zrozumiale drażni. Zauważyłem już w niektórych ocenach "Metropolu" przez emigrację nuty lekceważenia i przedkazywania wcześniejszych pomówień o konformizm. Byłoby

szkoła, gdyby taki pogląd miał się utrwalić, ale ostatecznie rzeczą jednych Rosjan jest oceniać innych Rosjan, jak chcą; natomiast z naszej, polskiej perspektywy umiarkowany nonkonformizm czy właśnie półlegalizm "Metropolu" wydaje się pożyteczny i potrzebny, już dlatego, że uruchamia nowe siły i ożywia obszary, które wpływom tamizdatu czy samizdatu nie podlegają.

Poczynanie to wydaje się także przebiegać pod znakiem solidarności różnych grup pisarskich. Widać ich przynajmniej trzy. Wymienieni już twórcy o znanych nazwiskach bodaj nie tak bardzo "Metropolu" potrzebują i dali do niego rzeczy nie najważniejsze: Wysocki - garść piosenek, dobrze już znanych miłośnikom z amatorskich nagrań; Aksionow - młodzieńczą sztukę; Achmadulina - prozę o dosyć bluszczo-watej stylistyce, chyba uboczny produkt właściwych, poetyckich zajęć; Iskander - opowiadania na swoim normalnym poziomie, nieco śmielsze w sferze obcozajowości i przywołań personalnych; i tak dalej. Pisarze ci wyraźnie natomiast torują sobą drogę następnej grupie. Znajdujemy w niej ludzi z ubocza oficjalnej literatury, którzy od lat niby w niej są, ale niezupełnie, zaznaczają się mało, i dzieje się to, według rosyjskiego określenia, nie z nadmiaru dobrego życia. Tu należą na przykład Friedrich Gorensztejn, którego "Dom z wieżyczką", opowieść o wojennym dziecku, wzbudziła w roku 1965 najlepsze nadzieje, a który od tego czasu publikował mało. Jego opowieść "Stopnie" waży w "Metropolu" chyba najwięcej; jest to świetne studium rozpadu osobowości człowieka, którego pseudonormalność egzystencji dusi i gniecie i który instynktownie szuka ratunku w zbliżeniu do religii. Tu autor pokazuje precyzyjnie, mądrze, cienkimi psychologicznymi narzędziami bezmiar codziennego, brutalnego gwałtu zadawanego wierze w Boga i wierzącym, a także zniszczenia społeczne, które stąd wynikają. Dostojewski nie musi się zza grobu wstydzić takiego ucznia. Ważkie są wiersze Siemiona Lipkina, do tej pory znanego przede wszystkim jako tłumacz starszego pokolenia, który ze swą sędziwą, klarowną refleksją i gorzką mądrością rosyjskiego Żyda wchodził dotąd do presji nie bez trudności. Arkadij Arkanow, humorysta z miesięcznika "Junost'" i "Litieraturnej Gaziety", w którym wyczuwało się już zadatki na coś większego, błyska w "Metropolu" groteskową parabolą o błaznie, którego codziennie prowadzą na egzekucję, i który przedłuża sobie życie rozśmieszaniem katów i tłumu. Tworzywo takich przypowieści nie jest, samo z siebie, najświeższe, ale Arkanow właśnie potrafi wylepić zeń rzecz, która mówi o nim samym i o życiu wokół niego więcej i bardziej serio, niż można by oczekiwać. W podobnych co on, humorystyczno-rozrywkowych sferach antyszambrował przez lata Marek Rozowski, kiedyś twórca teatru studenckiego "Nasz Dom", potem doskonały reżyser, ale bez stałego przydziału, któremu i gust, i charakter, i last not least, pochodzenie ("... no ogromnoje eto swietiko k sożaleniju było jewrej" - pisze melancholijnie Wysocki w jednym z mniej znanych tekstów) nie ułatwiają życia i pracy. "Metropol" dał mu płaszczyznę dla niebanalnych refleksji o teatrze; podobnie jak Henrykowi Saggirowi, poecie ze sporym już dorobkiem, znanym głównie z tamizdatu - dla ostrych, energicznych, wyczulonych na materię powszedniości wierszy, propagujących jakby swoistą "nową rzeczowość", a Eugeniuszowi Rejnowi, wytrwałemu przedstawicielowi leningradzkiej szkoły eleganckiego poetyzowania - dla utworów z zupełnie innego, niż u Saggira, bieguną. Ciężar gatunkowy tych publikacji nie jest jednakowy, i maksymalnie łatwo będzie dowiedzieć, że nie ma w "Metropolu" wielkich olśnień, ale właśnie bardzo istotne jest to, że almanach proponuje normalnie te różnorodne "kawałki" i zaświadcza sobą, iż taka akurat normalność nie może sobie znaleźć miejsca w pozornie normalnym, oficjalnym układzie publikacyjnym.

Tak więc pisarze z nazwiskiem osłonili, jak się zdaje, grupę, którą nazwiemy umownie outsiderską. Rozpięli również ochronny parasol nad grupą trzecią, nieszczygających autorów w ogóle bez znanych nazwisk, dla których "Metropol" stanowił chyba jedyną aktualną, quasilegalną szansę publikacji. Jest tu parę rzeczy bardzo wartościowych. "Melodie naszych dzienników" Piotra Kożewnikowa prowadzą dwa równoległe wątki codziennych zapisów chłopca i dziewczyny, dając "samo życie" młodzieżowe, takie jakie jest, bez upiększeń, w duchu przypominającym nasz niegdysiejszy "Pamiętnik uczennicy". Borys Wachtin w "Kozuszk" zbudował bardzo inteligentną wariację na temat gogolowskiego "Płaszcz"; tytułowy obiekt marzeń zaprzęta tym razem wyobraźnię małego aktywisty partyjnego, stając się dla niego symbolem wejścia w lepszy świat. Powstało bardzo dobre studium psychologiczne mentalności aparatozycy-

ka, używając określenia czechowowskiego, "człowieka w futerale", ale przecież człowieka, któremu nie są obce ludzkie pokusy i który nie może administrować sztuką zupełnie bezkarnie, nie ulegając infekcji jej miazmatami. Podobne studium w nieco innym materiale przeprowadza Jerofiejew; jego małe opowiadania są trochę zbyt filologiczną zabawą, natomiast opowieść "Trójgłowe dziecię" demonstruje dojrzały portret młodego artysty, "nowego człowieka" bez skrupułów i umiejętnie wykorzystującego na swoją korzyść ustabilizowaną nieludzką system, i z dezynwolturą doskonałej obłudy smakującego uroki życia. Już Aleszkowski właśnie ze Związku wyemigrował, dając na odjeździe "Metropolowi" trzy piosenki o tematyce i stylistyce obozowej, czy raczej tak pozostawione dekoracyjnej literackości i autentyczne, że podobnie jak jego najbardziej znany utwór Towariszcz Stalin, wykolszaj uczonej... mające szansę stać się, odwrotnym porządkiem rzeczy, bezimiennym, powszechnie wykonywanym folklorem. Aleszkowski to podobno również bardzo zdolny prozaik, i pewnie o nim jeszcze z diaspory usłyszymy. W dosyć szczątkowej partii publicystyczno-eseistycznej przyciągają uwagę rzetelne i ładnie podane przemyślenia fizyka, Wiktora Trostnikowa, który przejrzawszy różne dziedziny współczesnych nauk, dochodzi do wniosku, że uczą one jednego: iż nie sposób obejść się bez Boga. Barażo to charakterystyczne dla obecnego stanu duchowego sporej części myślących rosyjskich inteligentów.

Jak z tego widać, nonkonformizm "Metropolu" jest utemperowany, ale wobec przyjętych, jak się zdaje, przez almanach założeń sprawdzenia i ewentualnego przesunięcia granic możliwości głupstwem byłoby się ciskać weni za to kamieniem. Widać tu bardziej czy mniej ostrożne zapuszczanie się na obrzeże czy bliżej środka stref zakazanych lub nie zalecanych: sprawy żydowskiej z jej wielostronnymi implikacjami; religii a także obyczajowości, zarówno w sensie szerszym, tj. realnych układów życia zbiorowego z uczestnictwem funkcjonariuszy i karierowiczów partyjno-państwowych takich, jacy naprawdę są - jak obyczaju erotycznego i po prostu seksu. Ten ostatni odkrywany jest z wyraźną satysfakcją, na złość powszechnie obowiązującej prudencji, przy czym poziom wtajemniczeń jest nieco pensjonarski. To są wszakże istotnie początki, a nadrobienie zaległości w tej akurat sferze i szybsze przejście od wieku dojrzewania do dojrzałości nie wydaje się aż tak trudne. Lecz w ogóle sprawa nie jest błaha; nie darmo Zamiatin i Orwell przewidzieli, a stalinizm potwierdził, że totalitaryzm, chcąc być sobą nie może ludzi zostawić w spokoju nigdzie, a więc i w łóżku.

Literacko stanowi więc "Metropol" fenomen rzetelnie poprawny, nie rewelacyjny, ale, powtórzmy, w swej normalności dokrze świadczący o nienormalności sytuacji i o chęci jej zmienienia. Są tu rzeczy mniej i bardziej cenzuralne; niektóre z nich mogłyby się zapewne zmieścić w dawnym miesięczniku "Nowyj Mir", czasu Twardowskiego, inne chcą i próbują więcej. W prozie przeważa znana, rosyjska solidność obyczajowo-środowiskowego opisu, jeśli nie mały, to średni realizm, choć nie brak i modelunku swobodniejszego, np. u Sapgira i Arkanowa pojawiają się maski zwierzęce, ludzie-konie i ludzie-małpy jako znaki groteskowej niedorzeczności istnienia. Jest też w użyciu dobrze wyostrona analiza psychologiczna. W prozie ton nadaje klasycyzm, ale nie tylko ona. A wszystko razem, jak starałem się dowieść, poddać jest pewnemu zamysłowi solidarnościowemu, autorzy trzymają się za ręce, jedni pracują na drugich, i zrozumiały jest nacisk, z jakim pisze się na wstępie, iż almanach "... może być wydany drukiem tylko w danym układzie. Zabrania się jakichkolwiek uzupełnień i skreśleń".

To też jest bardzo istotna, chociaż pozaliteracka, wartość. I to się spokoiło. Jak dotąd "Metropolu" zakulisową obróbką i rozróbką nie rozkupano. I nikomu z autorów nic się specjalnego nie stało. Już tylko by się o tym przekonać, warto było almanach wydać. Casus "Metropol" jest krzepiący. A szczególnie pokrzepia opublikowana we fragmentach w wielojęzycznym, oficjalnym piśmie (informowaliśmy o tym) "dyskusja" w Związku Pisarzy nad almanachem. Nic się tam nie trzyma kupy, ani myśl ani język, a w dodatku niektóre wypowiedzi są zwyczajnie przekłamane; w tym celu wrywano ludziom po jednym zdaniu. Dużo szczerzej radości daje obserwacja tej nieudolnej babraniny pętanej wyraźnym lękiem o alibi i zachowanie jakiejś tam twarzy wobec świata.

Myśli się wtedy: potwór się starzeje, ryk mu się zrywa w falset, zęby się

c-hwieją (choć gryźć jeszcze potrafi) - i jak dobrze pójdzie, to go przeżyjemy. A przeżywszy będziemy mieli w "Metropolu" pamiątkę i wspomnienie z naszych dziwnych czasów.

Andrzej Drawicz

Jan Józef Lipski

LIST Z DANII

Jerzy Ficowski: "Gryps", Warszawa, Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1979, s. 64.

Zżyłem się z liryką Ficowskiego. Zauważałem ją w czasopiśmie literackim jeszcze nim w r. 1943 ukazał się pierwszy zbiór jego wierszy, "Ołowiani żołnierze". Czytałem wszystkie jego książki: kolejne tomiki poetyckie, przekłady Federica Garcii Lorki, cygańskiej poetki Papuszy, ludowej poezji żydowskiej; pokrewną poezji prozę; eseje etnograficzne (o Cyganach) i literackie (Schulz); znakomicie i pracowicie komentowane listy Schulza - wszystko. Nigdy nie było nam trudno rozumieć się, bowiem wszystko prawie nas łączy. Należymy do tego samego pokolenia, o którym mówi się czasami, może upraszczająco i nieprecyzyjnie, lecz jednak sensownie: pokolenie akowskie. Konspirowaliśmy obok siebie, nie znając się, w tym samym batalionie - i walczyliśmy jako jego żołnierze w Powstaniu. Połączyła nas jako studentów miłość do Brunona Schulza, która stała się początkiem i fundamentem przyjaźni. Przeżyliśmy razem trzydzieści przeszło trudnych lat pełnych goryczy, zagrożenia, rzadko przelotnych radości - zawsze w poczuciu zaufania do siebie i we wzajemnej solidarności. Nic dziwnego, że dziś znów, jak w 1944, choć zarazem inaczej, jesteśmy współkombatantami: znaleźliśmy się obok siebie w KSS "KOR". Byłem kilkakrotnie recenzentem tomików poetyckich autora "Grypsu", czasami nie szczędząc mu dosadnie sformułowanych zastrzeżeń, zawsze z podziwem dla jego talentu i wdzięcznością za jego twórczość. Minęło sporo już lat, podczas których czytelnicy poezji Ficowskiego, dotkniętego dyskryminacją i zakazami, nie mieli możliwości jej czytania. Gdy się dał dziś do pisania o "Grypsie" - niech mi czytelnicy recenzji wybaczą ten osobisty wstęp. Nie mam jako krytyk w zwyczaju takich zwierzeń. Subiektywizm emocji kierujących się nie tylko na przeżycie omawianej twórczości, lecz i na osobę twórcy - nie uchodzi za gwarancję obiektywizmu. Domagam się jednak właśnie tu na wstępie zaufania czytelniczego: że i tym razem nie sprzeniewierzę się obowiązkowi krytyka, szukającego sensu artystycznego i ideowego poetyckiego słowa - uzbrojony jednak dodatkowo w szansę najpełniejszego rozumienia, jaką daje współnota przeżyć i wartości.

Nie jest łatwo jednoznacznie wskazać dominantę twórczości poety, który ma tak bogaty dorobek i tak już długą linię rozwojową, jak Ficowski. Zaczynał, jak wielu z jego pokolenia, przytkoczony ciężarem doświadczeń wojennych i porażony straszliwą klęską naszej bitwy o Warszawę. Należał do twórców korzystających w sposób umiarkowany z doświadczeń awangardy, choć zresztą jednym z mistrzów jego warsztatu poetyckiego był też Tuwim. W okresie późniejszym szukał też inspiracji w

folklorze polskim i cygańskim. W żadnym wypadku nie można jednak określić go jako eklektyka: uczył się co prawda w różnych szkołach, stworzył jednak własny obraz świata i własny język poetycki. W okresie pełnej już dojrzałości, w latach popaździernikowych, wyklarował się ostatecznie obraz świata jego poezji. Można go scharakteryzować przez trzy opozycje: 1. poczucie zagrożenia - i potrzeba bezpieczeństwa, które daje intymność (sprzymierzeńcami są otaczające człowieka na codzien przedmioty domowe, owady reprezentujące Arkadię: pasikonik, świerszcz; miary dla świata szukał w ciele własnym i osoby bliskiej, zamykając np. przestrzeń między palcami jej dłoni); 2. lęk przed abstrakcją - i pożądanie konkretności (występuje tu swego rodzaju antysymbolizm, tj. adaptacja odwróconej struktury symbolistycznej: na miejsce dążenia do idei poprzez fenomeny - odszukiwanie konkretności przesłoniętej abstrakcją); 3. metaforyka i obrazowanie przeciwstawiające geometrii krzyżujących się linii prostych - nie dające się narysować przy pomocy linijki i ekierki kształty i ruchy istot żywych.

Historia, zawsze obecna w tej poezji, była tym, co zagraża człowiekowi. Jest to bowiem historia najnowsza, w której żyjemy już od dziesiątków lat, nieludzki kraj Abrakadabrii. Nazwa ta wraca znowu w "Grypsie".

Postawą dotychczas dominującą w tej liryce było szukanie schronienia, azylu przed dąporem historii, przed zaborczością Abrakadabrii, przed niosącą zniewolenie abstrakcją geometrycznych sześciątów i kwadratów, symbolizującą nieludzki świat zagrażających wolności doktryn. Umilkły teraz w liryce Ficowskiego świerszcze, rozwiła się wizja maleńkiej, prywatnej Arkadii. Poeta, podmiot liryczny - stoi teraz bez chwili przerwy i wytchnienia twarzą w twarz z historią; z przesłaowaniami religijnymi, narodowymi, z poniwieraniami godności człowieka, z zagrożeniem jego życia, z kłamstwem. Przyszedł widać taki czas dla poety - i dla nas - że nie chcemy dłużej godzić się na to wszystko, że nie chcemy zadawać się półkłamstwem: "w dani dzieje się dziś lepiej" ("Neoklasycyzm").

Zawsze bałem się - dla poezji i dla siebie - publicystyki, która wedrze się w organizm wierszy, przetworzy je we wstępniaki i felietony. Zawsze też bałem się - dla poezji i dla siebie - obojętności poetów, ich ucieczki na łąki i lesne polanki, złudnych nadziei, że ćwierkanie świerszczyka odgradzić może magicznym kręgiem swojskości od złego świata, w którym przestaną już na zawsze bici i więzieni bliźni, ludzie, którym wyrывa się bez znieczulenia ich tożsamość. Trzeba dodać, że Ficowski-poeta nigdy nie znalazł się w tym zagocznym kręgu pozorów, z którego nie widać już niczego poza arkadyjskim samozadowoleniem. Cytować mógłbym długo jego wiersze, w których krzyczał lub szeptał swoje "nie". Czasami nawet ukazywały się w druku: był taki okres, 1956-1957 r., gdy w prasie literackiej ukazywać się mogło przez parę miesięcy to, co ani przedtem, ani też potem nie było do publikacji. Wiersze te nie wchodziły w rezultacie do tomików później ukazujących się. Niektóre umiem wyliczyć np. "Uśmiech" ("Nowa Kultura", początek 1957), "Niech będzie pochwalona" ("Życie Literackie", lato 1957), "Rehabilitacja" ("Tygodnik Załoznic", lipiec 1957), "Plwocina" ("Życie Literackie", marzec 1957). Ale i później udawało mu się - rzadko jednak tak jasno i wprost, bo w dobrze znanej wszystkim ludzom pióra powszedniej grze z cenzurą - powiedzieć niejedno. Nigdy nie była to poetyzowana dziennikarszczyzna. Tak się stało, że dziś, gdy poeta z determinacją bijącą w oczy z każdej linijki jego wierszy zrezygnował z wszelkich prób szukania prywatnego azylu ("Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie" - można by te słowa przytoczyć jako niewypisane motto nowego tomu jego wierszy) - właśnie dziś osiągnął szczyt dotychczasowej twórczości lirycznej.

Ponieważ poezja nie przegrywa tu z popychającą ku wypowiedzi publicystycznej "treścią" - pomówmy o "warsztacie". Specjalnie piszę również ten ostatni wyraz w cudzysłowie: nie chodzi bowiem o rejestrację chwytów, z których coś się układa lub nie układa w poetycką całość, lecz o ten żywy spłot języka poetyckiego i kreowanej przez ten wizerunek świata, który rozstrzyga o wszystkim w liryce; nie tylko w liryce - lecz w liryce przede wszystkim. Warto by odpowiedzieć na pytanie, jak "zrobiony" jest wiersz "Bóg się rodzi", jak "zrobiony" jest "Neoklasycyzm", jak "Cieśle", jak ten cały "Gryps"? Nie żudzę się, że odpowiem (kwestia, czy to w ogóle jest możliwe, ale zresztą miejsca na to w recenzji nie staje). Dlatego jednak właśnie, że z poezją mamy tu do czynienia, na tym trzeba by skupić uwagę. Ale i "o czym" nie jest obojętne. Poeta, zapowiadając w pierwszej linijce tomu: "Opo-

wiem ci historię))nim się wynurzy oczyszczona z nas)) więc z piasku" - prowadzi czytelnika przez szeroko zarysowaną panoramę tej historii, od jej katyńskich korzeni ("Archeologia profetyczna"), przez wspomnienie pamięci Kazimierza Moczarskiego ("Epitafium") i "Dworzec Gdański 1968" - do spraw, realiów dzisiejszych: po "Modlitwę za Stanisława Pyjasa", po "Noc listopadową 11.XI.1978", po wiersz "Cygan milczy inaczej", poprzedzony przejmującym powołaniem się na oświadczenie Karty 77 o prześladowaniu Cyganów w Czechosłowacji, zaczynającym już być eksterminacją (sterylizacja Cyganek); po wiersz "Bóg się rodzi", uobecniający los Ukraińców za wschodnią miedzą; po "Soveto" - wiersz poświęcony męczeństwu Murzynów południowo-afrykańskich (dobrze, że i ten wiersz znalazł się w tomie: nadaje on panoramie wymiar uniwersalny).

Historia jawi się poecie aż tak często w na pół baśniowym krajobrazie, że warto może od tego zacząć: to kręowanie mitu, żywego mitu. W wierszu "Bóg się rodzi" - krajobraz "uduszonych dzwonnice", zimowy krajobraz Pokucia, w którym "po lasach wmyki)) na bieżęćców świętych)) wilcy ich ostrzegają)) śnieg ich tropy gładzi)) czeremosz szeptem podpowiada drogę", krajobraz, w który wtapiają się fragmenty okaleczonych cerkiewnych rzeźb i ikon, przejmujący krajobraz prześladowania, niszczonej religii, tęplonej kultury, wszystko to zawarte i powiedziane w języku symbolicznych obrazów. Przyroda uczestniczy w tej walce po stronie Człowieka (stąd antropomorfizująca forma "wilcy", stąd uczłowieczenie Czeremoszu). Obok symboliki zniewolenia i zagrożenia (znanej z wcześniejszej liryki poety, a tu reprezentowanej na przykład przez "wiązadła krat" w wierszu "Ta klatka"; "ukrzyżowali boga taborców)) na krzyżu)) czterech stron" w "Cygan milczy inaczej"; "krat krzyż wielokrotny" w wierszu "Gryps" - pojawia się symbolika nowa: szubienica, stryżek, duszenie ("Hryhory i Daniło)) wiszą na złotych stryżkach)) aureoli" - "Bóg się rodzi"; "zaciągają pętlę widnokregu" - "Z rzeszowskiej ziemi"; "po ulaskawieniu)) od węzła krawata" - "Post factum"; "zwięźłość stryżka" - "Z kroniki wydarzeń"; "szubienica obrotowa" - "Po polsku"), oraz realiów więziennych, policyjnych... Obok krajobrazu pokuckiego - dosłownie obok, bo na sąsiedniej rozkładowej stronie, krajobraz rzeszowski, też przekształcający się w symboliczno-mitologiczny:

a tam już
zaciągają pętlę widnokregu
żeby wyrwać to drzewo
chłopa jak snop związać
i wykurzyć ptaka.

choć ani on duch święty
ani orzek biały

więc czekają we troje
chłop drzewo i trznadel
a jest ich nagle
tłum i las i chmara

Jak już wspomniałem - prawie zawsze przyroda jest, jak w tym cytacie, sojusznikiem człowieka, chociaż w wierszu "Cygan milczy inaczej" niezupełnie tak: i tego sojusznika już nie mają prześladowani; przyroda jest tu - póki "Bóg Mrodel kędzierzawy" nie ustanowi znów czterech stron świata - domem publicznym, scenarią dogorywania ludu wykorzonego ze swego obyczaju i moralności. Niekiedy przyroda utóśsamia się symbolicznie z człowiekiem, jak w niezwykle pięknym, patetycznym wierszu "Neoklasycyzm", gdzie ryczący z bólu - wbrew prawom swego gatunku - ktoś jest "uczłowieczony naszym bólem". Sojusznikami są też w jakimś sensie zmarli, ale w ich powrocie, w tym swego rodzaju świętych obcowaniu, jest zawsze przede wszystkim ból i gorzyc ("przez styksy rojsty czeremosze)) w czakach szyszakach rogatywkach)) przyjdą krwiodawcy nasi" - "Przeprawa"; ugodzi w nas kość naszej kości)) z nas wyłamana nam odjęta)) wróci aby się zrastać)) z kikutami kołectwa)) aż pocujemy w niej nasz ból" - "Archeologia profetyczna", wiersz o Katyniu).

Do pomnego stopnia nowością w poetyce Ficowskiego - tylko do pewnego stopnia,

bo był zawsze wrażliwy na pokrewne kalamburowi potencjalne możliwości języka, ucząc się tego zapewne w tuwimowskiej szkole - jest niezwykle bogactwo środków przyswojonych liryce polskiej w ostatnich kilku latach głównie przez młodsze pokolenie adeptów tzw. "poezji lingwistycznej". Swego rodzaju żonglerka językowa, wykorzystywanie wieloznaczności słów, rozbijanie i łączenie na nowo całości frazeologicznych i idiomów - szybko przestało być zabawką, okazało się niezwykle funkcjonalną metodą dla tych poetów, których podstawową obsesją stały się problemy zniewolenia świadomości przez orwellowską nowomowę, przez slogan i frazes polityczny, przez manipulację werbalną. Nurt zainteresowania tymi sprawami okazał się niezwykle płodny zarówno w naukach humanistycznych (m.in. warto tu wskazać bardzo udaną i wzbogacającą wiedzę o tych sprawach książkę TKN, wydana przez Niezależną Oficynę Wydawniczą: "Język propagandy") - jak i w poezji. To objaw pogłębiającej się samoświadomości społecznej, wrażliwości na mechanizmy manipulacji. Zastosowania tej wiedzy bywają niekiedy odległe od przyczyn, które wzbudziły zainteresowania tymi sprawami, zaautonomizowane, niemniej jednak bardzo harmonizujące z atmosferą i treściami społecznego i intelektualnego buntu, którego jesteśmy świadkami. Ficowski używa tej metody przy różnych okazjach, szczególnie zwraca ona uwagę w wierszach, które najbardziej zbliżają się do publicystyki przez swe dążenia do dosadnego scharakteryzowania sytuacji społeczeństwa. Tak jest więc np. w "Komentarzu bezruchu" (Komenda ruchu-komenda bezruchu; skojarzenie z instytucją policyjną ujednoznacznia interpretację wiersza, zbudowanego nb. kunsztownie z cytatów literackich). To zbliża go również warsztatowo do zbuntowanych poetów młodszego niż on pokolenia.

Szczególnie blisko publicystyki znalazł się Ficowski w cyklu wierszy "Z notesu". Tytuł ten uchyla ewentualne pretensje czytelnika, gdyby się przy nich upierał: wskazuje na pewną okazjonalność, dorywczość jakby tych wierszy, każe je umownie traktować raczej jako materiał jeszcze surowy niż jako skończone dzieło sztuki. Nie mniej jednak jest to tylko konwencja, wiersze te mają w tomiku te same prawa, co pozostałe. Tu można dostrzec również zarówno niebezpieczeństwa jak i sukcesy zbliżenia się do publicystyki na odległość już ryzykowną. Nie jestem wielobiciem wiersza I z tego cyklu (inc.: "w imię braterstwa ludów") ani III (inc.: "realne dochody") - mimo, że doceniam ich finezję, precyzję, warsztatową sprawność. Mają w sobie coś z dobrego felietonu; kto wie, czy nie czułyby się najlepiej wśród wiadomości i komunikatów prasowych jako komentarz pisany odmiennym językiem, odwołujący się do innych konwencji. Ale właśnie między te dwa wiersze wciśnął się trzeci (inc.: "O o frrr ptaszek leci") tak znakomity w koncepcji i brawurowej realizacji, że chciałoby się cofnąć wszelkie obawy dotyczące łączenia poezji z publicystyką. Teza o odwracaniu przez propagandystów uwagi współobywateli od spraw istotnych wówczas, gdy sytuacja staje się groźna ("kiedy Nic schwytane w garść)) staje się pięścią") - została wyrażona obrazem zarazem autonomicznym jak i bardzo czytelnym. By taki wiersz napisać - trzeba nie tylko mieć coś do powiedzenia, lecz rozporządzać też bardzo sprawną poetycką wyobraźnią, nieomylnie naryzującą obraz, sytuację, ton - i mieć poetyckie poczucie humoru; przede wszystkim: być wirtuozem języka (kapitałny anakolut - nieanakolut: "O już trąszkę go nie ma").

Niezwykle rezultaty osiąga Ficowski na tym właśnie skrzyżowaniu żonglerki autonomizującymi się mechanizmami języka - oraz poczucia humoru. Jest to w ogóle metoda, której bez poczucia humoru stosować nie można i która chyba w poczuciu humoru ma swoje korzenie. Majstersztykiem, oślniewającym i zarazem nieco żartobliwym pokazem sprawności prestidigitatora słów jest nostalgiczna trochę a trochę groteskowa "Ballada o trzech mooiumpańskich", podszyta gorzką wiedzą o historii narodowej, spointowana sarkastycznie: "gawron ich powita)) ptak jeszcze jednogłowy".

Poezja polska znowu - nic w tym nowego - towarzyszy narodowi w jego walce o niepodległość i wolność. "Znowu" może nie jest dobrym słowem: nigdy chyba nie przestała; były co prawda lata, gdy jej głos niepodległy dochodził do kraju raczej z zewnątrz, z Emigracji, słabo słyszany, zagłuszany - lecz znów budził się i tu u nas, na miejscu, gdy lody zdawały się tajać. Tym razem znowu wzbiera fala Tomik Ficowskiego, który do tej fali należy, jest szczególnie dobrym znakiem: to

najlepszy tomik tego dejrzałego i wysoce utalentowanego poety. Widać służy poezji nowa atmosfera ostrej walki o prawdę, o ludzką godność, o życie dla wolności i w wolności.

Jan Józef Lipski

L.D.

JÓZEK, JÓZEK, PO COŚ TY TAM CHODZIE?

Teatr Ósmego Dnia: "Ach, jak godnie żyliśmy". Kreacja zbiorowa pod kierunkiem Lecha Rączaka. Teksty własne. Czas trwania: ok. 45 min. Premiera: Poznań, kwiecień 1979.

Prasa nieoficjalna informowała już opinię publiczną o represjach spadających od pewnego czasu na poznański Teatr Ósmego Dnia. Dodam tyle, że w chwili gdy piszę te słowa, kilku aktorów tego teatru i jego dyrektor siedzą na ławie oskarżonych w sądzie wojewódzkim w Poznaniu. Zasiadają tak już któryś miesiąc, kilka razy w tygodniu, po kilka godzin, świadkami raczej będąc przesłuchań menadżerów firmy pt. "Spółki wodne"; przysypiają, tak zresztą jak mecenas, ławnicy, funkcjonariusze. Kto raz tam był, miał wrażenie, że drzemie także ów orzekł biały nad wysokim sądem, albo więcej - drzemie Polska cała, skacowana, głupia i zdziecinniała.

Jest atoli w skomplikowanych losach tego teatru dowód jakiś na potęgę sztuki, piszę: sztuki, bo w potęgę słowa mniej tu wierzą poeci niż luminarze totalitarnej propagandy czy nawet ci ludzie tyciej drszy i takiegoż rozumu - różni funkcjonariusze: policji politycznej, prokuratury, sądu i inni, którzy zamiast wybrać się na ostatni spektakl teatru pt. "Ach, jak godnie żyliśmy" marnują swoje życie na zagadywaniu prawdy na śmierć. Jest, powtarzam, budujący przykład, że Teatr Ósmego Dnia będąc w sytuacji sądzonego nie milczy, ale sądzi także, przy drzwiach otwartych dla wszystkich. Bo taki ich - przypomnijmy wysokim sądom - obowiązek społeczny i takie prawo jako artystów.

Słowo wróciło do teatru, który zaczynał kikanasie lat temu jako studencki teatrzyk poezji, a potem przetrwał to, co wniósł do teatru Grotowski, przedkładając w komunikacji pozawerbalny, międzynarodalny kod teatralny, co do niedawna jakby obowiązywało w teatrze awangardowym na świecie. W tym przedstawieniu podaje się teksty członków teatru - słowo poetyckie dobrej próby, a za tym słowem kryje się - jak dowodzi przedstawienie - bogata świadomość myślącego, nie zniewolonego umysłowo Palaka a.d. 1979.

Jest w tej świadomości Bóg. Wydaje się naturalne, że wielu myślących obywateli urodzonych w PRL stanęło wobec pytania o miarę rzeczy, ludzi i uczynków, a więc tego, co tworzy niesprawiedliwą, cyniczną i zakłamana tzw. otaczającą ich rzeczywistość. Tradycja, normy moralne, wszelkie odziedziczone przykazania zdają się nie wystarczać do godnego życia, kiedy to wszystko jest deptane tak powolutku,

ale konsekwentnie i skutecznie, mimo jawnych jednostkowych i zbiorowych sprzeciwów. Ani wiedza historyczna, polityczna, ani znajomość mniejszej czy większej prawdy nie starczy – trzeba wiary, jeśli jeszcze jest nadzieja. "Chciałem przedstawić naszą lokalną świętą. Świętą przegranej sprawy. Oto jest nasza matka, siostra i kochanka, nieśmiertelna krewna – ciocia nadzieja" – tak przedstawia się jedną z bohaterek na początku przedstawienia. Ale nawrócenie nie zmienia jakości codziennego życia, ani nie daje wewnętrznego spokoju. Bohater sztuki, Tadeusz wadzi się z Bogiem, bluźni jak Konrad w Wielkiej Improwizacji. To skojarzenie przychodzi nie tylko dzięki walorom literackim wzruszającego monologu. Taki czas przyszedł – zniecierpliwienia: Jak długo jeszcze? Jak długo jeszcze będziesz na to patrzył tylko, jeśli jesteś? Ale pytania takie nie padają wprost w tekście. W jednej ze scen poprzedzających wspomniany monolog bohaterowie ("zdobywcy niebiańskiej bastylji, komunardzi świętego Jeruzalem, pretorianie boży" – słyszymy w komentarzu) zrywają się do lotu z wysokich podestów – trzymają ich płócienne skrzydła uczeplone u sufitu. Scena bardzo efektowna, wymowna, przypominająca monumentalne pomysły sceniczne Wyspiańskiego. Bo dano dramat narodowy: obraz szaleństwa ogarniającego wszystkie sfery życia ludzi z wszystkich sfer społeczeństwa. W poprzednim spektaklu ("Przecena dla wszystkich") było pijaństwo, orgia, mord, dancinowa nędza, roztańczona i bełkocząca Polska. Tu mamy wizję aktualniejszą: wizję skacowanego, zatrutego organizmu społecznego. Szalone rozmowy, szalone decyzje administratorów, szalone ich zakamania i zrywy. Spektakl ten, kilka lat temu byłby, być może, klasyfikowany jako teatr absurdu. Rozwój rzeczywistości pozwala nam przedstawione wizje odbierać realistycznie, a dla całości szukać antenata nie w Witkacym, lecz raczej w Wyspiańskim.

Słowo ważne jest w tym przedstawieniu nie kosztem reszty tego, co tworzy teatr. Przeciwnie – to już nie "teatr ubogi". Walory widowiskowe zaskakują rozmachem (rzecz dzieje się "od podłogi do sufitu") i pomysłowością: jedno z ramion stołów złożonych w konferencyjną podkowę staje się nagle czymś w rodzaju taśmy produkcyjnej – wyjeżdżają na nie rzędy blaszanych samochodzików. Może to moloch "produkcji nade wszystko", a może, zważywszy dudniący hałas, jaki towarzyszy tej scenie, są to czołgi "stamtąd"? Jak kto chce, może to czytać: albo zalew produkcyjnej quasi-ideologii, albo hordy czołgów. Oba wszakże molochy bardzo pokrewne.

Jest muzyka – odtwarzana, więc jakby zgrzyt w stylistycznie konsekwentnym teatrze. Ale podobnie jak niegdysiejsza teza o dewaluacji słowa w teatrze, tak upieranie się przy maksymalistycznie pojmowanej czystości stylistycznej wydaje się już przestarzałe, bo najważniejsza okazuje się – jak zawsze – owa jedność treści i formy: w końcu ważne to, że każdy element teatralnego przekazu "gra", a nie staje. Muzyka w tym wypadku potęguje patos, który w rozśnieszającym czasem do łez spektaklu musi się, wobec wagi dramatu, pojawiać. Nie jest to już czas, kiedy żart kabaretowy był najskuteczniejszą bronią przed kłamstwem, hipokryzją i przemocą "nowomowy". Chwycono tu za broń "poważniejszą", mimo że przez cały prawie czas dochodzi do głosu genialny wprost komizm. Powiedzmy ściślej: tragikomizm. Bohater, nałożywszy na głowę insygnia władzy – pióropusz indiański, po kilkunastu minutach państwowotwórczego zapędu, podpieranego pochlebstwem podwładnych, pojmuje swoją samotność wśród pochlebców, którzy nie znają się nawet na sadzeniu ziemniaków, i zakamuje się nagle, wyznając wśród łkań: "Ja się nie znam na tym waszym planowaniu. Ja się nie znam na tych finansach, statystykach, zabiegach agrotechnicznych..." Łka całe jego biuro, a ktoś odzywa się: "Józek, Józek, po coś ty tam chodził... Tam... złe ludzie..."

Wraca nasz bohater, umarłszy uprzednio, z tej niby fikcji (a przecież tak prawdziwie rzeczywistej) do wcielenia bliższego osobie aktora (Tadeusz Janiszewski). Budzi się i wyłamuje się z gry zwraca po imieniu do aktora Kęszyckiego, który grzebie w jakiejś walizce:

– Marcin, to moje pamiętki... Zostaw...

– Gównno warte życie, gównno warte pamiętki – pada brutalna odpowiedź.

Skończyła się sztuka, kreacja, śmiech, wróciło życie. Teraz bohater szuka broni przed sobą, który zagraża sobie tym samym, czym kreowana dopiero zewnętrzna rzeczywistość – zwątpieniem, szaleństwem, unicestwieniem. Spadłszy z Giewontu cynizmu, jak się podnieść? I do czego? Toż to nie dantejska wycieczka piekłoznawcza,

to tutejsza codzienność... Więc te opowieści o sprawiedliwości społecznej, socjalizmie i jego świetlanej przyszłości, o krótkiej przyjaźni narodów to bajki, które były potrzebne do polityki? Na to wychodzi... A polityka to, wiecie-rozumiecie, rzecz trudna i pokrętna: strefy wpływów, Chiny, Trzeci Świat, przetrwanie substancji narodowej, nabrzmiałe wewnętrzne problemy, niezadowolenie pewnych grup, kwestia agrarna i niemiecka, Watykan, żydowskie sieci na całym świecie - skoro daliście się nabrać, widać że zasłużenie, to teraz róbcie, nawet w niedzielę i cichsza, a my was docenimy. Więc to tak? Tak ma być? Pada jednakże i taka kwestia:

"Widziałem kraj, gdzie na ulicach jest bardzo ciepło. Gwar, rozmowy. Muzyka. Dużo kwiatów. A tu tak smutno, pusto, zimno. Tak, jakbym już był w grobie... Precz!!! Osoby dramatu nie zostają wprowadzone do izby wytrzeźwień, ani odesłane do szpitala wariatów, ani wywiezione na cmentarz. Odchodzą od nas biadoląc "nie ma, nie ma, nie ma..." zmęczeni tak, że już zasnąć się nie da, ale jeszcze zdolni wycedzić:

"Jesteśmy wydziedziczonymi synami... Ale my (czytaj teatr) mamy prawo mówić. A wy macie prawo słuchać. Wszyscy - mamy prawo się z tym nie zgodzić!"

Zwróciłem tu uwagę może na to, co powierzchowne w tej teatralnej wypowiedzi, łatwiej czytelne. Uprzedźmy więc obawy: nie jest to spektakl o totalitarnej władzy (czy spektakl "antysocjalistyczny", jak o poprzednich doniosko lubelskie UB po którymś z festiwali). Rzecz jest o czymś ważniejszym - o losie niepokornego, myślącego człowieka, reprezentanta kilku pokoleń żyjących w powojennej Polsce i spadkobiercy kilku pokoleń dalszych, już historycznych. A może o czymś jeszcze - o przygodzie intelektualnej i duchowej naszego wieku? O kryzysie nowożytnej filozofii? Na początku przedstawienia bohater wznosi okrzyk "Boga nie ma!", podpierając to autorytetem Nadzieży Krupskiej, Lenina, Marksa, Engelsa i Feuerbacha. "Tomasz z Akwinu; Święty Augustyn... Bóg jest?!" "Nie ma!" - decyduje. To samo stwierdza na końcu przedstawienia, biadoląc "nie ma, nie ma, nie ma...", ale już jako-ktos inny - zawiedziony, zmęczony aktor i człowiek.

L.P.

LIST DO REDAKCJI

A JEDNAK DZIEWCZYŃKA Z ZAPAŁKAMI

Antoni Pawlak, autor opublikowanego w 9 nr-ze "Zapisu" opowiadania-reportażu pt.: "Książeczka wojskowa" pisze: "Mógłbym opowiedzieć o pewnej kantynie na poligonie. O tym jedynym kiosku na przestrzeni kilku kilometrów. O kawiarni na piętności stolików". A także o zimnym grudniu, mieszkaniu w niemal nie opalanych namiotach, niedostępności ciepłych pomieszczeń, w których mieszkała kadra, itp. złych warunkach egzystencji żołnierzy. Mógłby opowiedzieć, reflektuje się jednak: "Ale już dość. Może mnie ponieść i zamierzona chłodna relacja zamieni się w płaczliwą dziewczynkę (!?) z zapałkami...".

Niestety obawiam się, że młodemu pisarzowi nie udało się przed tym niebezpieczeństwem obronić.

I to bynajmniej nie dlatego, by jego tekst przeciążony był nadmiarem realiów "wojskowych". Może nawet - przeciwnie. W istocie z tej "chłodnej relacji" nie dowiadujemy się zbyt dokładnie, jak wojsko żyje. Autor wolał sprezentować dramatyczny konflikt pomiędzy mentalnością młodego, kulturalnego i wrażliwego człowieka, który "pisze wierszyki" i jest przedstawicielem pierwszego antymilitarystycznego pokolenia Polaków, a zaśniedziałym dryblem wojskowym i samowolą podoficerów - zjawiskami wielokrotnie już w literaturze dobrze i plastycznie przedstawionymi, tutaj, przynajmniej, wzbogaconymi pewną istotną specyfiką wojska "ludowego", do którego, rzecz jasna, przenika polityczny obyczaj najlepszego z ustrojów, bo socjalistycznego. (Otóż właśnie ta specyfika wydawałaby się najbardziej godna uwagi!).

Stało się tak, że reportaż o przymusowej służbie wojskowej przekształca się pod piórem Pawlaka w relację o stanie duszy młodego, przymuszonego do munduru człowieka.

Rozumiem, że egocentryzm jest dla młodego pisarza pokusą silną. Nic jednak nie poradzę na to, że jako czytelnika interesuje mnie akurat co innego; mentalność współczesnych dwudziestolatków jest mi (a tuzę, że większości czytelników "Zapisu") znana bądź poznaniu łatwiej dostępna, trudniej natomiast bez osobistych doświadczeń wyobrazić sobie praktyczne mechanizmy "przerabiania" współczesnego młodzieńca na żołnierza, owo osławione wychowanie polityczne, społeczne, a podobno i zawodowe, które się w wojsku dokonuje. Nie twierdzę, że Pawlak nie dostarcza tu pewnych interesujących informacji, sądzą wszakże, że po dwu latach "zbierania materiału" mógłby na ten temat powiedzieć znacznie więcej. Gdyby nie był tak bardzo zajęty sobą, swymi cierpieniami i przeżyciami, tak przejęty swoim indywidualnym, niepowtarzalnym, drastycznie odbijającym od żołnierskiego pospólstwa wnętrzem...

Rozczulanie się nad sobą nie jest postawą płodną ani w życiu, ani - jak sądzę - w literaturze. W literaturze reportażowej zaś czy raczej publicystycznej na tematy społeczne postawa taka wydaje się wręcz samobójcza, argumentem bowiem wagi społecznej może być los, postawa, recepcja z b i o r o w o ś c i . Indywidualny jej członek - autor, narrator, bohater relacji - z natury gatunku powinien stanowić tylko medium, środek, pole obserwacji psychosocjologicznej, słowem - pełnić rolę służebną, być sygnałem i zarazem przekaznikiem racji i odczuć szerszych.

Więc dał się w końcu ten Pawlak stłamsić, czy nie? - chciałoby się zapytać wprost, bez nadmiernej delikatności. Z relacji wynikałoby, że nie za bardzo; wszem, parokrotnie dość ostro "zawałczył" (sprawa sadystycznego znęcania się nad żołnierzem, upominanie się o pewne prawa własne i kolegów). I co? No i właśnie, jak gdyby nic. Szykany, które go w zamian spotykają (kontrola listów, rewizja na dworcu, trudności z uzyskaniem urlopu, pozbawienie funkcji w sądzie koleżeńskim),

wydają się mimo wszystko tak subtelne, że trudno je nawet nazwać represjami. Wydaje się, że w naszym życiu zwyczajnym, "cywilnym", za taki nonkonformizm płaci się drożej. Tu w wojsku jest jak gąbki odwrotnie; wydaje się, że woa niepokora i odmiennosc sposobu bycia naszemu bohaterowi wręcz profitują (lepsza pozycja, funkcja pisarza kompanijnego, nieco zindywidualizowane bądź co bądź traktowanie przez przełożonych), co, owszem, potwierdzać może tezę, że w najbardziej "demokratycznej" z armii zawsze lepiej nie być szarakiem.

Jakież są tedy pretensje Pawlaka do służby wojskowej? Po pierwsze - że istnieje. Opowiadanie zaczyna się od opisu, jak autor usiłował się wykręcić od wojska, w czym bezskutecznie "pomagało mu wielu ludzi" (rozmowa z komendantem sztabu dzielnicowego, Nestorem Krytyków i potem korespondencja z Pisarzem)^{***}. Ustosunkowani rozmówcy nie podzielają, i jak się zdaje, nie rozumieją niechęci młodego człowieka do munduru. Ja z kolei nie rozumiem, dlaczego ten brak zrozumienia aż tak Pawlaka drażni i dziwi, skoro nieco później zgryźliwie powie, iż pisarz jest do tego właśnie, by "wiedzieć, myśleć i wyobrazić sobie". Czy więc młodemu pisarzowi, Antoniemu Pawlakowi, tak trudno wyobrazić sobie, dlaczego ludzie starsi o 30 - 40 lat nie podzielają jego awersji do munduru z orzełkiem, choćby i nieco zdemontowanym? Dlaczego nie okazuje pełnego zrozumienia tej awersji młodego człowieka studiującego filozofię i "piszącego wierszyki" pokolenie, które ongi tęskniło za polskim wojskiem i marzyło o mundurze poświęcając walce talenty i życie? Racja, w innych czasach, odmiennych warunkach, specyficznym klimacie moralnym. Ale czy naprawdę nie można sobie wyobrazić, że taka biografia pokoleniowa nie sprzyja nadmiernemu zrozumieniu dla dzisiejszych pacyfistycznych dasów? (Czyż nie dojrzałszy stosunek do sprawy prezentuje choćby trzydziestolatek Jan Kelus, gdy na melodię akowskiej piosenki "Żołnierz drogą maszerował" śpiewa: "Boże, p o z w ó l i , b y m p o t r a f i ł , g d y o j c z y z n a m n i e z a w o ł a , z a m i a s t p i e r s i w y p i a ć . . . , b o t a n a f t a n i e j e s t m o j a"?).

W sytuacji międzygeneracyjnego nieporozumienia Pawlakowy raport z wojska byłby doskonałą okazją do wyjaśnienia, że dzisiejsza służba wojskowa to nie szkoła hartu i charakterów, nie przyteczny, acz trudny etap na drodze życiowego i społecznego dojrzewanania, lecz kolejna faza ucisku psychicznego i demoralizacji, macerowania sumień i charakterów, by sprowadzić je do przytecznego reżimowi stanu bierności, bezsilnej zgody, cynizmu i uległości haniebnym obyczajom politycznym. Jest i ten wątek u Pawlaka, przyznaje, i on jest najcenniejszy: przykłady szkolenia politycznego, na którym mówi się o religii lub o potrzebie czujności wobec zakusów militarystów zachodniemieckich; kaptowanie autora do ZMS i partii; jego niepokoję, że wojsko może zostać użyte do tłumienia rozruchów robotniczych w czerwcu; uwagi na temat ogólnej atmosfery w wojsku, pijactwa, cynizmu, braku wszelkiej idei, zastępowanej pragmatycznymi technikami, czyli wiedzą o tym tylko, jak się w życiu wygodniej urządzić; postrzeganie panoszącego się kłamstwa, brutalności, dezinformacji.

Autora, wszakże najbardziej wzburzać wydaje się co innego (powyższe bowiem niepokoję, szczególnie te związane z Radomiem i Ursusem, traktuje jako wyjątkowe, dane wyłącznie jemu jednemu). A więc podróż do jednostki była męcząca i pokorowi - przyszli koledzy - bardzo pijani. A więc w wojsku przemawia się do niego per "wy", mimo, że jest jeden. A więc nie wolno mu używać elektrycznej maszyny do golenia, tylko przydziałowego, prymitywnego "Juniora" za 45 zł., który kaleczy mu oblicze. Ciężkie ćwiczenia, bezmyślne zajęcia, nadużycia podoficerów, niedostateczna, a właściwie pozorna opieka lekarska. A więc koledzy prymitywni, pozbawieni ducha buntu i znajomości swych uprawnień. A więc koszmarny poziom, gdy tymczasem oficjalne pisenka dla żołnierzy nie nawiązują kontaktu z rzeczywistymi potrzebami

^{***} Nota bene, lekceważenie Pawlaka dla realiów każe mu pominać milczeniem dość zasadnicze pytanie: czemu został wzięty do wojska ze studiów, które wcale przepisów chronią przed służbą wojskową; wieść gminna niesie, że była to represja o charakterze politycznym, tekst przechodzi nad tą sprawą do porządku dziennego, jakże więc było? Nie jest rzeczą obojętną, czy autor usiłuje obronić się przed szykaną i aktem łamania praworządności czy też przed normalnym, acz niemiłym obowiązkiem.

czytelniczymi tego środowiska. (ta ostatnia sprawa, jak się zdaje powinna być raczej troską "Trybuny Ludu" niż Pawłaka-pacyfisty!). Żołnierz zmuszany jest do harówki niezgodnej z ustawodawstwem pracy i nie korzysta z zagwarantowanych prawem świadczeń socjalnych. A więc istnieje przepaść klasowa między żołnierzem zawodowym i tym z poboru. "Taki facet" - żeby posłużyć się cytatem - "może z tobą zrobić prawie wszystko". To w s z y s t k o oznacza w praktyce, że może: postawić cię w kolejce, zapędzić do pilnowania dzieci, kazać posprzątać w sklepie, w którym pracuje jego żona, posłać do sklepu po chleb, bo żonie się wstać nie chce, polecić malowanie mieszkania, kazać wytrzepać dywany, może też w każdy sposób cię obrazić i wymusić posłuszną akceptację: "tak jest, obywatelu poruczniku" - oraz kazać się człapać bez powodu, gdy brak innych rozrywek. Z rejestru tych dolegliwości tylko dwie ostatnie wydają się nieznośne naprawdę.

W efekcie, w Pawłakowej jeremiadzie mamy do czynienia ze sporym materii popłataniem. Pewien stopień brutalności i samowoli, jak sądzę, cechował stosunki wewnątrzwojskowe, podobnie jak chyba zawsze charakterystyczne dla nich były dewiacje wyobraźni erotycznej, duch prymitywnego kolektywizmu, skłonność do pastwienia się nad słabszymi lub odmiennymi, rubasność stylu i schamienie obyczajów. Spośród obserwacji Pawłaka mieści się w tej kategorii zastrzeżeń; być może, nieco większy ładunek tych zjawisk jest efektem bezideowości tego wojska, którego morale nie jest organizowane przez żadne ważne, nadrzędne, społecznie akceptowane cele ideowe.

Dziwne wszakże wydaje się stawianie na jednej płaszczyźnie tych potocznie z egzystencją wojskową związanych dolegliwości i drastycznego ograniczenia swobód obywatelskich (jak swoboda praktyk religijnych, dobrowolność udziału w wyborach), stymulowania pijaństwa (mimo oficjalnych zakazów), kultu kłamstwa i niekompetencji, uczenia cynizmu i aspołecznych postaw jako metody urządzania się w życiu.

Pretensje Pawłaka tak różnej rangi, ale sformułowane jak gdyby na jednym oddechu, wydają się koniec końców rejestrem żalów człowieka zmuszonego drastycznie obniżyć swój standard kulturowy i skazanego na konieczność obcowania z ludźmi z innej gliny.

Być może, udało się poborowemu Pawłakowi ocalić godność, o co tak troszczył się na wstępie swego pobytu w wojsku. Nie udało się wszakże ocalić poczucia wspólnoty z innymi, odnaleźć w innych ludziach śladu własnych obiekcji i wątpliwości. Taki indywidualizm wydaje się dla pisarza o orientacji społecznej groźny i dla twórczości jałowy. W czym imieniu ma on zamiar przemawiać, jeśli jego przeżycia wewnętrzne żywić się będą wyłącznie jego odmiennością, innością? Jeśli tak pieczołowicie, z takim zamierzaniem hodować będzie swą inność i niepowtarzalność?

I może jeszcze uwaga na temat psychologii odbiorcy. Czytelnik nie lubi być zbyt brawurowo o niczym przekonywany. Pawłak jeszcze, przed służbą wojskową ma do niej totalnie negatywny stosunek, a w toku służby będzie głównie zbierał argumenty ową niechęć wspierające, będzie je żmudnie kolekcjonował jak "przykłady do referatu", którego tezy z góry są znane. Nie daje więc niejako rzeczywistości żadnej szansy. Nie toczy z nią żadnych sporów, nie obnaża jej powoli i wytrwale, nie przekonuje nas, że istotnie żadna postać godziwej koegzystencji z tą rzeczywistością nie jest możliwa. Łamie to dramaturgię opowiadania i nieco zniechęca czytelnika urażonego na wstępie tezą, którą dopiero trzeba udowodnić. Powstaje pewien rozdźwięk pomiędzy emocjami autora i odbiorcy; gdy Pawłak silnie przyciska pedał oburzenia, czytelnik - bywa - nie zdążył się jeszcze nawet zirytować. Cenne są tu realia, fakty, informacje - tych bowiem czytelnikowi naszemu nie dostaje. Interpretacje i komentarze, którymi autor hojnie mnie częstuje, odbieram jako surogat w gorszym gatunku: głowę i wrażliwość czytelnik "Zapisu" ma jeszcze - na szczęście - własną. Nie trzeba mu więc może tak obcesowo sugerować, co powinien czuć i myśleć. W ogóle nie lubi się ludzi, którzy chcieliby nas nastroić na właściwy sobie ton oburzenia; każdy ma i chce zachować własny próg wrażliwości. Dlatego cenniejsza od ekscytacji jest istotnie "chłodna relacja".

G.W.

P.S. Pocięgą jest rewelacyjny w tymże n-rze "Zapisu" szkic Michnika "Gnidy i anioły" (napisany pod pretekstem z Wierzbickiego "Traktatem o gnidach", istotnie

polemiki wymagającym) i w ogóle pewien obecny w tym numerze ton autotematyczny pi-
sma: w tej grupie publikacji artykuł Szarugi o literaturze opozycyjnej oraz - po-
niekąd - wiersze Barańczaka "Kątem u siebie". Wnikliwa autorefleksja i (opanowana
w imponującym stopniu przez A. Michnika) umiejętność spojrzenia krytycznego także
na samego siebie i na własne działanie, świadomość zagrożeń, jakie płyną z situa-
cji moralno-społecznej, w której znajduje się opozycja, wyrażają mi się w opozycyj-
nym myśleniu wątkiem szczególnie płodnym i szlachetnie brzmiącym. A także nieod-
zownym. Błogie przeświadczenie, że świat jest czarnobiałym, a błąd przynależny wy-
łącznie wrogom, "braliśmy" już w szkole najnowszej historii, z tragicznym skut-
kiem. Tylko krytycyzm nie reglamentowany podziałami politycznymi może sprawić, by
opozycja stała się w pełni wartościową myślowo i etycznie alternatywą.

K R O N I K A

Trzy lata "Zapisu"

"Zapis" nr 1 ukazał się z datą: styczeń 1977. Nie zakładaliśmy z góry, jak długo i z jaką częstotliwością będziemy wydawali nasze nieocenzurowane czasopismo literackie - życie zdecydowało o dalszym istnieniu "Zapisu", okoliczności zaś redagowania i kolportowania utrwaliły jego formułę wydawniczą. W ciągu trzech lat ukazało się 12 numerów (po cztery rocznie); i oto tym numerem - trzynastym, datowanym: styczeń 1980 - wchodzimy w czwarty rok istnienia.

W tym okresie drukowało w "Zapisie" około 100 autorów - przeważnie krajowych, ale także emigracyjnych i zagranicznych; każdy numer przynosił nowe nazwiska (również i ten nie stanowi wyjątku).

"Zapis" ukazuje się najpierw, staraniem redakcji, w niewielu egzemplarzach maszynopisu (i tego pierwszego nakładu "redakcyjnego" dotyczy w zasadzie data każdego numeru). Te egzemplarze stanowią podstawę do dalszego przepisywania i powielania, a przede wszystkim - do dwóch wydań bardziej masowych: krajowego i zagranicznego. Naszym wydawcą w kraju jest Niezależna Oficyna Wydawnicza. Do normalnych trudności technicznych, finansowych etc., które musi pokonywać, dochodzą przesładowania policyjne; na przykład prawie cały nakład "Zapisu" nr 9 - jak już podawaliśmy - został w maju r. 1979 zarekwizowany; produkcję podjęto od początku - i rewizja, połączona z zabranieniem materiałów oraz zatrzymaniem na 48 godzin drukarzy, znowu udaremniła ukazanie się numeru; wydawnictwo przystąpiło do prac po raz trzeci - i w rezultacie "Zapis" nr 9 dotarł do rąk szerszego odbiorcy w kraju, ale z wielomiesięcznym opóźnieniem, już po numerze 10 i 11.

Naszym wydawcą zagranicznym jest "Index on Censorship", czasopismo wychodzące w Londynie i poświęcone walce z cenzurą (i z wszelkim zniewoleniem umysłów) na całym świecie. W poprzednim "Zapisie" postaraliśmy się nieco dokładniej opowiedzieć czytelnikom o "Indexie" - i zwłaszcza o nie dotyczących nas bezpośrednio aspektach jego działalności. W chwili, kiedy przygotowujemy tę kronikę, nakładem "Indexu" ukazało się już dziesięć numerów "Zapisu", które rozeszły się po całym świecie, a wiele egzemplarzy dotarło również do Polski.

Za zgodą "Indexu", który upoważniliśmy do reprezentowania naszych praw za granicą, poszczególne pozycje z "Zapisu" przedrukowują czasami "Wiadomości" londyńskie. Przedruki i tłumaczenia zamieszczały również inne czasopisma na świecie, przede wszystkim sam "Index". Kolejne numery relacjonowano (przytaczając niektóre teksty w całości lub we fragmentach) w audycjach polskich Radia Wolna Europa. Omówienia "Zapisu" ukazywały się w "Kulturze" paryskiej, w londyńskim "Aneksie" i nowojorskim "Nowym Dzienniku", w rosyjskim emigracyjnym "Kontynencie", w kwartalniku amerykańskim "The Polish Review", w "Neue Zürcher Zeitung", w "Cahiers de l'Est" oraz w innych gazetach i czasopismach, których nie mamy możliwości tu wyliczyć.

W przygotowaniu są wydania książkowe - niemieckie i angielskie - materiałów wybranych z pierwszych numerów "Zapisu".

Papieska "Więź"

Z dość znacznym opóźnieniem ukazał się 7-8 (lipiec-sierpień 1979) numer "Więzi", poświęcony dziewięciu dniom Jana Pawła II w Polsce, ale czytelnicy nie uznali go za zdezaktualizowany; jak od pewnego czasu wszystkie numery katolickiego miesięcznika, i ten też rozkupowano spod lady, a poszczególne egzemplarze osią-

gnęły na czarnym rynku ceny wprost zawrotne.

Numer zawiera komplet ważniejszych homilii i przemówień Papieża w Polsce, 100-stronicowy reportaż 6 autorów (w tej liczbie redaktora naczelnego "Więzi", Tadeusza Mazowieckiego) z całej wizyty, odpowiedzi 36 osób na ankietę "O wizycie Papieża - obserwacje, przeżycia, refleksje" (Jerzy Zagórski odpowiedział mową wiązaną) oraz dokumentację fotograficzną.

W reportażu i ankiecie nie obeszło się bez ingerencji cenzury (i one to zapewne przyczyniły się do opóźnienia numeru); m.in. skonfiskowano w całości odpowiedź Kazimierza Dziewanowskiego - publikujemy ją przeto w "Zapisie".

Tekstów samego Ojca Świętego cenzura nie tknęła. Są to teksty autoryzowane, niekiedy różniące się nieco od wariantów publikowanych gdzie indziej. Tak w przemówieniu do Episkopatu Polski na Jasnej Górze 5 czerwca 1979 roku znaleźliśmy m.in. takie, wcześniej nie ogłoszone zdania: "Najto, aby Stolica Apostolska mogła prowadzić dialog z państwami, z ustrojami, Kościół lokalny musi być tym bezpośrednim partnerem dialogu, z którym się licza, który nie reprezentuje żadnych konformizmów, żadnych ustępstw w sprawach istotnych: który nie jest narzędziem". I: "Państwo nie jest tylko władzą człowieka - ma pomagać i służyć człowiekowi; winno być wyrazem pełnej suwerenności narodu, a nie suwerenności własnej struktury w stosunku do narodu".

S O S - Scientists for Orlov and Shcharansky

Otrzymaliśmy informacje o mało u nas znanej, bardzo zaś od niedawna aktywnej organizacji uczonych amerykańskich o takiej właśnie nazwie. Powstała ona w marcu 1979 z inicjatywy grupy fizyków Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley. W jednym ze swoich dokumentów pt.: "Statement of Conscience" (Wyznanie wiary) "podpisani członkowie amerykańskiej społeczności pracowników nauki" deklarują zaprzestanie wszelkiej osobistej współpracy ze Związkiem Radzieckim do chwili wypuszczenia skazanych na długie lata więzienia fizyków Jurija Orłowa i Anatola Szczańskiego. "Declaration of Principles" (Deklaracja zasad) zawiera bardziej szczegółowe zapowiedzi takich działań, jak bojkot konferencji międzynarodowych w ZSRR, a w Ameryce nie uczęszczanie na wykłady gości narzuconych przez stronę radziecką. "Zamierzamy kontynuować te działania, dopóki rząd radziecki dowodnie nie wykaże, że dąży do ograniczenia prześladowania i nękania naszych radzieckich kolegów". W chwili ogłoszenia SOS pod pierwszym dokumentem figurowało 1750 podpisów, pod drugim 660 (podpisy nie pokrywały się ze sobą). Wśród sygnatariuszy znalazło się 13 laureatów Nagrody Nobla i 113 członków Amerykańskiej Akademii Nauk.

Obserwatorzy zwracają uwagę, że zasięg protestu nie ma precedensu w historii nauki; chodzi zresztą nie tylko o zatroskanie losem dwu wymienionych fizyków; podejmując walkę o ich ocalenie, dostrzeżono też jej szerszy i trwalszy kontekst. W ulotce informacyjnej SOS czytamy: "... kwalifikacje uczonych amerykańskich odwiedzających Związek Radziecki były w zasadzie wysokie, podczas gdy w skład delegacji radzieckich wchodzi zazwyczaj wielu uczonych pośledniejszej miary, którzy są w ten sposób wynagradzani za lojalność polityczną. Dużej części najwybitniejszych rosyjskich uczonych nie pozwolono wyjechać za granicę..."

Akcja SOS przyniosła już widoczne rezultaty. Wiele konferencji naukowych w ZSRR odbyło się bez przedstawicieli nauki amerykańskiej oraz ze zmniejszoną reprezentacją uczonych z Europy Zachodniej. Również w samej Ameryce uchwały SOS mają istotny wpływ na zachowanie się pracowników nauki wobec nieproszonych gości radzieckich.

TKN w trzecim roku pracy

Towarzystwo Kursów Naukowych podało do wiadomości, że w roku akademickim 1979-1980 zamierza prowadzić w Warszawie głównie zajęcia seminaryjne o stałym składzie uczestników oraz jeden cykl wykładów otwartych z najnowszej historii Polski. Oto zaprojektowane tematy seminariów: Polska myśl polityczna XX w. (Marcin

Król); Kwestia rolna i ruch ludowy w Polsce XX w. (Zdzisław Szpakowski); Stosunki polsko-żydowskie od r. 1918 (Władysław Bartoszewski); Postawy światopoglądowe inteligencji polskiej od r. 1945 (Adam Michnik); Z dziejów najnowszych kościoła katolickiego (Bohdan Cywiński); Aksjologiczne podstawy polityki (Jerzy Jedlicki); Etyczne problemy nauki (Stefan Amsterdamski); Moreliści współcześni: Nietzsche, Scheler, Camus (Hanna Buczyńska); Ruch społeczny jako środowisko wychowawcze (Jacek Kuron); Polityka gospodarcza PRL (Waldemar Kuczyński); Sztuka czytania gazety (Krzysztof Wolicki); Literatura polska na emigracji od r. 1939 (Zdzisław Łapiński); Literatura rosyjska XX wieku w kraju i za granicą (Andrzej Drawicz).

Ogłoszono powołanie przez TKN Kasy Pomocy Naukowej. Będzie ona przyznawała stypendia absolwentom wyższych uczelni, mającym kwalifikacje do podjęcia pracy badawczej, a nie dopuszczonym do niej w normalnym trybie. Kasa może również subsydiować w razie potrzeby ważne badania, ekspertyzy lub opracowania podręcznikowe. Przewodnictwo rady Kasy Pomocy Naukowej w pierwszej kadencji objął członek PAN, profesor biologii Władysław Kunicki-Goldfinger.

Pierwszy odczyt otwarty pt. "Polskie państwo podziemne w latach 1939-1945" wygłosił 2 listopada r. 1979 Władysław Bartoszewski.

Tuż przed rozpoczęciem wykładu wkroczyli do lokalu przedstawiciele wydziału wydziału spraw wewnętrznych St. Rady Narodowej w towarzystwie funkcjonariuszy SB oraz mundurowych milicjantów i wezwali obecnych do rozejścia się, ponieważ "zebranie jest nielegalne". Gdy wezwania tego nikt nie usłuchał, wycofali się, zagrożony odpowiedzialności administracyjno-karną wszystkim, którzy pozostaną, po czym sam wykład odbył się bez przeszkód.

Dnia 20 listopada r. 1979 Kolegium Orzekające Dzielnicy Mokotów skazało Władysława Bartoszewskiego i Piotra Naimskiego "za zorganizowanie i prowadzenie nielegalnego zebrania" na grzywny po 5000 zł. każdego (z zamianą dla Naimskiego - w razie nieściągalności - na 50 dni aresztu). Kolejny wykład - "Dylematy Kościoła Katolickiego w okresie międzywojennym" Bohdana Cywińskiego - został 23 listopada udaremniony przez interwencję milicji. Przeszkodzono również odbyciu dwóch wstępnych seminariów Władysława Bartoszewskiego i Jerzego Jedlickiego.

Rocznica Września w PEN-Clubie

6 września 1979 roku poświęcono zebranie w Polskim PEN-Clubie wypowiedziom pisarzy-członków Kampanii Wrześniowej. Swoimi wspomnieniami i refleksjami w 40-lecie wybuchu wojny podzielili się Lech Bądkowski, Marian Brandys, Jan Józef Szczepański, Jacek Woźniakowski i Juliusz Żuławski. Pomędzy wszystkimi tymi istotnymi głosami największe bodaj wrażenie wywarła na słuchaczach wypowiedź Lecha Bądkowskiego, z której przytaczamy jeden fragment:

"Dla bojaźliwych nie ma litości. Chcę zatem powiedzieć wyraźnie, świadom odpowiedzialności, w czterdziestolecie początku wojny narodów świata, w którą wejść musieliśmy dla obrony Rzeczypospolitej Polskiej: czas na rzeczywiste pojednanie między Polakami i Niemcami. Czas, aby zwłaszcza ci, którzy przeżyli ów kateklizm, zrzucili z siebie więzy nienawiści; obowiązek dania przykładu należy - moim zdaniem - do tych, którym walczyć wypadło twarzą w twarz. Chciałbym, aby obchód wybuchu wojny, jak też jej końca, umacniał w nas wolę wzajemnego zrozumienia, które jest podwaliną pokoju i pogodzenia się, i chciałbym, żeby nie rozjątrzał w nas uczuć wrogich - przeciw komukolwiek; żeby najgorsze w historii Polski doświadczenie nie porażało naszej wyobraźni, która wspólnie z rozumem musi pracować na rzecz przyszłości. Pamiętać o wszystkim - tak; nienawidzić - nie".

Zebranie wrześniowe było jednym ze znamienych dla aktywności Polskiego PEN-Clubu spotkań związanych z ważnymi i dramatycznymi datami najnowszej historii Polski. W miesiąc później, 5 października, dla uczczenia 35-lecia Powstania Warszawskiego, Władysław Bartoszewski mówił w PEN-Clubie o "Słowie Powstania"; prelekcję ilustrowały teksty - często mało znane - w wykonaniu Ewy Beneszi Ryszarda Żuromskiego.

BBC ukarana

Popularna w Polsce od czasów minionej wojny Brytyjska Korporacja Radiowa (British Broadcasting Corporation) - BBC - przygotowała na czterdziestą rocznicę Września wystawę "BBC w czasie wojny i w okresie pokoju". Pięknie wydrukowane zaproszenie, które otrzymało wielu przedstawicieli świata kulturalnego stolicy, zawiadamiło, że otwarcie wystawy i przyjęcie z tej okazji odbędzie się w Klubie Dziennikarza "Galeria" w Warszawie, przy Placu Zwycięstwa 7, w sobotę 1 września 1979 o godzinie dziesiątej. Jakież było zdumienie przybyłych, kiedy zastali drzwi klubu zamknięte, a przed nimi - posępnych i nierozmownych cerberów ze znaczkami "Interpress" w klapie. W tej samej sytuacji, co polscy goście, znaleźli się ci, którzy przyjechali specjalnie z Londynu, a wśród nich - Sir Hugh Greene, który przed czterdziestu laty nadawał był korespondencje do BBC z oblężonej Warszawy... Jak się później okazało, w przeddzień zapowiedzianego otwarcia zlustrowała wystawę komisja na czele z dyrektorem Jerzym Teplim z Telewizji Warszawskiej i wykryła pomiędzy eksponatami czasu wojny "niewłaściwe" zdjęcia, m.in. generałów Andersa i Maczka. Za niechęć do przykrawania historii musiano więc BBC ukarać.

Pożegnanie Walendowskich

Przez dwa niezwykle sezony - 1977-1978 i 1978-1979 - mieszkanie państwa Anny Erdman i Tadeusza Walendowskiego w Warszawie przy ul. Puławskiej 10 m. 35 (dawne mieszkanie Melchiora Wańkowicza, którego wnuczką jest pani Erdman) należało do najżywszych i najsympatyczniejszych ośrodków niezależnego życia kulturalnego; nazywano je nawet - może trochę szumnie, ale w gruncie rzeczy trafnie - "Salonem Kultury Niezależnej". Co drugą środę odbywały się tu spotkania z ludźmi kultury, pisarzami, publicystami, redaktorami niecenzurowanych czasopism, ideologami różnych kierunków - mniej i bardziej udane, spokojne i wybuchowe, a niekiedy takie, że szpilki nie wetknęłyby się w tłum słuchaczy i uczestników dyskusji. Stałym składnikiem tych zgromadzeń była serdeczność gospodarzy, ich prostota, brak pozycji - i dzielona z bywalcami środowiska wieczorów wiara w potrzebę takiego obcowania między ludźmi, wspólnego zapoznawania się z wyobraźnią i myślą twórców kultury, swobodnej i autentycznej rozmowy. W tej kronice wielokrotnie relacjonowaliśmy spotkania u Walendowskich, podawaliśmy nazwiska prelegentów, czasami - kiedy dyskusje wydawały się nam obdarzone szczególniejszym znaczeniem - omawialiśmy je dokładniej. Również "Zapis" miał swój wieczór u Walendowskich; i po nim także pozostał ślad w kronice.

1 września 1979 roku państwo Walendowscy wraz z dziećmi - Dawidem i Eliaszem - opuścili Polskę, odlatując do Stanów Zjednoczonych, gdzie pani Anna się urodziła, ma rodziców i skąd przed kilku laty przybyła na studia medyczne do Polski. Studia te ukończyła, a specjalizować się będzie już w USA. Tadeusz Walendowski jest absolwentem Szkoły Filmowej w Łodzi, ale mimo talentu i energii nie mógł tutaj podjąć pracy w zawodzie. Był współautorem wielu ważnych inicjatyw, rzutkim redaktorem "Pulsu", współpracował także z "Zapisem", organizowanie zaś i prowadzenie wieczorów we własnym mieszkaniu - rzecz na pozór skromna - wymagało wielu wysiłku i inteligencji; dzielnie go w tym wspierała żona, a dzieci kręcące się pod nogami dodawały imprezom uroku intymności rodzinnej.

W liście pożegnalnym, rozesłanym do osób, które uczęszczały były na Puławską, państwo Walendowscy piszą: "Dziękujemy wszystkim, którzy nas odwiedzali oraz tym, którzy zechcieli podzielić się z nami swymi utworami i przemyśleniami. Życzymy powodzenia naszym następcom".

A my - dziękujemy gościnnym gospodarzom i animatorom życia kulturalnego; będzie ich nam brakowało w Warszawie.

II Tydzień Kultury Chrześcijańskiej we Wrocławiu

W siedmiu kościołach wrocławskich i w Klubie Inteligencji Katolickiej (przy placu Marksa 22) odbywały się w dniach 21-28 października 1979 - pod protektora-

tem Księdza Arcybiskupa Gulbinowicza - imprezy Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej. Wymienimy niektórych prelegentów i tytuły prelekcji (na ogół wygłaszanych parokrotnie w różnych miejscach): O. Jacek Salij OP - "Co to znaczy wyznawać Chrystusa przed ludźmi?"; Stanisław Stomma - "Mesjanizm, patriotyzm, nacjonalizm"; Stefan Kurowski - "Efektywność i alienacja pracy"; Władysław Bartoszewski - "Moralno-historyczne wartości Powstania Warszawskiego"; Władysław Czapliński - "Religijność polska w okresie reformy katolickiej"; Adam Stanowski - "Chrześcijańska odpowiedzialność za kulturę w świetle encykliki Redemptor Hominis"; Adolf Juzwenko - "Lewica - zabory - niepodległość"; ks. Michał Heller - "Czas kosmosu i czas człowieka"; Stefan Kisielewski - "Literatura polska w kraju i za granicą"; Stanisława Grabska - "Biblijne podstawy chrześcijańskiej koncepcji praw człowieka". Ponadto Ewa Benesz recytowała "Psalmy przyszłości" Zygmunta Krasińskiego, a Maciej Rayzacher - wiersze angielskich poetów metafizycznych w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka.

NOWA na Targach Książki we Frankfurcie

W nieogarnionym morzu barwnych okładek, efektownych tytułów, głośnych lub dopiero chcących stać się głośnymi nazwisk, w tym wszystkim, co - jak pisała prasa - na tegorocznych Targach Książki we Frankfurcie nad Menem (10-15 października 1979) oszczędziało i zbijało z tropu rzesze zwiedzających, przyciągały niekiedy uwagę "oazy" wydawnictw skromniejszych i mniej kolorowych, ale których osiągnięcia odbierano jako uderzające i nawet fascynujące. Tak rzecz się miała - jak podaje m.in. "Die Welt" z 15 października - z ekspozycją Niezależnej Oficyny Wydawniczej w hali 5 na stoisku R 923. Publiczność miała możliwość zobaczyć na własne oczy swojskie dla wielu czytelników w kraju, ale egzotyczne dla ludzi ze świata innego niż nasz, druki NOWEJ, samym swoim wyglądem świadczące o warunkach, w których powstają, jak również o wysiłku, pomysłowości i kunszcie, wkładanych w ich produkcję. Dostępne były również prospekty w języku polskim i niemieckim, zminiaturyzowane odbitki z gazet, które pisały o Niezależnej Oficynie Wydawniczej i t.p. materiały. Do zorganizowania ekspozycji we Frankfurcie przyczyniło się wydawnictwo londyńskie Polonia Book Fund.

Cenzura na Targach Książki w Warszawie

Z artykułu Edwarda Puacza w "Kulturze" nr 9-1979 dowiadujemy się o działalności cenzury PRL na 24-ych Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie w maju 1979. Puacza - księgarza i wydawcę polonijnego z Chicago - przedstawiliśmy czytelnikom w poprzedniej kronice "Zapisu" z okazji wydania przez niego zbioru opowiadań Marka Nowakowskiego "Tutaj całować nie wolno". Ten właśnie tytuł, wraz z 19 innymi, usunięto ze stoiska Księgarni "Polonia": stanowiło to 25% całej jej ekspozycji. "Weryfikacja - pisze Puacz - odbywała się bez naszej obecności... Nawet bez pokwitowania". Oto zaś parę innych tytułów spośród usuniętych: "Kronika życia Józefa Piłsudskiego" W. Jędrzejwicz, "Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie" M. Danilewicz-Zielińskiej, "Ziemia Ulro" Cz. Miłosza, "Moje dzwony Trzydziestolecia" S. Kisielewskiego, "Jan Paweł II - syn Narodu Polskiego"...

Wokół "Blaszanego bębenka"

"Blaszany bębenek" Guntera Grassa stał się jednym z bestsellerów Niezależnej Oficyny Wydawniczej w roku 1979.

Oryginał niemiecki ukazał się równo dwadzieścia lat wcześniej, a niedługo po nim - liczne tłumaczenia na wiele języków świata. Również przekład polski tej wybitnej książki powstał stosunkowo szybko (autorem przekładu był Sławomir Błaut), a fragmenty drukowane w czasopiśmie zdawały się zapowiadać jej rychłe wydanie. "Blaszany bębenek" znalazł się w planach Państwowego Instytutu Wydawniczego. Mi-

jały jednak miesiące i lata, wydano już w Polsce następną, skądinąd mniej reprezentatywną powieść Grassa pt. "Kot i mysz", a "Błaszanego bębenka" ciągle nie było. Zaczęły natomiast pojawiać się ataki prasowe na nie wydaną książkę: na samym początku Wojciech Żukrowski ogłosił, że to utwór antypolski, a po kilku latach Michał Miśiorny - że obraża on uczucia religijne katolików. Do opinii publicznej przeciekały tymczasem wieści, że w pertraktacjach toczących się pomiędzy wydawcą a pisarzem nie podnosi się bynajmniej kwestii rzekomych akcentów antypolskich czy antykatolickich (których w książce nie ma; Grassa cechuje raczej swoiste zafascynowanie polskością), lecz żąda się usunięcia pewnych szczegółów związanych z wkroczeniem Armii Czerwonej do Gdańska w roku 1945 - z wyglądem i zachowaniem jej żołnierzy - m.in. miało chodzić o wesz na koźnierzu czerwonoarmisty...

Grass nie należy do autorów, którzy łatwo przystają na cenzurowanie swojej twórczości, sprawa utknęła przeto na martwym punkcie.

Wreszcie we wrześniu 1978 roku doszło do spotkania niemieckiego pisarza z kierownikiem Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Pod koniec rozmowy Grass wręczył Mirosławowi Chojeckiemu egzemplarz "Błaszanego bębenka" (Sammlung Luchterhand, Sonderausgabe) z następującą dedykacją: "Nah em die deutsche Ausgabe der 'Blechtrömel' so viele Leser gefunden hat, bin ich, als Autor, der Meinung, dass endlich auch die polnischen Leser mein Buch lesen sollten." (Skoro wydanie niemieckie 'Błaszanego bębenka' znalazło tak wielu czytelników, uważam jako autor, że i czytelnicy polscy powinni wreszcie przeczytać moją książkę"). Niezależna Oficyna Wydawnicza podjęła się zadania, którego nie wykonali spętani przez cenzurę wydawcy oficjalni.

4 października 1979 r. Chojecki pisał do Grassa: "Mija rok od chwili, gdy w Gdańsku rozmawialiśmy na temat możliwości wydania Pańskiej powieści 'Błaszanego bębenka'. I oto kilka egzemplarzy polskiego wydania tej wspaniałej książki, ukrytych głęboko w torbach podręcznych, za kilkanaście godzin przekroczy granice Polski".

I dalej, po charakterystyce sytuacji wydawniczo-cenzuralnej w Polsce i związką zreferowaniu działalności Oficyny: "Dzisiaj 'Błaszanego bębenka' jest już właściwie bezpieczny. Znajduje się w setkach rąk i policja polityczna nie może już przeszkodzić w jego wrastaniu w świadomość Polaków. Ale na przestrzeni tego roku, kiedy książka była drukowana, kiedy prowadzono prace introligatorskie, dwukrotnie był jej być zagrożony. Po raz pierwszy na początku bieżącego roku, w ostatniej chwili przed rewizją udało nam się przez płwnice wynieść wydrukowaną już część nakładu. Po raz drugi w kwietniu bieżącego roku przerwane zostały alarmem prace introligatorskie. Nasza 'obstawa' zabezpieczająca miejsce pracy w porę dostrzegła wzmocniony ruch mundurowej policji i tajnych agentów. Na dwie godziny przez rewizją zdołaliśmy ukryć cały nakład książki. Nie udało nam się niestety ukryć zszywacza, który został skonfiskowany w trakcie rewizji. Jest to powód, dla którego Pańska książka ukazała się w dwóch częściach, a nie, jak planowaliśmy, w jednym tomie. Z braku dużego zszywacza nie mieliśmy możliwości oprawienia tak grubej książki. Jak widać, wydanie w tych warunkach pozycji w dużym nakładzie wymaga mnóstwa dodatkowej, zupełnie nie wydawniczej pracy".

W ostatnich zdaniach listu Chojecki w imieniu własnym i przyjaciół gorąco dziękuje Grassowi za wyrażenie zgody na opublikowanie "Błaszanego bębenka" w tym wydawnictwie. Dzięki wydaniu "Błaszanego bębenka" przez NOWĄ - w jeszcze jednym punkcie przekamana została izolacja czytelnika polskiego od współczesnej literatury europejskiej.

Nowe wydawnictwo literackie

W Poznaniu powstało nowe wydawnictwo niecenzurowane pn. Witrynka Literatów i Krytyków. W anonsie "Witrynki" czytamy, że pragnie ona spopularyzować teksty literackie, a także z zakresu krytyki sztuki i eseistyki, które nie zostały przyjęte do druku przez wydawnictwa państwowe, zaś "w doborze tekstów posługuje się jedynie indywidualnym kryterium artystycznym i merytorycznym".

Pierwsze trzy pozycje nowego wydawnictwa - to "100 wierszy" E.E.Cummingsa w wyborze i przekładzie Stanisława Brańczaka, "Elegie bukowskie" i inne wiersze" Bertolta Brechta w wyborze i przekładzie Ryszarda Krynickiego oraz wiersze Lecha Dymarskiego pt. "Za zgodą autora". Cummingsa pięknie zilustrował Stanisław Piotrow-

ski, Brechta i Dymarskiego - Wojciech Wążyński. W zapowiedziach: "Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia" Barańczaka.

Warianty węgierskiego "Zapisu"

Balazs Rab, omawiając na łamach "Index on Censorship" (nr nr 4 i 6 z roku 1978) dwie publikacje zbiorowe budapeszteńskiego samizdatu, skójarzył pierwszą z nich, zatytułowaną "Profil", z "Zapise". Miał zapewne na myśli głównie początki "Zapisu", ponieważ "Profil" jest zbiorem tekstów przeznaczonych do druku w wydawnictwach oficjalnych i nie przepuszczonych przez sito cenzury. Odrzucając je, redakcje używały często pretekstu, że "nie mieszczą się w ich profilu" - stąd nazwa całości. "Profil" składa się z dwóch tomów po kilkaset stron każdy: pierwszy zawiera wiersze, opowiadania, eseje na tematy ogólne, osobiste, literackie, estetyczne, filozoficzne; drugi - prace socjologiczne, o charakterze zarówno empirycznym, jak i teoretycznym. W zbiorze, zredagowanym przez Jánosá Kenediego, uczestniczy 34 autorów, oto niektóre nazwiska: Szabolcs Várady, Mihály Kornis, György Petri, Zsolt Csalog, Miklós Fogarassy, Pál Juhász, Júlia Szalai, Miklós Haraszti.

Drugi zbiór, omówiony przez "Index on Censorship", nosi charakter monotematyczny i zatytułowany jest "Marks w czwartej dekadzie" - to rezultat ankiety na temat marksizmu, rozpisanej przez Andreása Kovácsa wśród młodych filozofów, historyków i innych humanistów. Odpowiedziało 21 osób, w tej liczbie również niektórzy uczestnicy "Profilu", jak Kenedi, Haraszti i László Beke. Większość uważa, że marksizm przynajmniej w krajach socjalistycznych, załamiał się; wypowiedzi poświęcone są próbom analizy tego zjawiska i dalszym perspektywom inteligencji węgierskiej.

Artykuły Balazsa Raba w tłumaczeniu z angielskiego przedrukowane zostały w "Pulsie" nr 6. Streszczając zawarte w nich informacje o węgierskich inicjatywach pozacenzuralnych, dodajmy, że inicjatywy te, pochodzące jeszcze z końca roku 1977, o ile wiemy, nie miały na razie dalszego ciągu, a w każdym razie nie przeistoczyły się w wydawnictwa periodyczne. Być może, odegrał tu pewną rolę fakt, że niektórzy spośród ich animatorów wyjechali tymczasem za granicę.

"Mr. Cogito" wydał Barańczaka

Kilka lat temu powstało w Stanach Zjednoczonych czasopismo "Mr. Cogito" i wydawnictwo tegoż imienia. Nazwa nawiązuje, oczywiście, do twórczości Zbigniewa Herberta i wartości, reprezentowanych w kulturze współczesnej przez jego bohatera. Chociaż związane z jednym z mniejszych uniwersytetów amerykańskich (Pacific University, Forest Grove), czasopismo i wydawnictwo, o którym mowa, w tej chwili bardzo się już liczy w skali całego kraju i za granicą.

Ostatnio nakładem "Mr. Cogito Press" ukazał się niewielki, ale pięknie opracowany graficznie, tomik Stanisława Barańczaka pt. "Where did I wake up?". Tłumacz, Frank Kujawiński, był swego czasu lektorem w Instytucie Angielskim Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Tomik zawiera ok. 20 wierszy, wybranych ze zbiorów "Dziennik poranny" i "Ja wiem, że to niesłuszne". Kujawiński otrzymał za "Where did I wake up?" nagrodę "Mr. Cogito Press" za najlepszy przekład roku.

Zjazd tłumaczy - bez spotkań z autorami

Od 2 do 10 października w Warszawie i Krakowie obradował międzynarodowy zjazd tłumaczy literatury polskiej. Na ostatnim posiedzeniu zjazdu tłumacze skarżyli się, że nie umoliwiono im spotkania z poetami polskimi; co więcej, właśnie w dniu, w którym szeroka reprezentacja poetów warszawskich występowała na dorocznym poranku jednego wiersza w Zaiksie (7 października 1979), tłumaczy skwapliwie wywieziono z Warszawy. Najliczniejsza ekipa tłumaczy literatury polskiej przybyła ze Związku Radzieckiego; tym - jeszcze w Moskwie - zakomunikowano listę pisarzy - "wrogów", z którymi pod żadnym pozorem nie wolno im się spotykać.

Drugi tom "Czarnej księgi cenzury"

W rok po pierwszym tomie "Czarnej księgi cenzury PRL" ukazał się w Londynie obszerniejszy tom drugi (obydwa nakładem "Aneksu"). Jeżeli pierwszy tom zawierał zalecenia i wytyczne, kierujące działalnością Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, to drugi unaczynia praktyczne rezultaty wcielania ich w życie. W dwutygodniowych i kwartalnych sprawozdaniach Urzędu znalazły się omówienia zdjętych materiałów, cytaty z nich, a często całe teksty utworów. Tak więc możemy dowiedzieć się, że w artykule Michała Sprusińskiego usunięto rekapitulację twórczości Herberta: "niepokoje Polaka anno domini 1956 i anno domini 1970 są w niej niepokojem kontynentu cywilizacji broniącej władzy rozumu i intelektu przeciw uzurpacjom żywiołów i dekretów wymierzonych w suwerenność jednostki". Stołecznej Estradzie nie pozwolono na wykorzystanie w programie pt. "Poeci Trzydziestolecia" m.in. wiersza Różewicza, zaczynającego się: "Oto człowiek)) wypchany przez innych ludzi)) kiedy odejdą)) zostanie kukła". W poufnym biuletynie z lipca 1974 GUKPPiW chlubi się, iż "podobnie jak w ubiegłym kwartale z tomików poetyckich i z prasy społeczno-kulturalnej wyeliminowano wiele utworów poetyckich" i wymienia osiemnastu autorów, których to dotknęło, w tej liczbie Ewę Lipską (2 wiersze), Ryszarda Bruno-Milczewskiego (także 2), Jerzego Zagórskiego i wielu mniej znanych. W "Nowym Wyrazie" skonfiskowano opowiadanie Filipa Bajona "Dobroczyńca", ponieważ "autor, nawiązując do wydarzeń 1956 r. w Poznaniu, przedstawił w swoistej formie literackiej różne środowiska społeczne zdemoralizowane beznadziejną atmosferą powszechnej nieufności i podejrzliwości, zastraszenia i donosicielstwa". W "Literaturze" nie dopuszczono "do opublikowania tekstu dyskusji redakcyjnej na temat projektu programu nauczania języka polskiego w przyzkiej, dziesięcioletniej szkole podstawowej". W książce Wiesława Górnickiego "Wielki świat" skreślono liczne fragmenty i zdania, np. "O nieboszezyku Wyszyńskim można by powiedzieć wiele, i to niezbyt pochlebnie". W tomie wspomnień Tadeusza Byrskiego zakwestionowano fragmenty dotyczące kolaboracji aktorów podczas okupacji niemieckiej. Są to wszystko przykłady na chybił trafił - i z jednej tylko dziedziny, określonej jako "ingerencje dotyczące problematyki kulturalnej i historycznej" (sprawozdania cenzorskie wyróżniają jeszcze problematykę "społeczno-polityczną", "społeczno-ekonomiczną" i "wynamiową"). Z takich i innych bardziej lub mniej malowniczych cytatów pracownicy cenzury PRL sami skomponowali - na wieczną rzecz pamiętkę - tę księgę o sobie, o systemie, który ich stworzył i który nadal współtworzą.

Marek Nowakowski i cenzura

Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazał się nowy tom opowiadań Marka Nowakowskiego pt. "Chłopak z gołębiem na głowie". Dwa spośród tych opowiadań - "Patoka" i "Nocny gość" - drukowaliśmy swego czasu w "Zapisie".

Wydanie książki zdawałoby się potwierdzać, że Nowakowski nie figuruje już na czarnej liście pisarzy specjalnie prześladowanych przez cenzurę. Możemy się z tego tylko cieszyć. Jednocześnie wszakże w ciągu roku 1979 przynajmniej trzykrotnie uniemożliwiono publikację opowiadań Nowakowskiego w miesięcznikach. Tak więc, w "Więzi" skonfiskowano opowiadanie pt. "Major Cierni". Następnie w "Twórczości" usiłowano zmienić pointę "Sprawozdania z wyjazdu w teren" i autor sam wycofał tak zmieszkałony utwór. Ostatnio wreszcie, w październikowym numerze "Twórczości", skonfiskowano opowiadanie tego samego pisarza pt. "Święte miejsce". Ale to nie prześladowania, to dzień powszedni cenzurowanej literatury...

"Powrót do kraju" Woroszylskiego

Londyńskie wydawnictwo Polonia Book Fund opublikowało książkę Wiktora Woroszylskiego pt. "Powrót do kraju", z podtytułem: "Kartki z dziennika, wspomnienia, polemiki, artykuły". W krótkim wstępie autor wyjaśnia, że tak się nazywała pier-

nalni" Agnieszki Holland, "Kung fu" Janusza Kijowskiego. Impreza miała się rozpocząć 17 października 1979 roku. Wynajęto salę kina "Skarb" i przystąpiono do rozpowszechniania karnetów. W trakcie tych przygotowań władze wysuwały rozmaite warunki: a to żeby włączyć do programu jakieś dzieło Bohdana Poręby, a to żeby jako prelegenci komentujący filmy wystąpili publicyści z tygodnika "Ekran". Wreszcie na kilka dni przed terminem pierwszego pokazu zawiadomiono organizatorów, że Komitet Warszawski PZPR nie zgadza się na cały cykl, ponieważ może przybyć "niepożądana" publiczność". Światoburczą inicjatywą dyskusyjnego klubu filmowego spaliła na panewce.

Dwadzieścia lat Galerii Lambert

W maju 1979 roku minęło dwadzieścia lat od otwarcia znanej i zasłużonej galerii malarstwa na Wyspie Świętego Ludwika w Paryżu - "Galerii Lambert" państwa Zofii i Kazimierza Romanowiczów. Rocznicę uświetnił uroczysty wernisaż, a pani Zofia ogłosiła w londyńskich "Wiadomościach" (15 lipca 1979) obszernie i bynajmniej nie uroczyste wspomnienie o tej wielkiej przygodzie swojej i męża, którą poprzedzało parę innych przygód, w tej liczbie - trwająca z pożytkiem do dziś - z księgarnią i wydawnictwem "Libella".

Nazwa galerii pochodzi od mieszczącego się tuż obok pałacu Lambert, gdzie rezydował był ongiś książę Adam Czartoryski. Doradcą właścicieli od początku był Konstanty Jeleński: "Bez niego - czytamy we wspomnieniu - nie dalibyśmy rady zacząć, albo zaczęlibyśmy ze złej, to jest z polskiej, emigracyjnej nogi, stwarzając w Galerii coś w rodzaju malarskiego, szowinizującego getta ze szkodą tak dla Galerii, jak - zwłaszcza - dla rodaków-malarzy, którzy przecież mieli musowe pierwszeństwo w naszych sercach i na naszych ścianach. Galeria była więc od początku - i jest - dla wszystkich".

Pierwszym wystawionym na Wyspie Świętego Ludwika malarzem był Tadeusz Dominik z Polski, drugim - Japończyk Josaku Maeda, a następnie przewinęły się przez Galerię dziesiątki twórców, przeważnie młodych, dla których niekiedy było to pierwszym krokiem do sławy. Autorka wymienia niektóre nazwiska, jak Lebenstein, Stancic, Jordan, Alejandro, Fijałkowski, Józefowicz, Sustarcic, Morrow, Imoto, Delaney, wspomina też przyjaciół i protektorów Galerii, jak wybitni krytycy Patrick Waldberg i Jean-Marie Dunoyer.

Galeria Lambert jest jednym z tych polskich przedsięwzięć na świecie, którym się poszczęściło - na to "szczęście" zaś złożyła się inicjatywa, wyobraźnia, ofiarność, pracowitość, otwarta, szeroka koncepcja tych, którzy Galerią kierowali i nadal kierują. Z niewielkim opóźnieniem - i my także gratulujemy!

Kto nas reprezentuje w UNESCO

Jak podaje PAP, dyrektor generalny UNESCO przyjął stażego przedstawiciela PRL przy UNESCO, Ignacego Gajewskiego, który złożył mu listy uwierzytelniające. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że w Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty, Nauki i Kultury reprezentuje Polskę niedawny dyrektor wydawnictw "Iskry" i "Nasza Księgarnia", słynny w latach 1976-1978 ze szczególnie gorliwego i brutalnego wcielania w życie "czarnych list" pisarzy polskich i innych godzących w kulturę nakazów partii

Kto będzie autorem pomnika Wyspiańskiego

Wiosną roku 1979 rozstrzygnięty został w Krakowie konkurs na projekt pomnika Stanisława Wyspiańskiego na placu Szczepańskim. W pierwszym, otwartym etapie konkursu nie przyznano I nagrody, natomiast II nagrodę otrzymali ex aequo Jan Kuczyński z Warszawy i Maria Kuczyńska z Gdańska (z zespołem). Następnie ogłoszono konkurs zamknięty dla pięciu autorów (lub zespołów) prao nagrodzonych. Komitet Budowy Pom-

nika dokooptował do udziału w konkursie - co było niezgodne z regulaminem i spowodowało protest Związku Polskich Artystów Plastyków - jeszcze dwóch rzeźbiarzy, Mariana Koniecznego i Wincentego Kućmę z Krakowa, którzy w pierwszym konkursie otrzymali jedynie wyróżnienia. Powołane następnie ogólnopolskie jury rozstrzygnęło konkurs, przyznając pierwszą nagrodę pracy Jana Kucza, która tym samym powinna zostać zrealizowana. Tymczasem 10 września prasa poinformowała, że na zlecenie Komitetu Budowy pomnik zrealizuje Marian Konieczny, rektor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, autor pomnika Lenina w Nowej Hucie i kilku innych. Wyróżniony w ten sposób rzeźbiarz jest członkiem KW PZPR w Krakowie, przewodniczącym OZ PZPN, członkiem honorowym Akademii Sztuki ZSRR, był też delegatem na ostatni zjazd partii i przewodniczył obradom na jednej z sesji plenarnych.

Zabudować pole bitwy

W środowisku plastycznym dużo się mówi o opracowanym przez prof. Wiktora Zina, wiceministra Kultury i Sztuki, projekcie artystyczno-turystycznego zagospodarowania Pola Grunwaldzkiego. W miejscu bitwy pod Grunwaldem stoi już od lat znany pomnik, ale nie odpowiada on widać rosnącym ambicjom (czyim?); obecnie chodzi o cały zespół pomników, a także ośrodków turystyczno-rozrywkowych na rozległym terenie, obejmującym - oprócz samego pola bitwy - dawne obozowiska wojsk, szlaki ich przemarszy itd. Ma to być, jak się mówi, coś wzorowanego na analogicznym radzieckim systemie pomników na polu Bitwy pod Borodino (podobno wchodzi też w grę powołanie radzieckich konsultantów). Jeżeli projekt dojdzie do skutku, pochłonie on niebotyczne sumy pieniędzy, będzie wymagał wywłaszczenia i wysiedlenia całych wsi, doprowadzi do dewastacji przyrody na znacznym obszarze. Wielu artystów protestuje przeciw tym pomysłom, m.in. autorem listu protestacyjnego jest Andrzej Strumiłło; ale są też rzeźbiarze, którzy po ich realizacji spodziewają się dla siebie korzyści. Sprawa jest w toku, jeszcze do niej wrócimy.

"Godzina polskiego chrześcijaństwa"

Pod takim tytułem odbył się w dniach 23-25 października 1979 r. XV Tydzień Eklezjologiczny na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W Tygodniu, zorganizowanym, jak i poprzednie, przez Koło Teologów Studentów KUL, uczestniczyło blisko dwa tysiące osób z duszpasterstw i środowisk akademickich całego kraju.

W pierwszym dniu, którego tematem była służba godności i kulturze człowieka, referaty wygłosili: Jacek Woźniakowski ("Chrześcijaństwo-godność-kultura człowieka") i biskup Ignacy Tokarczuk, ordynariusz przemyski ("Współczesny Kościół polski w służbie godności i kultury człowieka"). Kardynał Franciszek Macharski przewodniczył koncelebrowanej Mszy świętej odprawionej na dziedzińcu uniwersyteckim i wygłosił piękną homilię. Dyskusja toczyła się w grupach tematycznych, którym przewodniczyli duszpasterze akademicki z różnych ośrodków: "By praca tworzyła godność człowieka", "Chrześcijańskie znaki sprzeciwu wobec manipulacji człowiekiem", "Panem et circenses hodie - zagrożenie współczesnej kultury polskiej", "Kościół polski a kultura człowieka - możliwości i dokonania", "Homo academicus". Wieczorem tego oraz następnego dnia Andrzej Kijowski wygłaszał w kościele akademickim KUL Zamyślenia nad "Naszą godziną".

Drugi dzień zatytułowany był "Kontynuatorzy chrześcijańskiej tradycji". Wydarzeniem tego dnia był szczególnie gorąco przyjęty referat Bohdana Cywińskiego "Współczesne pytania o Kościół i sprawę polską". Dyskusjom w grupach tematycznych przewodniczyli: H. Bortnowska - "Polska szansą Kościoła czy Kościół szansą Polaki?"; O.B.Sroka - "Wyrosliśmy w słowiańskiej rodzinie"; E. Jabłońska-Deptuła - "Ethos chrześcijański na styku tradycji i współczesności"; T. Mazowiecki - "Chrześcijańskie znaki sprzeciwu wobec przekreślania tradycji"; B. i J. Strojnowscy - "Przekaz wartości chrześcijańskich w rodzinie"; A. Stanowski - "Szkółka i kontynuowanie tradycji". Po południu odbyła się pod przewodnictwem prof. R. Bendera dyskusja "okrągłego stołu" na temat: "Jak i jakie tradycje należy przekazywać dzi-

siaj?", w której uczestniczyli: Halina Bortnowska, Ewa Jabłomska-Deptuła, Tadeusz Mazowiecki, ks. B. Sroka, Adam Stanowski, Jerzy Strojnowski i Jacek Woźniakowski. Przybył z Olsztyna nowy biskup warmiński ks. J. Glem odprawił tego dnia Mszę świętą i wygłosił homilię w kościele akademickim.

Ostatni, trzeci dzień obrad nosił tytuł: "Chrześcijanin człowiek ryzyka". Świadcstwa przedstawili: doc. dr med. Wł. Fijałkowski z Łodzi, s. Rut Wosiek z Lassek, ks. Franciszek Blachnicki - twórca i inspirator ruchu "oazowego", inż. K. Trojan i Andrzej Kijowski. Temu przejmującemu spotkaniu przewodniczył ks. prof. T. Styczeń z KWL. Na zakończenie Tygodnia zabrał głos biskup lubelski ks. B. Pylak, który następnie przewodniczył koncelebrowanej Mszy świętej, odprawianej w auli KUL.

Trzeba jeszcze wspomnieć o imprezach towarzyszących głównemu nurtowi obrad, takich jak spotkanie ze Zbigniewem Zapasiewiczem w wypełnionej szczelnie sali, występ zespołu muzycznego z Płocka i inne.

Śmiałość i powaga, cechujące "Tydzień", sprawiły, że stał się on wydarzeniem w tej "godzinie polskiego chrześcijaństwa".

Dwa numery "Aneksu"

Ostatnie numery londyńskiego "Aneksu", które do nas dotarły, to 20 i 21, oba z roku 1979. Każdy z nich zawiera, obok tekstów różnych, obszerny blok tematyczny: w n-rze 20 - poświęcony stanowi i perspektywom polskiej gospodarki, w n-rze 21 - językowi totalitarnemu. Na pierwszy zestaw składają się opracowane przez grupę ekonomistów i opublikowane jakiś czas temu przez NOWA "Uwagi o sytuacji gospodarczej kraju" (ze wstępem prof. Edwarda Lipińskiego), dalsze dyskusje na ten temat i wywiady z "Drogi" i "Głosu", wreszcie napisane specjalnie dla "Aneksu" wypowiedzi Włodzimierza Brusa, Jana Drewnowskiego i Stanisława Gomułki. Ten ostatni autor pisze też osobno - w numerze następnym - o sytuacji gospodarczej Polski w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. W zestawie drugim znajdujemy trafnie dobrane tłumaczenia autorów cudzoziemskich, jak "Język i polityka" Ladislasa Boda, "Komunikacja sterowana" Klausa Millera, "Polityka i prawda" Jefima Etkinda, a także refleksje autorów polskich, w tym "Świat zaaresztowanych słów" Ireny Grudzińskiej-Gross (na materiale "Czarnej księgi cenzury PRL").

Ponadto w n-rze 20-tym: mikrotraktat Leszka Kołakowskiego "Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą" (autor dowodzi, że "te trzy słowa nie stanowią już zdolnych do życia i wykluczających się opcji", ale międzynarodówka konserwatywno-liberalno-socjalistyczna nie powstanie, ponieważ "nie może obiecać ludziom, że będą szczęśliwi"), "Prawo i władza" Ludwika Dembińskiego (byłego współpracownika "Tygodnika Powszechnego", obecnie profesora w Genewie), "1968 - dziesięć lat później" Jadwigi Szadek i "Wędrowki ziemią Ulro" Krzysztofa Dorosza. W n-rze 21: m. in. wywiad z Raymondem Aronem i dwugłos (Ludwik Dembiński - Antoni Pospieszalski) o książce Andrzeja Micewskiego "Współrzędzić czy nie kłamać?".

"Res Publica" po raz trzeci

W 3-im n-rze "Res Publica", oprócz materiałów sygnowanych, zwyczajem tego pisma, inicjałami - trzy artykuły podpisane nazwiskami: "O krakowskim papieżu i jego polskiej podróży" Stefana Kisielewskiego, "Tradycje historyczne a naśladownictwo" Andrzeja Micewskiego oraz "Prawa człowieka jako Realpolitik" Jana Tomasa Grossa z Uniwersytetu Yale (USA). Gross w interesujący sposób wykazuje, że zauroczenie siłą, dostrzeganie jako partnerów jedynie instytucjonalnych dysponentów siły jest błędem w polityce demokracji i nie sprzyja jej zwycięskiej konfrontacji z totalitaryzmem. Nie tylko moralne, ale realne i praktyczne jest oparcie się w polityce na wartościach; na wiarygodnej walce o prawa człowieka, na społeczeństwach, w których "tkwią siły emancypacji i demokratyzacji", ponieważ "jeśli te siły demokratyzacji nie wezmą góry, nasza przyszłość pozostanie niepewna". Z artykułem Grossa korespondują inne materiały w numerze, m.in. "Odnówić oblicze ziemi" MK, który mówi o Sołżenicynie i Carterze jako "wybitnych symbolach i zarazem si-

żach sprawczych nowej koniunktury duchowej", oznaczającej "przesunięcie akcentów w myśleniu i działaniu społecznym oraz politycznym"; autor ma nadzieję, że koniunktura ta będzie się rozwijała, gdyż "oczekiwania duchowe sprowokowane już jakiś czas trwającą pracą nad odnowieniem oblicza ziemi zbiegły się z politycznymi potrzebami i możliwościami". W tym kontekście MK nawiązuje też do pobytu Jana Pawła II w Polsce, do jego "pryncypializmu w kwestii wartości, kraku zawstydzania w wyborze ajlepszszej i wyłącznej perspektywy". Opisując tę samą podróż papieską, Kisielewski z kolei wskazuje, jak ów pryncypializm realizuje się w praktyce, nawet w szczegółach, i jaką stanowi nadzieję dla "tych nielegalnych, wyklętych, izolowanych... próbujących na własną odpowiedzialność ocalić polskie piśmiennictwo i polskie słowo".

W tym samym numerze "Res Publica" - znakomite omówienie sesji Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, poświęconej "Socjologicznym i ekonomicznym aspektom gospodarki planowej" oraz (to w ogóle mocna strona pisma) kilka dobrych omówień znaczących publikacji zagranicznych, jak "La confusion des langues" Alaina Besancona. Trafne również omówienie "100 wierszy" Cummingsa, wydanych poza obrębem cenzury w Poznaniu; trochę trudno się natomiast połapać, do czego zmierza autor (TK) w artykule o "Małej apokalipsie" Konwickiego. W dziale korespondencji Adam Wojciechowski kwestionuje geopolityczne hipotezy Kisielewskiego w pierwszym numerze "Res Publica".

Nowy "Puls"

Ukazał się "Puls" nr 6, datowany: wiosna 1979. Najbardziej ważkim materiałem jest w nim przedmowa Andrzeja Szczypiorskiego do niemieckiego wydania "Rozmów z katem" Kazimierza Moczarskiego. Ta piękna i mądra rozprawa stała się pretekstem do objęcia autora represjami (pisaliśmy o tym swego czasu) i do prasowej kampanii oszczerstw i przeinaczeń. Dzięki publikacji w "Pulsie" mamy możliwość porównania tego, co Szczypiorski powiedział naprawdę o zbrodniach hitlerowskich i stalinowskich, z tym, co rozwścieczona przypomnieniem tych ostatnich propaganda partyjna usiłowała mu przypisać. Oto zaś zdania kończące przedmowę: "Przeczytajcie uważnie, co mówi Jürgen Ströop, ten kliniczny przykład umysłu zniewolonego przez totalizm. Przeczytajcie uważnie 'Rozmowy z katem' i pomyślcie o losie Kazimierza Moczarskiego, człowieka, który nie ugiął się i gotów był zginąć, byle innych uchronić przed wegetacją pod władzą totalną".

W tym samym numerze "Pulsu" - m.in. wiersze Jerzego Ficowskiego, "Węgry - opozycja intelektualna" Balazsa Raba (tę pozycję omawiamy osobno), "Wklęsła mowa cenzora" Jana Prokopa. Witold Sułkowski i Leszek Szaruga polemizują (każdy z osobna) z opublikowanym w poprzednim numerze tego pisma wykładem Adama Michnika "Intelektualiści i komunizm w Polsce po r. 1945". Jako trzeci zabiera głos na ten sam temat Gustaw Herling-Grudziński ("Szkielet w szafie", tekst zamieszczony również w nrze 5 "Kultury").

Nowe niezależne czasopismo w Łodzi

Dotarł do nas pierwszy numer kwartalnika społeczno-politycznego "Aspekt", wydawanego w Łodzi przez uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela - Andrzeja Mazura i Andrzeja Ostoję-Owsianego. Mazur jest też autorem artykułu "Na bezdrożach polityki rozwoju w nauce polskiej" i polemiki pt. "Doktor Skonka organizuje naukę", zaś Ostoja Ostoja-Owsiany - komentarza do przedrukowanego obok wywiadu M.F. Rakowskiego dla "Corriere della Sera". Inni autorzy pisma to: Józef Hański ("Poziom życia ludności Polski"), Stanisław Gomulka z Londynu ("Zadłużenie krajów RWPG na Zachodzie"), Tadeusz Grabowski ("Jan Paweł II w Polsce"), Rowmund Piłsudski ("Postulaty polskiej racji stanu", jest to artykuł programowy emigracyjnego ugrupowania "Niepodległość i demokracja"), Zbigniew Sekulski ("Proces SALT: oczekiwania i rzeczywistość"), Waldemar Akajewicz ("Kompleks geopolityczny"). Pierwszy numer "Aspektu" sprawia wrażenie poważne; podwójny numer zapowiedziano na koniec roku 1979.

Polonica w "Kontynencie"

W n-rze 21 "Kontynentu" Natalia Gorbaniewska opublikowała zestaw przekładów z poetów polskich i ukraińskich. Polaków reprezentują Jerzy Ficowski i Wiktor Woroszyński (wiersze jednego i drugiego pochodzą z różnych numerów "Zapisu"), Ukraińców - Wasyl Hołoborod'ko i Ihor Kałyneć.

W tym samym numerze rosyjskiego kwartalnika - obszerny i kompetentny przegląd prasy niezależnej w Polsce, sygnowany literkami I.L. Po ogólnej charakterystyce sytuacji politycznej i społecznej, w jakiej rozwija się wolna prasa, a także strony technicznej jej wydawania, autor omawia kolejno następujące pisma: "Biuletyn Informacyjny", "Zapis", "Spotkania", "Głos", "Robotnik", "Krytyka", "Puls", "Zeszyty PPN" oraz bardziej lakonicznie - "Opinię", "Drogę", "Bratniak" i kilka innych.

Spośród materiałów "Zapisu" zwrócono uwagę na esej Tadeusza Mazowieckiego "Druga twarz Europy" w n-rze 11, opowiadanie Tadeusza Korzeniewskiego "W Polsce" w n-rze 5 ("jeden z najciekawszych debiutów literackich ostatniego dziesięciolecia"), powieść Konwickiego "Mała Apokalipsa" ("bez wątplenia, najważniejsza powieść polityczna we współczesnej literaturze polskiej"), dwugłos polemiczny Wierzbickiego i Michnika o "gridach" w n-rze 9. Z uznaniem podkreślono, że "Zapis" publikuje też autorów zamieszkałych poza krajem.

Sprostowanie Chojeckiego

Mirosław Chojecki, kierownik Niezależnej Oficyny Wydawniczej, przysłał nam oświadczenie w sprawie rozmowy z nim i jeszcze jedną osobą z NOWej, zamieszczonej w "Głosie" nr 3(15). Tekst rozmowy nie był autoryzowany, znalazło się w nim wiele błędów i nieścisłości. Na 33 wydrukowane pytania i odpowiedzi Chojecki akceptuje zaledwie 13; na publikację pozostałych w tej postaci "nigdy nie wyraziłby zgody" - i w ogóle odmawia brania odpowiedzialności za informacje dotyczące Niezależnej Oficyny Wydawniczej, zawarte we wzmiankowanym tekście.

Dziwne zebranie sprawozdawcze

Na zjeździe literatów polskich w kwietniu 1978 roku postanowiono m.in. zwołać w połowie kadencji nowego zarządu zebranie sprawozdawcze, aby społeczność literacka dowiedziała się o przebiegu wykonywania swoich uchwał i postulatów. Przez jakiś czas tzw. czynniki starały się w ogóle nie dopuścić do zwołania takiego zebrania; wreszcie, jak się dowiadujemy, ma się ono odbyć 30 listopada 1979 r. w Radziejowicach jako impreza samknięta, tzn. li tylko z udziałem członków Zarządu Głównego, zarządów oddziałów ZLP i przewodniczących komisji związkowych, z wyłączeniem zaś innych chętnych członków Związku Literatów Polskich. Jest to procedura całkowicie niezgodna z tradycjami ZLP, wedle których nawet na walny zjazd - obok demokratycznie wybranych delegatów - miał prawo przybyć i zabrać głos z tribuny każdy zrzeszony w Związku literat.

W następnej kronice postaramy się zapoznać czytelników z rzeczywistym przebiegiem zebrania w Radziejowicach.

Fundacja im. Andrzeja Struga

Powołana została do życia Fundacja im. Andrzeja Struga, której statut głosi:

1. Celem Fundacji jest popieranie niezależnej, polskiej twórczości literackiej i naukowej w dziedzinie kumanistyki przez: a) przyznawanie dorocznej nagrody literackiej im. Andrzeja Struga; b) przyznawanie stypendiów im. Januarego Grzędzińskiego.
2. Podstawę finansową Fundacji stanowi dotacja pani Nelly Strugowej.
3. Fundacja zarządza jury nagrody im. Andrzeja Struga powołane jednorazowo przez

p. Nelly Strugową w składzie: Władysław Bartoszewski, Marian Brandys, Bohdan Cywiński, Andrzej Kijowski, Jan Józef Lipski, Jan Józef Szczepański, Juliusz Żukawski; skład jego uzupełnia się w razie potrzeby przez kooptację. 4. O przyznaniu nagrody i stypendiów oraz o wysokości sum decyduje jury zwyczajną większością głosów. 5. Prawo zgłaszania kandydatur mają członkowie jury. 6. Publiczne ogłoszenie dorocznej nagrody im. Andrzeja Struga następuje w dniu 10 listopada, jako w przeddzień rocznicy odzyskania Niepodległości. 7. Pierwsza nagroda literacka im Andrzeja Struga zostanie przyznana w dniu 10 listopada 1979. 8. Fundacja nie ogłasza nazwisk stypendystów."

Stefan Kisielewski pierwszym laureatem

Jak się dowiadujemy w ostatniej chwili, laureatem nagrody im. Andrzeja Struga w r. 1979 został Stefan Kisielewski.

Składamy serdeczne gratulacje.

Moczarski, Szczypiorski i "Życie Warszawy"

Donosiliśmy już o represjach i szykanach wobec Andrzeja Szczypiorskiego za opatrzenie przedmową wydanych w RFN "Rozmów z katem" Kazimierza Moczarskiego, a w innym miejscu tej kroniki omawiamy treść owej przedmowy. Kolejny atak na Szczypiorskiego przypuściło "Życie Warszawy" z dn. 17-18 listopada 1979 piórem swojego korespondenta z Bonn, Zbigniewa Ramotowskiego, znanego z przeinaczeń i pomówień. Tym razem Ramotowski, opisując inscenizację "Rozmów z katem" w Düsseldorfie, twierdzi, że cechują ją "fałsz historyczny i nienawiść do tego wówczas nowego, jedynie słusznego, choć rodzącego się w bólach, państwa polskiego". Tworzywo do tak scharakteryzowanego opracowania autor, Dieter Kühn, miał znaleźć w "przedmowie Andrzeja Szczypiorskiego do niemieckiego tłumaczenia książki". I wreszcie: "Nieludzkie oblicze faszyzmu niemieckiego (...) zostało uszmkowane. Szczypiorskiego niechęć do Polski Ludowej posłużyła do zrelatywizowania zbrodni hitlerizmu." - "Czy Szczypiorski zdaje sobie sprawę, do jakiej antypolskiej sprawy przyłożył rękę?".

W liście do redakcji "Życia Warszawy" wystosowanym dn. 18 listopada, Szczypiorski wyjaśnia, że nie zna scenariusza p. Kühna ani też przedstawienia w Düsseldorfie. Wskazuje jednocześnie, że używając w stosunku do jego przedmowy epitetów "hanieknia i zniesławiająca", "antypolska" etc. Ramotowski nie przytoczył ani jednego cytatu, któryby to uzasadniał. Co się tyczy zawartych w przedmowie wiadomości o losach Moczarskiego w latach 1945-1956, to podawało je w gruncie również 1976 "Życie Warszawy", publikując sprawozdania z procesu rehabilitacyjnego Moczarskiego przed Sądem Wojewódzkim.

Zamieszczając list Szczypiorskiego, "Życie Warszawy" uznało go w komentarzu Zb. Ramotowskiego za "próbę wykpienia się od moralnej odpowiedzialności".

Wokół nagrody PEN-Clubu

Polski PEN-Club przyznał w roku 1979 nagrody za dorobek w dziedzinie przekładów Jadwidze Olędzkiej (tłumaczenia prozy angielskiej) i Wiktorowi Woroszyłskiemu (tłumaczenia poezji rosyjskiej). Termin uroczystego wręczenia nagród wyznaczono na 23 listopada. Bezpośrednio przed tym terminem Ministerstwo Kultury i Sztuki zablokowało na koncie PEN-Clubu kwotę przeznaczoną dla Woroszyłskiego, uprzedzając, że w wypadku wypłacenia nagrody z innej rubryki budżetowej całą sumą zostanie obciążona księgowo PEN-Clubu. Uroczystość odbyła się w obecności licznie zgromadzonej publiczności i przedstawicieli prasy (także zagranicznej), wygłoszono stosowne przemówienia (o twórczości przekładowej Jadwiży Olędzkiej mówił Zygmunt Kubiak, o twórczości Wiktora Woroszyłskiego - Seweryn Pollak), ale wręczając nagrodę Woroszyłskiemu prezes Polskiego PEN-Clubu Juliusz Żukawski zawiadomił obecnych (co wywołało poruszenie na sali), że koperta zawiera pismo Jury do Lau-

reata, nie zawiera natomiast - wskutek zablokowania rachunku - przyznanej mu nagrody pieniężnej.

Kronikę zamknięto 26 listopada 1979 roku

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADEŚLANE

Günter Grass, "Blaszany bębenek", Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa, 1979, str. 381, 1 nlb. Wydanie bez wiedzy i zgody tłumacza na język polski. Powieść.

Czesław Miłosz, "Zniewolony umysł", Niezależna Oficyna Wydawnicza, str. 120, 2 nlb. Data nie podana. Przedruk na podstawie wydania Instytutu Literackiego "Kultura" Paryż 1953 r.

Witold Gombrowicz, "Dziennik 1953", wyd. Klin, str. 72. Data nie podana. Przedruk na podstawie "Dzienników" Witolda Gombrowicza wydanych przez paryską "Kulturę".

Witold Gombrowicz, "Przeciw poetom", wyd. Klin, str. 21. Z fotografią autora. Data nie podana.

Wiktor Woroszyński, "Dziennik węgierski", wyd. Samizdat, Warszawa 1979, str. 64, 2 nlb. Wydane wysiłkiem społecznym bez porozumienia z autorem. Przedruk z "Aneksu".

Herbert, Iwaszkiewicz, Jastrun, Kubiak, Pasternak, Przyboś, Waleńczyk, Ważyk, Woroszyński, "Przemilczana przeszłość. Wykreślone strofy", Wydawnictwo Archiwum, kart jednostronnie zadrukowanych 17. Data nie podana. Wiersze z lat 1955 - 1957.

"Prawda", Niezależna Oficyna Wydawnicza, str. 79, 1 nlb. Data nie podana. Wybór tekstów drukowanych w moskiewskiej "Prawdzie" od września do listopada 1939. (Dołączone tajne protokoły paktu Ribbentrop-Mołotow z sierpnia 1939 i traktatu o przyjaźni i granicy z 28 września 1939).

Antoni Roszak Wujek, "Taka pamięć", Oficyna Jednego Autora, Wrocław 1979, str. 16. Poezje.

"Puls", nieregularny kwartalnik literacki, Nr 6, wiosna 1979. Redagują: Jacek Bierzyn, Antoni Pawlak, Bartosz Pietrzak, Witold Sułkowski, Leszek Szaruga, Tadeusz Walendowski.

"Pieśni polskie XV - XX wieku", Prywatna Inicjatywa Krakowska we współpracy z NOWA, Kraków 11 listopada 1979, str. 68, Śpiewnik. Teksty i nuty.

NOTY O AUTORACH

LECH BĄDKOWSKI

Urodzony w roku 1920. Prozaik, reporter, publicysta, tłumacz z kaszubskiego, autor książek dla dzieci. Mieszka w Gdańsku. Wydał m.in. powieści i zbiory opowiadań: "Połów nadziei" (1959), "Bitwa trwa" (1960), "Wesoło w tropikach" (1962), "Oko za oko" (1963), "O których myślimy" (1966), "Powtórka" (1969), "Żołnierze znad Bzury" (1969), "Wielkie Jezioro Gorzkie" (1970), "Wszystko się liczy" (1971), "Kulminacja" (1972), "Sny" (1978).

JACEK BOCHEŃSKI

Urodzony w roku 1926. Prozaik, eseista, tłumacz literatury antycznej. Już piąty rok z rzędu objęty zakazem druku. W "Zapisie" opublikował konfiskowany kilkakrotnie przez cenzurę fragment książki o Tyberiuszu (nr 1), a także eseje o tematyce współczesnej (nr nr 2 i 8), recenzję (nr 5), refleksje o Arnoldzie Słuckim (nr 12).

TOMASZ BUREK

Urodzony w roku 1938. Badacz literatury i krytyk literacki. W "Zapisie" publikuje poczynając od numeru pierwszego. W minionym roku akademickim prowadził seminarium poświęcone Jerzemu Andrzejewskiemu w ramach Towarzystwa Kursów Naukowych. Esej, oparty m.in. na wynikach pracy tego seminarium, powstał specjalnie dla "Zapisu" (pierwszą część ogłosiliśmy w numerze 12, dokończenie w tym numerze).

LUDWIK DORN

Urodzony w roku 1954. Socjolog, publicysta. Publikował w "Więzi", "Głosie" i "Krytyce".

ANDRZEJ DRAWICZ

Urodzony w roku 1932. Doktor filologii rosyjskiej, autor kilku książek o literaturze rosyjskiej i polskiej, tłumacz. W ostatnich latach objęty zakazem druku. W roku akademickim 1977-1978 wykładał w RFN; stamtąd nadesłał refleksje o Niemczech, które opublikowaliśmy w "Zapisie" nr 9. Po następnym roku wykładów za granicą (w Australii) wrócił do kraju - i do zespołu redagującego "Zapis".

LECH DYMARSKI

Urodzony w roku 1949. Poeta, krytyk. Debiutował w piśmie "Student" w roku 1974, wydał też zeszyt poezji pt. "Pierwsze zeznania" nakładem Witryny Poetyckiej Od Nowa. Późniejsze próby publikacji zostały udaremnione przez czynniki oficjalne; w ostatnich latach Dymarski ogłaszał swoje utwory poza zasięgiem cenzury, m.in. w "Zapisie".

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI

Urodzony w roku 1930. Reporter, publicysta. Debiut prasowy - w roku 1946 na łamach "Młodej Rzeczypospolitej", książkowy - "Świadek w kraju Kafki" (1957). Wydał m.in. "Archanioły i szakale" (1965), "Księga zdziwień" (1972), "Złoto piasków" (1976). Stał felietonista tygodnika "Literatura". Tekst, który publikujemy, został skonfiskowany przez cenzurę w "Więzi" nr 7-8 (1979).

WACŁAW IWANIUK

Urodzony w roku 1913. Poeta. Debiutował w roku 1933. Od 1939 r. przebywa poza krajem, po wojnie - na emigracji w Kanadzie. Wydał 14 książek, m.in. "Dzień apokaliptyczny" (Warszawa 1938), "Czas Don Kichota" (Londyn 1946), "Dni białe i dni ozerwone" (Bruksela 1947), ostatnio - "Nemezis idzie pustymi drogami" (Londyn 1978). Ukazało się również tłumaczenie angielskie poezji Iwaniuka. Publikujemy nadesłane przez autora do "Zapisu", nigdzie dotąd nie ogłaszane wiersze.

ANDRZEJ KORASZEWSKI

Urodzony w roku 1940. Socjolog, dziennikarz. W roku 1971 wyemigrował i obecnie mieszka w Szwecji. Publikuje w pismach emigracyjnych: "Kultura", "Aneks", "Szkice i Dialog", współpracuje też z prasą i telewizją szwedzką.

JAN KOTT

Urodzony w roku 1914. Eseista, krytyk teatralny i literacki, tłumacz. Działalność literacką rozpoczął w roku 1932. Po wojnie - członek zespołu redakcyjnego "Kuźnicy", współzałożyciel i wicedyrektor Instytutu Badań Literackich, edytor i badacz polskiego Oświecenia, krytyk teatralny "Przeglądu Kulturalnego", stały współpracownik "Dialogu", profesor uniwersytetów Wrocławskiego i Warszawskiego. Od roku 1966 w USA, profesor w Yale, Berkeley, Toronto; obecnie - State University of New York w Stony Brook koło Nowego Jorku. Autor m.in. zbiorów esejów literackich i szkiców teatralnych: "Mitologia i realizm" (1946), "O 'Lalce' Bolesława Prusa" (1948), "Szkola klasyków" (1949), "Jak wam się podoba" (1955), "Postęp i głupstwo" (1956), "Poskromienie złośników" (1957), "Miarka za miarkę" (1962), "Szekspir współczesny" (1965, ponad 20 wydań na całym świecie, nagroda im. Herdera), "Aloes" (1966). Opublikowane w ostatnim dziesięcioleciu książki "The Fating of the Gods. An Interpretation of Greek Tragedy" i "Arcadia amara. 'La tempesta' e altri saggi Shakespeariani" nie ukazały się po polsku. Latem 1979 odwiedził Polskę; obecnie - na naszą prośbę - dzieli się wrażeniami z tej wizyty z czytelnikami "Zapisu".

JAN JÓZEF LIPSKI

Urodzony w roku 1926. Historyk literatury, krytyk literacki, eseista, autor m.in. dwóch tomów monografii o Janie Kasprzowiczu i wydawca dzieł tego poety, pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich PAN.

KAZIMIERZ ORŁOŚ

Urodzony w roku 1935. Prozaik, reporter. Od siedmiu lat podlega zakazowi druku. Powieść pt. "Cudowna melina" ogłosił w Instytucie Literackim (Paryż 1973). W kilku numerach "Zapisu" publikowaliśmy zarówno prozę literacką, jak reportaże i artykuły Orłosa. W tym numerze zamieszczamy kolejne opowiadania.

JAN POLKOWSKI

Urodzony w roku 1953. Absolwent Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Poeta. Debiutował w "Zapisie" nr 7.

JACEK SALIJ OP

Urodzony w roku 1942. Dominikanin, doktor teologii, autor licznych publikacji w "Znaku", "Więzi", "Tygodniku Powszechnym" i "W drodze". Jeden z esejów O. Salija ogłosiliśmy w "Zapisie" nr 4. W tym numerze zamieszczamy esej napisany w związku z tekstem Leszka Kołakowskiego w "Kulturze" paryskiej o katolickim "integryzmie" i "progresyzmie" (tekst ten omówiliśmy w kronice "Zapisu" nr 11).

LESZEK SZARUGA

Urodzony w roku 1946. Poeta, eseista, prozaik. Również w poprzednich numerach "Zapisu" publikowaliśmy jego wiersze, eseje i recenzje.

PIOTR WIERZBICKI

Urodzony w roku 1935. W latach 1957-1967 nauczyciel języka polskiego, później dziennikarz, publicysta, felietonista. W różnych numerach "Zapisu" drukowaliśmy felietony Wierzbickiego, skonfiskowane przez cenzurę w tygodniku "Literatura", rozdziały powieści satyrycznej pt. "Cyrk" (wydanej następnie w całości przez Niezależną Oficynę Wydawniczą) oraz pamflet pt. "Traktat o gnidach".

WIKTOR WOROSZYLSKI

Urodzony w roku 1927. Poeta, prozaik, eseista, tłumacz. Od roku 1971 stały felietonista "Więzi". Od roku 1976 objęty zakazem publikowania książek. W "Zapisie" nr 1 ogłosił fragmenty powieści "Literatura", wydanej następnie przez Instytut Literacki (Paryż 1977), nr nr 2 i 6 - wiersze, nr 8 - felietony skonfiskowane w "Więzi". Również felieton "Urodziny Jerzego", który publikujemy w tym numerze, został usunięty przez cenzurę z "Więzi" (nr 9 - 1979).

NAKŁADEM NIEZALEŻNEJ OFICyny WYDAWNICZEJ

UKAZAŁY SIĘ:

Jerzy Andrzejewski
Stanisław Barańczak
Władysław Białkowski
Jacek Biernacki
Kazimierz Brandys
Józef Brodzki
Tomasz Bucha
Józef Czapski
Jerzy Florkowski
Władysław Gomułka
Witold Gombrowicz
Günter Grass
Szymon Hrabak
Paweł Jasienica
Izabela Jastrzębska
Włodzisław Jędrzejko
Andrzej Kijowski
Tadeusz Konwicki
Tadeusz Konwicki
Waldemar Łacnyński
Jacek Kurcz

Antonin H. Liehn
Cyprian Norwid
Tymoteusz Kłoczowski
Adam Mickiewicz
Czesław Miłosz
Czesław Miłosz
Czesław Miłosz
Czesław Miłosz
Czesław Miłosz
Jan Nowak
George Orwell
Maria Osowska
Józef Piłsudski
Dominique de Roux
Jan Strzeliński
Janusz Szpotkowski
Marek Tarnowski
Marek Tarnowski
Piotr Wierzbicki
Piotr Wierzbicki
Kazimierz Wierzyński
Witold Włóczyński
Wiktor Worczyński
Stefan Żeromski

MAZDA
JA WIEM, ŻE TO NIEBESZNE
SOCJALIZM PO 50 LATACH
W PŁOŃWIE ŻYCIA

NIERZECZYWISTOŚĆ
WIERZYSZE I POEMATY
JAKIEJ HISTORII LITERATURY POTRZEBUJEMY
WSPOMNIENIA STANOSIŁOWSKIE
GRYPS

TOW. SZCZACIAK
WSPOMNIENIA POLSKIE
BLASZANY RĘCZNIK
ZBYT GŁOŚNA SAMOTNOŚĆ
ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ
DWA POEMATY
ROSKWA - PIETUSZKI
NIEDRUKOWANE
KOMPLEKS POLSKI /Zapisk nr 3/
MAŁA APOKALIPSA /Zapisk nr 10/
PO WIELKIM SKOKU /Zeszyt TKN/

ZASADY IDEOWE, MYŚLI O PROGRAMIE,
UWAGI O STRUKTURZE BUDOWY
NOWA UMOWA SPOŁECZNA
PÓŹNE WIERZYSZE
WYBÓR PISMA /Zeszyt TKN/
CIENIE ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW
TRAKTAT POETYCKI, TRAKTAT MOCALNY
KRÓL POPIEL I INNE WIERZYSZE
MIASTO BEZ IMIENIA
GDZIE SŁOŃCE WSTAJE I KĘDY ZAPADA
ZNIEMOJONY UMYSŁ
KURIER Z WARSZAWY
FOLWANKI ZWIERZĘCY
O PIERWYCH PRZEMIANACH ETYKI WALKI
BIBUŁA
ROZMOWY Z GOMBROWICZEM
ZAPISKI 1950-1953
UFWOY WYFRANE
POCHODZENIE SYSTEMU
DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ
CYRK
GNIŁY PARNAS
CZARNY POLONEZ
POLAKU, KIM JESTEŚ?
JESTEŚ I INNE WIERZYSZE
NA PRÓBOSTWIE W WYSZKOWIE

Antysemityzm /wybór/ o Dwie rozmowy - Moskwa 1900 /stanogramy rozmów
polsko-chińskich/ o Usługi o sytuacji gospodarczej kraju o Eurokomunizm /wybór/
Rozmowa z Josefem Stalinem o Z księgi zapisków GSKPFTW o Spisownik
demokratyczny i uliczny o Spisownik warszawski o Dokumenty bezprawia /opracowanie
KSS „KOR”/ o Państwa prawa człowieka i obywatela o Opracowanie raportów
problemowych PPR o Język propagandy /Zeszyt TKN/ o Kultura /wybór/
z rocznika 1974 o Npalek /wybór artykułów z września 1939/ o Raport o stanie
Rzeczypospolitej /opracowanie DIP/ o Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów

Współpraca z wydawnictwem KLIN ukazały się:

Witold Gombrowicz	Dziennik 1953
Witold Gombrowicz	Dziennik 1954
Witold Gombrowicz	Dziennik 1955-58
Witold Gombrowicz	Kosmos

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICyny WYDAWNICZEJ ukazały się
kwartalniki literackie PUIS I ZAPIS oraz Zeszyty TOWARZYSTWA
KURSOW NAUKOWYCH

